

MARCIN WRÓŃSKI:

OFFICIUM SECRETUM:

PIES PAŃSKI

twój

Jestem sędzią śledczym - rzekł mój towarzysz.

- Aaa! Kogóż wy tu sędzić będziecie? - odparł zakonnik, wzruszając ramionami.

- Dziś w nocy ukradli wam dzwon...

- Tak, Marcina ukradli... Pewnie, że w nocy. Kiedym wyszedł dzwonić na jutrznię i pociągnąłem sznur, już nie odezwał się.

- Komuż to ksiądz dobrodziej dzwoni na jutrznię?

- Komu? Wszystkim - odpowiedział, wodząc ręką dokoła.

- A ci słuchają się? - spytał sędzia i wskazał na szereg leżących.

- Ooo, Czasami o północy bywa taki ścisk w kościele, że w stallach umieszczam tylko przeorów, a mniejsi ojcowie siadają w ławkach na środku.

Bolesław Prus, Z żywotów świętych

Sobota, 6 października 2007 roku Kazimierz Dolny, godz. 18.30

W oknie na pierwszym piętrze klasztoru reformatów zapaliło się światło. Śpiący na parapecie gołąb czujnie podniósł głowę.

Od strony Plebaniego Dołu, między wysoką skarpą od południa i tą dużo niższą, osiadającą pod ciężarem klasztornej muru, zbliżał się, dobrze widoczny w jesiennym mroku, żar papierosa. Mignął obok szerokiej, obrośniętej lepka trawą wyrwy w murze i zakreślił w powietrzu czerwony łuk, gdy palący opuścił rękę. Żar przygasł na kilkanaście sekund, po czym uniósł się kolejnym świetlistym łukiem. Znowu rozbudzony ogień oświetlił czerwoną łuną kościstą twarz.

Mężczyzna w zamyśleniu rzucił niedopałek na wilgotne kamienie i poprawił kołnierz. Już w ciemnościach ruszył w dół -w stronę centrum miasteczka.

Okrzyżył budynki klasztoru, nie spuszczać wzroku z muru. i zszedł krótką uliczką

Podgórną, minął rozjaśnione kilkoma lampami schody, prowadzące do sanktuarium. Na Cmentarnej nie było latarni, ale docierały tu światła restauracji z biegnącej u stóp skarpy ulicy Krakowskiej. Chmury, gnane południowo-wschodnim wiatrem, forsowały Wisłę jak

7

sześćdziesiąt trzy lata wcześniej armia Berlinga. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej Cmentarną znów okrył mrok i mglisty opar znad rzeki. Słysząc było jedynie muzykę z knajp, a nieco bliżej skrzypienie poruszanej wiatrem okiennicy.

Mężczyzna, wciąż wpatrzony w zabudowania franciszkanów, sięgnął po kolejnego papierosa. Mur, tu nieco wyższy, umocniony szerokimi przyporami, prowadził wzrok ku przyrośniętemu do niego drewnianemu budynkowi. Mężczyzna potknął się i znów przystanął, tym razem jednak, by spojrzeć pod nogi, nie w górę.

- O kurwa jego mać!

Na brukowanej kocimi łbami uliczce leżał człowiek, zastygły w pozycji embriona.

Mężczyzna cofnął się o krok, drugi, trzeci, aż wpadł plecami na płot. Wiatr cisnął mu w twarz kilka liści.

- O żeby cię...

Pstryknął zapalniczką i osłonił dłonią błękitno-pomarań-czowy płomień. Trup zezował, jakby zaciekawiony strużką krwi, która zakrzepła mu u nasady nosa. Spod brązowego habitu wystawał przekrzywiony kołnierz flanelowej koszuli i wystrzępiony T-shirt.

Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie i zrobił krok w stronę martwego zakonnika.

W tym momencie zobaczył mdłe światło od strony cmentarza, w uszy wbił mu się wściekły zgrzyt piasty starego roweru. Zerknął na papierosa, który wciąż dymił mu spomiędzy palców. Odrzucił niedopałek za płot położonej niżej posesji i obrócił się na pięcie.

Przeraźliwy krzyk dopędził go dopiero w podcieniach Rynku.

CZEŚĆ PIERWSZA

Jeśli nawet zdarzy się wam spojrzeć na jakąś kobietę, w żadną się nie wpatrujcie. Nie zabrania się wam bowiem widzenia kobiet, gdy gdzieś wychodzicie, jednak występna

jest rzeczą ich pożądać lub chcieć być przez nie pożądanym. Nie tylko zaś dotykiem i uczuciem, lecz również spojrzeniem można namiętnie pożądać kobiety; i tak też bywa się przez jej namiętność pożądanym. Nie mówcie więc, że macie skromne serca, gdy nie są skromne wasze oczy. Z nieskromnych spojrzeń przeziara bowiem nieskromność serc. Kiedy zaś serca wzrokiem, nawet bez słów, zdradzają sobie bezwstydną pragnienia i lubują się wzajemnym cielesnym pożądaniem, wówczas - choćby nawet ciało nie splamiła nieczystość - ginie jednak czystość obyczajów. Kto (js) wpatruje się w kobietę i lubi, gdy także jej wzrok jest w niego utkwiony, niech nie sądzi, że nikt tego nie widzi. Widzą go z pewnością!

z Reguły Św. Augustyna, biskupa

Onegdaj: po Aniele Pańskim trzy kobiety z votum dla Kazimierskiej Pani, niebogatym, wyobrażającym łódź, w jakich tutejsi rybacy na Wiśle łowią; słoniny solonej funt. Wczoraj: także w południe po rozgrzeszenie wieśniaczka spod Kurczmisk, jako że do dobrodzieja swojego nie śmiała; jaja przyniosła, ale odmówił. Daemoni etiam vera dicenti non est credendum, powtarzam w duszy za Janem Chryzostosem. Z dachu nad chórem znów cieknie.

z zapisków o. Adriana Gałuszkiewicza OFMSO

ROZDZIAŁ I

Wtorek, 2 października 2007 roku Lublin, Stare Miasto, godz. 7.00

Poranne słońce liznęło kamienice przy Szerokiej i ogień nabrał życia. Płomienie wybuchły ze zdwojoną siłą, starozakonny w bramie wychodzącej na przestrzał głośniejszym wykrzyknął swoją skargę, a jeździec w niebieskiej kurtce popędził wierzchowca. Procesja z relikwią Krzyża, zapewne zadzierając wysoko białe habity, przekroczyła właśnie cuchnący ściek, płynący powoli z miasta chrześcijańskiego ku żydowskiemu, i przystanąła wpatrzona w zabudowania klasztoru karmelitanek, do których pożar jeszcze nie dotarł - i nie dotrze.

Ojciec doktor Marek Gliński oderwał wzrok od obrazu i zwrócił go ku prezbiterium. Poranna msza przy prawie pustych ławkach dobiegła końca. Skłoniwszy głowę przed ołtarzem, zobaczył tylko dwie staruszki przy Matce Boskiej Paryskiej I młodą

dziewczynę klęczącą przed Św. Katarzyną ze Sieny. To był wyjątkowy obraz: albo efekt teologicznej ignorancji, albo przeciwnie, geniuszu. Dominikańska tercjarka nie trzymała w dłoni lilii, ale wbrew ikonografii, jabłko, owoc poznania do-brego i złego, zupełnie jakby artysta przewidział, że maluje przyszłego Doktora Kościoła Powszechnego. Gliński wycofał się za ostatni rząd ławek, przykleknął i opuścił bazylikę.

Nad ulicą Złotą wolno przesuwały się chmury, na bruku widać było mokre ślady po oponach, a pod bramą Muzeum Czechowicza stało dwóch mężczyzn z psami.

Nieufne spojrzenia skundlonych owczarków zwróciły się ku nadchodzącemu, ale gęby z przedwczorajszym zarostem zerknęły ku sąsiedniej bramie, z której wynurzył się trzeci facet, nieco niższy i bez psa, za to w takich samych dresach z poczwórnym lampasem. Mężczyźni zastygli w oczekiwaniu, gdy wyciągnął z kieszeni kombinerki, przykucnął i otworzył klapę hydrantu przeciwpożarowego. Gliński uśmiechnął się, widząc tam flaszkę i trzy równo ustawione szklanki.

- Szczęść Boże. - Facet kiwnął głową zakonnikowi, przechylając pionowo butelkę nad pierwszą szklanką. Kiedy wódka zagulgotała trzy razy, szybko przesunął szyjkę nad kolejne naczynie.

- Szczęść Boże. - Gliński mrugnął do mężczyzn, niecierpliwie wyczekujących porannych porcji chleba ich powszedniego. Gdy poprzedniego dnia przyjechał do Lublina po raz pierwszy od dwudziestu lat, miał wrażenie, że trafił do zupełnie innego miasta. Jednak pewne rzeczy były tu stare jak kamienice, dobrze znajome poecie Czechowiczowi, gdy pisał o zakazanych uliczkach: stare niczym prawo naturalne.

Wybacz im, Panie, choć dobrze wiedzą, co czynią, pomyślał zakonnik i skręcił za róg. Chciał pójść śladem procesji z obrazu: w dół Grodzką, przez nieistniejącą już dzielnicę żydowską w stronę św. Mikołaja i z powrotem. Ten poranny spacer czekał na niego ponad dwadzieścia lat... Tu miał mieszkać, w klasztorze przy św. Krzyżu, tak czuł, wsłuchując się w głos własnego powołania. Jednak wtedy nie rozumiał jeszcze, jakimi więzami są śluby posłuszeństwa...

Pałac Biskupi, godz. 10.40

Arcybiskup podparł brodę, przybierając wyraz głębokiego zatroskania.

Gliński znał tę minę, widywał ją często u swoich zakonnych przełożonych i wszelkiej maści dostojników kościelnych. Mina zawodowa, coś jak cyniczny uśmiech u aktorów grających role policjantów. Jednak gładko ogolona twarz lubelskiego metropolity wyglądała naprawdę wiarygodnie: w jego pasterskiej trosce był i namysł, i nawet nuta bezradności. Dominikanin patrzył na arcybiskupa z szacunkiem, miał nadzieję, że to ułatwi rozmowę z tym nowoczesnym i stanowczym hierarchą,

którego ewangeliczna skromność z pewnością nie należała do głównych zalet.

- Oczywiście nie mogłem nie słyszeć o szczególnej misji ojca i waszej Komisji.

Jednak musi ojciec wiedzieć, że nawet wśród ścisłego grona kardynalskiego i arcybiskupiego zdania są podzielone. - Ubiegając odpowiedź Glińskiego, choć ten nawet nie otworzył ust, dodał z naciskiem:

- Słyszałem i takie opinie, że nasz Ojciec Święty nie byłby z tej misji zadowolony. Zadziwiające!, uśmiechnął się w duchu zakonnik. Wkrótce po śmierci papieża mniej więcej to samo powiedział ojciec Francesco Ottaviani, wikariusz generała, a nie dalej niż rok temu sam Carlos Alfonso Azpiroz Costa, osiemdziesiąty szósty riiiierał Ordo Praedicatorum, był łaskaw użyć niemal identycznego wyrażenia: „nasz papież, a twój nieodżałowany rodak, Marku”. Tylko w tonie jego głosu nie było tej wystudiowanej troski; i choć ogorzałą twarz potomka konkwistadorów okraszał uśmiech, w spojrzeniu ojciec doktor dostrzegał jakąś me-lancholijną twardość: wypisz, wymaluj opat Abbon z filmowej adaptacji Imienia róży, nawet broda taka sama.

Być może, księżo arcybiskupie - zaczął z namysłem Gliński - lecz nie mnie to osądzać. Poza tym Jego Świątobliwość

14

15

Benedykt XVI również jest naszym Ojcem Świętym. Naszym i całego Kościoła.

- To samo powiedziałem kardynałom, gdy mówiliśmy o przyjeździe ojca. -

Metropolita westchnął. - Ojciec stawia mnie jednak w trudnej sytuacji. Jak zapewne ojcu wiadomo, staram się być przejrzysty w swoich działaniach.

- Wiem, co roku publikuje ksiądz arcybiskup sprawozdania finansowe powierzonej mu metropolii, bierze udział w życiu publicznym i, jeśli nie urazi to księdza arcybiskupa, uchodzi ksiądz arcybiskup za liberała. Jednak zmuszony jestem zapytać waszą ekscelencję... - Gliński urwał. Ten aż nazbyt oficjalny tytuł powinien hierarchę zaniepokoić lub potrącić w nim czułą strunę miłości własnej; zamiast tego dominikanin zobaczył tylko ironiczny uśmiech. - Zmuszony jestem jednak zapytać, czy mogę liczyć na pomoc, o ile okaże się ona konieczna. Ze swojej strony obiecuję nie naprzykrzać się księdzu arcybiskupowi.

- Wcale się ojciec nie naprzykrza. - Metropolita powiedział to, przysłaniając sobie usta zwiniętą dłonią. Można by pomyśleć, że sprawdzał czułość mikrofonu ukrytego w rękawie jedwabście czarnej marynarki. - Dawno nie czułem się aż tak bardzo arcybiskupem jak podczas rozmowy z ojcem. Ekscelencja! - znów się uśmiechnął. - Coś mi jednak mówi, że za tę przyjemność przyjdzie mi zapłacić jeszcze na tym świecie.

- Ksiądz arcybiskup stara się być przejrzysty, a ja, z bożą pomocą, postaram się być niewidoczny. Bardzo dziękuję, że ksiądz arcybiskup znalazł dla mnie czas. - Gliński wstał.

- Niewidoczny... To, o ile wiem, ojciec potrafi i bez bożej pomocy. - Metropolita ruchem głowy wskazał dominikaninowi krzesło, ale tym razem był to gest tak oszczędny, że prawie niedostrzegalny. Odkręcił skuwkę grubego pióra wiecznego i zapisał na wizytówce dziewięć cyfr. - Proszę, na wypadek gdyby spotkały ojca nieprzewidziane trudności. Nie kryję, każdy dzień, gdy ta komórka milczy, uważam za bardzo szczęśliwy. Nie chciałbym jednak, aby źle ojciec wspominał pracę w naszej archidiecezji. - Krótki grymas wyostrzył okrągłą twarz metropolity i ściągnął jego usta w wąską kreskę, zmiatając wyraz zawodowej troski. Tak, ten hierarcha nie ustąpił przed powagą Officium Secretum, on tylko wyświadczył uprzejmość natrętnemu petentowi.

- Bóg zapłać, księżę arcybiskupie. - Gliński schylił głowę nad wizytówką, opatrzoną herbem z gołębicą w aureoli i otwartą Ewangelią. In Spiñtu et Veritate, głosiło motto poniżej.

W Duchu i Prawdzie, przetłumaczył sobie dominikanin. Panie, nawet jeśli to nie Twój znak...

Katolicki Uniwersytet Lubelski, Instytut Historii, godz. 12.30 Collegium

Norwidianum ziało biurowym chłodem, a niezwykle akustyczna posadzka korytarzy wzmacniała każdy dźwięk. Niewinne obcasy spóźnionej studentki stukały jak buty więziennego klawisza.

- Dzień dobry, proszę usiąść - powiedział dominikanin, kiedy kroki ucichły, a przez uchylone drzwi zajrzała głowa młodej blondynki z modnie wystopniowaną grzywką, opadającą na oczy. - Jestem ojciec doktor Gliński.

- Przepraszam ojca doktora. - Dziewczyna, starając się poruszać jak najciszej, podeszła do stolika w pierwszym rzędzie, nieco na lewo od katedry. - Agnieszka Nowak.

Dominikanin na chwilę zatrzymał wzrok na studentce. Kolejnej studentce; czyżby temat zajęć trącił feminizmem? Nie ona jedna się spóźniła, ale dlaczego nie szukała miejsca jak najdalej od prowadzącego? Sięgnął po okulary do czytania w delikatnej srebrnej oprawce i uzupełnił listę.

16

17

Sala w wykończonym przed rokiem gmachu była prawie pusta, tak jak się Gliński spodziewał. W niczym nie przypominała tych poklasztornych i pokoszarowych pomieszczeń starego budynku, które pamiętał ze studiów. Co prawda, już za jego czasów nie przechadzały się tam duchy dominikanów, ale widok żołdata z 69.

Riazańskiego Pułku Piechoty byłby jeszcze całkiem zrozumiały. Natomiast do Collegium Norwidianum najlepiej pasował beżowy żakiet i szpilki tej spóźnionej studentki. Choć na interdyscyplinarnym konwersatorium z wielokulturowej przeszłości miast polskich na przykładzie Lublina, które przez dwa semestry, razem z wykładem monograficznym, miał prowadzić ojciec doktor Gliński, wyglądały nieco kuriozalnie.

Nie wiedział, jak się odnaleźć w roli dydaktyka, nie zdążył nawet przyjechać na radę wydziału. Co prawda nie służy ona temu, by komukolwiek doradzać, ale

zorientowałby się przynajmniej, co robią inni. Ramowy plan zajęć, mimo że był opatrzony jego nazwiskiem, Gliński dostał później niż dziekan. Zrobiono wiele, by ulokować go w Lublinie w sposób niewzbu-dzający podejrzeń, ostatecznie to jednak on musiał zjeść tę żabę i z braku doświadczenia jak najlepiej naśladować własnych wykładowców. I przynajmniej na początku unikać zbyt trudnych pytań, żeby nie było jak u Joyce'a: „Ty, Armstrong. Czy wiesz coś o Pyrrusie? - O Phallusie, proszę pana? Phallus to taki pał, który się wbija pod molo”...

Zaczął więc bezpiecznie od wypywania studentek, czego one same oczekują. Szybko się zorientował, że większości brakuje po prostu punktów do wymaganego limitu, tylko temu zawdzięczał ich obecność. Oczywiście na trzecim roku potrafiły już wymyślać na poczekaniu inne powody, a co zdolniejsze nawet podpierać je akademicką nowomowa.

Szczera była chyba tylko jedna dziewczyna z polonistyki, ubrana w szeroki sweter i z obrączką-różańcem na palcu. Gliński

nie cierpiał tego oazowego gadżetu; według niego człowiek, który wpadł na pomysł zredukowania pełnego znaczeń przedmiotu do kawałka blaszki, zasługiwał na ekskomunikę. Sam ojciec doktor nosił w kieszeni różaniec z drzewa oliwnego wykonany na wzór muzułmańskiej subhy. W każdą podróż zabierał też drugi, zrobiony z chleba w jednym z obozów internowania na początku lat osiemdziesiątych, lecz po niego sięgał tylko w piątki.

- ...bo czy wielokulturowość to nie jest takie poprawne politycznie określenie zagrożenia polskiej tożsamości? - mówiła, a rumieniec pokrywał coraz większą część jej policzków. Brak makijażu pozwalał dostrzec pod nosem delikatny meszek. - Dyskutowałam o tym na forum z jednym z ojców z Dominikańskiego Ośrodka Informacji o Sektach. Tak w ogóle to myślałam, że i ojciec doktor jest z nim związany, bo...

- Nasz zakon ma długą tradycję zajmowania się problematyką pogranicza kultur i religii - przerwał jej w końcu Gliński. - Początkowo, by walczyć z herezją, dziś raczej, by zrozumieć.

- No ale przecież wciąż istnieją herezje. Sekty, masoneria...

- Zrobiłaby pani karierę w Świętej Inkwizycji, pani Moniko - pokiwał głową ojciec doktor - ale dziś Kościół stara się, jeszcze nieśmiało, zauważać, że szukanie wszędzie sekt to bardzo sek-ciarska doktryna. Świat naprawdę nie jest aż tak tajemniczy, a w każdym razie nie w tym aspekcie. „Miłujcie nieprzyjaciół”, powiedział Jezus, i „zło dobrem zwyciężaj”, jak proponował Już św. Paweł.

- I „prawda was wyzwoli”, jak powiedział Jan Paweł II - wtrąciła Agnieszka Nowak. Od kilku minut kręciła się nerwowo, czyżby uważała, że zwróciła na siebie zbyt mało uwagi samym teatralnym wejściem?

(Gliński spojrzał na nią znad okularów.

Przed nim powiedział to jednak Jezus - sprostował, zastanawiając się, o co jej właściwie chodziło.

18

19

Teraz miał wrażenie, że skądś zna tę dziewczynę, a właściwie nie tyle ją, ile jej twarz. Nie było to déja vu, raczej coś takiego jak te sytuacje ze studiów w Niemczech, kiedy ktoś mu przedstawiał czarnoskórego kleryka, a Gliński następnego dnia na wszelki wypadek kłaniał się każdemu o afrykańskich rysach.

- Pani Agnieszka Nowak - przeczytał na głos, żeby dać swojej pamięci nieco czasu. Takim osobom jak ona w kwestionariuszach pisało się „znaków szczególnych nie ma”. Szatynka średniego wzrostu, o okrągłej, słowiańskiej twarzy, a wyraźnie zarysowane kości policzkowe sugerowały, że któryś z jej przodków czynem poparł humanistyczne idee współzycia kultur. Przez ostatnie kilkanaście lat Gliński rzadko widywał kobiety o tym typie urody, ale w młodości jego podświadomość musiała zarejestrować tysiące podobnych twarzy - ładnych, jednak powtarzalnych.

- Pani Agnieszko, pani studiuje...

- Administrację, na trzecim roku - i uśmiechnęła się, jakby w tym humanistyczno-teologicznym gronie był to szczególny powód do dumy.

- Oryginalnie - przyznał dominikanin. - W takim razie panią zapytam nieco inaczej

niż resztę państwa... pań - poprawił się. - Co panią do nas sprowadza?

- Administracja, ojciec doktorze. - Podniosła dłoń, jakby chciała zaczesać grzywkę, ale tylko poprawiła żakiet. - Interesuje mnie praca w administracji lokalnej, a wielokulturowość to od kilku lat promowana specyfika...

Wiedział, co teraz usłyszy. Przez chwilę Gliński miał nadzieję na studentkę, dla której warto się starać, ale już wiedział, że może liczyć tylko na jej programowo cięte riposty. No chyba że dowcip tej dziewczyny był jak na jej wiek bardzo piętrowy i specjalnie przemawiała nowomowa z internetowych stron biur promocji urzędów miejskich i marszałkowskich, aby zakończyć niespodziewaną figurą retoryczną. W końcu należała do pokolenia podobno wychowanego na Monty Pythonie...

Jednak nie, to były gładkie bzdury o tyglu kulturowym, małych ojczyznach, tożsamości, szansach i Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Najwyraźniej, w odróżnieniu od Glińskiego, nie miała w liceum matematyki, która co chwilę powtarzała: „Nie używaj słów, których znaczenia nie rozumiesz”. A jeśli nawet miała, to uważała, że po maturze to jedenaste przykazanie już jej nie dotyczy.

- Dobrze, dziękuję - uciał przydługi słowotok i zwrócił się do wyraźnie urażonej studentki od sekt: - O interesujących panią zagrożeniach tożsamości narodowej też oczywiście będziemy mówić. Na pierwszym spotkaniu chciałem przede wszystkim poznać oczekiwania... pań wobec naszego konwersatorium, ale ponieważ zostało nam trochę czasu, czy mogę jeszcze czymś służyć?

Tak jak przypuszczał, wszystkie zaczęły chować notatniki, zadowolone, że nie obarczył ich żadną lekturą, gdy nagle szuranie krzeseł zagłuszył głos Agnieszki Nowak:

- To nie jest może związane z tematem zajęć, ale czy ojciec doktor jest tym samym ojcem Glińskim od Komisji Ducha i Prawdy?

- Zdemaskowała mnie pani. - Uśmiechnął się z grymasem, który trenował od połowy lat osiemdziesiątych. - Gdyby to był Instytut dziennikarstwa, bałbym się, że zechcą panie trenować na mnie taktykę konferencji prasowej.

To był tylko Instytut Historii, jednak nikt nie wyszedł, a święta Monika od Sekt znów

sięgnęła po dopiero co schowany notatnik.

20

21

KUL, I Katedra Historii Nowożytniej, godz. 15.00 Gabinet był tak ciasny, że na żadnym innym uniwersytecie nie zdołano by w nim upchnąć aż trzech biurków. Jednak w murach katolickiej uczelni, przed kilku laty nazwanej imieniem Jana Pawła II, Bóg najwyraźniej czynił wiele małych, codziennych cudów, jak uznał Marek Gliński OP, kiedy zobaczył tę klitkę dla historyków nowożytnych.

Wygaszacz ekranu laptopa płynnie zmieniał cytaty ze Św. Jana i pism mistycznych Ibn 'Arabiego, bateria się ładowała. Dominikanin powoli kończył kupioną w barku drożdżówkę, dokładnie przeżuwał, a co drugi kęs popijał małym łyżkiem białej kawy. Na obiad się nie zdecydował, chociaż kierownik katedry serdecznie zapraszał. Glińskiemu jednak odebrał apetyt już sam zapach - cień zapachu z nowej stołówki w podziemiach głównego budynku uniwersytetu. Mimowolnie zerknął wtedy przez okno w stronę dawnej stołówki, małej, ciasnej i wiecznie zatłoczonej. Przed wejściem do niej Prymas Tysiąclecia wciąż klęczał na pomniku przed Papieżem Polakiem, ten zaś obejmował go łagodnie i zachęcał do powstania. Słynny gest ze słynnego zdjęcia. I ze słynnego KUL-owskiego dowcipu: „Karolu, nie idź tam! Znowu mielone”. Dziwna rzecz, że kiedyś Glińskiemu, długowłosemu studentowi historii, smród smażeniny aż tak nie przeszkadzał. Dziś jako zakonnik gotów był na różne formy męczeństwa, byle - Boże, odpuść! - nie gastronomiczne.

Przed ojcem doktorem leżały dwa telefony komórkowe. Jeden wyglądał jak młodszy brat lśniącego metalicznym srebrem laptopa, drugi: wysłużony, odrapany grzmot ze sterczącą an-tenką, prezentował się przy nim żałośnie. Nic dziwnego, że słysząc pukanie do drzwi, dominikanin szybko ukrył stary aparat w kieszeni marynarki. - Przepraszam, czy ksiądz nie widział profesora Wedera? - Do gabinetu zajrzała krótko ostrzyżona głowa. Spod chudej szyi z okazałym jabłkiem Adama zwieszał się krzywo zawiązany krawat w biało-szare pasy.

Weder... Kiedy zakonnik usłyszał to nazwisko, ostatnio częściej wymieniane w

toruńskiej rozgłośni niż nawet na KUL-u, z miejsca przypomniała mu się święta Monika od Sekt. Przełknął ostatni kęs drożdżówki.

- Nie widziałem - odparł, a ledwie zamknęły się drzwi, złośliwie dodał pod nosem: - I Panu Bogu dziękować.

Chwilę walczył z oknem, zanim zdołał je otworzyć, i strzepnął okruchy na parapet. Potem zabrał się do pracy.

Gdy planował następne zajęcia i listę lektur na ten semestr, kilka razy zadzwoniła jego srebrna komórka. Drugi telefon jednak milczał.

Aleje Raławickie, godz. 19.30

Kiedy Gliński opuścił Collegium Norwidianum, było ciemno. Skrzyżowania z Krakowskim Przedmieściem nie korkował już sznur samochodów, w godzinach szczytu sięgający starego budynku uniwersytetu. Spiżowy Norwid mógł wreszcie przestać wypatrywać, czy na skrzyżowaniu zmieniły się światła. Zakonnik zapiął marynarkę i pierwszy guzik płaszcza. Bezwiednie obracał palcami paciorki różańca, ale się nie modlił. Nie teraz, teraz myślał o sobie. Właśnie tą drogą miał chodzić codziennie: z KUL-u do klasztoru, może czasem w towarzystwie » Ojca profesora Krapca, rozmawiając o św. Tomaszu i o życiu.

I dziś po raz pierwszy wracał z pracy do domu dokładnie tak, jak to sobie kiedyś planował. Bóg spełnił prośbę, choć w Jemu Właściwy sposób. Myśl stała się ciałem, tylko w zupełnie innych okolicznościach, i teraz dominikanin zadawał sobie gorzkie pytanie, czy nie lepiej było modlić się o coś innego, choćby o pokój na świecie. Oto dostał swoją wyśnioną enerdowską

22

23

kolejkę elektryczną... Nie będziesz pochopnie prosił o bzdury Pana swego...

Naprzeciw Akademii Medycznej drewniany parkan ogradzał Teatr w Budowie, który był w budowie, gdy Gliński opuszczał Lublin, i nadal straszył pustymi otworami okien i sterczącymi żeliwnymi prętami. Wiatr szarpał nagie już drzewa, mrugało światło latarni przy pubie „Aviator” po drugiej stronie skweru. W Miasteczku Akademickim jesień przychodziła najwcześniej.

Wtedy zakonnik usłyszał krzyk. Gałęzie znów zachybotały, rzucając przebłysk światła na wąski chodnik między skwerem a parkanem, oddzielony od głównej ulicy płataniną niskich zarośli, jakby ktoś postanowił wyhodować tu dziki zakątek, ku radości wszystkich lokalnych złodziei. Gliński zobaczył jakieś szamocące się postacie... Tak, był pewien - dwóch, nie, trzech mężczyzn i przyciśnięta do ogrodzenia kobieta. W pierwszym odruchu rzucił się w tamtą stronę, ale po chwili przystanął i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po srebrną komórkę. Wystuka tylko 112, zawiadomi dyspozytora o napadzie i odejdzie.

Głos napadniętej wydał mu się jednak znajomy. Szybko ruszył w kierunku napastników.

Zresztą co bym powiedział?, usprawiedliwiał się sam przed sobą, chowając telefon. Napadnięta kobieta na rogu Raclawickich i Nowotki? Nowotko na pewno został wymieniony na kogoś, kto nie był przywódcą PPR-u i twarzą gierkowskich dwudziestozłotówek. Tylko na kogo?

- Stój! - krzyknął, wybiegając zza ostatniego rzędu krzaków. Widział ich wyraźnie.

Jeden szarpał dziewczynę za ubranie,

drugi przytrzymał, trzeci próbował wyrwać kurczowo trzymaną torebkę.

- Zostaw ją. Wezwałem policję - zablefował Gliński.

- Społeczniak, kurwa! - bandzior puścił torebkę i odwrócił się raptownie do zakonnika. Postawna sylwetka na chwilę ostu-

24

dziła jego zapął, jednak na widok koloratki uśmiechnął się z politowaniem. A jeszcze szerzej, gdy zobaczył teczkę na laptop. Zalśnił rozkładany motylek. - Książ?! Dawaj kompa - prawa ręka uniosła się, wykonując efektowny kołowrót nożem.

- Nic jej nie rób. - Gliński cofnął się, zsunął pasek teczki z ramienia.

- Dawaj! - Kolejny błysk oświetlił chłopięcą, nawet sympatyczną twarz. Zaraz jednak zgasł, gdy niespodziewany kopniak wyrzucił nóż w ciemność, między krzaki. Teczka z laptopem upadła na trawę, a bandyta zgiął się wpół i upadł, przyciskając ręce do żołądka, zanim zdążył zrobić zamach.

Zakonnik doskakiwał już do pozostałych. Zablokował pięć tego, który wcześniej

przytrzymał dziewczynę, i zastawił się jego ciałem przed trzecim napastnikiem. Usłyszał - dziwna rzecz, głośniejszy niż krzyk dziewczyny - odgłos prutego materiału, gdy puścił rękaw kurtki bandyty.

Ostatni w lot zrozumiał, że lepiej będzie odpuścić sobie i torebkę, i laptop. Pobiegł ulicą, której nazwy Gliński nie pamiętał, a teraz nagle sama pojawiła mu się w głowie - Radziszewskiego, pierwszego rektora KUL-u. Młody bandyta potracił parę, wychodzącą właśnie z „Aviatora”, i pobiegł dalej. Dominikanin zdążył tylko zapamiętać białe litery na zgniłozielonej kurtce. Mocniej docisnął unieruchomione ramię oszołomionego napastnika i odchylając połę płaszcza, sięgnął za plecy do paska. Jednak jego palce trafiły tylko na szlufkę spodni.

Zerknął przez ramię: dziewczyna patrzyła na Glińskiego szeroko otwartymi oczami, pewnie była zbyt przestraszona, by zarejestrować ten dziwny ruch ręki. Za to on, gdy powiew wiatru znów odgarnął gałęzie przesłaniające światło latarni, zrozumiał, dlaczego jej głos brzmiał znajomo - to była Agnieszka Nowak, od kilku godzin studentka ojca doktora.

25

Pierwszy przeciwnik z trudem dźwignął się z kolan, ale znów opadł na bruk, rzucając wściekłym bluzgiem. Dominikanin o mało się nie roześmiał: kiedy jeszcze tu mieszkał, równie nieporadnie przeklinały chyba tylko dzieci udające bandytów. Walnął o płot głową trzymanego napastnika i rzucił go na ziemię. Chwycił za to pod ramię dziewczynę.

- Nic się pani nie stało? Idziemy stąd!

Agnieszka pokręciła głową, a sekundę potem jej twarz oświetlił błysk niebieskiego koguta. Od Radziszewskiego nadjechał radiowóz z napisem patrol uniwersytecki.

- No to chyba jednak nie pójdziemy. - Gliński westchnął i zaczął szukać wzrokiem swojej teczki. Całe szczęście nikt nie wykorzystał sytuacji, laptop nadal leżał na mokrej trawie.

Dominikanin delikatnie odsunął od siebie dziewczynę. Podczas gdy jeden z policjantów bez zbędnych pytań skuwał odgrążającego się bandytę, a drugi jego koleś, Gliński szybko podniósł teczkę, z obrzydzeniem strzepnął przylepiony do

niej liść i rozejrzał się dyskretnie. Obaj mundurowi wciąż byli zajęci napastnikami, wystarczyło zrobić dwa kroki, a zniknąłby w cieniu i może zdołałby po prostu odejść za plecami coraz liczniejszych gapiów.

- Dziękuję - odezwała się nagle Agnieszka.

To słowo powinno było utonąć w bluzgach zatrzymanych, w wymianie lakonicznych zdań policjantów, a jednak przyciągnęło uwagę mundurowych. Jeden z nich odwrócił głowę i podszedł do dziewczyny.

- To pani została napadnięta? Trzeba wezwać lekarza?

- Nie. - Pokręciła głową i stanęła pół kroku za dominikaninem. - Ojciec doktor mnie obronił.

- To pan... To znaczy ojciec nas wezwał? - Policjant otworzył notatnik.

- Nie, nie było czasu. Przepraszam, ale bardzo mi się spieszy. A trzeci uciekł tam... -

Gliński wskazał ulicę prowadzącą do Miasteczka Akademickiego. - W głąb Radziszewskiego. Może panowie zdążą. Z wyglądu dwadzieścia lat, metr siedemdziesiąt pięć, zielona kurtka z białym napisem...

Mundurowy uruchomił trzeszczącą krótkofalówkę i przekazał rysopis oficerowi dyżurnemu.

- Dobrze - zwrócił się do dominikanina. - To już sprawa innych patroli. My musimy zająć się panią. I spisać dane ojca. Bo rozumiem, że ksiądz jest zakonnikiem?

- Tak. - Gliński nerwowo poprawił pasek teczki na ramieniu. Strzepnął z niej jeszcze jeden liść, ale mokry ślad pozostał. - I chętnie jutro złożę zeznania na komisariacie, a teraz, jeśli nie jestem potrzebny...

- To potrwa tylko chwilę. Poproszę dowód osobisty. Mariusz! - zawołał do kolegi. - Pakuj ich i zajmij się panią!

Podeszli do radiowozu, zakonnik z niezadowoleniem otworzył portfel. Długopis funkcjonariusza poruszał się wolno, za wolno. Nazwisko, PESEL...

- Ojciec nie ma wpisanego adresu zameldowania - mundurowy spojrzał badawczo na duchownego.

- Kilkanaście lat mieszkałem za granicą, wróciłem przedwczoraj. Proszę pana, naprawdę bardzo się spieszę... - Gliński obrzucił spojrzeniem oświetlone wnętrze

samochodu, dostrzegł ryngraf ze św. Krzysztofem. - Jeśli nie zdąży, grozi panu ekskomunika - zażartował. Miał nadzieję, że wystarczająco naturalnie.

- A jakiś inny dokument? Z adresem?

Dominikanin spojrział na policjanta. Pytanie nie zabrzmiało nawet jak żądanie służbisty, raczej jak prośba. Najwyraźniej miał papiery do wypełnienia i w nich wszystko musiało się zgadzać. Ojciec doktor wyjął międzynarodowe prawo jazdy,

26

27

w którym był wpisany adres monachijskiego Domu Polskiej Prowincji przy Situlistrasse.

- Czy to wystarczy?

- Tak. Proszę przyjść jutro na czwarty komisariat. Bardzo nam ojciec pomógł. - Policjant oddał zakonnikowi dokument i również się uśmiechnął.

Gliński szybkim krokiem ruszył wzdłuż parkanu w stronę centrum. Mijając Agnieszkę i przepytującego ją policjanta, skinął dziewczynie głową.

- Raz jeszcze ojcu dziękuję - usłyszał.

- Nie ma za co. Do widzenia - rzucił przez ramię, niemal biegnąc.

ROZDZIAŁ II

Wtorek, 2 października 2007 roku

Krakowskie Przedmieście, godz. 19.50

Gliński wszedł do budynku Poczty Głównej i przyspieszył kroku. Ledwie zarejestrował wzrokiem wystawę jakichś znaczków czy pocztówek, kierując się do okienka kiosku, jedyne, do którego nie trzeba było pobierać numerka z maszyny regulującej kolejki, utrapienia emerytów i rencistów.

- Starter do komórki na kartę, poproszę. Najtańszy. Jeszcze na schodach bocznego wyjścia włożył odpakowaną

kartę do swojego odrapanego telefonu. W cieniu za pomnikiem Czechowicza wystukał z pamięci numer.

- Tu Marek. Bartolome Carranza, Comentarios sobre el Cat-echismo Christiano.

- Pagina 378? - zapytał rozmówca.

- Duos grados de oracion. Ojczy, zgrzeszyłem.

- Zadzwoń za pięć minut, wyznasz grzechy. Dominikanin znów włożył do aparatu starą kartę, a nową

złamał w palcach. Jedną połówkę wdeptał w trawnik, drugą -nachylając się, by poprawić sznurowadło - wrzucił do studzienki kanalizacyjnej.

Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 19.55

To masz Stawek już sięgał po kask, gdy poczuł wibrowanie telefonu i spod skórzanej kurtki motocyklowej wydobył się przemi-kliwy pisk. Spojrzał na zegarek - do końca dyżuru zostało mu pięć minut. Stawek opadł na krzesło.

- No co tam? - rzucił do słuchawki. - Co masz, Kamil?

- Piwo mam u ciebie - usłyszał głos znajomego policjanta. -Kojarzysz Zaulek św. Komórkowego?

Kojarzył, podobnie jak każdy glina i każdy dziennikarz w tym mieście. Parkan Teatru w Budowie (w wiecznej budowie, nieraz pisał o tym w „Kurierze”), pod tym parkanem ledwo co oświetlone przejście, a zaraz po lewej krzaki i skwer z tablicą upamiętniającą cholera wie kogo. Tędy właśnie szło się z dzielnicy akademickiej do centrum i tu studentki traciły portfele i komórki.

- Kurwa, Kamil, a nie mogłeś pół godziny wcześniej? - Dziennikarz sięgnął do plecaka po dopiero co zamknięty laptop.

- Tomek, dopiero co zabrałem gostków, no i dzwonię. Chociaż wcale nie muszę.

- A, no dzięki wielkie. I słucham cię uważnie.

Laptop wydał z siebie windowsowy ni to brzęk, ni to plusk. Na poznanym licznymi odciskami palców ekranie pojawiło się logo gazety.

- Siedzisz wygodnie? - spytał ze śmiechem policjant. - No to słuchaj: trzech gówniarzy wrywa torebkę dziewczynie, a tu pojawia się wybawca i wszystkich trzech kładzie równo na glebę. Jak jakiś antyterrorysta, wyobraź sobie. Dobra, niech będzie, że dwóch, bo trzeci uciekł.

- Konkrety! - upomniał się Stawek, wklepując już pierwsze zdanie wieczornego newsa.

- No bez jaj! Ja zwykły krawężnik jestem, nie referat prasowy! Ale jedno mogę ci powiedzieć. Ten Zorro jest księdzem. A właściwie dominikaninem. I co powiesz?

- Okij! - Stawek uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jak to dokładnie było?

- Dokładnie, jak ci mówię. Czarny fachowo ich obezwładnił i z gleby żeśmy gostków pozbiali.

- O, w mordę! A nazywa się jakoś?

Policjant westchnął ciężko do słuchawki. Jednak tylko grał i dziennikarz czuł to dobrze. Kamila aż korciło, żeby opowiedzieć o czarnym, który zabawił się w szeryfa.

- Dobra, ale tylko do twojej wiadomości, inaczej nie wypłacisz się z mandatów.

Nazywa się Gliński. Doktor Marek Gliński. Ciekawe, co za doktor... - Policjant znów wybuchnął śmiechem.

- Od chorób wenerycznych. A sprawcy?

- Dzwon rano do rzecznika. Mnie w ogóle nie wolno z tobą rozmawiać. Narka!

- Dzięki i nara - powiedział Stawek do milczącego już telefonu.

Ponownie spojrzął na zegarek. Do dwudziestej brakowało jeszcze prawie minuty, więc wciąż był na dyżurze. Co prawda ochota na zarywanie nocy dla gazety przeszła Stawkowi wraz

z wielką reorganizacją redakcji i wprowadzeniem cholernie motywacyjnego systemu płac przez nową naczelną, ale uznał, że pół godziny go nie zbawi. Zwłaszcza że przynajmniej jeśli chodzi o zakonnika Zorro, „Kurier” miał szansę być o krok przed „Dziennikiem”, o miejskiej „Wyborczej” nie wspominając.

Otworzył przeglądarkę i wpisał w Google: „dr marek glinski”. Nie żeby się spodziewał znaleźć jego stronę domową z pełnym CV, niemniej lubił wiedzieć, o kim pisze. Przynajmniej z grubsza. Tymczasem doktor Marek Gliński był tylko jeden: inżynier z Politechniki Warszawskiej. Co prawda Stawek nie odnalazł jego zdjęcia, ale w życiu nie słyszał o inżynierze w koloratce albo w habicie. Spróbował bez żadnych tytułów naukowych, lista Marków Glińskich poszerzyła się o tenisistę stołowego, producenta wentylatorów z Łomianek, administratora sieci z Międzyzlesia oraz reżysera teatralnego, z epizodem lubelskim, jednak Stawek zupełnie go nie kojarzył.

- Kurwa, Kamil pomylił imię, jak ostatnio! - palnął się w czoło dziennikarz.

Wpisał samo: „glinski” i zaraz zaśmiał się pod nosem. Jakby zgadł z tymi chorobami wenerycznymi, bo wyskoczył mu prof, dr hab. n. med. Wiesław Gliński, dermatolog, ale zaraz za nim był ks. dr Waldemar Gliński, historyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

-Jakieś gościnne występy na KUL-u, jakaś sesja... - kombinował Stawek, szukając zdjęcia.

|Już prawie był pewien, że trafił:

sympatyczny czterdziestoparoletni facet, rezydent parafii w Tomaszowie Mazowieckim, i Tyle że ks. dr Waldemar Gliński nie był dominikaninem, w ogóle nie był zakonnikiem, a nawet Kamilowi nie mogło się aż tak popieprzyć.

Dziennikarz sprawdził bazę osobową Nauki Polskiej i SYNA BE:

poza tym chemikiem z Warszawy żaden doktor Marek

30

31

Gliński nie istniał. Znalazł skrót zakonu dominikanów w Wi-kipedii i spróbował jeszcze „marek glinski op”, ale również bez skutku.

Dochodziła 20.30, gdy wreszcie Stawek ułożył ostrożny tekst:

KSIĄDZ PRZEŚWIĘCIŁ BANDYTÓW

Studentce, napadniętej dziś około godz. 19.30 przy skwerze u zbiegu ul.

Radziszewskiego i Al. Raclawickich, ruszył z pomocą przechodzący tamtędy duchowny. Patrol uniwersytecki policji przyjechał na miejsce już po kilku minutach, ale nie miał wiele do roboty. Dwaj z trzech napastników, którzy pastwili się nad młodą dziewczyną, pod silną ręką księdza przemienili się w potulne owieczki. Zostali przez niego obezwładnieni i przekazani policjantom.

- Dokładnie nie widziałem - relacjonuje świadek zdarzenia - bo wszystko działo się bardzo szybko. Usłyszałem krzyk, a zaraz potem pojawił się ten mężczyzna i załatwił ich niczym Rambo. Dopiero później zobaczyłem, że to duchowny.

Według świadka, trzeci bandyta zbiegł. (TS)

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, czy nie zadzwonić na komórkę rzecznika komendy miejskiej, jednak zrezygnował. Na pewno nikt nie odrywa faceta od kolacji białą w sumie sprawą i rzecznik mógłby się zainteresować, dlaczego Stawek wie więcej niż on. Anonimowy świadek na razie musiał wystarczyć.

Zmieniał właśnie „patrol uniwersytecki” na „patrol”, żeby nie wskazywać jednoznacznie na Kamila, kiedy rozdzwonił się telefon na biurku. Dziennikarz jednak nie odebrał - teoretycznie od pół godziny już go tu nie było, no a żona dzwoniłaby na komórkę. Ta zagrała melodią z Pulp Fiction, gdy właśnie miał kliknąć „publikuj”.

Zerknął na wyświetlacz, ale zobaczył tylko „numer prywatny”.

- Proszę, Tomasz Stawek.

- Dobry wieczór, panie redaktorze - usłyszał znajomy głos księdza rzecznika z kancelarii arcybiskupa. - Proszę wybaczyć późną porę, jednakże mam do pana wielką prośbę. Pan, jak sądzę, pisze właśnie o incydencie nieopodal KUL-u.

- O jakim incydencie? - Dziennikarz w pierwszej chwili naprawdę nie zrozumiał.

- O ile wiem, dziś wydarzyła się tam tylko jedna rzecz, która mogłaby pana zainteresować. Chodzi o napadniętą dziewczynę i zakonnika, który jej pomógł.

- A tak, rzeczywiście. - Stawek przysunął notes. - Nie spodziewałem się komentarza, bo o tej godzinie kuria zwykle nie pracuje. Krótka notka, prawie wysłałem ją na serwer, ale chęć-nie rozwinę, słucham księdza.

- Ksiądz arcybiskup byłby zobowiązany, gdyby pan nie pu-blikował tego tekstu. Dziennikarza w pierwszej chwili zamurowało. Spodziewał się raczej pytań, czy informacja pójdzie na pierwszą stronę, czy nie zginie gdzieś między przepelnionym śmietnikiem na onikwodzie ajakaś stłuczka.

Ale dlaczego? - wydusił Stawek. - To przecież znakomity PR dla Kościoła!

! - Być może - przyznał uprzejmie rzecznik. - Mimo to zobligowany jestem powtórzyć stanowczą prośbę księdza arcybiskupa.

Stawek nie mógł nie zauważyć, że biskup najpierw tylko „byłby zobowiązany”, teraz prośba stała się już „stanowcza”, - Ale czy może wyjaśnić mi ksiądz...

Niestety nie mogę, nie znam całej sprawy, jednak ksiądz ! Arcybybiskup byłby niepokieszony, gdyby pan o tym napisał. Pan redaktor rozumie, że nie przysłużyłoby

się to naszej jak dotąd znakomitej współpracy...

32

33

- Rozumiem, ale...

- Dziękuję - przerwał mu rzecznik. - Ksiądz arcybiskup również będzie niezmiernie rad. Dobranoc.

Dziennikarz jeszcze przez kilka minut siedział w pustej redakcji, zastanawiając się, jaka bomba mogła tykać w tym zupełnie niewinnym zdarzeniu. Korciło go, aby zrobić to, co zrobiłby każdy pismak z amerykańskiego filmu. Jednak w realnym Lublinie są prośby, którym się nie odmawia.

Środa, 3 października 2007 roku

Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 10.00 Ojciec doktor Gliński odnalazł się następnego dnia, gdy Stawek przeglądał serwisy internetowe konkurencyjnych gazet. Odnalazł się w „Dzienniku Wschodnim”.

MEDIA NIE BĘDĄ MIAŁY Z NAS POŻYTKU

Magdalena Boziak

Rozmowa z o. dr. Markiem Glińskim, dominikaninem, od niedawna wykładowcą historii na KUL-u i członkiem kościelnej Komisji Ducha i Prawdy.

Tuż po przylocie do Polski udzielił ojciec krótkiego wywiadu dziennikarzowi TVN, lecz wciąż nie wiemy, co będzie wyświetlać albo naświetlać Komisja Ducha i Prawdy.

Powołanie Komisji jest wyrazem troski Stolicy Apostolskiej i episkopatu o duchową kondycję Kościoła w Polsce. Nasze gremium jest rodzajem ostrego dyżuru teologicznego czy gorącej linii od prawd wiary i czystości nauczania Kościoła. Będziemy reagować na problemy zgłaszane nam przez kapłanów, biskupów oraz wiernych, dla których zostanie uruchomiona strona internetowa. Proszę jednak nie oczekiwać od Komisji spektakularnych działań. Obawiam się, że media nie będą miały z nas pożytku.

34

stawek uśmiechnął się złośliwie. Jeśli to zdanie konkurencja

wyciągnęła na tytuł, dalszy ciąg był przewidywalny. Zakonnicy - dziennikarze 1:0. Co najmniej 1:0. Czytał jednak dalej.

Jednak nie tylko Stolicy Apostolskiej zależy na kondycji polskiego Kościoła. Lustracja księży czy niepokojąca zwłaszcza lublinian sprawa arcybiskupa Wielgusa, domniemanego agenta SB, to są problemy ważne nie tylko dla katolików. Czy Komisja Ducha i Prawdy powie nam o tym prawdę?

Jeśli ją pozna, to powie, obiecuję to pani jako historyk. Lecz jako duchownego nie takie prawdy najbardziej mnie interesują. W takim razie jakie?

Te, których nigdy jeszcze nie spotkałem na pierwszych stronach gazet, nawet pism katolickich. Gdzie jest złoty środek między Kościołem tradycji a Kościołem współczesności? Co jest modą, a co znakiem czasów w naszym nauczaniu? W jakich aspektach wielość propozycji formacji duchowej proponowanej przez Kościół może być zagrożeniem dla jego jedności? Takie pytania szczególnie mnie interesują... Bo zakon dominikański ma długą tradycję walki z herezją? Istotnie, nasz zakon ma taką tradycję, ale habity wciąż białe, pani redaktor.

I tak to szło jeszcze przez pół kolumny. W wywiadach redaktor I Boziak, zwanej w lubelskim świątku dziennikarskim Bozią, |nieraz czuć było, że rozmówca wije się jak piskorz. Wierci się na krześle, co chwilę łyka mineralnej, ale zeznaje, co trzeba. No chyba że szły święta, wtedy Bozia potrafiła zrobić naprawdę słodką rozmowę, na przykład z proboszczem artystą z jakiejś pipidówki. O tym, jak maluje kwiaty, a co namaluje, to się uduchawia, radzi, jak przeżywać święta. W sam raz na pod miejski target, który w przeciwieństwie do czytelników „Kurier” oprócz krwi i przemocy lubi sobie trochę popłakać.

To były jednak nastrojowe wyjątki, gdy nawet Bozia mówiła ludzkim głosem. Stawek znał ją, pracowali razem ponad rok, zanim przeszedł do „Kurier”. On miał motor, dzięki któremu zawsze był pierwszy, gdy startował dziennikarski wyścig do wisielca pod Motyczem albo innego karambolu na trasie warszawskiej. Ona miała bezbłędną babską intuicję i męski instynkt zabijania. Choć tym razem zabrakło jej

kluczowej informacji i cisnęła dominikanina od dupy strony. A ten Gliński tak naprawdę nie odpowiedział na żadne pytanie, a w każdym razie nie tak, jak wydawcy „Dziennika Wschodniego” lubią najbardziej. Tylko dlaczego kurii tak zależy na wyciszeniu sprawy z napadniętą studentką? I medialna, i PR-owa jak mało która. Jednak Magda Boziak niechętnie wyświadczyła Stawkowi przysługę: wiedział, że Gliński pracuje na KUL-u, i miał jego zdjęcie, które na wszelki wypadek skopiował sobie na twardy dysk. Był mniej więcej w wieku księdza doktora Glińskiego z Tomaszowa Mazowieckiego, ale z wyglądu znacznie lepiej pasował do bohaterkich odsiecz w typie tej wczorajszej. Miał lekko kanciasty podbródek jak u filmowych Jamesów Bondów i szpakowate włosy ostrzyżone na zapałkę. Do tego policzki jak z reklamy balsamu po goleniu i lekkie zaczerwienienia na nosie, najwyraźniej zakładał okulary do czytania. Po tym, jak nisko zdawała się umieszczona klamka u drzwi widoczna w tle zdjęcia, Stawek oszacował jego wzrost na jakieś metr osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt.

- Ania - zawołał stażystkę - ty studiujesz na KUL-u. Kojarzysz go?

Dziewczyna nachyliła się nad monitorem, a dziennikarz odsunął nieco głowę. Nie chciał jej zasłaniać, ale przede wszystkim drażnił go zapach czekoladowego szamponu do włosów. Kompletnie wariactwo, zresztą podobnie jak staż w „Kurierze”. Podczas gdy inne początkujące dziennikarki pchały się do lubelskiej „Wyborczej”, a ta chętnie je brała jako mięso armatnie, Ania Małek wychodziła sobie miejsce właśnie tu. Podobno wcisnęła naczelnej, że u niej w domu „Kurier” robił za „kultową gazetę”. Ciekawe, jakim cudem, skoro Anka jest z Podlasia!

- Nie, nie kojarzę - pokręciła głową. - Na pewno nie. Na KUL-u w życiu nie widziałam kogoś w takiej lansiarskiej marynarce!

Tego Stawek wcześniej nie zauważył. Nawet arcybiskup czasem wydawał się wczorajszy i wymięty, za to o. dr Marek Gliński OP wyglądał jak z dodatku o modzie. Najlepiej ubrany duchowny albo Kto jest modny na KUL-u?, to mogło się kiedyś przydać, Stawek zrobił nawet notatkę na pulpicie laptopa.

- A to widziałeś? Weź powiększ! - Dziewczyna wskazała lewą dłoń dominikanina, leżącą swobodnie na blacie stołu.

Anka miała oko do detali. Dziennikarz w pierwszej chwili zrozumiał tylko, że widzi coś nieewangelicznie drogiego. Zegarek dominikanina nie rzucał się w oczy, jednak kanciasta srebrna koperta z dodatkami w kolorze czerwonego złota i odkryty cyferblat, odsłaniający wnętrze mechanizmu, robiły wrażenie.

- No i co powiesz? - zapytała dziewczyna. - Na oko tytan i śrubki z czerwonego złota.

- Chyba starego - poprawił ją dziennikarz. - Czerwone to noszą ruskie baby.

- Sam jesteś ruska baba. Czerwone złoto to fajny dodatek. Na przykład w splocie z białym i żółtym albo właśnie z tytanem. Chociaż nie, to raczej stal nierdzewna... Ale tak czy owak, wart pewnie całe moje stypendium. Ze wszystkich lat - prychnęła.

- Przyzwyczajaj się. - Stawek wzruszył ramionami. - A macie w necie program zajęć?

- Mamy, z zeszłego roku. Aktualny będzie pewnie pod koniec semestru! - Zaśmiała się stażystka. - A chcesz coś o nim napisać? Mogę...

36

37

- Aniu - dziennikarz rozparł się na krześle - póki co, to ty tu jesteś od parzenia kawy. Dużą bez mleka. - Podał jej swój kubek. W zasadzie nie wymagał mycia, bo poprzedniego wieczoru Stawek pił tylko mineralną.

Godz. 10.30

Jasnobrazowa kropla spłynęła z brzegu naczynia, po czym okrążyła wypukłe logo Aprilli. To miał być jego szczęśliwy kubek - a przynajmniej tak zapewniał sprzedawca, dodając go Stawkowi jako bonus do motocykla.

Przy kawie dziennikarz, choć tego nie znosił, nadal przeglądał strony konkurencji. Kofeina pobudzała do myślenia, a newsy w „Dzienniku” i „Wyborczej” pokazywały, kto tego dnia jest królem podwórka. Wprawdzie podobne rankingi bardziej podniecały naczelną niż jego, ale tym razem naprawdę był niespokojny. Gdyby się okazało, że konkurencja jednak opisała historię wczorajszego napadu i odsieczy ojca doktora Glińskiego, że ktoś olał kurie, to choć temat nieduży, Stawka chyba by szlag trafił.

Zwłaszcza gdyby to zrobiła Magda Boziak.

Na szczęście czytał tylko, że w Chełmie unieważniono listę wyborczą jakiegoś

odłamu Brony, śmieciarka walnęła w autobus, poszła zapowiedź lubelskiego retrokryminału o komisarzu Maciejewskim, w Dąbrowicy powstanie nowy pomnik papieża, mundurki nie przyjmują się w szkołach... O żadnej napadniętej studentce ani o księdzu obezwładniającym bandytów nikt nie wspomniał.

Dziennikarz przystawił sobie telefon i przyciskając co chwilę redial, czekał, aż dobieje się do rzecznika komendy miejskiej. Trwało to kilka minut.

- Dzień dobry, panie Witku, Tomasz Stawek z „Kuriera”, mógłby mi pan potwierdzić pewną informację? - zaczął ostrożnie.

38

- Groźnie brzmi! - Ze słuchawki dobiegł śmiech. - Dobrze, tylko bardzo proszę szybko, bo...

- Jasne, wczoraj między osiemnastą a dziewiętnastą podobno był napad na jakąś dziewczynę niedaleko „Aviatora”, przy wylocie Radziszewskiego. Słyszałem od znajomego...

- Wylot Radziszewskiego? - Po drugiej stronie zaszeleściły papiery. - Nic nie mam. Jeśli nawet, nie było zgłoszenia.

- Ale musiało być. Jeśli mnie nikt nie wkreca, to przyjechał radiowóz i kogoś zatrzymaliście.

- Niemożliwe, wiedziałbym o tym od dwóch godzin, zwłaszcza Jeśli byli zatrzymani. Jest pan pewien, że chodziło o wczoraj?

- Chyba jednak ktoś zrobił mi dowcip. Dziękuję i do widzenia.

Stawek łyknął stygnącej kawy. Wszystko pasowało: jeśli jeszcze wieczorem zamietli sprawę pod dywan, to rano rzecznik przeszedł po nim i nawet nic nie poczuł. Nie było protokołu, a tamci dwaj bandyci przejechali się do komisariatu na Lipową i zaraz wyszli.

Tylko komu i dlaczego tak cholernie na tym zależało?

- Aniu, daj komórkę - poprosił dziennikarz.

- A co, bateria ci siadła? - zdziwiła się stażystka.

- Nie, ale jak ja się wyświetlę, może nie odebrać. Potem doładuję ci kartę.

Miał rację, Kamil nie odebrałby połączenia. Gdy usłyszał głos Sławka, najpierw

zaniemówił, a potem zaczął się plątać.

- Kurwa, bez jaj - przerwał mu dziennikarz. - Mieliśmy układ, tak? No to mów, co jest grane. Ktoś był u was zaraz po twoim

! telefonie? Jakiś czarny, tak?

- Skąd wiesz, że czarny? - zaniepokoił się policjant.

- Skąd wiem, stąd wiem. A ty dzwonisz do mnie z newsem i potem olewasz? A jakbym to puścił, to co? Kto by miał bardziej przesrane?

39

Na kilka sekund w słuchawce zaległa cisza przerywana tylko głośnym oddechem Kamila. Z baby zdjęty czy gdzieś gonił?

- Więc był u was czarny?

- Zapomniałem.

Kurwa, co za bezczel! Stawek miał ochotę bardzo nieprofesjonalnie pieprznąć komórką o ścianę.

- Był, kurwa, czy nie był?!

- Był. Cześć, muszę kończyć.

Dziennikarz przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz, potem wszedł do opcji.

- Co ty robisz? - Anka szarpnęła go za rękę.

- Nic, tylko kasuję ci połączenia wychodzące. - Odłożył telefon na biurko i sięgnął po kurtkę. - Jakby co, jestem pod komórką.

KUL, Instytut Historii, godz. 14.15

Od pół godziny Stawek siedział na wykładzie, jednak nie nudził się ani trochę. Ojciec doktor Gliński mówił o procesie jakiegoś protestanta, który znieważył monstrancję, natomiast dwie dziewczyny siedzące tuż przed dziennikarzem szeptały o znacznie bardziej aktualnych wydarzeniach.

- Nic nie wiedziałam - zmartwiła się jedna, wysoka brunetka niemal tupiąca z ekscytacji czerwonymi pantofelkami z długim noskiem. W palcach ścisnęła długopis z pokemonem. - Agnieszka ci mówiła?

- Nie, zadzwoniła wczoraj do Kosackiej - tłumaczyła jej koleżanka. Też w bucikach z noskami, tylko niższa i ze zwykłym żelpenem bez pokemonów ani innego badziewia.

- Cała splakana. Mówiła, że ją napadli tam, wiesz, przy teatrze, no a on ich, wiesz...

- Nie mów!

- No a co? Niektórzy księża to wiesz... Ale dzisiaj w ogóle nie chce o tym mówić.

Myśli, że co? Że ktoś sobie coś pomyśli? - Machnęła pogardliwie pokemonem w kierunku blondynki w szarym żakiecie, przy okazji wskazując ją dziennikarzowi.

Trudno było jej nie zauważyć, bo w tym swoim biurowo-korporacyjnym kostiumie w ogóle nie wyglądała na studentkę. Siedziała wpatrzona w wykładowcę jak w obrazek, trzymając na kolanach opasły organizer z różnokolorowymi kartkami.

Stawek uśmiechnął się zadowolony. Nawet nie sądził, że będzie miał taki traf.

Ledwie znalazł Instytut Historii i zapytał

o Glińskiego, okazało się, że ma właśnie wykład. A ledwie usiadł cicho w ostatnim rzędzie, miał już podejście i pod zakonnika,

i pod dziewczynę.

„Agnieszka Nowak” - zanotował.

- ...W swojej mowie obrończej Mikołaj Rej podnosił również, że zemstę za zniewagę majestatu należy zostawić samemu Bogu, księdzu zaś słusznie należy się odszkodowanie za zniszczoną monstrancję, które obwiniony Otwinowski powinien zapłacić. Według jego wyводу, bluźnierstwo Erazma Otwinowskiego nie było bowiem wcale oczywiste, w przeciwieństwie do zniszczenia mienia. Czy ziemski sąd jest bowiem władny rozstrzygnąć, kto bluźnił? Czy Otwinowski, znieważając katolicki przedmiot kultu, czy też prowadzący procesję ksiądz, skoro według kalwinistów monstrancja znieważała Chrystusa? Tertium non datur, prawda? Któryś z nich był winny, to już jednak kompetencja sądu boskiego, nie ludzkiego. I tak Erazm Otwinowski, choć groziło mu ścięcie, spokojnie dożył starości, nawet przed lubelskim trybunałem odpowiadał z wolnej stopy. Przykład ten dobitnie ukazuje...
...że nie ma to jak dobry adwokat, dokończył w myśli Stawek, przyglądając się Glińskiemu.

Facet był rzeczywiście słusznej postury, ale przede wszystkim jego robiła wrażenie jego stylowość. I nie chodziło nawet

o marynarke, na którą zwróciła uwagę Anka. On w każdym geście, w sposobie mówienia miał coś takiego, że można by go posadzić w jakiejś cholernej izbie lordów.

Dominikanin właśnie przeszedł do podsumowań, kiedy zawibrował telefon Stawka. Dziennikarz sięgnął pod polarową bluzę, wyjął smycz i wiszący na niej aparat. Naczelną! Właściwie powinien odebrać, ale nie chciał teraz opuszczać sali. Zajął dobre miejsce tuż obok drzwi, tak żeby zaczepić Glińskiego, kiedy będzie wychodził. A wykład właśnie zbliżał się do końca.

Naczelną zadzwoniła znowu, gdy ruszając w stronę drzwi, Stawek zaczepił sprzączką plecaka o niezłożony pulpit. Widocznie limit szczęśliwych trafów na ten dzień został wyczerpany. Zakonnik opuścił salę, ale dopiero chwilę później za ojcem doktorem wypadł dziennikarz. I niestety, ubiegł go łysiejący facet, taszczyący dwa pudła wypełnione kserokopiami. Na sam widok Glińskiego omal ich nie upuścił.

- A co ty tu robisz? - warknął, podchodząc.

- Rysiek? - spytał równie zdumiony zakonnik.

- Jak ty śmiesz?... - Pudła rąbnęły o posadzkę. - Jak ty śmiesz się tu pokazywać?!

- Rysiu - poprosił Gliński - porozmawiajmy, ale nie tutaj.

- Co, kurwa, nie tutaj?! - Gość doskoczył do wykładowcy, jakby chciał się z nim bić.

W rozciągniętym swetrze w brązowe i szare romby wyglądałby przy nim komicznie, nawet gdyby nie był niższy o głowę. - Zakapowałeś mnie, sami esbecy mi powiedzieli!

- Proszę cię, nie rób cyrku. Masz na to jakiś dowód?

- Ty skurwysynu, myślisz, że jak włożyłeś koloratkę...

Wokół przystanęło już kilku studentów, chyba też jakiś pracownik. Stawek sięgnął po wiszącą na szyi komórkę, która znowu zaczęła migać połączeniem przychodzącym.

„Cholerna Naczelną”, zobaczył opis na wyświetlaczu. Zignorował ją i wszedł do opcji dyktafonu.

Już podchodził do obu mężczyzn i wyciągał w ich stronę telefon, żeby nie uronić ani słowa, kiedy niespodziewanie ktoś go odepchnął. Zdziwiony dziennikarz rozpoznał tę

napadniętą dziewczynę, Agnieszkę Nowak.

- Tata, daj spokój! - Złapała za rękaw faceta w swetrze. Gliński, dotąd spokojny i opanowany, nagle zbladł.

- Odejdź, proszę cię. - Studentka w eleganckim kostiumie pociągnęła ojca w kierunku schodów.

Razem wyglądali jak alegoria Polski A i Polski B, Mleczko |lepiej by nie narysował. Ona, chociaż próbowała łagodzić sytuację, była czerwona ze złości, a może wstydu. Stawek dyskretnie pstryknął im zdjęcie telefonem, choć bez większej nadziei, że wyjdzie ostre.

Facet w swetrze zgłupiał, nie wiedział, czy iść za Glińskim, który cofał się powoli ku sali wykładowej, czy dać się odprowadzić córce, czy zabrać pudła tarasujące przejście. W końcu wybrał to ostatnie, a dziewczyna odszukała wzrokiem dominikanina. Podbiegła do niego i zaczęła mu coś tłumaczyć, podczas gdy ojciec doktor niecierpliwie obracał w dłoni wyjętą z kieszeni komórkę. Ku zdumieniu dziennikarza, Gliński - ten sam Gliński, który wyglądał jak wycięty z męskiego dodatku „Twojego Stylu” - bawił się prawie dziesięcioletnią Nokią U 10. To był pierwszy i najdłużej żyjący telefon Stawka, więc od razu rozpoznał obły kształt, antenkę i przesuwaną pokrywę z mikrofonem. Używać czegoś takiego teraz? Może to i oldscho-plowe, ale cholernie niepraktyczne.

Dziennikarz przez chwilę wpatrywał się w dominikanina, nerwowo obracającego kciukiem pokrętło nawigacji, i szybko podjął decyzję. Podniósł jedno z upuszczonych pudeł mężczyzny w swetrze.

Nazywam się Tomasz Stawek, jestem dziennikarzem „Kupa” - powiedział z uśmiechem, usłużnie wkładając facetowi

42

43

pudło pod pachę. - Wszystko widziałem i jeśli zechce mi pan opowiedzieć więcej o tym człowieku...

- To kurwa, nie człowiek! - wybuchnął mężczyzna. - Ale co panu do tego?

- Piszę o nim artykuł i widzi pan... - zaczął Stawek, uśmiechając się w duchu. Z

kombatantami dawnej Solidarności umiały już rozmawiać. Znał tę ich pozorną nieufność, mimo że w środku aż buzowali chęcią wygadania się, nawsadzania jobów, wykrzyczenia, że oni przecież „nie take Polskę” mieli na myśli. Dyskretnie odciągnął faceta na bok, a pięć minut później zbiegał po schodach. Wtedy komórka zadzwoniła po raz czwarty.

- Tomek, oddzwon do naczelnej - usłyszał głos Kuby Podlaskiego, sekretarza redakcji. - Właśnie przyjechała. I wścieka się, że przepadłeś.

- A co ona tu robi? Miała być w Warszawie.

- Miała, ale jest tu. Kazała mi cię znaleźć. Rzuć, co tam robisz, i jedź do redakcji. Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 15.30 Tomasz, ty jeszcze zostań.

Nie żeby się nie spodziewał. Kometa Halleya przylatuje co siedemdziesiąt parę lat, a naczelna przyjeżdża z Warszawy raz na tydzień, w piątki. Skoro duzi prezesi zmienili jej orbitę, musiał się zdarzyć jakiś kataklizm. Tertium non datur, jak powiedział Gliński na swoim wykładzie.

Inna rzecz, że Stawek mógł się zamknąć, nie reagować na jej prowokacje. Wielu tak robiło i nie nabawili się przez to wrzodów. Znosili cierpliwie pierdoły o konkurencyjności, reorganizacji i liftingu serwisu internetowego. Nawet na dzisiejszym i niespodziewanym zebraniu, gdy po zaserwowaniu sobie i innym skoku ciśnienia zapytała podkrecona własnym wkurwieniem:

- A może w tym mieście po prostu nic się nie dzieje?!

- Skąd, w tym tygodniu przyjechałaś do nas dwa dni wcześniej. Już jest news - wyrwało się Stawkowi.

- Nie akceptujesz mojego stylu kierowania gazetą? - warknęła.

- Akceptuję, my tu w Lublinie wszystko akceptujemy. Taki charakter lokalny. Zwłaszcza jeśli coś jest z Warszawy.

Teraz, gdy wszyscy wyszli, rozmawiała przez komórkę, demonstracyjnie odwrócona do okna. Stawek widział w szybie Jej rozmazane odbicie na tle gęstych chmur. I choć nie słyszał

o większej bzdurze niż naczelna, która nie zna ani zespołu, ani miasta, w ogóle nie zna nikogo oprócz szefów z samej góry koncernu, to uznał, że przegiął. Jej sytuacja

też nie wyglądała [różowo. Tyle że jego jeszcze gorzej.

- Masz destrukcyjny wpływ na zespół - powiedziała, odkładając komórkę. - Nigdy cię nie ma! Gdzie byłeś, jak dzwoniłam?

Ta praca nie polega na tym, że siedzisz kamieniem za biur-

kiem. - Nie wytrzymał. Tyle osiągnął, że nie rzucił kurwą.

- Wiem, na czym polega ta praca, ale powinieneś być w kontakcie. Dzwoniłam trzy razy.

- I jak tylko mogłem, zaraz się pojawiłem. Słuchaj...

- Nie, to ty słuchaj! - Niemal zrzuciła ze stołu makietę jutrzejszego numeru, którą nie wiadomo po co kazała sobie wydrukować i posklejać. Anka miała kolejną bezsensowną robotę, I ona nawet nie zajrzała w te papiery. - Wiesz dobrze, że już parę osób musiało odejść z redakcji. I to takich, którym się wydawało, że wszystko wiedzą o tej pracy.

No - kiwnął głową. - Dałaś im to mocno odczuć.

- Ty chyba koniecznie chcesz mnie sprowokować, żebym...

- A jeśli ci powiem, że mam bombę? - przerwał jej. Podziałało. Sam się zdziwił: na chwilę przestała być tylko szefową przewrażliwioną na punkcie swojego autorytetu. Wyszło z niej coś, co z daleka mogło przypominać dziennikarza.

44

45

- Co konkretnie?

- Muszę jeszcze nad tym popracować, ale uwierz, pachnie niezłym bagnem, nawet tobie się spodoba. To coś takiego, że będę miał robotę w każdej redakcji, gdzie zechcę. - Uśmiechnął się. - Więc wisi mi, możesz mnie zwolnić. A ja w odpowiedniej chwili przypomnę twoim dużym szefom, że to ty mnie wylałaś.

- Ale co konkretnie? - Pochyliła się nad biurkiem.

- Nie powiem, żeby nie zapeszyć. Daj mi kilka dni.

- A skąd mam wiedzieć, że nie blefujesz?

- Znikąd. Zaufaj kobiecej intuicji. - Stawek ostentacyjnie spojrział na zegarek. -

Zamierzasz mnie jeszcze poopierdalać czy mogę już wracać do pracy?

Stary LSM, godz. 20.00

Stawek pozwolił swojej aprilii potoczyć się siłą bezwładu po pustej osiedlowej uliczce. Silnik zagrał, naśladując kosiarkę, wreszcie stanęła przed czteropiętrowym blokiem w stylu późnego Gomułki, góra wczesnego Gierka. Dziennikarz zdjął kask, powiesił go na kierownicy i sięgnął po papierosa.

Janczarski wybrał sobie na mieszkanie miejsce, można powiedzieć, symboliczne. To gdzieś tu do końca lat osiemdziesiątych funkcjonowała nieprzerwanie nigdy nienakryta tajna drukarnia, to tu - tak przynajmniej wynikało z kwitów na Wielgusa - tuż obok siebie znajdowały się konspiracyjne lokale i punkty kontaktowe esbecji, rozdzielone tylko gipsową ścianą.

Dziennikarz zerknął na zegarek i wcisnął przycisk domofonu, ale nikt mu nie odpowiedział. Stawek zadarł głowę. Jeśli dobrze wyliczył, trzecie piętro po prawej stronie - w oknach było jednak ciemno.

Spóźni się, uznał.

46

O ojcu Agnieszki Nowak zebrał już trochę informacji: było i nagranie z historii mówionej Ośrodka „Brama Grodzka”, i materiały z Izby Drukarstwa. Gość swego czasu bojowy, brakowało mu tylko stena na ramieniu i visa za paskiem, tylko cóż, nie te lata i nie ta konspira. Choć finał podobny: ledwie wyszli z podziemia, zaskoczyła ich chujowa rzeczywistość. Znał ten typ z rocznicowych wywiadów przed każdym 13 grudnia.

Ze wszystkimi kombatantami wojny polsko-jaruzelskiej redaktor Stawek rozmawiał grzecznie i rozumiejąco, tym grzeczniej i tym bardziej rozumiejąco, im mocniej im nic nie pasowało. Na wiele pytań nie chcieli odpowiadać, jakby wciąż bali się prowokacji. Ale jedno wszyscy niezmiernie kochali: przejechać się po prowokach, agentach i tych, co byli małej wiary. Tu właśnie dziennikarz widział klucz do Janczarskiego. Tyle że minęło pół godziny, a on wciąż nie nadchodził.

Stawek zaciągnął się nerwowo przedostatnim camelem. Kask powieszony na kierownicy nie wykonywał już monotonnych ruchów wahadła, a w oknach na

trzecim piętrze wciąż nikt nie zapalił światła. Gdy Janczarski zaprosił go do siebie, a nie umówił się gdzieś na mieście, Stawek nie wątpił: facet będzie gadał. Łatwiej udać, że się zapomniało o spotkaniu na mieście, niż unikać własnego domu.

tymczasem osiedlowa uliczka wciąż była pusta, od kilkunastu minut nie przejechał nią nawet rowerzysta. W dole, za drzewami, kolejny neoplan włączył się do kolejki samochodów czekających na zmianę świateł. Wtedy właśnie Stawek zobaczył Janczarskiego idącego po schodach od strony przystanku. Kilka razy spojrzął na zegarek, najwyraźniej pamiętał, że był umówiony.

Dobry wieczór. - Dziennikarz rozdeptał papierosa.

Niezłomny opozycjonista cofnął się wyraźnie zaniepokojony, zerknął na boki, jakby szukał pomocy. Nikogo jednak nie było,

tylko nieco dalej, pod śmietnikiem, ktoś trzepał dywan, choć o Bożym Narodzeniu nie myśleli jeszcze nawet pracownicy supermarketów.

- Sądziłem, że pan już wie... - zaczął.

- Zaprosił mnie pan, mieliśmy porozmawiać - przypomniał Stawek. - Coś się stało?

Z sąsiedniej klatki wyszedł jakiś człowiek z psem. Zdziorny foksterier zaszarżował w ich kierunku, ale powstrzymała go krótka smycz.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem - usłyszał dziennikarz. -Zgubiłem pana wizytówkę.

- Ale co się stało?

Janczarski wcisnął ręce w kieszenie szarej, zniszczonej kurtki. Szczęki miał zaciśnięte, w końcu wyrzucił z siebie napiętym głosem:

- To nieporozumienie. Pomyliłem się, to nie ten człowiek.

- Jak to nie ten?! - nie wytrzymał Stawek. Ledwie parę godzin temu obiecał naczelnej złote góry...

- Pomyliłem się i to tyle, co mam panu do powiedzenia. Dobranoc. - Janczarski ruszył w stronę bloku. Zadzwoniły wyjmowane z kieszeni klucze.

- Dobrze, ale może niech mi pan chociaż opowie o tej wyspie. Mamy zamiar co tydzień robić materiały z działaczami opozycji i podsumować je trzynastego grudnia

- zablefował dziennikarz.

- Powiedziałem dobranoc! - Janczarski przyspieszył kroku.

- Kto do pana dzwonił?!

Foksterier rozszczękał się jazgotliwie. Kłapnęły drzwi klatki schodowej. Stawek został z niczym.

ROZDZIAŁ III

Środa, 3 października 2007 roku Lublin, klasztor Dominikanów, godz. 21.30
salik powiedział: Opuściłem Andaluzję, kierując się w stronę Jerozolimy. Islam był moim wierzchowcem, wysiłek wewnętrzny powołaniem, a nadzieja w Bogu stanowiła moje pożywienie - przeczytał Ojciec Gliński, po czym zamknął Ibn 'Arabiego.

Księga o podróży nocnej do najbardziej szlachetnego miejsca, wielokrotnie wertowana, niczym pies umiała już odczytać niewypowiedziane życzenia oraz potrzeby właściciela i przed chwilą tak na zawołanie otworzyła się właśnie na tej stronie, gdzie olbrzym wyrusza w swoją duchową podróż, zawierzając ją oraz siebie Panu. Mimo wschodniej kwiecistej konwencjonalności tych zdań ojciec Gliński kochał je tak jak niektórzy kochają poruszający wiersz lub piosenkę, która była świadkiem wyjątkowej dla nich chwili.

Uśmiechnął się do siebie. To nawet modne, bo jakże zgodne z filozofią dialogu, gdy on, spadkobierca tradycji hiszpańskich inkwizytorów, zwraca się do Boga słowami saraceńskiego heretyka, zamiast na przykład aktami strzelistymi św. Josemarfi fedcriyy de Balaguera.

lecz nie szło o trend rozpoczęty jeszcze przez nieodżałowanego Ojca Świętego Jana Pawła II. Marek Gliński zwyczajnie cenił sobie wyszukaną formę, a tak się złożyło, że stan aktywnego i bezgranicznego zawierzenia, którego dominikanin tak w tej chwili potrzebował, właśnie Ibn 'Arabi wyraził najpiękniej.

Połykujący srebrem laptop Della zgasł, wciąż nie odebrawszy żadnej wiadomości. Gliński stuknął spację i na ekranie znów pojawił się Chrystus, błogosławiący użytkownikom Ichthuksa, jednak ikony nowej wiadomości jak nie było, tak nie było.

Obie komórki również milczały. Ojciec Gliński sięgnął więc po różaniec.

Bóg także milczał, i słusznie. Tym razem ojciec doktor nie rozważał tajemnic chwalebnych różańca, a tylko klepał kolejne zdrowaśki. Niczym leżąca na biurku, cicho tykająca festina odmierzają jedynie czas. I niestety nie odwracały myśli zakonnika od spotkania z Janczarskim.

„Ty skurwysynu, myślisz, że jak włożyłeś koloratkę...”, „Jak śmiesz się tu pokazywać?!” Ten człowiek sam nie wiedział, jak celne to pytanie. Musiało jednak pozostać bez odpowiedzi.

Gliński z cichym westchnieniem ucałował krzyżyk różańca, zalogował się ponownie do komputera i podłączył wyjętego z kieszeni pendrive'a. Zerknąwszy do brewiarza, wpisał w polu „hasło” trzecie słowo pierwszego czytania na mijający dzień.

Pedantycznie posegregowane katalogi z homiliami i projektami artykułów nie kryły niczego szczególnie tajnego, środki ostrożności uzasadniała dopiero nazwa nowego pliku: spowiedź, odt. Zakonnik założył okulary i zaczął pisać:

Coś mnie tknęło, gdy wpisywałem na listę moich studentów Agnieszkę Nowak, ale staram się nie przywiązywać wagi do takich rzeczy, odkąd poddał mnie swym psychiatrycznym egzorcyzmom profesor Hans-Jiirgen Molier.

Przez monachijskich braci z sympatią nazywany był „młotem na scjentologów”. W ich Domu św. Alberta przy Situlistrasse prawie rok dochodziłem do siebie pod troskliwą opieką ojca Jakuba. Profesor nade wszystko umiał słuchać, zachęcając mnie od czasu do czasu swym dobytym z głębokości: „Ach so?...”. Poza nimi nikt nie zakłócał mi spokoju.

Wiedziałem oczywiście, że mój duchowy przewodnik o mnie nie zapomniał ani nie da mi zapomnieć o sobie, ale wówczas taktownie zniknął z mojego życia. Być może za radą prof. Moliera. Wolę nie dociekać, co mu obiecano za postawienie na nogi tajemniczego pacjenta z Polski - bo zapewne nie zajął się mną tak życzliwie wyłącznie na fali sympatii do rodaków Wałęsy i Papieża po zburzeniu muru berlińskiego; wolę myśleć, że jego obecna funkcja dyrektora kliniki nie ma ze mną nic wspólnego. Inna rzecz, że - jeśli laik może wystawiać ocenę lekarzowi - z pewnością zasłużył sobie na swój nowy skórzany fotel i gabinet z oknami na

Beethovenplatz. Nigdy nie byłem w budynku Kliniki Psychiatrycznej Uniwersytetu Ludwiga Maksymiliana, więc nie wiem, w którym skrzydle mieści się gabinet dyrektora, lecz z wdzięcznego serca życzę profesorowi, aby jego okna właśnie na ten plac wychodziły. Co prawda jego sterczące włosy z pozoru nie zdradzały w nim estety, lecz starannie dobrane krawaty o stonowanych barwach i gustowne oprawki okularów wyraźnie przewyższały gust większości Bawarczyków. Na Oktoberfest nie nadawały się z całą pewnością.

Zaś Dom św. Alberta odwiedziłem całkiem niedawno, tuż przed powrotem do kraju. To wciąż takie same suburbia jak pod koniec lat osiemdziesiątych. Chyba pomogło mi wtedy wrócić do równowagi, kiedy patrzyłem jak dawny poligon czołgów Bundeswehry za oczyszczalnią ścieków zmienia się w rezerwat, pełen rzadkich kwiatów i motyli, rozbrzmiewający śpiewem ptaków. Profesor Molier też był zdania, że obserwowanie flory i fauny dobrze mi robi. Chodziłem na wzgórze Fróttmaning, chroniące niewielki romański kościół Św. Krzyża, i czytałem pisma chrześcijańskich mistyków, niekiedy nawet przydatne do mojego doktorskiego elaboratu z historii, który

50

51

właśnie kończyłem. Wracając, siadałem na szczycie Deponieberg i patrząc na meczet, czytałem Ibn 'Arabiego.

Dziś z Fróttmaning kościół św. Krzyża zdaje się jedynie ekscentrycznym szczegółem na tle nowego stadionu Bayernu Monachium, a miejsce moich duchowych poszukiwań na Deponiebergu upamiętnia wielka turbina wiatrowa. Ja sam, gdy z pomocą Bożą oraz prof. Moliera wróciłem do zdrowia i zostałem przyjęty do Zakonu Kaznodziejskiego, upamiętniłem je tylko nikomu niepotrzebnym magisterium ze świętej teologii.

A teraz znów tamto wróciło... Jak mogłem sobie nie przypomnieć, że była żona Gutenberga miała na nazwisko Nowak, jak...

Gliński zdjął ręce z klawiatury i sięgnął po starą nokię, bo właśnie zaczęła cicho brzęczeć.

Wtorek 20 listopada 1987 roku Lublin, kościół Dominikanów, godz. 18.20

No dobrze, Marku... - Ojciec Jakub westchnął ciężko. Gliński uśmiechnął się, bo choć twarz zakonnika przesłaniała kratka konfesjonału, to dobrze wiedział, jaką zrobił minę. Dokładnie taką samą, jaką zwykle mają mężowie usadzeni do stołu z plotkującymi zawzięcie przyjaciółkami swych żon. - Powinno cię zastanowić tylko jedno: wciąż grzeszysz pychą. Co prawda głównie we własnej głowie, ale powinno ci to dać do myślenia. Proszę cię, abyś jako pokutę codziennie na nowo rozważał słowa Pana z Kazania na Górze i postarał się być godny Jego ośmiu błogosławieństw. A teraz dajmy już spokój twoim mało spektakularnym grzechom i porozmawiajmy poważnie. Co zdecydowałeś?

Przez cały tydzień zastanawiał się, co powie, gdy padnie to pytanie, i wciąż nie wiedział. Szukał podpowiedzi na twarzach

swoich znajomych z podziemia, gdy przeglądał ich zrobione z ukrycia zdjęcia.

Janusz Mazur wysiada z dużego fiata i wita się z Mazowieckim: obaj z brodą, obaj z fajką w zębach, jakby należeli do tej samej łoży dla solidarnościowych dżentelmenów. Krzysiek Wasilewski, niemający jednak nic wspólnego z tamtą Wandą od PKWN, z wyglądu kontestujący wszystko hipis, nie redaktor katolickich „Spotkań”, powielanych w sieci tajnych drukarni rozsianych po całym mieście. No i właśnie mistrz nielegalnego drukarstwa, Rysiek „Gutenberg” Janczarski, który [Jeśli było trzeba, potrafił zrobić powielacz nie tylko z wyżymaczki, ale chyba i z deski do prasowania.

Gutenberga nawet odwiedził w domu, jeśli tak można nazwać zaczadzoną wyziewami chemikaliów i tanich papierosów kawalerkę z ciemną kuchnią. Pamiętał, jak drażniło go ciągle popłakiwanie jego małej córeczki. Żona też coraz gorzej znosiła Ryśkową walkę o wolną Polskę, zwłaszcza że najlepiej wiedziała, o ile metrów zwiększyłoby się ich mieszkanie, gdyby z drugiego, ukrytego pomieszczenia wyrzucić tajną drukarnię i zrobić normalny pokój.

Otwórz chociaż okno - mruknął Gliński, starając się ukryć obrzydzenie na widok zatłuszczonej szklanki, w której powłóczająca nogami, kompletnie wykończona żona Gutenberga podała mu herbatę.

Żeby ktoś usłyszał? - wzruszył ramionami Rysiek. - Przyniosłeś artykuł?

Gliński wyjął starannie zawiązaną tekturową teczkę, ale drukarz prawie rozerwał tasiemki i niecierpliwie przekartkował maszynopis. Mamrocząc pod nosem, szybko przeliczył objętość w znakach.

Może być. - Rzucił tekst na stół i przygniótł czarną, nigdy chyba niemytą popielniczką. - A co tam masz? - Zerknął do teczki Glińskiego.

52

53

Marek pokazał mu dopiero co kupionego Weisem Dawidka Huellego, to pierwsze wydanie z symbolicznym, lecz mimo to nijakim widoczkiem w niby to sepii.

Gutenberg z protekcyjną miną przekartkował książkę i wepchnął Glińskiemu w rękę. To jednak nie była jaka okładka ani szwabska fraktura, którą wydrukowano tytuł, wzbudziła w nim taki wstręt.

- No, luzują śrubę, kurwa! - warknął drukarz.

- Nie przy dziecku! - krzyknęła żona.

- Dlaczego, ku... - przełknął resztę słowa - ten Huelle nie napisze książki o tym, że zakiblowali Morawieckiego?! Tylko o jakimś Żydzie?

- Powieści nie pisze się w tydzień. - Gliński łyknął gorzkiej herbaty. Wtedy wołał słodką, ale za nic nie sięgnąłby do lepkiej, pokrytej kurzem cukiernicy Janczarskich.

- A co słyhać tak w ogóle? - Rysiek odpalił jednego papierosa od drugiego.

Co słyhać? Stare baby nie chcą zdychać, jak kiedyś powiedział któryś z kumpli od polityki. Nic, stara bida. Stara popielniczka, stare szklanki, wszystko było stare, nawet młoda żona konspiracyjnego drukarza, i stara robiła się ta wolna Polska, choć jeszcze nie kopała w brzuchu. Czy zobaczy ją choćby ta płacząca dziewczynka?...

- Co zdecydowałeś? - wyrwał Glińskiego z rozmyślań głos spowiednika. - Kogoś musisz im sprzedać, sam mówiłeś. Inaczej całe twoje poświęcenie na darmo. Więc?

- To trudne, ojciec - szepnął Marek.

- Wszystko jest trudne, a ty przyjąłeś na siebie ciężar większy niż inni. Niełatwo ci być Judaszem, ale pomyśl, gdyby nie Judasz, czy byłby Krzyż, czy byłoby Odkupienie?...

- To chyba nie jest oficjalna nauka Kościoła, ojcze...
- Nie jesteśmy tu, by dyskutować o teologii! - syknął zakonnik. Po chwili powtórzył łagodniej, ale równie stanowczo: - Co zdecydowałeś, Marku?
- Gutenberg. Ryszard Janczarski, Hanki Sawickiej 12 mieszkania 9, bo...
- ...Bo tak! Przez tę brudną szklanę? Dla dobra tej jego biednej żony? W imię...
- Nie kończ, Marku, nie chcę tego wiedzieć. Ja odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

(środa, 3 października 2007 roku

Klasztor Dominikanów, godz. 22.40

No dobrze, ojcze Marku. - Ojciec Jakub westchnął ciężko do słuchawki. -

Uporządkujmy fakty. Pomagasz dziewczynie, my zacieramy sprawę, żeby się tobą nie interesowali, póki nie muszą, teraz pojawia się jej ojciec, którego za naszą wiedzą wydałeś w osiemdziesiątym siódmym. Znowu musiałem wykonać kilka telefonów, w tym na gorącą linię arcybiskupa. Twoja ocena?

Ileż to ojciec musi przeze mnie znosić! - jęknął teatralnie Gliński.

Cenię sobie twoje poczucie humoru, ale wiesz, o co pytam. Mój krzyż. Sam ojciec pamięta, że nie chciałem tujechać. Mówiłem ojcu, że lepiej przydam się choćby na parafii w Londynie.

Zapewne, zapewne... Zakopując swoje talenty. Masz rozeznanie w realiach polskich, a że krzyż?... Każdy dźwiga jakiś krzyż. Więc przypadek?

Przypadek albo boża sprawiedliwość, może to ojciec nazwać jak chce! - wybuchnął Gliński. Ojciec Jakub jednak wyraźnie się zainteresował.

- Boża sprawiedliwość, mówisz?

- Odebrałem jej ojca. Wiem, musiałem komuś zabrać ojca, męża, brata, narzeczonego... Zabrałem jej i jestem winien. Janczarski siedział tylko kilka miesięcy, ale nie był w stanie wytrzymać nawet tyle. Rozsypał się jako człowiek. Mogłem pewnie to przewidzieć.

- Więc sumienie ci mówi, że masz wobec niej dług, Marku? Rozumiem, rozumiem...

- Czyżby w głosie spowiednika zabrzmiała nuta ironii? - Nazywasz to sumieniem.

Wejrzyj jednak w siebie, bo może wcale nie ciągnie cię ku niej sumienie, ale jakaś...

hm... ziemską siłą.

- I jak, zdaniem ojca, mam ją tak po prostu uczyć historii, podczas gdy ona będzie we mnie widziała esbeka?

- Ojcie Marku! - zarechotał zakonnik. Jego skrzekliwy, starczy śmiech zabrzmiał tak nieprzyjemnie, że Glińskiego przeszył dreszcz. Przez chwilę wydawało mu się, że rozmówca tylko udaje duchowego opiekuna, który prowadził go przez dwadzieścia lat, najpierw jako spowiednik i doradca, potem przełożony. Jednak przyjaźnią nie darzyli się nigdy, co w tej chwili dotarło do Glińskiego z całą wyrazistością. - Ojcie Marku, czyżby nie słyszał ojciec o świętym Pawle? To dopiero był esbek nad esbekami. I to on powiedział: „dobrze jest człowiekowi nie łączyć się z kobietą”. Tobie zaś tym bardziej nie wypada zbliżać się do żadnej, nie uważasz?

- Zrozumiałem. Dziękuję i szczęść Boże ojcu...

- Chwileczkę, to nie wszystko - przerwał mu przełożony. - Wkrótce Komisja zacznie swoją nominalną pracę. W jej imieniu pojedziesz do Kazimierza. Piękne miejsce, uleczysz skolataną nerwy.

- A oprócz nerwów?

- Otrzymasz materiały oficjalną drogą. Aha, koło naukowe historyków z KUL-u robi w Kazimierzu małą sesję wyjazdową.

Nie chciałeś odmawiać studentom i zgłosiłeś się do panelu dyskusyjnego.

- Dobry ze mnie człowiek - przyznał ojciec doktor.

- A ja chciałbym jeszcze przekazać ci swoją wiarę, że zbuntowane zakonnice nie zajmą ci całego czasu i zdążysz się rozejrzeć w klasztorze Zwiastowania.

- Więc jednak... - Gliński pokiwał głową. - Czy nie lepszy byłby jakiś franciszkanin?

- Broń nas, Panie, przed franciszkanami! - znowu zarechotał stary zakonnik.

- Czy ojciec ma coś konkretnego na myśli?

-Jutro rano sam zobaczysz. Szczęść Boże! - Przełożony rozłączył się.

Ojciec doktor Gliński dotknął klawiatury laptopa, ale tym razem system, wybudzony z dłuższego uśpienia, zażądał identyfikacji. Chrystus z tapety Ichthuksa pobłogosławił dominikaninowi, dopiero przekonawszy się, że ma do czynienia z właściwą osobą. Zakonnik spojrział na ekranowy czasomierz, a potem na swój

zegarek. Festina spieszyła się piętnaście sekund. Fatalnie! Minie kilka dni, zanim rozbieżność wskazań osiągnie pełną minutę i będzie można łatwo zsynchronizować oba zegary, tak, festina miała swoją mechaniczną duszę, a w związku z tym może i odrobinę woli. Była piękna, lecz omylna, w przeciwieństwie do srebrnego delia obdarzonego jedynie elektroniczną inteligencją. Gliński rozumiał tę różnicę, mimo wszystko niedoskonałości drażniły go, zwłaszcza kiedy Bóg zsyłał nań próby. Zakonnik jeszcze raz przejrzał swój wieczorny zapis, po czym trwale skasował plik z pendrive'a.

Boże, wejrzyj ku wspomnieniu memu. Panie, pospiesz ku ratunkowi memu... -
Zwrócił się do krzyża i rozpoczął kompletę.

56

57

Czwartek, 4 października 2007 roku

Lublin, klasztor Dominikanów, godz. 6.00 Dzień był pochmurny, wiatr od kilku godzin targał drzewami na stoku wzgórza staromiejskiego. Ojciec doktor Gliński wstał jeszcze przed świtem i z ciężkim sercem zatopił się w modlitwie, wciąż skołowany i zmęczony. I choć nie był pewien dobrych intencji nikogo na tej ziemi, to jednak słowa stopniowo nabierały znaczeń, znów niezachwianie wierzył w święty Kościół powszechny i jego moc odpuszczania grzechów. Mimo wszystko. A może zwłaszcza dlatego, że wiele grzechów, które Gliński tak boleśnie odczuwał, zostało popełnionych właśnie w imieniu i z przychylnością owego Kościoła. Świętego, chociaż ziemskiego.

- Panie, otwórz wargi moje, a usta moje będą głosić Twoją chwałę - wołał z głębości ławek bazyliki razem ze swoimi współbraćmi. Śniadanie zjadł w skupieniu, wdzięczny św. Augustynowi za regułę nakazującą podczas posiłku sycić nie tylko usta pokarmem, lecz i uszy Słowem Bożym. Nie potrafiłby co prawda powtórzyć, co przed chwilą czytał lektor, ale jako tako poskładał własne myśli. Nokia zabręczczała mu w kieszeni, gdy wrócił do pokoju i otworzył laptop.

- Możesz wyjść przed furte? - zapytał ojciec Jakub i rozłączył się.

Mijając wirydarz, Gliński przypomniał sobie o jeszcze jednym grzechu. Był taki facet

w małej nielegalnej partii drukującej równie małe i nieważne pismo „Niepodległość”, którego przyszyły ojciec doktor chciał wydać zamiast Janczarskiego. Ten człowiek nie tylko oskarżał grupę Michnika i Kuronia o utrwalanie socjalizmu, a podziemną Solidarność o kręcenie się w kółko, ale bez żenady opowiadał, że wraz z kolegami byłby gotów

58

stworzyć organizację zbrojną. Niestety, nawet esbecy traktowali go jak idiotę.

- Nie ma takiej opcji, Kleryk - powiedział Glińskiemu major Gozgawa. - Proszę, niech zmontuje jakąś bombę, urządzi arsenał, wtedy zrobi mu się kipisz i na dodatek weźmie ze sobą telewizję. Póki co niech czeka i szczeka. Aż zachrypnie.

Potem facet gdzieś przepadł, podobno po 1990 założył wytwórnię zabawek czy coś w tym rodzaju.

Gdyby wiedział, że już prawie był na widelcu... Dominikanin wyobraził sobie, że wychodzi przed klasztorną bramę, szuka wzrokiem kuriera, a zamiast niego dostrzega wymierzone w siebie lufy grupy egzekucyjnej. „Wyrokiem sądu doraźnego w imieniu Solidarności Walczącej...” - I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. - Gliński uśmiechnął się sam do siebie i uchylił furtę.

Przed bramą stało stalowoszare bmw. Młody, z wyglądu niespełna trzydziestoletni ksiądz czekał oparty o drzwi kierowcy | z zainteresowaniem na rumianej, pucółowatej twarzy oglądał zaniedbane kamienice.

- Ojciec Marek? - Wyprostował się na widok Glińskiego, ten kiwnął głową i podał rękę kurierowi.

- Szczęść Boże. Ksiądz ma coś dla mnie?

Pakiet znajdzie ojciec w schowku. A to jest koperta. - Młody duchowny uśmiechnął się, klepiąc dach wozu. - Kluczyki w stacyjce. Szczęść Boże ojcu.

Gliński skinął mu głową, ale tamten już szedł w stronę katedry, rozglądając się z miną niefrasobliwego turysty. Nawet ojciec doktor, gdyby go zobaczył dopiero w tej chwili, nie domyśliłby się, że to wysłannik Officium. Zwykły wikary z prowincji, I sądząc po brzuchu, przyszyły proboszcz, który delegowany w jakiejś sprawie do siedziby kurii postanowił przyjrzeć się

zabytkom. Wyciągnął nawet z kieszeni kurtki niewielką cyfrówkę i pstryknął tańczącego na wietrze koguta na szczycie Bramy Trynitarńskiej.

część druga

Nie w panowaniu władzą, lecz w służbie miłością niech widzi swoje szczęście
I ten, co wam przewodzi. We czci u was, niech będzie nad wami przełożony;
I bojaźni zaś Bożej - niczym podnózek pod waszymi stopy. Wszystkim niech daje
przykład dobrego postępowania. Niech karci niespokojnych, przygarnia słabych,
cierpliwy będzie wobec wszystkich. Niech lubi karność i, budząc I respekt, niech ją
utrzymuje. Chociaż zaś jedno i drugie jest potrzebne, niech ' się stara, byście go
raczej kochali, aniżeli się bali, mając zawsze w pamięci, że
Bogu przyjdzie mu zdać z was rachunek. Dlatego też, coraz bardziej posłuszni,
miejcie litość nie tylko nad sobą, lecz także i nad nim.

z Reguły św. Augustyna, biskupa

iich wspomnienia ojca naszego, Franciszka. Trudno już mi zejść do krypty, do
spoczywających tam braci, ale tylko im niektóre ciężary duszy mogę powierzyć.
Wybaczcie, bracia, jeśli więcej was nie odwiedzę! Lato źle wróżyło, tilm Pan Bóg
wysłuchał modlitw i ziemia obrodziła. Teraz dobrzy ludzie nie dadzą umrzeć, szkoda
tylko owej kołdry, którym w przedjesień tak w ogrodzie Wietrzył, aże całkiem znikła.
z zapisków o. Adriana Gałuszkiewicza OFMSO

ROZDZIAŁ IV

! Piątek, 5 października 2007 roku

Lublin, ulica 3 Maja, redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 9.10 !Tomasz Stawek
stał pod zmywalną tablicą u sekretarza redakcji, bezmyślnie mając kaskiem
motocyklowym.

- Kiedy to wymyśliła, Kuba? - zapytał, pokazując nabazgrane zielonym mazakiem:
„Stawek - 5.10 - Kazimierz/betanki -I rozpoznanie”.

- Wczoraj, jak cię nie było. - Sekretarz wzruszył ramionami I I wyciągnął swoje

długie nogi aż poza biurko. - Ale co ci szkodzi? Weźmiesz żonę i pojedziecie sobie wieczorem. Perła renesansu, romantyczny weekend...

O niczym innym nie marzę - burknął Stawek.

- A, no to ogromnie mi przykro. - Kuba Podlaski przecią-

gnął się, rozruszał nadgarstki i wrócił do pozycji roboczej nad klawiaturą.

I pojechała?

I pojechała - kiwnął głową sekretarz. - Ludzka pani. Przez cały czwartek Stawek starał się nie spotkać szefowej, bo na pewno chciałyby wiedzieć, w jakim stanie jest szykowana przez niego bomba. Tymczasem wyglądała mu ona na niewypał.

Może popełnił błąd, biorąc na celownik Janczarskiego, może i lepiej byłoby zająć się jego córką Ku kompletnemu zdumieniu

Sławka, Agnieszka Nowak znalazła się wśród kandydatów na radnych z listy Ludowo-Patriotycznej Partii „Brona” i na stronie ich młodzieżówki. Był tam również jej mejl. Jeszcze wczoraj napisał, że skoro zbliżają się przedterminowe wybory, „Kurier” chce przypomnieć sylwetki najmłodszych polityków z regionu, ale nie odpowiedziała.

No a betanki? Ten temat w innej sytuacji nieźle by Stawka podkreślił. Odkąd dwa lata wcześniej dowiedział się, że w ogóle istnieje taki zakon, śledził konflikt władz kościelnych i zbuntowanych sióstr. Ich guru, siostra Lidia Jadwicka, została odwołana ze stanowiska przełożonej, ale przejął się tym tylko kazimierski proboszcz, zakonnice wcale. Jeszcze zanim „Wprost”, „Wyborcza” i „Tygodnik Powszechny” zaczęły poświęcać im duże teksty, Stawek zrobił wywiad z lubelskim metropolitą, kiedy ten zakazał odprawiania w kazimierskim domu zakonnym mszy, egzorcyzmów, spowiadania i tak dalej. Od razu skojarzyło mu się to z Matką Joanną od Aniołów. Miał siostrę Lidię od... No właśnie, nie wiedział od czego.

Ksiądz arcybiskup zbył go zapewne z góry ułożonymi zdaniem, choć i tak był to miły gest z jego strony, że nie wyreczył się rzecznikiem. Stawek zrozumiał tylko tyle, że niektóre zakonnice chciały przekształcić typowo służebne zgromadzenie w kontemplacyjne, powołując się przy tym na prywatne natchnienia Duchem Świętym. Czyli albo ta ich Jadwicka zwariowała, albo bardzo przywiązała się do swojej funkcji

szefowej. Skądś to znał... Oczywiście próbował też rozmawiać z drugą stroną, ale kiedy usłyszał przez telefon, że jest szatanem, dał sobie spokój.

Ciekawiej zrobiło się, gdy do zakonnic dołączył skonfliktowany ze swoimi przełożonymi franciszkanin Kazimierz Roma-nyczko. Tu „Super Express” mógłby radośnie pójść w hipotezy erotyczne, gdyby nie uprzedził go „Wprost”. Stawek tylko po-

66

wtarzał po nich, sam miał ręce związane przez kurię biskupią i asekuranctwo własnej gazety. Tymczasem prawomyślne betanki z Lublina wygrały proces o dom w Kazimierzu i zapadł wyrok, nakazujący eksmisję, której termin niedawno wyznaczono na 10 października. Jeszcze kilka dni temu napalał się na tę datę, ale już mu przeszło. No bo czy wejdzie do środka? Porozmawia z którąś? Nierealne, a zdjęciami zza płotu i tak nikt się nie przejmie. Naczelną przyjedzie z Warszawy i będzie

|miała pretensje, że w TVN24 wypadło znacznie ciekawiej. A Gliński to była inna sprawa, tu miał szanse być pierwszy kompetentny jak cholera.

Bębniąc nerwowo palcami w kask, Stawek minął zamknięty pokój naczelniej i przez redakcyjny wszedł do swojej klitki. Anka Małek pisała jakiś tekst, dwoma palcami, mimo to dość szybko.

- Użyj chociaż kciuka do spacji - warknął dziennikarz. - Masz przeciwstawny, to wielka zdobycz ewolucji.

- Aha - kiwnęła głową i jej szczupły prawy kciuk z szeroką srebrną obrączką uderzył w klawisz raz, drugi, dziesiąty... Potem przestała się już pilnować i znów stukała po swojemu.

Nastawił wodę i włączył laptop. Przez chwilę na czarnym ekranie błyszczały tylko dziesiątki odcisków jego linii papilarnych, ale na niebieskim tle nowiutkiej visty nie było ich aż tak widać. Od razu sprawdził pocztę i gadu-gadu - nikt nie próbował się z nim skontaktować, nikt nie chciał mu sprzedać viagry ani kodu dostępu do serwisu erotycznego. Agnieszka Nowak też nie odpowiedziała.

Poprosić Janczarskiego? „Skoro pan ma mnie w dupie, niech mi pan da chociaż

numer do córki!" Bez sensu! Coraz bardziej wkurzony Stawek zaczął przeglądać serwisy konkurencji. Oczywiście Bozia znowu znalazła niezły temat: o instytucji widmie, czyli lubelskiej delegaturze CBA:

67

Z lubelskim CBA próbowaliśmy się skontaktować jeszcze we wtorek. Chcieliśmy przekazać dokumenty, które mogłyby być pomocne w śledztwie. CBA w Lublinie wszczęło je po naszym tekście Patologia w architekturze. Okazało się jednak, że śledczy wynieśli się z tymczasowej siedziby w Lubelskim Urzędzie Wojewódzkim. Dokąd?

- Nie wiemy - rozkładają ręce urzędnicy w LUW.

W informacji telefonicznej nie ma numeru do lubelskiego biura antykorupcyjnego. O pomoc poprosiliśmy organy ścigania.

- Nie mam pojęcia, gdzie w Lublinie jest teraz CBA - mówi Robert Bednarczyk, szef Prokuratury Apelacyjnej w Lublinie.

O lubelskiej siedzibie biura nie wie też policja. Postanowiliśmy więc poprosić o kontakt u źródła - czyli w warszawskiej centrali CBA. W sekretariacie kategorycznie odmówiono nam telefonu i adresu do Lublina. Uparliśmy się jednak, że chcemy przekazać informację pomocną w prowadzonym przez Lublin śledztwie. W tej sytuacji rzecznik CBA zaprosił nas... do Warszawy.

Kiedy indziej Stawek byłby wściekły, że to nie on na to wpadł, ale teraz interesował go tylko Gliński. A o zakonniku, odpukać w niemalowane, Bozia najwyraźniej już nie pamiętała. Wstał, żeby zalać sobie kawę, jednak puszka była pusta.

- Anka, mówiłem ci, żebyś kupiła. - Odwrócił się do dziewczyny.

- Aha - znowu kiwnęła głową, stuknęła jeszcze kilka razy w klawiaturę i dopiero oderwała wzrok od monitora. - A tak w ogóle to był do ciebie telefon. Czekał, gdzieś tu mam... - Zaczęła grzebać w papierach. - Jakaś dziewczyna... - Powiodła wzrokiem po ekranie i oderwała żółty sticker. - Agnieszka Nowak. Zostawiła numer komórki.

- Cholera, i ty mi dopiero teraz to mówisz?! - Dziennikarz |Wyrwał jej kartkę z rąk.

Ulica 3 Maja, godz. 10.45

Stawek wzdrygnął się lekko, wychodząc z redakcji. W marynarce pożyczonej od kolegi z działu internetowego było chłodniej niż w motocyklowej kurtce, ale dziennikarz rozgrzał się, kiedy szybkim krokiem minął róg Armii Wojska Polskiego. Nowy wizerunek stworzyła mu Anka. - Tak, tak, bardzo by mi zależało jeszcze dzisiaj - wdziękzył się przez telefon do Agnieszki Nowak, a jego stażystka, choć nieco urażona, słuchała z coraz większym zaciekawieniem. - Wiem, oczywiście, że nie kandyduje pani do sejmu, ale chodziłoby mi o pokazanie trochę polityki po ludzku, od dołu... Nie, I nie komentarz polityczny, w każdym razie nie tylko. Planuję większy materiał, może cykl. Pani byłaby pierwsza... Proszę?... Nie, nie rozmawiałem z nikim z pani partii, nikt pani nie rekomendował. To mój pomysł, żeby rozmawiać z młodymi ludźmi, którzy już się w polityce zaznaczyli. Młody Lublin w polityce, tytuł na razie roboczy, a pani, najmłodsza kandydatka na radną w zeszłym roku!... Tak, dostosuję się... Świetnie, dziękuję bardzo. Do zobaczenia.

- Kto to w ogóle jest ta Agnieszka Nowak? - zapytała Anka, kiedy się rozłączył i odetchnął z wyraźną ulgą. - Jak ze mną rozmawiała, to wydawało mi się, że jakaś gówniara.

Bo gówniara - przyznał Stawek. - Bodajże na trzecim roku.

I tak cię interesuje dziewczucha, którą ktoś wsadził na listę wyborczą, żeby ładnie wyglądało? Nie słyszałam, żebyś wcześniej z kimś tak rozmawiał.

Jak? - Dziennikarz rozparł się wygodnie na krześle.

- No... kulturalnie.

Stawek z uśmiechem spojrzął na stażystkę. Bożią to Anka raczej nigdy nie będzie, ale miała trochę instynktu. W tej chwili jednak nie miał ochoty na jej złote myśli.

- Dobra, pożycz od kogoś kawy. Potem ci wyjaśnię - zapowiedział.

Był pewien, że dziewczyna zniknie co najmniej na dziesięć minut, jeśli jest dość bystra, i od razu pójdzie do sklepu na rogu Cichej. Jeśli łatwowierna - zacznie od chodzenia po pokojach redakcji i Stawek będzie miał ją z głowy może nawet na pół

godziny. Stanął w otwartym oknie i zapalił papierosa. Jak rozegrać ten wywiad z Agnieszką Nowak, żeby zaczepić ją o ojca, to wiedział od początku. Spyta o tradycje rodzinne, proste! Nie miał tylko pomysłu, co zrobić, jeśli dziewczyna nie będzie chciała mówić. Przyznać, że był świadkiem kłótni Janczarskiego i Glińskiego? Mogła go wtedy zauważyć, chociaż była zajęta uspokajaniem starego, a potem dominikanina. Gdyby szło mu tylko o Janczarskiego, mógłby zaryzykować, ale jeśli ten klucz zawiedzie, spali sobie podejście pod zakonnik.

Nie dopalił camela nawet do połowy, kiedy wróciła Anka, i to z prawie pełnym słojem rozpuszczalnego jacobsa.

- Mogłeś w międzyczasie nastawić wodę - powiedziała, sypiąc kawę do dwóch kubków, choć do swojego po chwili wahania i tylko niepełną łyżeczkę. Co do surowo zabronionego papierosa, skrzywiła się, ale zwrócić uwagę Stawkowi? Tego wyraźnie wolała uniknąć. - No to mi wyjaśnij, dlaczego tak ci zależy na tej Nowak.

- Zależy? - Dziennikarz wychylił się, zerknął, czy nikt nie wygląda przez sąsiednie okna, i cisnął papierosa na trawnik. - Wcale. Zrobię z nią krótki wywiad i zapomnę.

- Mówiłeś o cyklu. - Anka zajrzała do czajnika, ale woda dopiero zaczęła puszczać pierwsze bąbelki.

70

- Mówiłem. - Stawek zamknął okno. - Jeśli chcesz, możesz

go wziąć.

- No to po co ci ta ściema? - Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- Powiem ci tylko z powodu tej kawy. - Obrócił w dłoni słój I z jacobsem. - To jest właśnie kluczowa sprawa w twoim szkoleniu. Agnieszka Nowak przebrała się w żakiecik czy inną garsonkę i uwierzyła, że to pierwszy krok w dorosłe życie. Takich gówniar w naszym mieście uniwersyteckim mamy od cholery |po fundacjach, młodzieżówkach partyjnych i innych takich, ona akurat jest z młodzieżówki, z Brony. Obciach, ale póki co partia jeszcze w parlamencie. Mnie to zupełnie wisi, to tylko haczyk do rozmowy, który, sama słyszałaś, łyknęła. Gorzej, |gdyby nie było haczyka, bo przecież normalny człowiek nabrałby podejrzeń, dlaczego facet z gazety w ogóle chce z nim |gadać. No i dzień się wreszcie zaczął! - westchnął, smakując pierwszy

łyk. - Szkoda, że dopiero o tej godzinie.

No ale co? - Stażystka wsypała sobie cukru i teraz krytycznie spojrzała na pełną zacieków łyżeczkę. Zamieszać nią kawy

nie miała odwagi. - Po co ci taki haczyk?

\ - Wystarczy, Aniu, że ja wiem po co. - Pierwszy łyk jacobsa |Wyraźnie poprawił mu humor. - Tobie powiem tylko tyle, że czasem warto wykreować pięciominutową postać z ta-|kiej Nowak, żeby sobie zrobić podejście pod kogoś innego.

| Mało to durnych wywiadów drukujemy? Nikt na to nie zwróci |Uwagi.

Za to ty zwrócisz na siebie uwagę - stwierdziła.

- No teraz to ja cię nie rozumiem. Że co, za przystojny jestem? - Zaśmiał się znad kubka.

Nie, chodzi mi o to, że jeśli masz urobić na politykę panienkę w garsonce, to chyba nie w tej twojej kurtce. Ona się nadaje na gadki z gośćmi od nielegalnych wyścigów.

I wiesz co,

71

włosy masz jakieś takie... - Skrzywiła się, sięgając do torebki. Po chwili grzebania wyjęła tubkę żelu. - Przyda ci się jakiś atut pozawerbalny.

- A jaki atut spowodował, że ktoś dał ci kawę? Przecież nikt nie pożyczka, boby mu wypili w jeden dzień.

- Nic nie spowodowało - uśmiechnęła się Anka. - Pani Teresa wyszła do klopa, to jej zabrałam.

Na Krakowskim Przedmieściu Stawek przejrzał się w szybie księgarni. Na wystawie wciąż stały Sekrety Watykanu Fratti-niego, ale dziennikarza zainteresowało znacznie bardziej to, że w marynarce narzuconej na sportową koszulę i z podrasowaną fryzurą wyglądał prawie jak przewodniczący Brony, oczywiście w tych latach, gdy w bojach z obcym kapitałem dopiero zakładał związek, a nie udawał ministra.

Coffee Heaven, centrum handlowe Plaża, godz. 11.30 Tomek coraz częściej nerwowo spoglądał na zegarek. Agnieszka Nowak miała skończyć ćwiczenia o jedenastej i od razu przyjść na spotkanie. W innej sytuacji by się nie stresował, milion nieprzewidzianych rzeczy może człowiekowi urwać piętnaście minut, dojdzie to co

najmniej kolejnych dziesięć, jednak za bardzo przypominało mu to czekanie na Janczarskiego. Miał pecha z nim, więc mógł mieć też z jego córką. No ale gdyby i jej ktoś zamknął usta, zrobiłby to już przedwczoraj, więc w ogóle by nie zadzwoniła. Zapach kawy nęcił, chociaż swoją przedpołudniową dawkę kofeiny dziennikarz przyjął pół godziny temu w redakcji. Skoro jednak głupie espresso kosztowało tu ponad sześć złotych, to musiało pachnieć. Stawek wziął jeszcze jeden sok i znów usiadł przy stoliku w kafejce rozmiarów garderoby, usytuowanej między ruchomymi schodami. Jego rozmówcy lubili się tu

spotykać, takie popularne publiczne miejsce, a Stawek zawsze miał wrażenie, że ktoś go podsłuchuje, i nerwowo rozglądał się na boki.

Na przykład ten facet przy sąsiednim stoliku, przeglądający „Wyborczą”. Mógłby ich nagrać, jak pięć lat temu naczelny tej gazety pewnego producenta. Co on w ogóle tu robi o jedenastej w południe? Przy stojaku z prasą studenci, głośno komentowali niedogodny, jak zwykle, plan zajęć - mógłby zacytować i puścić z tytułem Życie na korytarzu. Obok barierki przebiegła jakaś prawniczka z wielką teczką i togą pod pachą, zapewne skracając sobie przez galerię drogę do sądu. Przepływały leniwie trzy identycznie blond tlenione nastolatki w obcisłych biodrówkach. Stawek odruchowo odprowadził je wzrokiem, jego palce nerwowo zwijały w rulonik ulotkę reklamującą nowy, „orientalny” smak kawy.

. - Klony - mruknął do siebie. - Nie, jedna wyższa.

Wyjął komórkę, żeby zadzwonić do Anki. Ta Nowak nie знаła przecież jego numeru. Jeśli coś jej wypadło, mogła przekreślić tylko do redakcji. Ale wtedy zobaczył córkę Janczarskiego, która stukając obcasami i rozglądając się, szybko przeszła obok trzech nastolatek.

- Pani Agnieszko! - Stawek pomachał jej od stolika. - Siląc się na spokój, wstał i wciągnął brzuch, żeby zapiąć górny guzik za ciasnej marynarki. Usłyszał jednak odgłos pękającego szwu, więc dał sobie spokój.

Tomasz Stawek, bardzo mi miło. - Lekko uściśnął jej dłoń. Była chłodna i znacznie bardziej koścista, niż się spodziewał, sądząc po okrągłej, plastusioawatej twarzy

dziewczyny. - Ma pani ochotę na coś do picia?

Oczywiście miała ochotę, i to na kawę z różnymi szykanami, za ponad piętnaście złotych.

Czy my się skądś nie znamy? - zapytała.

72

73

Teraz był już całkiem wdzięczny Ance za zmianę imidżu. Skoro mgliście kojarzyła jego twarz, w motocyklowej kurce rozpoznałaby dziennikarza na sto procent.

- Nie - skłamał - chociaż mogliśmy się gdzieś minąć. Przez chwilę nie był pewien, czy nie zapłacze się przez ten

wybieg jeszcze bardziej, ale trafił. Ona nie drażyła wątku, a on dostał do ręki sznurek, za który będzie mógł pociągnąć, kiedy postanowi skierować rozmowę na Glińskiego. Spodziewał się, że odpowiedzi na pytania o jej działalność w Bronie pójdą jak z automatu, tu jednak niespodziewanie natrafił na opór.

- Rozumiem, że te ostatnie afery wokół pani partii to problem dla młodych działaczy... - zaczął, próbując drogi okrężnej, ale Agnieszka Nowak nie dała mu dokończyć.

- Seksualne? - zaśmiała się. Stawek nie umiał zgadnąć, czy dlatego, że miała z nimi jakiś związek, czy może bardzo chciałyby mieć. - Bo jeśli chodzi o rolne, to ja chyba nigdy w życiu nie byłam na wsi. I mam alergię na trawy i sierść.

- Dlaczego więc działa pani akurat w Bronie?

- Bo ja wiem? - wzruszyła ramionami. - A dlaczego pan pisza akurat do „Kuriera”? Spojrzał na nią podejrzliwie. Przypomnił sobie wywiad Bozi z ojcem Glińskim, który niewątpliwie posiadał sztukę spławiania dziennikarzy. Ta mała próbowała z nim podobnych gier. Opanowała kilka chwytów, skończy się jej repertuar i zwieje? A może wychodzi jej to przypadkowo, jak to bywa z idiotkami. W każdym razie zaczęło się robić ostro i ciekawie. I cynicznie.

- Sprawia pani wrażenie roz... - zaczął ostrożnie, jednak] nie dokończył, bo z torebki Agnieszki Nowak odezwała się komórka. I nie była to melodia ze spotów

wyborczych Brony, ale po prostu z Kill Billa. Dobry film, mimo to Stawek zmartwiał. Nagłe telefony ostatnio źle mu się kojarzyły.

74

- Tak?... Cześć, Andrzej! - I tyle zdążyła powiedzieć, nim ich rozłączyło. Popatrzyła na wyświetlacz komórki, z którego znikły wszystkie kreski zasięgu, potem na ruchome schody. -no?! W Plazie. Pla-zie! - wysylabizowała, kiedy telefon znów zadzwonił i znów zamilkł.

Zaraz jednak dostała SMS-a i uśmiechając się przeproszająco, zaczęła pisać odpowiedź. Jej palce z wprawą przemykały po klawiaturze, chociaż nie wydawały się już Stawkowi ani trochę kościste. Raczej pasujące do tych większych komórek, jak choćby stara nokia Glińskiego. Wychylając się dyskretnie, zobaczył, że napisała coś o kawie i zakończyła wiadomość tradycyjnym „do zobaczenia”, a nie „papatkami”. Teraz wszyscy grali lolitki, nawet faceci, przez Gadu-Gadu i japońską mangę. Ale ona nie, dorosła jak cholera. Odłożyła komórkę i uśmiechnęła się do Tomka.

Sprawia pani wrażenie rozczarowanej swoją partią.

Nie, dlaczego? - Łyknęła kawy. Pospiesznie, niczym wódki. -no ale moja koleżanka... Ona robi sobie CV dziennikarki... No to dlaczego ona może popracować trochę w Radiu eR, potem na przykład w Radiu Centrum i nikt się jej nie pyta, czy to z rozczarowania. A Brona ma ofertę dla różnych ludzi, dla młodych i wykształconych też.

Stawek zauważył, że po odebraniu komórki zmieniła poglądy. Już prawie była gotowa przelecieć się po Bronie z lewa na prawo i z powrotem, a teraz łagodziła ton. I nie wzruszała ramionami, tylko co chwilę poprawiała grzywkę.

Przypomniałem sobie - zaryzykował dziennikarz. - Rzeczywiście się spotkaliśmy. Naprawdę? - Jednak się zdziwiła. I chyba autentycznie. Na KUL-u. Byłem na wykładzie ojca doktora Glińskiego. Miałem z nim porozmawiać o Komisji Ducha i Prawdy, ale na Korytarzu doszło do jakiejś kłótni. Z ciekawości, czy pani wie, co się właściwie stało?

75

- Nie wiem dokładnie, jak pan chce, mogę zapytać ojca doktora - powiedziała

obojętnie.

Stawek na chwilę zgłupiał. Mówiła o tym tak po prostu? Nie, wyraźnie dostawał jakiejś manii! To, że on od dwóch dni żył tylko perspektywą zahaczenia tego dominikanina, nie znaczyło przecież, że wypatrywały go również wszystkie satelity i Agnieszka Nowak na dodatek. Ona pewnie więcej myślała o facecie, z którym przed chwilą umówiła się na wieczór, niż o Glińskim.

- Na następnych zajęciach? - rzucił dziennikarz.

- Nie - pokręciła głową - na KUL-u trudno z kimś porozmawiać, za dużo nawiedzonych panienek. Ale mogę się z nim widzieć w weekend. Chyba pojedę do Kazimierza na sesję koła naukowego, a on będzie brał udział w panelu.

- A o czym jest ten panel? - spytał Stawek.

- Pewnie o Żydach, popach albo protestantach. - Zaśmiała się. - Te wszystkie nawiedzone panienki patrzą na niego jak w święty obrazek, on w kółko o ekumenizmie i przenikaniu się kultur!

Czechów, mieszkanie Agnieszki Nowak, godz. 17.20 Na spotkanie z tym dziennikarzem Agnieszka Nowak poszła w sumie tylko na złość Bronie. Pewnie, młody działacz jest dobry, kiedy trzeba robić tłok na mityngu, rozdawać ulotki albo rozlepiać plakaty. Potem aut! I wcale nie zamierzała tego ukrywać - dopóki nie zadzwonił Andrzej. Jakby wyczuł, w ostatniej chwili.

Teraz siedziała przed telewizorem i ostrożnie, powolnymi ruchami pędzelka nakładała lakier na paznokcie. W TVN24 nazwisko przewodniczącego partii wciąż było na topie, choć odmieniano je już raczej przez przypadki zależne. Nie „przewodniczący oświadczył”, ale „przewodniczącego wezwano”, przewodniczącemu zarzuca się” i „aresztowany zeznał o przewodniczącym”. Były koalicjant kopał go po brzuchu. Czarny WK. A lakier na paznokciach czerwony. Zmieniła kanał. Tam leciało prawie to samo, tylko jak to na amerykańskim filmie, zamiast polityków kopali się zwykli przestępcy.

Mogła na nich patrzeć całkiem spokojnie, mimo że dopiero co sama miała do czynienia z podobnymi facetami. W realu już jako dzieciak nauczyła się przyjmować wszystko na klatę

! nie rozdrapywać bolesnych spraw. Miała chyba ze dwanaście lat, kiedy w jedną z tych niedziel, które spędzała z ojcem, kazał jej oglądać Śmierć jak kromka chleba. On się ekscytował jak inni faceci na meczu, wkurwiał, wstawał i palił, a ona oglądała i tyle.

- Czy ty rozumiesz, Agusiu, przez co myśmy przeszli? - zapytał w końcu.

To myśmy mieszkali na Śląsku? - udała głupią. I podziała. Nie katował jej stanem wojennym i esbekami,

! dopóki nie zaczęła liceum. No ale wtedy potrafiła już sama !Ustawiać spotkania z ojcem, kiedy miała do niego interes. Coś !ej się w końcu należało. Że stał krucho z kasą, chociaż obalił !komunę, to nie był jej problem.

Aga w politykę weszła głównie na złość ojcu, chciała mu pokazać, że to taki sam biznes jak każdy inny i że poglądy są w nim akurat najmniej ważne. Trafiła na idealny moment, bo w 2005 roku, kiedy wszystkie partie dostały przedwyborczej hysterii, ona startowała w olimpiadach z wiedzy o społeczeństwie, prawach człowieka, Unii Europejskiej i innych

! dupersznitach. Ludzie walczyli o łatwy wjazd na dobrą uczelnię, naganiacze od młodzieżówek szukali świeżej krwi i twarzy.

Inni za frajer udzielali się w klubach politycznych, ona zawsze !pytała, co miałyby robić i co będzie z tego mieć. Brony wcale

76

77

nie traktowała poważnie, uruchomienie YouTube'a było dla niej znacznie ciekawsze niż problemy polskiego rolnika. Niezbyt się jednak odnalazła jako kawałek pokolenia JP2, a Andrzej Bęciał -szef biura regionalnego i młodzieżówki, a wkrótce także poseł Brony - okazał się najbardziej konkretnym z naganiaczy. I kiedy tylko nie musiał nosić tego obciachowego krawata w partyjnych barwach, po samym jego ubraniu widać było pieniądze. Jak po ojcu Glińskim...

Obejrzała krytycznie swoje paznokcie i uśmiechnęła się. Na każdym do czerwonego podkładu dodała pasek żółty, a obok niego zielony. Kolory rasta. A przypadkiem także Brony! No bo że przewodniczący nie słuchał Boba Marleya, tego była pewna.

Na konwentach przedwyborczych najlepiej się bawił przy disco polo. Jak zresztą wszyscy, w tym ona sama. „idź się pobawić na podwórko”, mówiła matka, kiedy chciała pogadać z ojcem. Agnieszka szła i nikt nie mógł powiedzieć, że źle się bawiła. W młodzieżówce Brony też nie.

Zresztą prawdziwa impreza zaczynała się później, zwykle w puławskim mieszkaniu Andrzeja. Parę razy wylądowali w łóżku, w tym pokoju na samej górze, z widokiem na port wiślany. Nie robiła tego na złość ojcu ani matce, sama miała ochotę. I pewność, że dostanie się na listę. No i się dostała... Tylko teraz Brona była już wyautowana z rządu, nawet z tej części opozycji, która miała coś do powiedzenia. Czego on może chcieć?, zastanawiała się, dmuchając na manicure i uważnie polerując paznokcie, które zdążyły wyschnąć. Cała Brona idzie w dół, więc Andrzej uznał, że to ostatni moment na dziki pożegnalny seks? Nie, takich facetów jak on seks najbardziej jara, kiedy są na topie. Teraz bardziej by się bał ukrytej kamery albo dyktafonu niż braku erekcji. Więc ma do niej sprawę... Gdyby tak wiedziała, jaką i czego może żądać

w zamian.

78

Skończyła kolejny paznokieć i na chwilę zagapiła się w telewizor. Bandyci już się nie tłukli, teraz któregoś z nich obezwładniał policjant. Przytrzymał go lewą ręką, a prawą sięgnął za plecy do paska, gdzie miał kaburę na kajdanki. Ten ruch! Dokładnie to samo zrobił Gliński wtedy na skwerze pod KUL-em, choć przecież nie miał żadnych kajdanek. Kiedy wyrobił w sobie taki odruch? W poprzednim życiu?!

O kurwa! - Bezmyślnie pociągnęła polerką, o mało nie psując całej roboty przy paznokciu serdecznego palca. - Agnieszko! - usłyszała karcący głos z kuchni.

Uśmiechnęła się. Matka miała radar bezbłędnie wyłapujący bluzgi. „Nie przy dziecku”, „Nie przy Agnieszce” - od tego zwykle zaczynały się jej kłótnie z ojcem, kiedy mieszkali wszyscy na Hanki Sawickiej... nie, chyba świeżo zmienionej na Świętoduską. Ale kiedy przed blokiem chłopaki z osiedla zaczynali nocne imprezy i kurwy leciały aż na dziesiąte piętro, matka spała. Jak wszyscy.

Krakowskie Przedmieście, „Vanilla Cafe”, godz. 19.30

Wrzosowe wnętrze lokalu teoretycznie powinno silnie oddziaływać na psychikę, wyciszając i łagodząc nerwy, mimo to Andrzej wciąż wystukiwał palcami wściekły rytm na szklanym blacie stolika. Ułożone pod grubą szybą archipelagi kamieni, przypominające japoński ogród skalny, złościły go jeszcze bardziej. [Miał ogromną chęć rozpieprzyć tę kompozycję, a przynajmniej zgarnąć kamyki na bok, jak to się robi z pierdólkami zagracającymi biurko. Kiedy jednak weszła Agnieszka Nowak, podniósł się uśmiechnięty i zrelaksowany. Tylko dymiący niedopałek papierosa świadczył o tym, że zdusił go zbyt nerwowo.

Dobry wieczór, długo pan czeka? - zapytała, spodziewając się, że ten jej dystans zamiesza mu trochę w planie. Bo jakiś plan tej rozmowy miał, to pewne.

79

- Nie ma o czym mówić, Aga, i tak przyszedłem za wcześnie. - Wziął od niej płaszcz i podał przechodzącej kelnerce. Ta zdziwiła się, ale wzruszyła tylko ramionami i powiesiła okrycie na wieszaku przy schodach. - O, jaki polityczny manikiur! - zauważył, podając jej rękę. - No właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

- O manikiurze? - Usiadła. Paznokcie w barwach Brony za-(dzwoniły o szkło cicho i jakoś tak chłodno. Bęciał nie dał się zbić z tropu, a przynajmniej nieźle udawał. - No bo chyba trochę późno, żeby mi pan proponował miejsce na liście wyborczej?

- Zaproponować to ja ci mogę kawę. - Swymi szczupłymi palcami pianisty albo urodzonego kieszonkowca wyłuskał z paczki kolejnego papierosa. - Chyba że wolisz coś mocniejszego. A od kiedy jesteś ze mną na pan?

- Chyba od jakiegoś czasu. - Poprawiła grzywkę. - Odkąd tak przytłoczył mnie twój partyjny autorytet.

W pierwszej chwili nie była pewna, czy taktyka na bezczelną jest najlepszym pomysłem. Wprawdzie to on miał do niej interes i jego też nie było na liście - czego nie omieszkała sprawdzić zaraz po telefonie - ale wciąż to on miał dłuższe ręce. I palce.

Jednak Bęcwałowi tego dnia wszystko pasowało. Chociaż wyautowany, myślał pozytywnie. Jego pociągłą, niesymetryczną twarz zwykle wykrzywił ironiczny uśmiezek. Tym razem nic z tych rzeczy. Nawet nie zwrócił uwagi kelnerce, która

przyniosła im kartę dopiero po kilku minutach.

Odnalazł Jezusa?, pomyślała Agnieszka.

- Wybory? Nie, nie, Aga, tym razem pas, nie wchodzę! - pokręcił głową, kiedy już zamówili: on caffe latte, ona cappuccino. -Przewodniczący przekombinował i wszyscy jesteśmy w dupie. Nie trzeba było robić przekrętów z działkami rolnymi.

- I nie drażnić feministek? - podsunęła.

I nie wchodzić do rządu. Dlatego te wybory mnie nie kręca, niech sobie sam tonie. Ale przyszłe czemu nie! Za cztery lata kto będzie pamiętał? I tu właśnie możesz się przydać. Przydać? Stary numer. Pewnie znowu szykował dla niej miejsce na liście samorządowej. Tyle że ostatnie! Kiepski dii w mieście, które od zawsze głośnie na katolickich prawaków, teraz już to wiedziała. Zresztą nawet na zadupiu, jakiego by trzeba oparcia? Sto procent?! Takich cudów nie ma.

- Aga, dii jest dii - uśmiechnął się Bęciał, jakby odgadł jej myśli. - Za cztery lata będziesz po studiach i po cholere ci startować na radną. Etaty w ratuszu też przecież pójdą parytetowo.

- Sekretarek? - Zebrała łyżeczką creme i oblizwała z miną słodkiej idiotki.

I - Zastępców kierowników także.

To już brzmiało lepiej, ale wciąż miała wrażenie, że ją wkłęca. Przewodniczący nie przekombinował, po prostu dał się wykończyć, i to w dwie strony. Stare działaczki będą mu dłużej pamiętać seks afery z dołami partyjnymi niż prokurator te całe działki. Do przyszłych wyborów śladu nie zostanie z Brony. W większości parlamentarnej znowu w pojedynkę nikt nie ugra... plisować się na mniejszego koalicjanta? Nie starczy miejsc na-t dla starych działaczy, a ona może sobie lecieć na zmywak do Londynu!

Ale z jakiej listy? - roześmiała się. - Cztery lata i Brona reaktywacja?

Brona bis w V Rzeczpospolitej? Dobrze! - Bęciał stuknęła szklanką latte w jej filiżankę.

- Nie, idea jest inna. To nie działacz potrzebuje partii, a partia działaczy. Ale po samej młodzieżówce jeszcze tego nie ogarniasz.

Zdziwiłby się, wszystko ogarniała. Choć o tym akurat nigdy nie rozmawiali, bo nie było okazji, nawet w łóżku. A poza

80

81

łóżkiem szły tylko teksty jak to między kierownictwem regionu a narybkiem. Pijar i motywowanie. Może i w terenie ktoś tam wierzył, że Unia Europejska myśli tylko o tym, jak skrzywdzić polskiego rolnika, ale Lublin, choć wsiowy, był jednak wojewódzki. Szło się w te struktury, gdzie był popyt. Żeby jakoś zacząć. No, może poza kato-oszołomską Prawą Rodziną, bo ci zawsze mieli ideowe zaplecze skinheadowskie przy w sumie gównianych wynikach. Ostatnio popłynęli tylko na bocznej fali.

Dlatego rozumiała i to, że nie zadzwoniłby do niej, gdyby nie było czegoś, co akurat od niej mógł kupić. Tylko wciąż nie miała pojęcia, co to miałyby być. Tym bardziej, ile za to chcieć.

- Choć w sumie, Aga, to masz trochę racji - podjął Bęciał. - Będzie reaktywacja, tylko pod innym szyldem. Wiesz, czym się różni polityka od biznesu? Bo w polityce bankrutujesz, ile razy zechcesz. Jesteś młoda, ale pamiętasz może wańkę-wstańkę?

- Że stawiasz ją na głowie, a ona sama się wstaje?

- Ano właśnie! - Zaciągnął się papierosem. - Ja na przykład byłem chyba we wszystkich partiach poza SLD i żyję.

Wziął ją za rękę. Dłoń miał lekko wilgotną i zbyt ciepłą, jednak nie cofnęła swojej. Chciała zobaczyć, co będzie dalej.

- Zabawny manikiur, ale zmyj. - Przejechał opuszką palca po jej paznokciu. - Zdobędziesz pierwsze doświadczenie polityczne.

- A jakie będzie drugie? - Zabrała rękę i sięgnęła po swoją kawę. - Przekonać się, że nie można zgwałcić prostytutki?

- Ależ z ciebie ideowa dziewczyna! - Zaśmiał się. - Wciąż tylko cytujesz przewodniczącego.

Nawet nie przypuszczała, że da radę tak dobrze wejść w tę rozmowę. Spodziewała się raczej, że to będzie jakaś poważna rekrutacja, tymczasem przyszła na zwykły egzamin. Średnio przygotowana, za to w odpowiednio krótkiej spódnicy.

- Sama widzisz, jaki wytwarza się układ. - Bęciał zgasił papierosa. - Po wyborach wypada z gry Rodzina i Brona i obie Idą w rozsypkę. Solidna Polska w opozycji, bez stołków, a zaplecze coraz bardziej podkurwione. Widzę dwa wyjścia: albo się rozpada jak AWS, albo konsoliduje i na przyszłe wybory potrzebuje profesjonalistów. Jak to dobrze rozegramy, to my będziemy profesjonalisci. Tylko widzisz, Aga, trzeba by mieć

coś mocnego na wkupne...

Zawiesił głos. Gdyby go nie znała, pewnie nawet dałaby się nabrać, że po prostu czeka na jakiś pomysł, jak podczas tych sesji burzy mózgów w młodzieżówce.

Szybko zauważyła, że pięknie wpuszczał tym wszystkich w kanał, by nie tylko realizowali I Jego koncepcje, ale w dodatku wierzyli w nie jak we własne. Jednak tym razem to ona go zaskoczy, była tego pewna. Tylko spokojnie, nie od razu, niech się jeszcze pomęczą...

- W sumie najbardziej chodzi o ciebie, Aga - podjął. - Córka represjonowanego, którą tata z mamą zrobili na powielaczu, nawet kanapki do szkoły pakowali jej w ulotki. Tak, to jest niezłe dla leszczy, ale przymało na porządny dii. Sama rozumiesz, że chcę cię pociągnąć za sobą, tylko muszę mieć z czym.

- Nieślubne dziecko Kaczyńskiego? - Znów oblizwała łyżeczkę, I tym razem wysuwając koniec języka.

- A którego? - pociągnął żart, udając, że go to bawi.

- Nie wiadomo i na tym polega patent. - Podniosła filiżankę do ust.

- A tak już bez jaj - Bęciał też upił łyk kawy. - Znasz dobrze tego dominikanina, który cię obronił wtedy na Radziszewskiego?

Odstawiana filiżanka zgrzytnęła na spodku. A skąd o tym wiesz? - wydusiła dziewczyna.

- Stąd wiem, skąd opinia publiczna nie wie. - Poseł wzruszył ramionami.

- Mnie powiedzieli na policji, że nie puszczą tego do mediów dla dobra dochodzenia
- wyrwało się Agnieszce.

- A ty uwierzyłaś? - Bęciał pokiwał głową z politowaniem. - Zresztą czy to ważne? Niezły dym by poszedł, gdyby tak zlustrować tego twojego obrońcę. Otworzyć czarną teczkę i wyjąć kwity, jak to sobie marzył jeden niedoszły prezydent. Spojrzała na Andrzeja z niedowierzaniem, zaraz jednak skłęła się za tę chwilę słabości. Bez pytania sięgnęła do jego paczki i wyjęła papierosa. Zaczęła grzebać w torebce, choć akurat zapalniczki i tak w niej nie było. Zaraz, ten dziennikarz z „Kuriera” też zaczepił ją o ojca Glińskiego! W sumie przy okazji, ale może tylko tak zagrał?

- Polityka, Aga - podał jej ogień - to jak brydż. Zbiera się lewy, tak? Tu zbiera się kwity. Kto ma więcej, wygrywa.

- A co nam może dać taki zakonnik?

- IPN ma kwity nawet na zupełnie zwyczajnych ludzi. My dwoje nie chcemy przecież być gorsi. Nigdy nie wiadomo, co się przyda. Kiedy i komu.

Nie była pewna, czy to ten wszechobecny w „Vanilli” fiolet wyostrzył jej intuicję, czy sprawiło to coś innego, ale nagle nabrała przekonania, że to jest ta okazja - coś w rodzaju skoku przez mur stoczni w wykonaniu agenta Bolka albo Lecha Wałęsy, jak kto woli.

- Nigdy nie wiadomo co i kiedy? - uśmiechnęła się ironicznie. - Nie dzwoniłbyś do mnie, gdybyś nie miał żadnego planu.

- Planu? - Bęciał obrócił w rękach filiżankę. - Nie mam żadnego, naprawdę. Za to koncepcji nawet kilka. Gość jest w tej nowej Komisji Ducha i Prawdy. Nie ciekawiłoby cię sprawdzić, czym ona się tak naprawdę zajmuje? Albo lepszy motyw! Jest sobie ten Gliński i ta komisja, umocowana bezpośrednio przy episkopacie. Jakby tak ostro wziąć Glińskiego na widelec, może dałoby się tak zrobić, żeby w niedzielę przed przyszłymi

84

wyborami każdy klecha w każdej parafii powiedział ze dwa ciepłe słowa o naszej nowej formacji. Jakie to by było wzruszające, nie uważasz?

- Oki - kiwnęła głową - ale skąd mogę wiedzieć, że nie obudzę się z ręką w nocniku?

- Aga, skąd ta nieufność? - Andrzej uśmiechnął się ironicznie. I Jeden kącik ust

poszedł w górę, drugi został na swoim miejscu. Znowu był tym Bęciałem, którego pamiętała z kampanii I wyborczej. Szybko jednak przybrał poprzedni wyraz twarzy, ten pełen dystansu. - Możesz mi ściemnić, co tylko zechcesz,

I to raz. Ten wariant ci się zupełnie nie opłaca, no ale założmy teoretycznie. Dwa, czyja ci każe mówić mi wszystko, co wiesz

II czego się dowiesz? No i trzy, możesz przecież pójść do niego i powiedzieć, do czego cię nakłaniałem. I kto tu kogo trzyma [za jaja? Zamówić ci jeszcze coś do picia?

- Sok pomarańczowy, ja zaraz wracam.

Dopóki nie otworzyła drzwi damskiej toalety, starała się iść jak najwolniej, relaks, zero stresu. Przekręciła zamek, stanęła przed lustrem i zaczęła pedantycznie namydlać spotniałe dłonie. Cholera, że też wcześniej nie przyszło jej do głowy, po co Bęciał zaproponował to spotkanie! Jasne, była mu potrzebna, ale znowu to on był górą. „A skoro już zaczęłaś o nowej formacji, mówi ci coś nazwisko Gliński? Marek Gliński. Taki zakonnik, którego mój ojciec uważa za esbeckiego agenta.

Utopilibyśmy go razem, to teraz takie trendy i Bym zapomniała, on potrafi zapiąć kajdanki jak komisarz Zawada z Kryminalnych", tak właśnie mogłaby powiedzieć, z miną lolitki i oblizując łyżeczkę.

Splukała mydło ciepłą wodą i sięgnęła po papierowy ręcznik. Zaraz go jednak wyrzuciła - był zielony, nie biały, z tych, po których dłonie brzydko pachną. Suszarka też odpadała, bo skóra robi się po niej jak Sahara. Przytrzymując torebkę końcami mokrych palców, zaczęła szukać chusteczek.

85

Dopiero potem sięgnęła po komórkę.

- Tato? Wiesz, mam taką sprawę... Nie, nie, nic się nie stało, to znaczy martwię się trochę... U mnie? Nie, u mnie dobrze... No, wtedy na KUL-u z ojcem Glińskim...

Rozumiem, tato, ale mnie chyba możesz powiedzieć, o co poszło, nie?! Naprawdę się martwię... U ciebie za jakąś godzinę?

Zastygła na chwilę, niepewna, czy się zgodzi. Zgodził się. Dobrze, że nie zamówiła piwa, skoro tego wieczoru postanowiła być grzeczną córcią.

- Wiem, nie chcesz, żebym chodziła sama po nocy, ale spoko, tato, ktoś mnie podwiezie, a potem wezwiesz mi taksówkę... No... no... No to pa!

Nie, jeszcze nic tak na pewno nie postanowiła! Bęciałowi powie, że musi się zastanowić. Ojca rozmiękczy. Potem sama zobaczy, kto będzie mógł dać najwięcej.

Uświadomiła sobie, że znowu zaczęła myć ręce. Bez sensu! Strzepnęła wodę z palców, zrobiła trzy głębokie wdechy i wydechy i przeciągnęła kolorowym paznokciem po brzegu umywalki, łącząc rozbryzgane krople w łańcuszek. Jeden... dwa... pięć... dziewięć... dziesięć. Dziesięć kropli. Uśmiechnęła się na próbę.

Dziewczyna w lustrze nerwowo odwzajemniła grymas.

ROZDZIAŁ V

[Sobota, 6 października 2007 roku

! Droga wojewódzka Lublin-Bochońnica, godz. 11.00 I Co ojciec Jakub miał na myśli, mówiąc dwa dni wcześniej: „Broń nas, Panie, przed franciszkanami”, Gliński szybko zrozumiał, I przeglądając materiały z grubej koperty z lakową pieczęcią Komisji Ducha i Prawdy. Teraz dokumenty, choć wielokrotnie I Już przewertowane, na wszelki wypadek wciąż leżały pod ręką, na obciążonym brązową skórą przednim fotelu pasażera. Ulica Nałęczowska niepostrzeżenie przeszła w obsadzoną topolami szosę, wąską i meandrującą niczym pobliska Czechówka. Z Rzymu ojcu Jakubowi najwyraźniej wszystko wydawało się proste, jednak Gliński nie był tego taki pewien. Dwa listy, które miały otworzyć mu drzwi... Tak, te wyglądały solidnie: oba z pieczęcią Kongregacji Nauki Wiary i podpisem I samego kardynała Levady. Jeden sekretarze prefekta zaadresowali do byłej przełożonej generalnej Zgromadzenia Sióstr I Rodziny Betańskiej, siostry Lidii Jadwickiej; ten nasycili troską tak ostrożną, że wcześniejsze zalecenia speckomisji Kongregacji I Instytutów Życia Konsekrowanego, o pismach lubelskiego metropolity nie wspominając, wydawały się chamskim waleniem pięścią w stół. „Za osobistym poleceniem Ojca Świętego prosimy zatem - pisali do zbuntowanej od dwóch lat betanki, którą

dla całego Kościoła rozstrzygnięcia staną się faktem, o udzielenie krótkiej gościny bezstronnemu wysłannikowi Kongregacji i wspólną z nim modlitwę o łaskę porozumienia". Gliński nieodmiennie był pod wielkim wrażeniem watykańskiej dyplomacji: nikt inny nie potrafił stawiać ultimatum w taki sposób, jakby to była uniżona prośba.

Nie zwalniając, wjechał w dwa następujące po sobie zakręty, ale zaraz przyhamował przed autobusem, który wolno włókł się pod górę ku Płouszowicom.

List do gwardiana kazimierskiego klasztoru Zakonu Braci Mniejszych, ojca Grzegorza Jordana, przypominał raczej gotowy szablon, który kancelaria uzupełniła o nazwisko adresata. Dominikanin miał zresztą tylko jego kopię, bo oryginał posłano kurierem dwa dni wcześniej. Sucha treść jednoznacznie wskazywała, że Kongregacja nie bierze nawet pod uwagę odmowy użyczenia gościny „bezstronnemu wysłannikowi”. Zapewne jednak - jak pomyślał z ironicznym uśmiechem Gliński, wjeżdżając w łagodny łuk przed Tomaszowicami - różnica w tonie obu pism wynikała tylko i wyłącznie z ewangelicznego nakazu, by pasterz szczególną troską otaczał te owce, które oddaliły się od stada.

Droga ostrym zakrętem omijała zalesioną skarpe, jednocześnie pnąc się pod górę. Dominikanin pokręcił głową, wyprzedzając wyraźnie podciętego rowerzystę, i znów wyjechał na prosty odcinek. Ledwie jednak dodał gazu, musiał się zatrzymać przed zamkniętym szlabanem na przejeździe kolejowym w Miłocinie.

W pakiecie był jeszcze program konferencji młodych historyków, całkiem sprytna przykrywka wyjazdu do Kazimierza, zwłaszcza że Dom Pracy Twórczej KUL-u znajdował się niemal w sąsiedztwie posesji betanek. W dodatku Gliński nie musiał wygłaszać żadnego referatu, a tylko wziąć udział w panelu dyskusyjnym. Bardzo dobrze, bo jechał kompletnie nieprzygotowany; przedwczorajszy dzień spędził na wertowaniu materiałów o ojcu Kazimierzu Romanyszce, guru zbuntowanych zakonnic, a wczoraj doszedł jeszcze problem z Janczarskim.

Gliński zacisnął dłonie na kierownicy, wyprzedzając brudny Pekaes. Wrócił na swój pas z lekkim poślizgiem, jeszcze nie wyczuł nowego samochodu.

I nie wyczuł jeszcze sytuacji, w której się znalazł, gdy ze wszystkich stron opadły go

przeszłe, obecne, a może i przyszłe złe uczynki. Był Judaszem czy raczej Ebenezerem Scrooge'em Dickensowskiego moralitetu? I pytanie, czy Gutenberg odgrywał ostrzegawczą rolę Marleya, dawnego partnera w interesach, czy był duchem przyszłych świąt Bożego Narodzenia.

Zakończenie Opowieści wigilijnej zawsze dominikanina lekko wytrącało z równowagi. Scrooge tak niewiele wysiłku potrzebował, by przekonać ludzi o swojej przemianie. Może jawne Krzywdy łatwiej się wybacza...

Nie tylko Dickens, także KUL potrafił zaskakiwać wiktoriańską moralnością: wziął w obronę swego byłego rektora, kiedy pod koniec zeszłego roku „Rzeka” wyciągnęła mu współpracę || SB. Czy Gliński mógłby liczyć na podobną solidarność swej AlmaMater co arcybiskup Wielgus? W to, nie będąc ekscelencją, szczerze wątpił. Gdy tylko dokumenty świadczące o rzekomej współpracy jego byłego profesora znalazły się w internecie, ojciec doktor [przejrzał je bardzo dokładnie, i to nie z powodu swojej służby w Officium. Z czysto osobistych pobudek. Nic w nich nie znalazł, nieco ciekawszy był sam arcybiskup: wcześniej służący uniwersytetowi i Kościołowi z rzetelnością niepozobawioną pychy, co dominikanin rozumiał jak mało kto, a teraz szczerze zdziwiony, że ktoś śmie go o coś oskarżać.

88

89

Cóż, Gliński znów musiał zawierzyć wszystko ojcu Jakubowi, dla którego w prostym przesłaniu Opowieści wigilijnej nie mogło być miejsca.

Przed Sadurkami topole po obu stronach drogi jakby się ście śniły, kilka liści uniesionych wiatrem spadło na maskę, jeden długo furkotał, wciśnięty pod wycieraczkę. Gliński wychylił się kilka razy na lewy pas i wracał, przepuszczając jadących z przeciwka, nim zdołał wreszcie wyprzedzić rozklekotaną furgonetkę.

Po Wielgusie gazety szybko znalazły sobie nowego antyboha tera. Ojciec Romanyczko miał ku temu wiele przydatnych cech, między innymi fascynację ruchami charyzmatycznymi, przez co nadawał się do wszelkich spekulacji, czyniących z niego przywódcę sekty, i do tego dobry kontakt z kobietami, co czyniło z niego kandydata na Rasputina. Szybko oczarował siostrę Jadwicką, a potem zaczął

otwierać na Ducha Świętego młode zakonnice i nowicjuszek. Już w lutym „Wysokie Obcasy” wykreowały go na rzeczywistego przywódcę buntu betanek, która przestała odpowiadać służebna rola ich zakonu i którym marzyła się „wiosna Kościoła”. Zdymisjonowana przełożona generalna, mimo swych objawień, skwapliwie podjęła się grać przy nim drugie skrzypce. Romanyczko stanowił idealny temat, zarówno dla mediów katolickich, już od lat coraz bardziej ostrożnych wobec wszelkich oddolnych odnowicieli chrześcijaństwa, jak i poszukujących obyczajowych sensacji pism kolorowych. Jedno tylko musiało nurtować dziennikarzy „Wprost” czy „Wyborczej”: ów wykluczony z zakonu franciszkanin był nie do ugryzienia od strony politycznej.

Tak przynajmniej wydawało się mediom, a z dokumentów Glińskiego, które zsunęły się z fotela i rozsypały po podłodze, gdy ojciec doktor zbyt agresywnie wszedł w wąski zakręt przed Wąwolnicą, wyłaniał się znacznie bardziej skomplikowany obraz. Niewiele brakowało, a dominikanin nie musiałby teraz hamować przed tirem, w ogóle nie musiałby tu jechać, bo był pierwszym sługą Officium posłanym do Kazimierza... Tyle że ojciec Romanyczko nie tylko zerwał kontakt ze swoim prowincjałem, co akurat było wkalkulowane w misję, ale również z przełożonymi z tajnej komórki Kongregacji Nauki wiary. A to wyglądało naprawdę groźnie, bo w odróżnieniu od ojca doktora, miał nie tylko zadania dotyczące „stwierdzenia ruchu wokół obiektu, jego stanu i możliwości pozyskania”, też pełnomocnictwa, które gdyby, nie daj Boże, wyszły na jaw...

Broń nas, Panie, przed franciszkanami - mruknął do siebie Gliński.

kazimierz Dolny, Sanktuarium Matki Boskiej Kazimierskiej, godz. 12.00

Dzwon na Anioł Pański zaskoczył Glińskiego, gdy ten opuszczał przyklasztorny parking. Chociaż dzień był ponury i wietrzny, parkowało na nim kilka samochodów. Jakiś starszy, posapujący przy każdym kroku turysta w polarze minął właśnie wiszącą przy wejściu puszkę z napisem „Ofiara za parkowanie”. Gdy jednak spojrzeli na siebie przelotnie i mężczyzna dostrzegł koloratkę pod szyją ojca doktora, cofnąwszy się, zaczął grzebać w portfelu. Co chwilę zerkał na puszkę, jakby miał nadzieję, że ta zniknie, zanim on zdąży wyciągnąć pieniądze. Dominikanin podszedł do topornej

figury, stojącej przy murze, pośrodku wypielegnowanego skalniaka. Maryja uśmiechała się, czy to z powodu turysty, czy po prostu taką właśnie królową Nieba i Ziemi chciał widzieć ludowy artysta. Te pełne policzki, mięsiste usta, błękitny płaszcz zarzucony na głowę jak chustka... Przypominała Glińskiemu jego własną babkę:

tak właśnie wyglądała, modląc się w kościele, po tym jak jej

90

91

powiedział, że chce pójść do zakonu. Odstawił ostrożnie teczkę na ławkę i przyklęknął przed rzeźbą. Jeszcze zanim skończył odmawiać Anioł Pański, kątem oka dostrzegł obok siebie młodego franciszkanina.

Brazowy habit ma jedną niezaprzeczalną zaletę, uznał. Nie widać na nim błota.

-Jestem ojciec Adam. Przełożony oczekuje ojca doktora - oznajmił zakonnik, kiedy Gliński wstał i popatrzył na niego wyczekująco. Zarejestrował przy tym przekrzywiony kołnierz flanelowej koszuli i wystrzępiony T-shirt oraz pobłażliwe spojrzenie, jakim franciszkanin obdarzył strój, teczkę i samochód gościa.

Po kilku stopniach weszli na ganek, skąd wąskie drzwi prowadziły na korytarz, okalający niewielki wirydarz ze starą studnią. Franciszkanin, średniego wzrostu, ale nieprawdopodobnie chudy, podążał pół kroku przed gościem i ojciec doktor, jakby za pokutę, musiał widzieć przetarte nogawki czarnych sztruksowych spodni i przydeptane buty. Glińskiego opanowała przemożna ochota, aby poprawić kołnierz swojego płaszcza, jednak trwał w umartwieniu, rozpoczętym przy tej nikiфорycznej figurze Matki Bożej. Pozwolił sobie tylko odwrócić wzrok od nóg franciszkanina, prześliznąć oczami po starych kamieniach posadzki i gablocie z imponującą historią kazimierskiego sanktuarium.

- Piękny klasztor - westchnął, zerkając na wirydarz. Za wielkim kołowrotem studni dostrzegł dawno nieprzycinany krzew róż oraz kolejną figurę Maryi.

Młody zakonnik przytaknął, ale nic nie powiedział.

- I wiele cierpienia - dodał ojciec doktor.

Franciszkanin zatrzymał się, nieco zdziwiony, tuż przed wiekowym zegarem stojącym obok wejścia do klauzury. Z góry na nich obu spoglądał św. Franciszek, główny bohater całego

92

cyklu obrazów wiszących pod sklepieniem korytarza. Istotnie, i niektórych cierpiał, bez skargi jednak.

- Mam na myśli historię tego zgromadzenia - pospieszył z wyjaśnieniem Gliński. - Udział ojców w powstaniu styczniowym, te kilogramy złota przekazane wówczas na ratowanie ilski, samotna posługa ojca Adriana Gałuszkiewicza, wiele lat później zamienienie waszego klasztoru w więzienie gestapo... przyjechałem tu w innym celu, oczywiście, ale z wykształcenia

(jestem historykiem.

- Jeśli znajdzie ojciec czas, zapraszam do naszego muzeum. Młody zakonnik włożył klucz do zamka. Nie przekreślił go od razu, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz po chwili zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. - Ojciec gwardian czeka.

Przeszli pod obrazem ukazującym śmierć założyciela zakonu. Leżał na prostym łóżku, ręce unosił do błogosławieństwa - albo bronił się przed demonem, którego artysta wolał nie przedstawiać. Na piętro wspięli się po wąskich schodach, małe, kwadratowe okna, zupełnie inaczej niż na obrazie strzegącym wejścia do klauzury, wpuszczały niewiele światła, tylko kadrowały zasnuwane szarymi chmurami niebo. Młody zakonnik zapukał cicho do jednej z cel i przepuściwszy gościa, zniknął.

Zza biurka wstał mocno zbudowany, niewysoki mężczyzna z przerzedzonymi, ale wciąż czarnymi włosami. Podał Glińskiemu rękę ponad blatem zarzuconym porządkowaną właśnie Korespondencją. Uwagę dominikanina zwrócił jego własny polecający z pieczęcią Kongregacji Nauki Wiary między lekturami z marketu budowlanego. To pewnie miał być wyraźny sygnał: my tu mamy konkretne kwestie do rozwiązania, niech hierarchia jak zwykle tropi swoje widma.

Ojciec wybaczy, że nie przywitałem go osobiście - powiedział gwardian. - Grzegorz Jordan - przedstawił się.

- Marek Gliński. Za to wita mnie ojciec teraz - uśmiechnął się ojciec doktor. - Proszę wybaczyć, jeśli trudzę ojca w nie odpowiednim momencie...

- Rzeczywiście, moment nie jest zbyt odpowiedni - wszedł mu w zdanie franciszkanin i przerzucił kilka papierów na biurku. • Przedwczoraj obchodziliśmy wspomnienie świętego Franciszka. Trzeba było wtedy przyjechać. Porozmawiałby ojciec z księdzem wikariuszem i zjadł dobry obiad.

- Byłbym zaszczycony, ale bardziej interesuje mnie rozmowa z ojcem - odparł spokojnie Gliński. - Spokojna rozmowa, ojcie gwardianie. A z ciekawości, ojciec jest może z tych Jordanów od założyciela ogródków jordanowskich?

Przełożony klasztoru spojrział na niego badawczo, już otworzył usta, lecz najwyraźniej odpowiedź wydała mu się nazbyt popędliwa. Natomiast ojciec doktor uśmiechnął się tak zgodniej jak tylko potrafił.

- Raczej z tych maluczkich, którzy sadzili w nich drzewka. Wskazawszy dominikaninowi krzesło, Jordan usiadł i skrzyżował ramiona. Obszerne rękawy jego habitu wypełniały żylaste mięśnie. - A co do nagłej ojca wizyty, cóż... będzie ojciec naszym... - znów urwał - wyjątkowym gościem, lecz poza tym nie wiem, w czym mógłbym pomóc.

- Ojciec z pewnością ma wiele własnej pracy. Będę wdzięczny za gościnę, modlitwę, może kilka rad...

- Sądziłem, że to ojciec przybył tu z dobrymi radami. - Franciszkanin od niechcienia musnął palcem watykański list polecający.

- Och nie! - Gliński pokręcił głową. - A dobra rada przyjaciela jest niczym lekarstwo, tym lepsza, im bardziej gorzka, jak mówi arabskie przysłowie.

-Ja słyszałem tylko, że dobrymi radami wybrukowane jest piekło, ojciec inkwizytorze... Przepraszam, ojciec doktorze.

Więc co chciałby ojciec wiedzieć o naszym malowniczym miasteczku? - Gwardian pochylił się w jego stronę.

Dominikanin pokiwał głową z uznaniem. Zwłaszcza ten „ojciec inkwizytor” był

sprytnym zagranem. Gość zaśmieje się czy obrazi? Gliński wybrał trzecią opcję.

- O miasteczku czytałem w przewodniku - powiedział z kamienną twarzą. -

Interesuje mnie za to wasz niepokorny przyjezdny współbrat, ojciec Romanyczko.

Gdyby wieczorem zechciał mi ojciec gwardian poświęcić pół godziny, byłbym

ogromnie wdzięczny. - Oczywiście - kiwnął głową Jordan.

- I jeszcze drobiazg, zupełnie osobisty. - Ojciec doktor wsunął rękę do wewnętrznej

kieszeni marynarki, swobodnie, ale tak, by franciszkanin to zauważył. Odczekał

dłuższą chwilę, nim wyjął pióro i notes. - Nie wiem, czy wystarczy mi na to czasu,

rozumie ojciec, jestem z wykształcenia historykiem...

- Interesuje ojca jakiś szczegół z historii naszego klasztoru? - Jordan poprawił się na krześle, które jęknęło cicho.

Tak, rzeczywiście, szczegół. Jeśli to możliwe, chciałbym przeczytać pamiętnik ojca Gałuszkiewicza. Brwi gwardiana ściągnął niechętny grymas, który po chwili Jednak zniknął.

Z radością spełniłbym prośbę ojca, to jednak nie jest teraz [możliwe.

- Czy mogę wiedzieć... - zaczął dominikanin, bardzo się starając nie zmieniać tonu.

Ależ tak! - pospieszył z odpowiedzią Jordan. - Pamiętnik Ojca Adriana ma być

wkrótce przekazany historykowi naszej prowincji, więc w tej chwili jeden z naszych

współbraci zajmuje się sporządzaniem kopii. Ten dokument ma dla nas wartość, ; ale

wypływającą raczej z potrzeby serca niż ducha. Ojcu na nic się nie przyda.

94

95

Gliński z uśmiechem pokiwał głową. Przykazane mu „stwierdzenie ruchu wokół obiektu” już miało dwa podpunkty, pozostawały wątpliwości dotyczące „stanu i możliwości pozyskania”.

- Chciałbym tylko rzucić okiem, może przejrzeć - poprosił. I Zapewne drugi raz taka okazja się nie powtórzy.

- W takim razie musi ojciec zwrócić się do ojca Adama. Gwardian wstał i poprawił sznur wiążący habit.

- Ojca Adama? - zdziwił się Gliński, przypominając sobie niechlujnego zakonnika, który czekał na niego przed klasztorem.
- Tak, do tego młodego współbrata, który ojca przyprowadził. - Jordan otworzył drzwi. - Cela przygotowana dla ojca znajduje się na końcu korytarza po prawej, refektarz, o ile ojciec zechce spożywać z nami posiłki...
- Bóg zapłać ojcu gwardianowi, ale drzwi do refektarza mijalem, idąc tutaj. - Gliński wstał gwałtownie. Był tak blisko! Gdyby tylko wiedział... - Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę ojca Adama.
- W tej chwili? Nie wiem. Z pewnością jest gdzieś w klasztorze - odparł ojciec Jordan już z wyraźnym zniecierpliwieniem.
- Wybacz ojciec kłopot, jaki mu sprawiam - skłonił się lekko dominikanin i podniósł odstawioną na podłogę teczkę. - Niespodziewany gość jest miły w wieczerze wigilijną, ale na co dzień...
- Radzi jesteśmy gościć ojca. - Gwardian skrzyżował ramiona. - Proszę jednak nie wymagać zbyt wiele. Wasza Komisja Ducha i Prawdy zawiązała się i rozwiąże, a my dzień po dniu mamy co robić. I to nie od wczoraj.

Rynek, godz. 13.00

Wiatr łapał ojca Glińskiego za płaszcz niczym pies, który próbuje zwrócić na coś uwagę niepojętnego człowieka. Wyraźnie ciągnął go najpierw w kierunku ulicy Cmentarnej, okalającej klaszpor od strony Wisły, a potem szarpał ze wszystkich stron, byle tylko nie szedł ku farze i dalej, do domu zakonnego betanek. Dominikanin ugryzł pierwszy kęs drożdżówki z serem. Nie lubił jeść na ulicy, ale smak kazimierskiego pieczywa chodził za nim od wielu lat, więc kiedy mijał piekarnię i poczuł ten świeży zapach, nie mógł się powstrzymać. W foliowym woreczku czekała jeszcze druga, z makiem.

Przystanął obok starej studni na Rynku i spojrzął na zegarek. List wysłany do siostry przełożonej zapowiadał jego przyjazd niezbyt precyzyjnie „w godzinach popołudniowych”, więc mógł sobie jeszcze pozwolić na drugą drożdżówkę, a potem na chwilę [modlitwy].

Przełknął ostatni kęs i rozejrzał się, gdzie mógłby wyrzucić niepotrzebny już

woreczek. Niestety jedyny śmietnik, który zauważył, był przepełniony. Opakowania po chipsach i paczki po papierosach niemal się z niego wylewały, szeleszcząc na wietrze. Gliński starannie odwrócił torebkę lepką stroną do środka, dla pewności zawinał jeszcze brzegi i schował do teczki. W farze mimo nie najlepszej pogody, a może właśnie z jej powodu, była akurat jakaś wycieczka, więc skręcił w prawo ulicą Lubelską ruszył ku św. Annie, Niestety kościół zastał zamknięty.

spojrzał na wykute piękną czcionką napisy na marmurowej płycie. AD 1670... Czasy, kiedy najlepsi esbecy Rzymu zostawali papieżami, a inkwizycja paliła już tylko wrogie Kościołowi księgi, bo ich autorów wzięła na siebie mniej uduchowiona, [choć równie wierna agentura Stolicy Piotrowej. Triumf jezuitów nad dominikanami i rodząca się specjalizacja. Oddzielenie tego,

96

97

co boskie, od tego, co cesarskie, wrogów Kościoła od przeciwników Rzymu. Struktur jawnych od tak tajnych, że tylko dwie osoby w Wiecznym Mieście znały ich siedzibę. Gliński też wiedział niewiele ponad to, co chciał i mógł mu powiedzieć ojciec Jakub. W latach osiemdziesiątych przyszedł dominikanin był przekonany, że reprezentuje on jakąś swoistą organizację samoobrony polskiego Kościoła, sojusz ścisłego kierownictwa opozycji i episkopatu, rzecz jasna pobłogosławiony przez Ojca Świętego, ale nic poza tym. Że sam ojciec Jakub jest nowoczesną wersją takiego właśnie ojca Adriana Gałuszkiewicza, tylko pozbawioną romantyzmów i pustych gestów. Nawet przez myśl Glińskiemu nie przeszło, że jego spowiednik łączy powołanie zakonne ze znacznie bardziej ziemską służbą, choć też niepozbawioną chwały bożej...

Również w sprawie ojca Gałuszkiewicza musiał polegać na informacjach przesłanych przez swego zwierzchnika. Franciszkanin po upadku powstania styczniowego i konfiskacie klasztoru Reformatów pozostał tu samotnie „na dożycie”, codziennie zmagając się z chłodem i głodem, a od święta inspirując literatów, jak choćby Bolesława Prusa. To właśnie podpis Gałuszkiewicza otwierał listę zakonników, którzy byli zmuszeni przyjąć do wiadomości Protokół Ogłoszenia że cały Majątek

Klasztoru Księży Reformatów w Kazimierzu przechodzi pod zupełny zarząd Władzy Skarbowej Królestwa - podpis nader równy, regularny, świadczący o wykształceniu i wyrobionym nawyku pisania. Podług Najwyższego Ukazu z dnia 27 Października/8 Listopada 1864 r. i Najwyżej zatwierdzonych przepisów o Klasztorach Rzymsko-Katolic-kich w Królestwie Polskiem, wszystkie Majątki składające się z dóbr, domów i Kapitałów należących do Klasztorów Męskich i Żeńskkii tak zniesionych jako i zamkniętych, jako też Tych które zostawione będą na Etacie i poza Etatem, odebrane być mają w zawiadywa nie Skarbu Królestwa... Z kopią tego dokumentu, dołączoną do

materiałów przekazanych przez kuriera, Gliński zapoznał się jeszcze przed przyjazdem do Kazimierza. Innym wzorem pisma zakonnika Officium nie dysponowało. I już to było zastanawiające, nawet biorąc pod uwagę zupełną nieodporność papieru na kataklizmy, które przewalały się przez te ziemie położone między Wschodem a Zachodem. Papiery kościelne, mimo tego samego składu chemicznego, płonęły rzadziej niż świeckie, bo potrafiły głębiej zapadać się pod ziemię. Tak jak ten pamiętnik ojca Gałuszkiewicza, „przypuszczalna wskazówka położenia obiektu", o której Officium dowiedziało się przed miesiącem.

Jaką drogą?, myślał ojciec doktor, schodząc powoli schodami między kościołem a dawnym szpitalem dla ubogich. Kazimierscy franciszkanie znajdują pamiętnik, dzielą się tą wiedzą z prowincjałem, on z ministrem generalnym, ojcem Carballo. Carballo... Wyświęcony na kapłana osobiście przez Pawła VI, a ten nie robił podobnych uprzejmości byle komu...

Gliński szedł, w zamyśleniu dotykając lewą dłonią muru świątyni. Chropowaty, spękany tynk był niczym zapisana brajlem litania przeciwności losu i wyrzutów sumienia. Ręka ojca doktora drugi raz wpadła we wnękę, ale w tym miejscu zamiast zamurowanego okienka lochów zobaczył wewnątrz krypty. Słońce, które kilka minut wcześniej przebiło chmury, teraz padło cieniem na otwartą trumnę i zmumifikowane nogi. Zdziwiony Dominikanin rozejrzał się. Na niewielkim trawiastym placu leżało w nieładzie kilka butelek po piwie i wódce. Stał na dawnym cmentarzu przykościelnym. O tej zupełnie niepijackiej porze było tu pusto i zacisznie, jakby przed nim nikt tego

trupa nie odkrył, a jeśli nawet, to nie uznał za wartego uwagi. Kiedy mógł zostać pochowany? Pewnie w czasach, kiedy żył jeszcze Ojciec Gałuszkiewicz.

Gliński znów wrócił do fary i skręcił w wąską ulicę Kościelną, ocienioną wysokimi drzewami. Podobnie jak one małe domki

wydawały się nie tyle stać, co wyrastać ze stoku wzniesienia, nad którym górował zamek i wieża obronna. Chmury znów pokrywały całe niebo, ojciec doktor postawił kołnierz płaszcza.

Zatrzymał się jeszcze tylko raz, przy ceglanej kapliczce, która pod gubiącymi liście drzewami wyglądała malowniczo, w jakiś sposób nawet krzepiąco. Stojąca w niej kolejna figura Matki Bożej była odarta z wszelkiej estetyki, jak i jej poprzedniczki.

Teraz, pomyślał Gliński, przydałby mi się raczej św. Juda Tadeusz, patron spraw trudnych i beznadziejnych...

Dom zakonny Zgromadzenia Sióstr Rodziny Betańskiej, ulica Puławska, godz. 14.00

Ojciec doktor Marek Gliński pamiętał to miejsce z czasów studenckich. Nie było wówczas jeszcze rozłożystego kompleksu budynków z czerwonym dachem w lewej części posesji, ale przypominał sobie parterową willę z mansardą. Dostępu do niej bronił wtedy zwykły płot, a może druciana siatka, na pewno jednak nie solidny mur i masywna brama z przylegających do siebie, grubych desek. Nieprzyjemne wrażenie pogłębiały okna zasłonięte papierem; brakowało tylko worków z piaskiem na parapetach.

Dominikanin minął bramę i podszedł do furtki kilkadziesiąt metrów dalej.

- Szczęść Boże, siostró - powiedział do domofonu, kiedy po kilku uporczywych dzwonekach odezwał się wreszcie kobiecy głos. - Jestem ojciec doktor Marek Gliński z Komisji Ducha i Prawdy. Zostałem zapowiedziany w liście Kongregacji Nauki Wiary. Zakonnica długo milczała, słyszał tylko jej oddech. Potem po prostu odłożyła słuchawkę.

Minęła kolejna dłuższa chwila, być może wypełniona gorączkowymi naradami wewnątrz domu. Wreszcie zabrzączał elektryczny zamek i Gliński pchnął furtkę.

100

Ojca doktora nie zwiodły kwitnące przed starą willą chryzantemy ani figura

Chrystusa z Otwartym Sercem we wnęce na froncie domu. Nawet z tej odległości było widać, że brama wjazdowa została zabarykadowana grubymi deskami, jakby przygotowywano się tu do odparcia ataku.

W drzwiach nowego budynku po lewej stała dość młoda, niespełna trzydziestoletnia zakonnica, chyba oderwana od jakiejś przyziemnej pracy, bo miała fartuch narzucony na habit, podwinięte rękawy i spoconą twarz.

- Chciałbym się zobaczyć z matką przełożoną, siostrze. - Dominikanin ruszył w jej stronę, wyciągając dłoń.

- To nie będzie możliwe. - Zza pleców zakonnicy wynurzył się niewysoki mężczyzna we franciszkańskim habicie. Po chwili

milczenia dodał tonem, w którym pobrzmiwały najpierw irytacja, a potem duma:

- Siostra Lidia nie czuje się dziś dobrze. W nocy miała objawienie.

- Komisja Ducha i Prawdy z wielką troską pochyła się nad sprawą siostry. - Gliński podszedł do zakonnika.

- Zapewne, zapewne - pokiwał głową tamten. Na jego znak I betanka bez słowa zniknęła we wnętrzu domu. - Równie głęboko pochylają się metropolita lubelski i komornik. Ale my wciąż modlimy się, aby Duch Święty oświecił biskupów i kardynałów.

- W tej kaplicy? - zapytał dominikanin. - Czy zatem pomodli się ojciec razem ze mną, ojczcze Kazimierzu?

Franciszkanin niechętnie wskazał drzwi kaplicy i weszli do środka. Gliński, omijając wzrokiem Romanyczkę, zerknął na białe ściany z płaskorzeźbami drogi krzyżowej, przyklęknął i usiadł w ławce. W skupieniu pochylił głowę.

- Zmówmy dziesiątkę różańca w intencji siostry Lidii - zaproponował.

Wiedział, że zabrzmi to jak swoisty test, niczym wzniesiony w Awinionie toast za Benedykta XIII, „prawdziwego i miłego

101

Bogu następcę św. Piotra". Z jednej strony grzech nie wypić, z drugiej - czyż rzeczywiście legalna głowa Kościoła powszechnego potrzebowałaby takich gestów, i to w swoim mieście? Chyba że wychylający kielich pragnie tylko zdusić własną

niepewność, kto tu jest papieżem, a kto antypapieżem.

Po chwili franciszkanin ukląkł obok i także pochylił głowę ! do modlitwy, ale Gliński wiedział, że wraz z każdym Zdrowaś rośnie jego niepewność.

- Trzy są sposoby przedniejsze, któremi szatani ludzi niewinnych i nieostrożnych podchodzą, z których ustawicznie bezbożność i odstępstwo czarownicze mnoży się - powiedział, odwracając nagle głowę w stronę Romanyczki.

Ten poderwał głowę, jednak na dominikanina ani nie spojrzął, tylko zacisnął szczęki.

- O co ojcu chodzi?

- Ojciec nazywa się Kazimierz Romanyczko?

- Tak. - Zakonnik odsunął się w ławce. - Po co ojciec pyta?

- Bo jeśli to prawda, to powinien ojciec dobrze wiedzieć, o co mi chodzi.

Franciszkanin opadł całym ciężarem na klęcznik i zakrył twarz dłońmi.

- Wyjdzie z Betanii wiosna Kościoła - szeptał gorączkowo, jakby pragnąc przekonać nie tylko gościa, ale także siebie samego. - Zadrżą biskupi i kardynałowie.

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli...

-Jan, rozdział dwudziesty, werset dwudziesty dziewiąty - uciał bez miłosierdzia dominikanin. - Ale wierz mi, ojcze Kazimierzu, zaprawdę tym, którzy nie wierzą, jest wszystko jedno, i czy ich ostrzegasz, czy nie ostrzegasz, oni i tak nie uwierzą. Koran, sura druga, werset szósty.

102

14.20

Było czysto, idealnie czysto.

I Może właśnie dlatego Gliński poczuł się nieswojo, ledwie przekroczył próg domu zakonnego. Przedsiónek, przypominający raczej hol pensjonatu niż klasztorne labirynty korytarz, do jakich przywykł, prowadził do obszernego refektarza, drzwi innych pomieszczeń wtapiały się w drewnianą boazerię. Ciszę mąciły tylko odgłosy dochodzące z kuchni i cichy śpiew gdzieś z góry. Jednak w powietrzu wisiał zapach tanich środków dezynfekcyjnych, co ojcu doktorowi przypominało szpital. Albo Lot nad kukułczym gniazdem. Pod ścianą stało kilkanaście wiader z wodą, do mycia - objaśnił ktoś pełnym krągłości, niemal dziewczęcym charakterem pisma na kartce

przyczepionej pinezką do boazerii, do picia - głosiła druga kartka.

Od trzech dni nie mamy bieżącej wody. Prąd jest z agregatu - wyjaśnił niechętnie Romanyczko, widząc pytające spojrzenie ojca doktora.

Trzy dni to od trzeciego lub czwartego października, liczył w myślach Gliński. Dzień sporządzenia lub przekazania matce materiałów.

Nieco dalej, na biało pomalowanej ścianie, ktoś wypisał mazakiem: „Przyjdź, Duchu Święty”, a obok: „Maria z Betanii wzięła drogocennego olejku i namaściła Jezusowi nogi, a włosami swymi je otarła”. Gliński wyjął komórkę i rozłożył klawiaturę.

Żadnych zdjęć. - Franciszkanin zasłonił ręką obiektyw wbudowanego aparatu.

Dominikanin spokojnie wystukał kilka słów na klawiaturze odwrócił komórkę.

Proszę, „Kazimierz, szósty dziesiąty zero siódmy, notatki do sprawozdania”. Bardzo ojciec nerwowy. Romanyczko wzruszył ramionami.

103

- Refektarz - wskazał ręką - łazienka, kancelaria, schody.., Nie ma tu nic do oglądania.

- Chciałbym rzucić okiem na listę sióstr. Szczególnie należy troszczyć się o siostry odbywające nowicjat... - rzucił jakby od niechcienia Gliński.

Franciszkanin skrzyżował ręce na piersi.

- Nie mam klucza. I tylko siostra Lidia może o tym zdecydować. Ojciec znajduje się w żeńskim klasztorze. Może jeszcze zechce oglądać sypialnie? - dodał z wyraźną ironią.

- Ojciec Kazimierzu, ojciec zdaje się czegoś nie rozumieć. -Gliński schował komórkę do kieszeni marynarki. - Nie zamierzam negować oczywistych faktów, ale formalnie ojca tu w ogóle nie ma, a mimo to proponuje mi ojciec dostęp nawet do ścisłej klauzury? Zechce ojciec poprosić którąś z sióstr, żeby pokazała mi dom, i nie przeszkadzać. Chyba że przypomniał sobie ojciec odpowiedź na moje pytanie. - Dominikanin też sięgnął po ironiczny ton. - To, które zadałem w kaplicy.

Odgłosy przestawianych garnków w kuchni ucichły. Jak uznał Gliński, zakonnica

skończyła pracę i teraz czekała, aż korytarz będzie pusty. Cichy śpiew na piętrze także się urwał.

- Siostrze - dominikanin zapukał - zechce siostra wyjść do nas? Nie odpowiedziała, chyba wstrzymała nawet oddech jak przestraszone dziecko, które udaje, że go nie ma.

- To już ja... - Romanyczko odchrząknął i wziął Glińskiego pod łokieć. Ten zmierzył go spojrzeniem i franciszkanin zabrał rękę.

- Siostrze! - Ojciec doktor znów zapukał.

Drzwi otworzyły się cicho, wypuszczając zapach niedawno smażonej cebuli, i stanęła w nich ta sama betanka, którą ojciec doktor widział na progu. Wciąż była czerwona na twarzy, ale teraz, z bliska, Gliński dojrzał jej duże brązowe oczy, przestraszone jak u leśnego zwierzęcia. Zakonnica sięgnęła ręką

do welonu, chcąc go chyba poprawić, niestety przekrzywiła jeszcze bardziej.

- Siostrze, przyjechałem z polecenia Komisji Ducha i Prawdy oraz Kurii Rzymskiej. Bardzo proszę oprowadzić mnie po klasztorze.

- Nie wiem, czy ojciec niebieski... - zaczęła i urwała. I -Jaki ojciec niebieski? - zdziwił się Gliński.

- Ojciec Kazimierz. - Zakonnica spuściła wzrok. Dominikanin zerknął na Romanyczkę, który stał po jego lewej stronie z rękami założonymi na piersi. Niebieski? W brązowym habicie, z ciemnymi włosami i oczami, kojarzył się raczej z kolorami starego drewna. Chyba że chodziło o te charyzmatyczne praktyki, podczas których ludzie tracą przytomność, mówią językami i widzą duchowe światło. Ale Romanyczko miałby emanować błękitem, kolorem płaszcza Matki Bożej? Glińskiemu prawie zrobiło się żal zakonnicy. Chyba że powiedziała to celowo?...

- Ojciec Kazimierz właśnie się zgodził. Bardzo proszę, siostrze. - Wskazał schody.

Odpięła fartuch i na jej twarzy pojawiło się coś przypominającego uśmiech. Ale nie taki zawodowy, charyzmatyczny, jak lubił to nazywać, który zakonnice zakładają co rano wraz z habitem, to była mina dziecka, które próbuje rozbroić zagrożenie własną Bezbronnością. Jeszcze raz zerknęła na Romanyczkę, oczekując pozwolenia. Ten znowu zacisnął szczęki, ale kiwnął głową.

Klatka schodowa była wąska i ciemna jak przypominające uchem igielnym wejścia do starych kościołów. Zupełnie nie pasowała do tego domu. Na półpiętrze Gliński znów zobaczył napis mazakiem, tym razem: „Niech żyje Chrystus Król! - Na zawsze W sercach naszych!" Siostra szła pierwsza, nieco przygarbiona coraz bardziej śmieszna, gdy zerknęła, czy Romanyczko czasem się nie zgubił, a nie zauważała, że ma przekrzywiony welon.

104

105

Ojca doktora kusilo, by zwrócić jej na to uwagę albo nawet samemu poprawić.

-Jak siostra ma na imię? - zapytał zamiast tego, kiedy znaleźli się na pierwszym piętrze i znów usłyszeli śpiew, tym razem z towarzyszeniem gitary.

- Karolina - odparła, przystając. - Tutaj mieszkają siostry. Jest nas teraz...

- Ojca to nie interesuje - przerwał jej franciszkanin. - Ojciec jeszcze tu nie przyszedł, a już miał gotowe wnioski do swojego raportu dla Kurii Rzymskiej. Prawda, ojciec Judaszu?

Gliński uniósł brew: kolejny raz tego samego dnia użyto wobec niego podobnego chwytu! Okrągły, trójfrazowy komunikat, jakich uczą na kursach psychomanipulacji, w dodatku zakończony efektowną puentą. I bez wątplenia przeznaczony nie tyle dla niego, co dla siostry Karoliny, która cofnęła się o krok i stała, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

- Ojciec Niebieski!... - westchnął teatralnie dominikanin. Wytrzymał podejrzliwy wzrok Romanyczki i uśmiechnął się. - Nie do ojca mówiłem, do kogoś ważniejszego, aby dał mi jeszcze nieco cierpliwości. Siostrzo Karolino, chciałbym obejrzeć resztę domu.

Godz. 17.30

Bądźże pozdrowioona, Hostyjo żywaaa... - zaintonował Romanyczko, a za nim dołączyły do śpiewu zakonnice.

Ojciec doktor przymknął oczy. Gdzieś z przeciwległego końca kaplicy dosłyszał „hostijo". Kiedy jednak zaczął się dyskretnie rozglądać, nie potrafił wskazać, która siostra zaśpiewała ze wschodnim akcentem. A może kilka sióstr. Których? Gdy na i

nie patrzył ze swojego miejsca w pobliżu drzwi, żadne rysy nie przywodziły mu na myśl stepów szerokich.

106

- ...w której Jezus Chrystus Bóstwo ukrywa... To był zwykły punkt horarium, adoracja Najświętszego Sakramentu, jak w wielu zgromadzeniach. Gliński miał nieodparte wrażenie sztuczności, jakby odgrywano tu tylko przedstawie-[nie, którego on miał być jedynym widzem. Nie wyglądało to jednak na prowokację, choć hostii w kaplicy betanek w ogóle być nie powinno, ale miejscowego proboszcza, który na pole-[cenie biskupa przyszedł zabrać Najświętszy Sakrament, nie [wpuszczono nawet za furtkę.

Romanyczko zapraszał go bliżej ołtarza, jednak ojciec doktor stanowczo pokręcił głową. Z tyłu widział wszystkie zakonnice kilka młodych postulantek w białych bluzkach, czarnych spódnicach i swetrach. Jedna, której twarz mógł obserwować z profilu, aż otworzyła z zachwytem usta, kiedy franciszkanin [głośniej śpiewał refren: „Witaj, Jezu, synu Maryi, Tyś jest Bóg prawdziwy w świętej Hostyi”. Poprawnie i z patosem, tak jak uczą w seminariach, bez żadnych udziwnień. Postulantka wyraźnie oczekiwała czegoś innego, bo podejmując śpiew, zerknęła z niemym pytaniem na twarze stojących najbliżej. Kilka [zakonnic sprawiało jednak wrażenie wyraźnie uspokojonych, między innymi siostra Karolina.

Gliński niemal od początku czuł, że ta mogłaby i chciała wiele mu powiedzieć, ale bała się, bo Romanyczko prawie ich nie odstępował. Tylko na chwilę zostali sami, kiedy franciszkanina kzawołano do przełożonej domu.

Siostro, ile was jest? - szepnął wtedy dominikanin, patrząc w inną stronę.

Słucham? - zapytała speszona.

Siostro Karolino, nie ma wiele czasu. Ile was tu przebywa? Czy siostra jest bezpieczna? Jak mogę pomóc?

Sześćdziesiąt sióstr, może kilka więcej, nie wiem. - Rzuciła mu krótkie, poważne spojrzenie. - Kilka dziewczyn w drugim

107

budynku, z rodziny. Mnie Bóg ustrzeże, ale ojciec... proszę na siebie uważać.

- Czy są jakieś siostry z za wschodniej granicy?

- Są. Siostrzyczka Lidia miała w nocy widzenie, dlatego jest wyczerpana - powiedziała głośniejszym, lekko drżącym głosem, wskazując koce, równo rozłożone na pościeli.

- A tutaj są pokoje gościnne naprzeciw salonu dla gości.

Nad łóżkami wisiały obrazki, był też napis wykonany mazałem: „Bo w Nim odnajduję wszystką radość życia mego”. Gliniak nie musiał odwracać głowy, by domyślić się, że nad drzwiami wisi krzyż. Ani że na progu stanął właśnie Romanyczko.

Jeśli siostra Karolina miała rację, to nie wszystkie mieszkanki domu przyszły adorować Najświętszy Sakrament - Gliński na liczył ich tylko pięćdziesiąt dwie.

Wszystkie w habitach albo świeckich strojach postulantek. Nawet jeśli w pierwszej chwili oczekiwały czegoś innego, teraz pokornie powtarzały akty wiary, uwielbienia, dziękczynienia...

Adoracja zbliżała się do końca, kiedy w drzwiach kaplicy stanęła starsza zakonnica. Gdyby nie habit, wyglądałaby na typową mieszkankę tutejszych wsi: niska, otyła, o szerokiej, czerwonej twarzy. Brzydka, jednak pogodna i wzbudzająca zaufanie. Skinęła głową dominikaninowi i uklękła obok.

- Jestem siostra Lidia - powiedziała cicho zmęczonym głosem. - Ojciec wybaczy, że nie powitałam go wcześniej.

- Ojciec Marek. - Gliński podał jej rękę. - Modliłem się w intencji siostry.

- Niech żyje Jezus... - zaintonował nagle Romanyczko, a ojciec doktor udał, że zadygotał z zimna.

Ten franciszkanin świetnie wyczuł, jak można go wyprowadzić z równowagi. Gliński napisał nawet niedawno artykuł Kościół-nie dla idiotów, zakończony pytaniem, dlaczego kapłani coraz bardziej lubią wprowadzać do liturgii pieśni na intelektualnym i estetycznym poziomie dziecka pierwszokomunijnego. Skasował go jednak, gdy w „Więzi” przeczytał bardzo podobny tekst autorstwa księdza Dunina-Borkowskiego.

Zakonnice pochyliły głowy w oczekiwaniu na błogosławieństwo.

- Proszę naszego gościa, ojca Marka, aby jako wysłannik Kościoła zechciał nam

pobłogosławić - powiedział niespodziewanie Romanyczko.

A więc jednak prowokacja, pokiwał głową dominikanin. Zakaz sprawowania sakramentów i sakramentaliów był jasny. Jako Lipian Gliński powinien zaprotestować. Jednakże stan wyższej konieczności, podyktowany misją... Nie przysłużyłby się jej, gdyby teraz demonstracyjnie wyszedł albo zaczął wzywać te zmanipulowane kobiety do opamiętania. Myśląc gorączkowo, jak z tego wybrnąć, wolno, bardzo po kapłańsku podniósł się i ruszył w stronę ołtarza. Sam sobie wydawał się komiczny, ale jakoś nikt nie wybuchnął śmiechem.

Rodzina Betańska. Charyzmat pomocy kapłanom. A ja nie kapłan, tylko pies? Domini canis, pies Pański. Esbek, inkwizytor... Więc pies, myślał.

W tym momencie nagle zrozumiał, że... pies pogrzebany Jest w feminizmie.

Charyzmat pomocy kapłanom kiedyś może i polegał na myciu garów, podawaniu do proboszczowego stołu, obcieraniu usmarkanych nosów w przerwach między Jedną a drugą katechezą. Teraz zbuntowane mniszki - feministki wołały się za kapłanów po prostu modlić i tę modlitwę doprowadziły do obłędu, do nieposłuszeństwa, omal do schizmy.

Boże, miej je w opiece - szepnął, klękając przed ołtarzem. -Ustrzeż siostrę Karolinę - dodał bezwiednie.

Zorientował się, że klęczy i milczy, a wszystkie oczy są wpatrzone tylko w niego.

Zerknął na złotą puszkę z zamkniętą

108

109

w środku hostią i nagle wiedział już, co powinien zrobić. Nie śmiejąc nawet dotknąć Najświętszego Sakramentu, zaczął śpiewać:

- Uupadnij na kolaana, ludu czcią przejęęty, uwielbiaj swego Paaana: Święty, Święty, Święęęty...

Też nie był to, jego zdaniem, majstersztyk liryki religijnej, ale przynajmniej wyszedł spod pióra prawdziwego poety prawie dwieście lat temu, gdy to nie liturgia zniżała się do poziomu najgłupszego z wiernych, ale to on musiał podciągnąć się do liturgii.

No i słowa pasowały do sytuacji.

Czuł, że za jego plecami rośnie niewidoczny mur, po chwili jednak przebił go głos siostry Karoliny, z początku nieśmiały, potem nabierający siły, w miarę jak do śpiewu włączały się inne rozmodlone sopranu i głębsze alty.

- Pomóż mi, Panie - szepnął Gliński i nabrał oddechu przed kolejną zwrotką. Skoro niepojęty Bóg był oto przed nim pod jakże nietrwałą postacią chleba, może również on, z pomocą Pana, zdoła dokonać w sobie drobnej transsubstancjacji. Niemal dotykając czołem złożonych dłoni, prosił o łaskę pokory.

Wreszcie gdy wyczerpały się słowa pieśni, ojciec doktor, nadal klęcząc, powiedział z pochyloną głową, ale głośno i wyraźnie:

- Przybyłem tu jako wysłannik Kościoła Świętego, ale jako człowiek stoję przed wami, wyznając moje winy: zgrzeszyłem. Zgrzeszyłem pychą i zaślepieniem, zgrzeszyłem, gdyż za mało myślałem o małych, a za bardzo ich sądziłem. Z pokorą to wyznaję.

Odwrócił się i powiódł wzrokiem po zdziwionych twarzach sióstr. Dostrzegł zatopioną w modlitwie siostrę Karolinę i uśmiechniętą, zmęczoną twarz przełożonej. Tylko Roma-nyczko wbił podejrzliwe spojrzenie w dominikanina.

- I proszę o wybaczenie i modlitwę was, siostry w Jezusie, i ciebie, ojczy... niebieski.

- Gliński dostrzegł, że franciszkanin

110

zacisnął usta. Już wiedział, do czego zmierza ten wywód. - Jak | i o błogosławieństwo przez godniejsze ręce. - Ojciec doktor pochylił głowę.

Godz. 18.30

Ojciec doktor pewnie nie zdążył dziś zjeść obiadu - zauważyła z troską siostra Lidia. Skinął głową, przyglądając się zakonnicom w refektarzu. Sam siedział po lewej stronie przełożonej, a miejsce po jej prawej ręce zajął Romanyczko. Ten był wyraźnie podenerwowany, za to oblicze siostry Lidii promieniowało życzliwością. Co uderzyło Glińskiego, autentyczną, taką, co każe głodnych nakarmić, spragnionych napoić i tak dalej. Bez wyrachowania. Cały dzień czekał na to spotkanie, ale wyobrażał je sobie zupełnie inaczej.

Miał też nadzieję, że nastąpi ono nieco wcześniej. Teraz zostało ledwie pół godziny do panelu dyskusyjnego w pensjonacie KUL-u, na który w najlepszym wypadku przyjdzie mu się po gwiazdorsku spóźnić.

-Ja też nie byłam w stanie - ciągnęła zakonnica. - Moje wi-I zje... Ojciec w nie nie wierzy, ale przekona się ojciec prędzej, niż myśli. Cokolwiek uczynicie, przyjdzie wiosna Kościoła. A będę modlić się za ojca.

- Bóg zapłać siostrze. - Dominikanin znów skinął głową.

Policzył siedzące przy stołach zakonnice. Czterdzieści siedem kobiet i kilka innych, które obsługiwały przy posiłku, krążąc między kuchnią a refektarzem. Wśród nich była też siostra Karolina; właśnie szła w stronę przełożonej z niewielką wazą, pachnącą chyba gulaszem.

Widzę, że pozostałe siostry dziś poszczą - powiedział Gliński, wskazując sąsiednie stoły.

- Tak, czekają nas trudne chwile i one czynią to, aby się umocnić. Ja też bym chciała, ale opuszczam posiłki... Tak że dla nas obojga siostra Karolina ugotowała coś pożywniejszego. Ojczy niebieski - odwróciła się do Romanyczki - pobłogosławał.

Gliński spojrzał z niepokojem na franciszkanina, który położył ręce na wazie, omal nie zanurzając w niej palców. Trwał tak przez dłuższą chwilę skupiony, po czym zdjął dłonie z naczynia i wskazał je siostrze Karolinie. Ojciec doktor miał już na końcu języka, że jeszcze trochę uduchowienia, a wszystko by wystygło, ale się powstrzymał.

Młoda zakonnica napełniła najpierw talerz przełożonej ryżem i mięsem w sosie. Nie był to jednak gulasz, ale zwykła potrawka. Siostrze Karolinie lekko zadrżała ręka i nieco sosu kapnęło na biały obrus. Na chwilę jej oczy spotkały się ze wzrokiem dominikanina, ale szybko odwróciła głowę. Nałożyła również Glińskiemu, jednak w tym momencie talerz wypadł jej z rąk na podłogę.

- Przepraszam, przepraszam, siostrze! Romanyczko zacisnął zęby, ale stara zakonnica tylko pogłaskała dziewczynę po twarzy.

- Nic się nie stało, jeszcze wystarczy dla naszego gościa. Proszę, niech ojciec je - zachęciła.

Siostra Karolina szybko sprzątnęła skorupy i resztki jedzenia z podłogi, zabrała wazę, po czym zniknęła w kuchni, jakby chciała jak najszybciej zejść wszystkim z oczu.

Godz. 19.00

Gliński spojrzał ukradkiem na zegarek. Panel już się zaczynał, chyba że dano mu kwadrans akademicki, ale i tak nie widział szans na to, by wyjść stąd w ciągu kilku minut.

112

- Ojciec na nas patrzył, ojciec modlił się z nami i spożywał wieczerzę - mówiła łagodnie siostra Jadwicka. - Ja wiem, to

I Jeszcze mało, by kogoś zrozumieć, ale musi ojciec widzieć, że nie ma w nas złych intencji. Tymczasem to nasza jakby ostatnia wieczerza. Dlaczego, ojcze?

- Najprostsze pytania bywają najtrudniejsze - westchnął ojciec doktor. - Ksiądz arcybiskup też nie ma złych intencji.

- Dla ludzi o szczerym sercu nie ma trudnych pytań - uśmiechnęła się smutno zakonnica. - Cóż, trudno. Każdy z nas robi to, w co wierzy. Oby Bóg zmiłował się nad tymi, którzy nie dostrzegają własnej pychy...

Dominikanin nie dawał tego po sobie poznać, ale czuł się Idiotycznie. Oto wszyscy nadal siedzieli w refektarzu, mimo że posługujące siostry wyniosły już do kuchni talerze i resztki posiłku. Przełożona wciągała go w dysputę, Romanyczko, siedzący po jej drugiej stronie, milczał, a wszystkie oczy wpatrywały się w nich, jakby oczekując, że za chwilę nastąpi coś znaczącego i dramatycznego. Sam zaczynał czuć, że za tym cyrkiem jest jakaś ukryta głębsza treść. Dlatego przestał patrzeć na zegarek.

- Oby Pan zmiłował się nad nami wszystkimi, bo któż jest bez grzechu! - rzekł Gliński, ze wszystkich sił starając się nie myśleć o komizmie tej sytuacji. Miał być panel dyskusyjny i proszę bardzo, przerzucał się z mateczką Lidią ewangelicznymi frazesami. Temat mniej ciekawy, ale za to publiczność miał niezłą, bo ponad pięćdziesiąt siostr zamiast dwudziestu paru członków koła naukowego i kilku gości. I tak to trwało. Trwało w jakimś czekaniu niczym forma bez treści, przemknęło przez myśl Glińskiemu. Lecz choć kiedyś lubił czytać Gombrowicza, to być kolejną

bezproduktywną postacią z jego powieściowych traktatów nigdy nie zamierzał, tyle dobrego, że zdołał ukradkiem zrobić kilka zdjęć siedzącym

113

za stołem i czekającym na coś kobietom. Czy któraś z nich podobnie jak on szukała dojścia do „obiekta”? Monotonny, wyraźnie zmęczony głos przełożonej utrudniał mu wychwytywanie innych. Przez chwilę znowu miał wrażenie, że słyszy wschodni akcent, ale ileż dziewczyn na przykład spod Białegostoku mówi w ten sposób?!

- No cóż, nie zatrzymujemy ojca - odezwał się naraz Roma-nyczko.

Nie tylko Gliński, nawet siostra Jadwicka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Dominikanin jednak sięgnął po teczkę.

- Sporządzę swój raport z całą uczciwością. - Skłonił się przełożonej.

- Jestem tego pewna, ojcze. - Skinęła mu głową z uprzejmym uśmiechem, wstając.

Siostry też podniosły się, stanęły za do-suniętymi starannie i cicho krzesłami.

- Za ten posiłek, wszystkie Twoje dary, a także za nasze krzyże, dziękujemy Ci, Panie, za wstawiennictwem wiernej Twej Opiekunki, Maryi. Amen.

Zakonnice przeżegnały się. Gliński już przed posiłkiem usiłował wypatrzeć, czy wszystkie uczyniły to od lewej do prawej, ale to byłby zbyt prosty błąd. Teraz jednak dostrzegł, że jedna z postulantek, w okularach w grubej brązowej oprawie, przytknęła do czoła palce złożone w stożek: kciuk dotykał ułożonych w łagodny łuk pozostałych czterech palców, według prawosławnego zwyczaju!

Postulantka, nie oglądając się, wyszła z jadalni, refektarz zalał szmer rozmów.

Dominikanin chciał ruszyć za dziewczyną, ale zatrzymała go siostra Karolina i wciągnęła do kuchni.

- Ojciec może być głodny - powiedziała głośno. W rękę trzymała litrowy słoik z resztą potrawy, którą jadł wraz z przełożoną. - Proszę to wziąć na drogę.

- Dziękuję siostrze, ale to zbyteczne.

- Proszę jednak wziąć, może się ojcu przydać, jeśli będzie... głodny - dodała z naciskiem i niemal wcisnęła mu słoik. Zerknęła na boki. - Na miłość boską, niech ojciec to weźmie! - wyszeptała gorączkowo.

Do tej pory wydawała mu się najrozsądniejszą osobą w tym domu, ale teraz zaczął

nabierać wątpliwości. Wyobrażała sobie, że będzie odgrzewał coś, co jadł tylko przez uprzejmość? Mimo wszystko otworzył teczkę i z pewną ulgą obok laptopa zauważył woreczek po drożdżówkach, który tu włożył, a potem zupełnie o nim zapomniał.

Teraz miał przynajmniej czym zabezpieczyć słoik.

Nie zdążył jeszcze zapiąć teczki, kiedy usłyszał krzyk od drzwi. Stała w nich przerażona postulanka. Niestety, nie ta w okularach.

- Siostry, ojciec niebieski! - krzyknęła. - Coś się stało u reformatów! Jeden z ojców nie żyje.

- Jak to nie żyje? - zapytał spokojnie Romanyczko. - Skąd ta wiadomość?

- Ojciec, niech ojciec na siebie uważa - szepnęła siostra Karolina.

Gliński już jej nie słuchał. Podbiegł do postulanki jeszcze przed franciszkaninem.

- Co się stało? Kto?

- Nie wiem. Spadł z muru na ulicę.

Ojciec doktor miał jeszcze wiele pytań, zresztą dziewczyna sama to widziała i zaczęła coś tłumaczyć, wskazując swój telefon komórkowy, gdy nagle wszystko zagłuszył nieartykułowany wrzask, dobiegający od stołu.

- Szatan! - Siostra Jadwicka wstała z trudem, czepiając się blatu. Odepchnięte krzesło upadło na podłogę. - Szatan tu jest! Prosiłam Pana zeszłej nocy o wiosnę Kościoła, byśmy... - zachwiała się, ale podbiegł Romanyczko i w porę ją podtrzymał. -

Byśmy spotkali się w Betanii.

114

115

Ojciec doktor wyjął komórkę i włączył kamerę.

- Szatani w biskupich szatach, wywołki szatana w habitach zakonnych! Nie widzą Jezusa, choć On otwiera serce. Siostry, jesteście tu?! Musimy się modlić, siostrzyczki!

Jej głos brzmiał niemal błagalnie, wibrował w uszach. Ta sympatyczna, zażywna starsza kobieta w jednej chwili jakby spuchła i poczerwieniała na twarzy; przypominała teraz bełkoczące, ożywione sadło. Wiadomość o śmierci zakonnika miała prawo ją poruszyć, ale żeby aż tak?!

Romanyczko podtrzymywał kobietę, dopóki nie podbiegło kilka sióstr i nie wzięły ją pod ramiona. Ojciec doktor jeszcze raz rozejrzył się po refektarzu, wciąż trzymając w ręku komórkę z włączonym trybem wideo.

- Trafi ojciec do drzwi? - usłyszał tuż za plecami głos franciszkanina.

Sam nie mógł w to uwierzyć, ale nad głową zakonnika niczym aureola unosiła się teraz wyraźna poświata. Niebieska jak płaszcz Niepokalanej! Co to mówiła siostra Lidia? Ostatnia wieczerza? I on był na niej Judaszem?!

- Dobranoc ojcu inkwizytorowi!

ROZDZIAŁ VI

Sobota, 6 października 2007 roku

Kazimierz Dolny, ulica Małachowskiego, róg Nadrzecznej, godz. 18.40 Czarne vento komisarza Jacka Lesika tarasowało wąski chodnik przed posterunkiem policji, a on sam siedział za kierownicą i z coraz większym rozdrażnieniem przełączał stacje radiowe. Wszędzie leciało albo coś zbyt głupiego, albo zbyt nudnego. Normalni ludzie mieli weekend, a on, jako zastępca naczelnika wydziału kryminalnego puławskiej komendy, musiał pojechać do podległej jednostki i dla formalności skontrolować dochodzenie w sprawie kradzieży radia z senatorskiego samochodu. W tej sytuacji rzecz do umorzenia, no ale okradli wóz senatora, co zabawniejsze, zarechotał pod nosem, na Senatorskiej.

Mimo wszystko nie chciało mu się wracać do Puław do pustego mieszkania na dawnym osiedlu resortowym. Kiedy jako gnojek wprowadził się tam z rodzicami, jedyne rozróby to były wojny chłopaków z bloków milicyjnych z tymi z wojskowych dl bo zakładów azotowych. Teraz wszędzie był taki sam slums I kolejne pokolenie młodych mieszkańców, zwłaszcza w weekendy, wyśpiewywało do późnej nocy na zdewastowanym placu zabaw: „Zawsze i wszędzie - policja jebana będzie”, albo bardziej aluzyjnie: „Jebać kurwy, jebać”. Właściwie co mu szkodziło zostać w Kazimierzu na niedzielę? Grzesiek Kowalik, kierownik

browara albo kilka, a jutro połąził po wąwozach.

Z układania planów weekendowych wytrącił go krzyk kobiety, który dobiegł od strony Wisły. Rozbrzmiał i urwał się szybko. Lesik dał sobie spokój z radiem, zapalił lekkiego elema i teraz niezdecydowanie zaczął przeglądać swoje kompakty. Zupełnie jak Aśka, jego była żona, kiedy wyprowadzała się z domu. Też wynajdywała powody, aby to trwało jak najdłużej. Kompletnie bez sensu.

Komisarz zdecydował się w końcu na piracki S&M Metalliki, ale ledwie włożył płytę do odtwarzacza, z posterunku wyszedł do niego Kowalik.

-Jeszcze nie pojechałeś? - zapytał. - Pomożesz mi? Mam tu wypadek śmiertelny, może nawet zabójstwo.

- Grzesiu, to twój trup. - Lesik zgasił papierosa. - Jak to będzie wyglądało, jeśli na dzień dobry wpieprzę ci się w czynności?

- Tak czy owak każą ci się wpieprzyć. Jak w to radyjko senatora. Więc co ci szkodzi już dziś? A ja byłbym spokojniejszy.

- Nie mów, że ci na terenie stuknęli immuniteta!

- Podobna broszka - westchnął aspirant. - Czarnego, zakonnika. Ale spokojnie, to może być tylko nieszczęśliwy wypadek. Proszę cię, Jacek, po prostu rzuć okiem, żeby się potem mnie nie czepiali.

- A wiesz, co ci powiem? - Komisarz wyjął kompakt. - Właśnie tak sobie myślałem, żeby tu zostać, pójść na piwo i zrobić sobie niedzielę jak biały człowiek.

- Spać możesz u mnie, nie ma sprawy. Browar też się znajdzie. To co, idziemy?

- Skoro czarny, no to spoko. Starego esbeka pytasz? - zaśmiał się Lesik.

Kazimierz Dolny, Rynek, godz. 18.45

Pod parasolami przed kawiarnią „U Radka” było zupełnie pusto, choć zdaniem Stawka w chłodny wieczór grzaniec najlepiej smakował właśnie na dworze.

Dziennikarz zatrzymał motor przy podcieniach i wyciągnął się wygodnie na ławce pod parasolem.

Instrukcję naczelnej „betanki/rozpoznanie” miał odfajkowaną, co prawda dzień później, niż sobie życzyła, ale i tak cały ten pomysł był bez sensu. Czego się spodziewała? Że znajdzie dziurę w płocie i zrobi fotę którejś zakonnicy pod

prysznicem? Fakt, jego znajomy z „Super faktów” wyczał jakieś miejsce na górze, skąd podwórko betanek miał jak na talerzu. Miły gość i były rugbysta, Stawek pisał nawet o nim, kiedy facet pomógł odzyskać torebkę okradzonej kobiecie. Po prostu stanął na drodze uciekającego złodzieja, a ten odbił się od niego jak piłka i zatrzymał na znaku drogowym. Jednak w sprawach zawodowych już nie był taki uczynny.

Dziennikarz przejechał się po Zamkowej, szukając jakiejś bocznej drogi prowadzącej na zbocze góry, do którego przylegał dom zakonny. Próbował też od stacji filtrów i od Korzeniowego 1)olu, jednak trafiał albo na ogrodzone posesje, albo na chaszczę nie do przejścia. W końcu zrobił tylko kilka zdjęć od głównej drogi. Dom betanek z pozasłanianymi oknami wyglądał jak wymarły, nie przypominał już tego miejsca, gdzie Pacewiczowi :. igencji East News bodajże sama Jadwicka o mało nie skasowała kamieniem obiektywu. No ale fotę miał zajebistą: mała, nieźle na pakowana siostra robi zamach, a druga, młoda i szczupła, w ostatniej chwili blokuje jej rękę zupełnie jak karateka. Pace-wicz powinien posłać tej młodej kwiaty, gdyby nie ona, miałby złom, nie obiektyw.

Jednak Stawkowi betanki póki co wisały. Tymi zdjęciami z za ogrodzenia chciał tylko zatkać gębę naczelnej, bo tak naprawdę

118

119

rozglądał się wyłącznie za Glińskim, który według Agnieszki Nowak miał tu, w Kazimierzu, dyskutować z grupką studentów. Nawet zapytał o niego w Domu Pracy Twórczej KUL-u, ale dowiedział się jedynie, że żaden dominikanin nie zarezerwował tam pokoju, choć faktycznie, ma być na panelu o dziewiętnastej.

- Dzień dobry, może wolałby pan wejść do środka? - wyrwał go z zamyślenia głos kelnerki. Naturalnie ruda, obsypana piegami dziewczyna jakimś cudem dostrzegła dziennikarza przez okno i teraz stała przy nim, dygocząc z zimna, ale dzielnie ścisnęła menu.

- Nie, lubię świeże powietrze. - Uśmiechnął się. - Poproszę kawę z ekspresu i popielniczkę.

Odprowadził ją wzrokiem i po chwili również jego przeszył dreszcz. Robiło się coraz

chłodniej. Od strony fary na ukos ku podcieniom szła, stukając obcasami i przytrzymując kurtkę przy szyi, drobna, energiczna kobieta. Stawek zapalił papierosa. Tymczasem stukanie zbliżało się, po chwili kobieta stanęła w kręgu światła z kawiarni. Teraz zobaczył długie, czarne włosy, opadające falami na artystycznie przerzucony szalik. I ten zawodowy miły uśmiech, który rzadko wróżył coś dobrego.

- Boziu! - zawołał dziennikarz, rozpoznając swoją konkurentkę z „Dziennika”.

- Co, Tomek, nie wpuścili cię do środka? - Magda Boziak przysiadła się do stolika i jeszcze szczelniej otuliła kurtkę.

- Mnie? - Zerknął ku rozświetlonym oknom lokalu. Kątem oka dostrzegł chudego faceta z papierosem, przemykającego podcieniami. Miał wrażenie, że skądś gościa znał jak to zwykle w tym miasteczku. Tu wszyscy się znają, a Olbrychski w przyływach dobrego humoru ścina szablą knoty. - Nie, ja pokutuję. A ty pewnie na betanki?

- Na betanki? - wzruszyła ramionami. - A skąd ci to przyszło do głowy?

120

- Stamtąd - wskazał w stronę fary i ulicy Puławskiej. - Zresztą może wcale nie ma się czym podniecać, może się wszystko rozejdzie po kościach. Właśnie, czytałem twój wywiad z tym księdzem... jak mu tam?... - Stawek zmarszczył czoło. - Tym, co gadał, gadał i w końcu nic nie powiedział. Ojciec Glinka, tak? jak nasze siatkarskie złotko?

- Gliński - poprawiła go. - Daj ci Boże chociaż takie wywiady.

- Bóg zapłać, Boziu droga.

Chciała jeszcze przypomnieć Stawkowi swój artykuł sprzed roku o wymordowaniu jesienią 1943 roku żydowskich rodzin, ukrywających się w podlubelskiej wiosce. To po nim namawiał Bożię na zmianę pracy naczelną „Rzepy”. Chciała też dodać coś o swoim zdjęciu życia: starzec o wyglądzie jurodiwego podnosi groźnie palec i celuje nim w obiektyw jak ptasim szponem. „Dowódcą karabinu tu byłem- Nikt tu nikogo nie zabił bez mojej wiedzy” - mówił, a dziennikarka zastanawiała się, ileż to razy ten sam palec nacisnął spust. I tę właśnie myśl zdołała sfotografować razem ze starcem... Niestety zanim zdążyła odciąć się Stawkowi, ich uwagę odwrócił czyjś krzyk od

strony Nadrzecznej.

Ulica Cmentarna, godz. 19.00

Proszę sobie przypomnieć, jak to dokładnie wyglądało - powiedział Lesik, starając się ukryć irytację.

Lepiej by zrobił, gdyby wyjechał z Kazimierza, kiedy tylko skończył kontrolę. Wynik był bardziej niż pozytywny: tutejszy posterunek zrobił wszystko, co można i czego nie można, aby odnaleźć radio ukradzione z samochodu senatora. Że bezskutecznie, to inna sprawa, no ale raport pokontrolny aspirant Kowalik mógł sobie śmiało skserować i powiesić nad biurkiem obok godła.

121

Tymczasem trup franciszkanina od początku wyglądał nieciekawie - chociaż policja przybyła na miejsce kilka minut po zgłoszeniu, ewentualne ślady zdążyli zdeptać pozostali zakonnicy. Przy niewielkim udziale Hanny Skoliszewskiej, która, jak pewnie napiszą w gazecie, „dokonała makabrycznego odkrycia”.

Teraz dwaj mundurowi cofnęli już wszystkich za taśmę, a właściwie za sznurek, bo białą-czerwoną taśmę policyjną na posterunku gdzieś wcięło. Lesik tym bardziej nie woził jej w bagażniku.

- Proszę sobie dokładnie przypomnieć - powtórzył.

- Chwileczkę, chwileczkę... - Kobieta przejechała dłonią po twarzy i zatrzymała ją na ustach. Teraz jest inne światło...

- Światło? - Komisarz rozejrzał się. Wcześniej na tej wąskiej, pozbawionej latarni uliczce w ogóle nie mogło być żadnego światła. Teraz też, gdyby nie reflektory samochodu Lesika, ciało franciszkanina można by pomylić ze zgubionym workiem ziemniaków. Leżał półtora metra od skraju kamiennej podmurówki umacniającej skarpe.

Dalej, gdzie poziom ulicy się podnosił, mur klasztorny podpierany zbudowane z białych głazów potężne przypory. W pierwszej chwili komisarz pomyślał, że zakonnik mógł po prostu wychylić się nieostrożnie za mur i wypaść, ale to nie trzymało się kupy - akurat nad miejscem, gdzie leżał, stały dwa budynki gospodarcze: jeden drewniany z zamkniętą okiennicą, drugi kamienny z okienkiem

tak małym, że nie zmieściłaby się w nim nawet głowa dorosłego człowieka.

- Światło - skinęła głową kobieta. - Nie rozglądałam się, nie było czasu, ale pamiętam cienie.

- Pani Hanna wystawia w tutejszej galerii - wyjaśnił komisarzowi Kowalik. - Maluje pejzaże.

Lesik przyjrzał jej się uważniej. Hanna Skoliszewska ze swoim rowerem z hipermarketu, tanimi džinsami i kurtką z taniej odzieży wyglądała raczej na wsiową babę niż na artystkę.

- Pomoże to pani, jeśli zgaszę reflektory? - zapytał.

- Tak, na pewno - zdecydowanie kiwnęła głową.

- Proszę poczekać.

Komisarz wolnym krokiem ruszył w kierunku samochodu, przy którym stała grupka zakonników i przypatrywała się Z niepokojem policjantom. Tyle dobrego, że nie zdążyli ruszyć Ciała. Dopiero dostałby opierdół od prokuratora, że klech nie upilnował!

Skoliszewska w sumie zareagowała prawidłowo, uznał z nie-Lhęcią. Babie rozładowała się komórka, więc pobiegła do najbliższego telefonu, właśnie w klasztorze. Lepiej by zrobiła, [gdyby wsiadła na ten swój rower i pojechała od razu na posterunek, no ale czy to ona musiała się troszczyć o ewentualne ślady? Tylko co za idiotyzm, światło?!]

Mimo wszystko wyłączył reflektory i poza odbłaskiem z do-Łów i knajp przy Krakowskiej nic nie mąciło już mroku.

- Czy widzi pani coś więcej?

| Nie zwróciła uwagi na jego ironię, tylko zaczęła poważnie błędzić wzrokiem po murze klasztornym.

- Tak, na pewno. Tam, widzi pan? - wskazała okiennicę [w drewnianym budynku gospodarczym. - To okno było otwarte.

Jest pani pewna?

- Tak. Pamiętam dokładnie czarną plamę tam na ścianie. Skrzywienie zawiasów, tak, na pewno!

- Przepraszam panią. - Lesik klepnął Kowalika w ramię i razem odeszli kilka kroków w stronę samochodu. - jak przyjadą technicy, niech wezmą odciski palców od każdego z klasztoru.

122

123

Zakonnicy, goście, ogrodnik i tak dalej. Poślij kogoś do środka, żeby zabezpieczył tę drewnianą szopę. Szybko, ale dyskretnie.

- Myślisz, że któryś z nich? - Aspirant zerknął podejrzliwie na franciszkanów. Przed chwilą jeszcze rozmawiali o czymś gorączkowo, teraz pochylili głowy w cichej modlitwie. - Niemożliwe, to musiał być wypadek.

- Tak, a okiennicę zamknął przeciąg - mruknął Lesik. Zanim włączył światła w samochodzie, od Nadrzecznej usłyszeli syrenę i pod klasztor podjechała karetka.

Rynek, godz. 19.10

Kawa wystygła niemal natychmiast, gdy tylko ruda kelnerka postawiła ją na stole. Stawek, bawiąc się torebką z cukrem, zerknął na Bozię. Ta przypatrywała mu się z ironicznym uśmiechem i rękami założonymi na piersi.

- Coś ci dzisiaj źle z oczu patrzy, Tomek - powiedziała.

- Gorzej niż zwykle? - Drobinke cukru posypały się na spodek, jednak większość trafiła do filiżanki.

- Nie - zaśmiała się. - Zawsze kombinujesz, ale dzisiaj coś wyjątkowo cię przerasta.

- Proszę cię, bo jeszcze zaleję się kawą. - Podniósł filiżankę do ust, lecz głównie po to, żeby przysłonić uśmiech. Nie ironiczny jak Bozi, raczej pełen przewrotnego zadowolenia. Mogła sobie wysilać intuicję, a i tak to on był krok do przodu.

Z drugiej strony faktycznie minęło już kilka dni, a Glińskiego wciąż nie przyszpilił.

Mieć Bozię po swojej stronie to nie byłoby złe, tylko że science fiction. Północ i południe, plus i minus, „Kurier” i „Dziennik”...

Z ulicy Lubelskiej wyjechała karetka - nie na sygnale, ale z migającym kogutem.

Minęła studnię i skręciła w stronę Klasztornej. Przy skrzyżowaniu kierowca włączył syrenę.

124

- Sok, bardzo proszę. - Znów pojawiła się kelnerka.
- Nie wie pani, co tam się stało? - Stawek wskazał niebieskie światło, które pulsowało jeszcze na ścianie „Domu Architekta”.
- Podobno jakiś wypadek w klasztorze.
- W klasztorze? - Stawek zgasił dopiero co zapalonego papierosa i sięgnął po plecak.
- Boziu, podrzucić cię?

Dziennikarka spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie masz drugiego kasku.
- Tylko cieniasy jeżdżą w kaskach. - Dosiadł aprilli. - Jedziesz czy nie?

Klasztor reformatów, godz. 19.20

Proszę, to tutaj. - Ojciec Jordan wskazał komisarzowi drewniany budynek, stojący w głębi obszernego placu, w całości zmienionego w parking. W sezonie pewnie przynosił francisz-kanom jako taki dochód, teraz jednak stały na nim tylko trzy wozy.

Lesik podszedł do szopy i uchylił drzwi. Skrzypnęły stare zawiasy, do środka wpadła smuga światła z lampy wiszącej nad wejściem do klasztornej kuchni. Komisarz światłem latarki omiótł kąty, nieco dłużej zatrzymał ją na zamkniętym oknie.

Nikogo ani żadnych widocznych śladów. Przed przybyciem techników i prokuratora niewiele więcej mógł zrobić.

- Niech nikt tu nie wchodzi - polecił gwardianowi. - To samochody ojców?
- Te dwa. - Franciszkanin pokazał kilkuletnią białą fabię i zielone berlingo. - Bmw jest naszego gościa.

Komisarz zerknął zdziwiony na duchownego. Powiedział to tak obojętnym tonem, jakby chodziło o markowego, ale

.....' "

widział nową pięsetczterdziestkę z ponad trzystu kołmi pod maską, a za kierownicą wyobrażał sobie faceta, któremu równo wisi, ile to pali.

- Kim jest ten gość?
- Ojciec Marek Gliński, dominikanin. Lesik znów spojrzał badawczo na Jordana. Zakonnika zupełnie

nie wzruszał wózek za ćwierć bańki, ale słowo „dominikanin” zmiał w ustach tak, jakby chciał powiedzieć „glizda”.

- A gdzie jest teraz... - Komisarz zamyślił się przez chwilę. - Jak ojciec powiedział? Marek Gliński?!

Ulica Cmentarna, godz. 19.50

Zapisałeś? To zaraz wrzuc do serwisu. Reszta potem, muszę kończyć. - Magda Boziak pospiesznie zamknęła klapkę komórki i szybkim krokiem ruszyła w stronę bramy klasztoru. - Ojcie doktorze!

Stawek drgnął. Nie musiał patrzeć na ekran aparatu, i tak wiedział, że zamiast odblaskowych kamizelek techników kryminalistycznych, którzy właśnie zaczynali pracę, wyjdzie gra światła i cienia. Jak z festiwalu Konfrontacje Teatralne albo i ze spektaklu Mądzika. Nie chowając aparatu, ruszył za Bozią.

W pierwszej chwili był przekonany, że dziennikarka się pomyliła. Ten facet w ciemnym płaszczu był podobnego wzrostu i postury, ale nie miał w sobie nic z tego zdecydowanego, pewnego siebie wykładowcy, którego Stawek widział kilka dni temu. Gdy podeszli bliżej, zorientował się, że to jednak był Gliński - Gliński, z którego ktoś spuścił powietrze.

- Ojcie doktorze, czy zechce ojciec skomentować... - Bozia nabrała powietrza.

- Skąd zna ojciec Ryszarda Janczarskiego? - wyprzedził ją Stawek.

Dominikanin spojrział na niego, jakby nie zrozumiał pytania. Bozi w ogóle nie zauważył.

- Proszę się odsunąć! - Dziennikarz usłyszał za plecami ostry głos tego policjanta, który najwyraźniej kierował całą grupą.

Oficer podszedł do zakonnika, a ten cofnął się i omal nie potknął o krawężnik.

- Marek Gliński?

Stawek nadstawił ucha. To było dziwne. Nie „ojciec doktor”, nie „ojciec”, tylko po prostu „Marek Gliński”. I ten ton jego głosu: jakby się znali.

- Tak. - Dominikanin sztywno postąpił krok do przodu. Dziennikarz nie był pewien, ale chyba na czole zakonnika dostrzegł krople potu.

-Jacek Lesik. - Policjant wyciągnął rękę. - Komisarz Jacek Lesik. Książdz...

przepraszam, ojciec nie przypomina mnie sobie?

- Nie. - Gliński podał mu dłoń. Stawek gotów byłby się założyć, że sflaczała i wilgotną. - Wiele lat byłem za granicą. Pan musi mnie z kimś mylić.

- A znał ojciec ojca Adama Lemusa?

- Zamieniliśmy tylko kilka słów.

- Ojciec Lemus nie żyje.

- Świeć, Panie, nad jego duszą.

Komisarz Lesik wyraźnie stracił wątek. Jednak Stawka bardziej zaciekała twarz zakonnika. Już widział u niego taką minę - wtedy na korytarzu uczelni. Tylko teraz było w niej jeszcze więcej strachu i niepewności, i to raczej nie w związku ze śmiercią franciszkanina, ale z tym policjantem.

Dziennikarz sięgnął po aparat.

- Do cholery, Stawek - warknęła Bozia - uspokój się, bo niczego się nie dowiemy.

Może powiedziała to za głośno, a może komisarza ostrzegł ostry policyjny zmysł, bo spojrzał w ich stronę.

126

127

- Mówiłem, żeby się pan odsunął! - krzyknął. - I co pan chce fotografować? Grzegorz!

- zawołał umundurowanego funkcjonariusza, który nieco dalej, już za bramą, rozmawiał z dwoma franciszkanami. - Grzegorz, przesuń dalej taśmę i niech ktoś przypilnuje, żeby ci państwo jej nie przekraczali!

Klasztor Reformatów, godz. 20.10

Skupiony sierżant Bogusz kuczał nad ciałem zakonnika. Ten widok wyrwał Lesika z rozmyślań; komisarz nie mógł się nie uśmiechnąć. Na niskim, otyłym techniku kryminalistycznym nawet z założenia nierozmiarowa żółta kamizelka odblaskowa wisiała jak rozchełstany szlafrok, bo Bogusz zapinał ją na samą końcówkę rzepa. Kiedy nie zmieniając pozycji, przeniósł wzrok w górę, na okiennicę, przypominał Lesikowi cholernie zamyślonego Kubusia Puchatka.. - I co tam? - zapytał komisarz. Technikjeszcze kilka razy zmierzył wzrokiem odległość między oknem drewnianej szopy a brukiem i podrapał się po karku.

-Już idę - powiedział. Wstał ciężko i zarzucił na ramię torbę z aparatem. Poły kamizelki zawinęły mu się wokół kolan, podkreślając kulistą sylwetkę sierżanta. Komisarz na tyle znał Bogusza, że domyślał się, co usłyszy. To w ogóle był szczęśliwy traf, że akurat on miał dyżur domowy: ten mały grubas pisał pracę magisterską właśnie z analizy kryminalistycznej upadków z wysokości. W innych sprawach był z niego przyzwoity, ale niewyróżniający się technik, kiedyjed-nak kucał nad trupem, a potem kilka razy wodził wzrokiem między ciałem a oknem, balkonem czy innym rusztowaniem, Lesik wiedział, że w głowie sierżanta dokonują się skomplikowane obliczenia odległości, wektorów sił i punktów stycznych.

Rzeczywiście, wskazał młodszemu współpracownikowi kilka miejsc na trawie i murze do zbadania, po czym ruszył w stronę bramy klasztoru.

Lesik wszedł na parking i zapalił papierosa.

Gliński, pomyślał znowu. Był już prawie pewien, że go zna, choć tamten nie zdradził się niczym i to nieco zbiło komisarza z tropu. Inna rzecz - facet w ogóle sprawiał dziwne wrażenie, jakby nieobecnego, a jednak kontrolującego każdy swój gest czy słowo. Nie był sobą lub bardzo nie chciał być sobą, co też [nie ułatwiało rozmowy, za to rodziło wiele pytań. Lesik chętnie by kazał go przebadać na alkohol, ale pod jakim pretekstem? A może miał po prostu gorączkę i ledwie się trzymał na nogach? Czerwona twarz, pot na czole... Grypa?

- No? - Komisarz skinął głową w stronę posapującego Bogusza.

Tłuścioch poprawił torbę, ale osiągnął tylko tyle, że odblaskowy napis policja, w wydziale Lesika zwany celownikiem na komorę, znalazł się, zamiast na sercu, pod pachą technika. Komórka i identyfikator na biało-niebieskiej smyczy dyndały na wysokości krocza. -Jedno pewne, nie dostał po łbie na ulicy - stwierdził sierżant.

- Świetnie, panie magister. Jesteś właściwy człowiek na właściwym miejscu. Mógł wypaść sam?

- Mógł, i tego ewentualnie się czepi biegły obrony. Pięćdziesiąt procent takich zgonów okazuje się nieszczęśliwymi wypadkami. Statystycznie - sapnął Bogusz, zdejmując torbę z ramienia. - Zajrzemy? - Wskazał szopę.

- Zaraz. - Lesik pokręcił głową. - Daj dopalić.

- A ja potem będę zgadywał, który pet jest policyjny, a który do zbadania?

128

129

- A kopnął cię kiedyś ktoś w dupę? - Komisarz wyjął z kieszeni kurtki małą, zamykaną popielniczkę z graverunkiem xxv lat milicji obywatelskiej. - Mów, jak to było po twojemu.

- Już lekarz pogotowia się dziwił. Jak człowiek spadnie z takiej wysokości, to raczej zostaje kaleką niż trupem. No ale wystarczy sto osiemdziesiąt centymetrów, jeśli ktoś uderzy potylicą. Teoretycznie.

- A praktycznie? - Lesik spojrzał na papierosa. Zostały jeszcze ze dwa machy.

- Szanse na zgon rosną, jeśli nie spadnie sam z siebie. Sądząc po układzie zwłok, wypchnięty. Ciało zbyt oddalone od ściany jak na swobodny spadek, poza tym upadł tyłem. Moim zdaniem sekcja wykaże pęknięcie podstawy czaszki i pewnie kłykcia potylicznego. Sam pan widział, powyżej linii kapeluszonej brak śladów, nawet guza.

- Czyli wypchnięty z zaskoczenia? Nawet nie dostał w mordę? -upewnił się komisarz.

- A mógł na przykład rozmawiać z kimś, kto stał na ulicy, wychylić się za bardzo i wypaść?

- Mówiłem, że upadł tyłem. Spalił pan, no to chodźmy, bo mam jeszcze robotę tam na murze. No, tak jak myślałem! - Bogusz wszedł pierwszy do szopy i wskazał okno. - Ciało około metr siedemdziesiąt, a okno? Policzyć panu, jakie to musiało być chłopisko, żeby tak wysoko miał środek ciężkości? No i druga rzecz: środek ciężkości ma pan nad jajami, więc przy takim wzroście prędzej rozbiłby sobie pan łeb tu na framudze niż na ulicy.

Lesik powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Jakies skrzynki, zwinięty wąż ogrodowy, trochę narzędzi, opona - wszystko to w stanie pośrednim między porządkiem a bałaganem, jaki komisarz dobrze pamiętał z garażu i altanki ojca. Dopiero na emeryturze stary uczynił ze składowania zbędnych przedmiotów swoją religię, ale franciszkanie widocznie nie byli jej wyznawcami.

130

i - Jakoś nie widzę tu śladów walki.

- Czego oko nie widzi, tego... hm... prokuratorowi nie żal. -Sierżant zaczął grzebać w swojej torbie.

- No to wężście, magister, wężście! - Lesik wyszedł na parking.

Zaciągnął się głęboko powietrzem. Kilkanaście metrów dalej, przy kuchennym wejściu do budynku klasztornego, Kowalik rozmawiał z jednym z zakonników. W górze wiatr pchał ku Wiśle dwie chmury. Jedna do złudzenia przypominała leżącego trupa, druga tłustą, cycatą babę.

A może nasz denat miał coś wspólnego ze Skoliszewską?, przemknęło przez głowę Lesikowi.

Szybko odrzucił tę hipotezę. Malarka, nawet jeśli kłamała, była zdecydowanie chudsza.

Kawiarnia „U Radka”, Rynek, godz. 20.30

Stawek palił papierosa, zapatrzonej w regał ze starymi radiami, bo bateria butelek nad barem za bardzo go denerwowała. Z głośników dołował dziennikarza Tom Waits, a jeszcze z drugiej strony stolika nadawała Bozia.

- Cholera, po co się wcinałeś?! - warczała. - Gliński by się wypowiedział, tylko potrzebował urobienia. Już z nim gadałam, to wiem.

- No, przecież czytałem! - skrzywił się Stawek. - On ciebie urabiał przez pół kolumny, nie ty jego. Ale okej, przepraszam!

Dalej nie wiedział, czy to będzie dobry pomysł, chociaż obracał go w głowie prawie godzinę. Tak, nie szło mu z Glińskim! Tak, jej też nie. Ale gdyby w tej sprawie, tylko w tej jednej, zrobić z Bozią cichą spółdzielnię, zapomnieć, że grają w innych drużynach? Z drugiej strony ona w tej chwili potrzebowała dominikanina wyłącznie dla efekciarskiego „powiedział

131

ojciec doktor M. Gliński, przedstawiciel kościelnej Komisji Ducha i Prawdy", a on widział w nim materiał na serię tekstów. Oszczędnie dawkowanych, podgrzewających atmosferę, wreszcie zwieńczonych dużym reportażem, takim do wydania weekendowego.

- A tak w ogóle to tobie co chodzi po głowie? - zapytała nagle Bozia. - Bo nie

siedzisz tu, żeby się przygotować do betanek.

- Siedzę, bo mam dobre towarzystwo - zrobił unik.

- To fakt. - Skrzyżowała ręce na piersi. - A ja po co?

- Bo ja wiem... Po to samo? - Łyknął herbaty korzennej. Whisky to to nie była, chociaż i tak nieźle grzała.

- Nie, na pewno nie. - Magda Boziak pokręciła głową. Kosmyk jej długich, falistych włosów wypadł zza ucha, ale dziennikarka jednym ruchem dłoni pokazała mu, gdzie jego miejsce. - Ty, Stawek, jesteś mądrzejszy niż ładniejszy.

- Dziękuję ci, nie...

- Czekaj! - przerwała mu. Jej czarne oczy jakby zapadły się głębiej, a usta zwęziły do cienkiej kreski. I tak zastygła, pochylona nad stolikiem.

Dziennikarz dobrze znał tę jej minę wampirzycy. Świadczyła, że Magdzie włączył się właśnie instynkt zabijania, że jest gotowa jednym celnym pytaniem ugotować rozmówcę.

- Czekaj - powtórzyła Bozia - to się nawet całkiem logicznie układa. Mówisz o moim wywiadzie, udajesz, że robisz tylko lans na Rynku, a tak naprawdę to ty masz jakiś cynk.

- A ty liczysz, że ci o tym opowiem? - Stawek sięgnął po papierosa. Już przeszła mu ochota na spółdzielnię. Obawiał się, że to nie on będzie w tym układzie prezesem. A skoro nie, chyba wolał spieprzyć sprawę samemu.

- Mnie wszystko jedno. - Wzruszyła ramionami i wygodnie ułożyła plecy na oparciu krzesła. - Nie mam sądowego zakazu zbliżania się, więc po prostu będę ci patrzeć na ręce.

132

- Szczera do bólu, dzięki. - Dziennikarz powoli kiwnął głową, jednak tak naprawdę niemal spanikował. Jeśli Bozia rzeczywiście zrobi, co powiedziała, gotowa na coś trafić i rozbroić mu bombę, zanim będzie gotowa do odpalenia.

- Sam pomyśl - ciągnęła zrelaksowanym tonem - zdradziłeś się, że Gliński cię interesuje. Siedziałeś tu, jakbyś tylko czekał, kiedy ktoś narobi krzyku z powodu martwego zakonnika. Nie, spokojnie - uśmiechnęła się przewrotnie - nie twierdzę, że

to ty go zabiłeś, a ja miałam być twoim alibi. Ty po prostu jesteś mądrzejszy niż ładniejszy. Niestety, Tomek, nie na tyle mądry, żeby wiedzieć, jak ugryźć to coś, o czym się dowiedziałeś.

Od odpowiedzi uwolnił go stuk obcasów. Do lokalu weszła młoda dziewczyna w jasnym płaszczu. Zauważywszy Stawka, uniosła rękę na powitanie, ten się odklonił.

- Nie wmówisz mi, że chodzi tylko o wymianę żony na nowszy model - szepnęła Bozia. - Nie, akurat ta mała na pewno nie jest w twoim guście.

- Nie jest - przyznał Stawek zadowolony, że zeszła na mniej niebezpieczny grunt. - I nie przytulaj się tak, bo jeszcze mąż się dowie. Pani Agnieszko! - zawołał. - Zapraszam.

Dziewczyna widocznie na to liczyła. Wyminęła okrągły stolik przy wejściu i powiesiła torebkę na oparciu krzesła po prawej ręce dziennikarza.

- Agnieszka Nowak, młoda twarz Brony - przedstawił ją. - Magda Boziak...

- ...„Dziennik Wschodni” - dokończyła za niego studentka. Bozia spojrzała na dziewczynę z lekkim zaciekawieniem, więc

Stawek uznał, że może wyjść i pozbierać myśli.

- Przepraszam. Zobaczę, czy motor stoi. - Podniósł się z krzesła.

- To pana motor? - Agnieszka Nowak rozpięła płaszcz. Spód-nicę miała krótszą niż wtedy w Plazie. - Fajny.

133

Kiwnął tylko głową. Zwykle „dziękuję” jakoś mu w tym momencie nie pasowało.

Sam wiedział, że fajny - to raz. A dwa - ta mała w coś grała, czuł to wyraźnie, choć nie wiedział, o co jej chodzi. Liczyła na „może się przejedziemy”?

Dziennikarz wyszedł przed kawiarnię i sięgnął po komórkę. Wiatr gonił po bruku zgniecioną paczkę po chipsach, ta kilka razy próbowała różnych zwodów, wreszcie uciekła za studnię. Stawek wcisnął jedynekę.

- No cześć, kochanie! Przepraszam, ale będę musiał tu zostać... Jest taka sprawa, chyba nawet do jutra... Nie! No dlaczego tak mówisz?... A słyszałaś o jakiejś lepszej pracy?! - Potem już niewiele mówił, głównie słuchał.

Kiedy po kilku minutach wrócił do stolika, Agnieszka Nowak musiała akurat wyjść

do toalety, bo zastał tylko jej płaszcz na krześle i piwo z sokiem, z którego sterczała słomka do drinków.

- Kto to w ogóle jest ta rezolutna dziewczynka? - zakpiła Bozia.

Stawek uśmiechnął się z wyższością.

- To córka dawnego kumpla tego twojego Glińskiego. Jak to kiedyś powiedział jeden z twoich rozmówców, takiego kombatanta patetycznego? Towarzysza broni w walce o niepodległość. Tak, chyba tak to leciało.

- Co ty pieprzysz?

- Cicho, wraca. Potem ci wyjaśnię.

Ulica Puławska, godz. 21.20

Ja pierdolę! - jęknęła Agnieszka Nowak.

Stała na lewej nodze na środku wąskiej uliczki poniżej fary, próbując w ciemności dojrzeć but, którego wysoki obcas utknął gdzieś niedaleko między kocimi łbami.

Zaczęła grzebać w to rebce, żeby przyświecić sobie komórką, ale zanim ją wymacała, 134

dostrzegła zgubę dzięki wątlej, czerwonawej poświacie z lewej strony. Wsuwając stopę w but, zerknęła w tamtą stronę i zrobiło jej się dziwnie: w odnalezieniu zguby pomogła lampka z przydrożnej kapliczki Matki Boskiej. Przypomniała sobie tekst, który tak bawił jej kolegów przed pierwszą komunią: „Nie kluj, bo ci Bozia język upierdoli”. Wzruszyła ramionami. Wtedy nie przeklinała, była grzeczną dziewczynką. Zazwyczaj nie miała problemów ani z wysokimi obcasami, ani z Matką Boską. A wysokie obcasy były ważne i nie chodziło nawet o to, aby dodać sobie kilka centymetrów, ale by przy każdym kroku zwracać na siebie uwagę. Podobny efekt faceci w biznesie i polityce osiągają odpowiednio dobranym krawatem. Matka Boska chwilowo się nie liczyła, bo w Bronie była moda wyłącznie na to, żeby czasami rzucić Papieżem Polakiem, ale według tego, co mówił Bęciał, Agnieszka powinna być przygotowana na zwrot z ludo-lewa na kato-prawo. Tylko nic za darmo - przewodniczący Repel kazał swoim posłom podpisywać weksle, a jej pozycja w nowej formacji zależała od Glińskiego, który się właśnie, kurwa, wyśliznął! Odruchowo spojrzała jeszcze raz na figurę w kapliczce i poszła dalej. Obcasy stuknęły

po bruku, od Wisły wiało chłodem, a ona zmarnowała sobie weekend!

Nie należała do koła historyków, więc nie było jej łatwo wkręcić się na tę konferencję, zwłaszcza w ostatniej chwili. I tak miała szczęście, ktoś się rozchorował czy obraził. Potem całą noc pisała referat „Mniejszości narodowe i religijne w lubelskiej administracji cywilnej 1907 i 2007 - przyczynek porównawczy”. Nikomu niepotrzebny przyczynek porównawczy, prawie zero źródeł, ale tytuł musiał, no po prostu musiał zwrócić uwagę Glińskiego. Tymczasem gdy ona prezentowała swoje wykresy, i mądrą miną nadrabiała mocno naciągane wnioski, jego w ogóle nie było na sali. Tak, ktoś go z daleka widział na Rynku, tak,

135

na pewno przyjechał do Kazimierza... Jednak na swoim panelu także się nie zjawiał. Wtedy wściekła wyszła się przejść - i jaki fart, trafiła na dominikanina. Stał sam na ciemnej Puławskiej i na jej widok aż się cofnął przestraszony.

- Przepraszam, ojcze doktorze. Liczyłam, że ojciec doktor będzie na moim referacie - zaczęła. Bardzo dobrze, zrobiła tak akademicki wstęp, że lepiej się nie da. Brakowało jej tylko okularów, które mogłaby przy tym poprawić.

- Referacie? Pani referacie? - zdziwił się. Zupełnie jakby była jego fryzjerką, a nie studentką.

- Tak, co prawda nie jestem na historii, ale te tematy są mi bliskie. Zależało mi na uwagach ojca doktora.

- Bardzo przepraszam. Wracam z... Betanii? Od sióstr. Ktoś... Nie, nie! - Pokręcił gwałtownie głową. - Coś się stało. Później to państwu wyjaśnię. Za kilka dni, bo jutro... Tak, jutro rano pewnie wyjadę. Ja... Nieważne!

- Ojcze doktorze!

Odszedł. Właściwie uciekł, a ona na tych cholernych obcasach nie miała szans go dogonić. Poszła więc na Rynek, bo z KUL-owskimi historykami by nie wysiedziała. Jej ojciec, kiedy do niego pojechała poprzedniego wieczoru, też był dziwny, jakby cofnięty w czasie. Przypominał tego za mknącego w sobie i zawsze wściekłego solidarucha, którego pamiętała z dzieciństwa. Albo ostrożnego esbeka. Jak to powiedział ten gość z „Niepodległości”, z którym robiła wywiad Aśka z

dziennikarstwa? „Zacięliśmy się wtedy w windzie z kolegą z kolportażu. Kiedy przewałkowaliśmy wszystkie bieżące tematy, nagle mnie pyta: »Słuchaj, Paweł, ale jak wygramy, to kto będzie w bezpieczeństwie?« »No jak to kto? - mówię. - My, konspira. Jak po 1918«". Ojciec zachowywał się dokładnie tak, jakby to o niego chodziło.

136

- To nie są twoje sprawy. - Pokręcił głową, próbując zgubić jej spojrzenie.

-Jak to nie moje? - Przesiadła się z fotela na kanapę, tuż obok niego. Spojrzał na nią ze źle skrywaną niechęcią. - Bo wy jesteście od walki, a baby od garów, jak matka? Zrobiłeś przy mnie scenę jak zdradzona żona, miałam przez ciebie ostrą jazdę z moim wykładowcą, a ty mi mówisz, żebym spadała?!

- Nie musiałaś się do mnie przyznawać. - Wzruszył ramionami. - Nie byłby to pierwszy raz.

Agnieszka zatrzęsło, że wypomniał zdarzenie sprzed pięciu lat, które w dodatku nigdy się więcej nie powtórzyło. Nawet matka zrobiła jej wtedy awanturę, chociaż jeśli chodziło o ojca, to o żadnym wybaczeniu nie mogło być mowy. W tej jednej sprawie dokładnie i z samej góry olewała etykę chrześcijańską, babka zresztą też.

- Ile razy jeszcze mam cię za tamto przeproszać? I nie wmówisz mi, że to moja wina! Jeśli zbluzgałeś Glińskiego przy ludziach, mnie to dotyczy prawie tak samo jak was obu.

- Tak, prawie tak samo - pokiwał głową. - Ale tu jest jak w tej reklamie piwa: prawie robi wielką różnicę.

No rzucił dowcipem, szacun! A potem się zaciął i nic! Usłyszała jeszcze kilka tekstów, że była mała, że nic nie pamięta i nie rozumie, że on to robi dla jej dobra... W sumie czego się spodziewała? Ze złością szarpnęła torebką, gdy ta zahaczyła o wystający przez siatkę posesji krzak. Posypały się drobne, suche listki.

Aż do samego pensjonatu KUL-u miała przed sobą w miarę normalny chodnik, na którym już trudniej zgubić obcas. Wyszła zza drzew na wielki i całkiem pusty plac parkingowy, jeszcze tylko minąć dwa spichlerze i dom betanek.

Właśnie, betanek! Kiedy spotkała ojca doktora, powiedział, że „wraca od sióstr". Tam też były jakieś afery z molestowaniem

seksualnym, nawet wcześniej niż ta w Bronie. „Mnie jakoś przewodniczący nie molestował, a może szkoda”, próbowała potem rozbrajać sytuację pewna posłanka, ale żeby się zabrać za nią, Repel musiałby być całkiem pijany...

Dopiero od Stawka i Magdaleny Boziak dziewczyna dowiedziała się o wypadku u reformatów i że Gliński tam poszedł. Fakt, to mogło mieć związek z jego pracą w Komisji Ducha i Prawdy, choć jaki, nie miała pojęcia. Ale jednego była pewna: choć dziennikarze podpytywali ją o działalność w młodzie-żówce Brony, Agnieszka widziała coraz wyraźniej, że ich też interesował wyłącznie ojciec doktor. I że wiedzieli jeszcze mniej od niej.

ROZDZIAŁ VII

Sobota, 6 października 2007 roku

Sanktuarium Matki Boskiej Kazimierskiej, godz. 21.00 Marek Gliński trwał pogrążony w żarliwej modlitwie, i to nie tylko po to, by rozwiązać podejrzenia gwardiana, naprawdę po- trzeba Boskiej pomocy.

Ledwie przetrzymał rozmowę z podporucznikiem Lesikiem, znaczy komisarzem Lesikiem, nad którym cały czas pulsowała czerwona aureola. W głowie co chwilę miał pustkę, istną czarną dziurę, a ułamek sekundy później zalewał ją potop myśli nie do wytrzymania. Nie rozumiał, co się stało, jednak czuł, że rozumieć powinien, tylko umknął mu z pamięci jakiś ważny szczegół.

Policjant chyba go nie poznał, chociaż Gliński na jego widok od razu przeniósł się w czasie i przestrzeni. Znów byli razem w esbeckiej szkole oficerskiej w Legionowie, znów uczestniczyli w kursie przed wymierzoną w Kościół prawosławny akcją „Bizancjum”, a patron Dzierżyński spoglądał na nich niemal z każdej ściany.

- Instrukcja pracy operacyjnej proces pozyskania zaleca zakończyć odebraniem zobowiązania o współpracy - szeptał dominikanin - jednak w praktyce Departamentu IV wymóg ten, zwłaszcza w stosunku do księży... I z duchem twoim... Umieścić

w teczce TEOK wypełnione uzasadnienie pozyskania... Spowiadam się Bogu

wszechmogącemu i wam, bracia...

Oprzytomniał dopiero przed kolektą, choć sam nie wiedział, czy sprawiła to woda święcona, której kroplę poczuł na czole, czy chóralny śpiew zakonników: „Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję”. Spojrzał w stronę gwardiana celebrującego mszę w intencji tragicznie zmarłego współbrata i w jednej chwili przesunęły mu się przed oczami wszystkie karty mszału rzymskiego, wszystkie kolorowe zakładki. Chciał zawołać do Jordana, że nie wolno w dzień powszedni wykorzystywać pokropienia do aktu pokuty... Nie zdążył, bo ponadczterystuletni obraz w ołtarzu nabrał żywszych barw, a to, co do tej pory Gliński brał za naturalną fakturę, okazało się głębią, trzecim wymiarem. Wpatrzony w połyskującą złotą koronę Kazimierskiej Pani, omal nie przeoczył białej gołębic, która raptem zatrzepotała skrzydłami pod sklepieniem. Zerknął na boki, ale żaden z zakonników się nie poruszył.

- Raduj się, słodko pachnąca Lilio! Władczyni, napełnij wonią wierzących! -
zaintonował ktoś cicho.

Ojciec doktor nie rozpoznał głosu, ledwie jednak usłyszał śpiew, jego nozdrza wypełnił zapach kwiatów, tak intensywny, że aż drażniący.

To anioł!, zrozumiał dominikanin.

Archanioł Gabriel na obrazie poruszył dłonią, w której trzymał bukiet, i woń lilii stała się jeszcze mocniejsza.

Trzy kwiaty, biegły myśli Glińskiego, „Jam narcyz Saronu, lilia dolin”, Oblubieniec Kościoła, Chrystus psalmisty. „Jak lilia pośród cierni, tak przyjaciółka ma pośród dziewcząt”... Trzeci kwiat! Adam, korona stworzenia, ojciec Adam świętej pamięci. Adam Lemus, Lemus lemus, leming właściwy, skromny gryzoń od skoków samobójczych. Potępiony Lemus lemus, Matko Boża, miej go w swej opiece!

- Błogosławionaś ty między niewiastami - coraz głośniej przekonywał archanioł.

-Ja? - Maryja na obrazie wskazała na siebie z niedowierzaniem.

Woń lilii wciąż była silna, ale w nos ojca doktora wwiercił się teraz inny zapach: szybko narastający odór zgnilizny, krwi, potu. Gliński rozejrzał się, pewien, że przyniesiono trumnę z ciałem ojca Lemusa. Nie, przecież jego zwłoki oczekiwały na

sekcję, nie było go tu, bo nie mogło być. Były za to wota, świadectwa cudów, uzdrowień. Cuchnęły złote serca, śmierdziały srebrne golenie, uwalniały swój odór wszystkie te symbole niedoskonałej, skażonej natura naturata. Niczym ingrediencje perfum, które razem wydzielają niebiańską woń, ale osobno przeraźliwie cuchną - wystarczy przeczytać Pachniało.

Ojciec doktor z trudem się powstrzymywał, by nie uklęknąć z nosem przytkniętym do pulpitu. Drewno, najwyraźniej wchłonawszy przez lata dość kadzidła, sprawiało ulgę umęczonemu zmysłowi niczym wilgotna chusteczka. Przypomnił sobie scenę, gdy Grenouille, bohater Siiskinda, szuka doskonałej nuty zapachowej, między innymi wachając kościelne ławki. Ciekawe, czy Spinoza, rozdzielając swego filozoficznego, panteistycznego Uoga na idealną naturę rodzącą i na tę zrodzoną, postrzeganą zmysłami, wziął pod uwagę właśnie problem zapachu.

Nagle Dziewica Maryja spojrzała wprost na Glińskiego.

- Pod korytem wieprzy znajdziesz więcej czystości - zaczęła - niż w sercach ksiąząt Kościoła, choć i w chlewie, i w ich myślach tyle samo kłamstwa. Skrzywdzona niewiasta nie uniknie krzywdzicieli, a prześladowca własnej męki.

Siedział jak skamieniały, chociaż chciał coś odpowiedzieć, i » coś zapytać. A w każdym razie prosić o przebaczenie, że przy obrazie śmiał myśleć o roztopionym w bycie Bogu Spinozy. Matka Zbawiciela niewątpliwie przyszła go wesprzeć, tylko co znaczyły jej słowa? Nie po raz pierwszy czuł, że plany boże go przerastają. Nie potrafił nawet zgadnąć, czy niosły mu pociechę, czy kolejną próbę, kolejny kamień, który będzie mu ciążył jak grzech, choć ojciec Jakub znów zacznie przekonywać, że to w służbie Kościoła...

- Módl się za nami, Matko - jęknął Gliński. Tymczasem wolno toczyła się liturgia Słowa, a oczy Maryi

z obrazu wciąż patrzyły na dominikanina. Podczas responso-rium zakrył twarz dłońmi, wtedy usłyszał delikatne tykanie swojego zegarka: rozciągające się sekundy, bicie serca, oddech. Ojciec doktor poczuł ukłucie niepokoju, że zaraz utonie. Tylko w czym? W zapachu lilii i kadzidlanej woni drewna czy w cielesnym odorze wotów? Opuścił wolno rękę, ale ten ruch i tak zdał mu się nienaturalnie szybki, podczas gdy

msza trwała już... ile? Dwadzieścia minut, jak oszukiwał zegarek, czy dwie godziny, jak sam czuł? Zdążyłby odbyć podróż do Ziemi Świętej i zaświatów, a potem jeszcze złapać potrącony dzban. Zwłaszcza że ów nieostrożny anioł, który omal nie rozbił naczynia należącego do Mahometa, także tu był, tylko z bukietem kwiatów dla Dziewicy Maryi. Trzymał go pewnie i mocno.

- Źle się ojciec czuje? - zapytał nagle archanioł Gabriel. Serce Glińskiego zabiło szybciej, wziął głęboki oddech, aż zakręciło mu się w głowie. Ktoś go podtrzymał, sam też chwycił czyjaś dłoń. Nie należała jednak do anioła.

- Odprowadzę ojca - szepnął starszy, całkiem siwy franciszkanin.

Gliński przytomnie pomyślał, że jeśli zemdleje na schodach, spadną obaj, bo tamten nie zdoła go utrzymać. Jednak protestować nie miał sił.

Niedziela, 7 października 2007 roku

Klasztor Franciszkanów, godz. 2.05

Pan mnie wyzwolił, uleczył i oczyścił - szepnął z wdzięcznością Gliński.

Leżał w pełni rozbudzony, ale zmęczony i ciężki. W jego celi było zimno, mimo to ze wstrętem odrzucił przeпоconą pościel.

Nie pamiętał, jak znalazł się w łóżku. Zapewne pomógł mu zdjąć ubranie ten sam siwiuteński sługa św. Franciszka, który wyprowadził go z kościoła. Lecz dwa przedmioty, które dominikanin ścisnął teraz w dłoniach - różaniec i zegarek - chyba wziął sam. Tylko po co?

Ojciec doktor uparcie próbował znaleźć jakąś odpowiedź. Owszem, to było kompletnie nieważne, dlaczego ścisnął niby relikwie festinę i więzienny różaniec z chleba, a nie na przykład portfel i kluczyki do samochodu. Musiał jednak pobudzić swój mózg do jakiegokolwiek rozumowania i wypróbować go, bo wiedział, że za kilka godzin jasny umysł będzie mu bardzo potrzebny.

Na początek przyplątała mu się piosenka Stachury - w czasach, gdy studiował, poety podejrzanie kultowego, zupełnie jakby jego pokolenie potrzebowało wyjątkowo silnej odtrutki, gdy samo wchodziło w fazę pierwszych draństw i fatalnych wyborów. „Jaka epoka, jaki wiek, jaki rok, jaki miesiąc, jaki dzień i jaka godzina kończy się, a

jaka zaczyna" ...

Był 7 października, dzień, w którym Kościół powszechny wspomina św. Marka, dziewięćmiesięcznego papieża. Nie, nie, była też niedziela, a więc Kościół Święty nie będzie obchodził żadnych wspomnień. Jedno pewne - był to dzień imienin Glińskiego. A zarówno szwajcarska festina, jak i różaniec z obozu internowania były prezentami, które kiedyś dostał: pierwszy od samego siebie, drugi od kolegi z... no, z pracy. Wyjaśnienie zbyt symboliczne, aby brać je na serio, ale fakt był faktem. I co najważniejsze, procesy myślowe zaczynały wykazywać jakąkolwiek logikę.

- Pan mnie wyzwolił, uleczył i oczyścił - powtórzył swój akt strzelisty i wstał.

Podłoga była lodowata, aż odruchowo zaczął szybko chodzić po celi. Zawroty głowy i nudności mijały, zniknęła też mgła sprzed oczu. W ciemności wyłowił wzrokiem kształty mebli, swoją torbę, teczkę i srebrną komórkę leżącą na stole. Sięgnął po nią i spojrzał na wyświetlacz: tak, rzeczywiście była niedziela, siódmego. Sprawdził jeszcze, czy nigdzie nie przepadła stara nokia, ale na szczęście była na miejscu, w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wciąż chodząc, zmusił pamięć do odtworzenia całego poprzedniego dnia. Wyraźnie dzielił się on na dwie nierówne części: tę bezpiecznie szarą i tę mistyczną; cenzura też była wyraźna: rozmowa z siostrą Lidią i jej niepokojące wizje. Gdyby Romanyczko go nie wyprosił, jeszcze chwila, a ojciec doktor i przełożona betanek mogliby się tymi prywatnymi objawieniami licytować... Cóż takiego powiedział profesor Möller na zakończenie terapii? „Aber natürlich, dziś jest ojciec całkiem zdrowy, ale czy jutro nie zarazi się na przykład grypą? Tego nie gwarantuję”.

Na przykład grypą! Piękny eufemizm na to, czego Gliński doświadczył i nie miał pojęcia, jak interpretować. Nie mógł to być nawrót jego choroby. Wtedy, po osiemdziesiątym dziewiątym roku, przeżył wprawdzie potężne załamanie psychiczne, gdyby nie ojciec Jakub, może nawet poszedłby na tory jak Wokulski i Stachura, lecz nie stracił kontaktu z rzeczywistością, Matka Boska nie wychodziła do niego z obrazu i nie rozmawiała o trzodzie chlewnej.

Ale miał przecież nagrania! Obiektywne są... obiektywne. Nie miewają wizji, rejestrują tylko bezpieczną, fizyczną naturę zjawisk. Otworzył komórkę i zaczął przeglądać zapisy. Powinien je jak najszybciej przesłać ojcu Jakubowi.

Rozejrzył się za laptopem i w pierwszej chwili pomyślał w panice, że ktoś go zabrał. Odetchnął jednak, gdy zjrzał do teczki.

! Lecz zanim namacał przyjemnie gładką obudowę, jego palce natrafiły na opakowany w folię słoik. Wyjął go, zapalił światło i przez chwilę przyglądał się z obrzydzeniem kawałkom mięsa w zimnym, zastygłym sosie.

Skąd...? Wiedział już skąd. Przypomniawszy sobie siostrę Karolinę. „Może się ojcu przydać, jeśli będzie... głodny”, powiedziała to tak jakoś dziwnie. „Na miłość boską, niech ojciec to weźmie!”

Do czego mogła się przydać nieświeża potrawka, która i tak mu nie smakowała? Jadł ją, bo nie chciał urazić siostry przełożonej. Inne zakonnice pościły. Co jadły? Nie pamiętał. Ojciec

Romanyczko błogosławił mięsny posiłek, a potem... Potem ci, co go jedli, zostali mistykami!

Gliński zerwał folię i odkręcił słoik. Zapach jedzenia, po prostu zimnego jedzenia, odrzucił go, jakby tam było zgniłe mięso. Więc wciąż nadwrażliwość zmysłów jak podczas mszy w sanktuarium!... Nie miał pojęcia, jaki narkotyk był w tej potrawie, ale zrozumiał w końcu upór siostry Karoliny, która niemal przemocą wepchnęła mu w rękę ważny dowód.

Zakręcił słoik i znów podjął swój spacer po podłodze, już nie tak zimnej, zaledwie chłodnej. Chłód! Przypomniawszy sobie wczorajszy powrót do klasztoru. Drzewa na Kościelnej rozrosły się w ciemny tunel, który nie prowadził w stronę Rynku, ale gdzieś w głąb, w podziemia, ku nieznanemu trupowi pod Świętą Anną. Próbowaly chwycić go gałęziami, na szczęście płaszcz Madonny z ceglanej kapliczki promieniał światłem. Niebieskim światłem!

Jak ta cholerna aura ojca Kazimierza Romanyczki.

Gliński odszukał wzrokiem swoją marynarkę. Zatroškany franciszkanin powiesił ją starannie na oparciu krzesła. Błąd, powinien na wieszaku, najlepiej zapinając jeden guzik, żeby się nie defasonowała, ale trudno. Przynajmniej ojciec doktor mógł szybciej po nią sięgnąć i wyjąć z kieszeni komórkę. Wszedł do folderu z klipami wideo i wybrał plik z wczorajszą datą. Przewinął film do ostatniej sceny: słychać głos siostry Lidii, pojawia się na chwilę twarz siostry Karoliny, zmartwiona, ale bez strachu, Romanyczko wyprasza go z klasztoru...

Nie ma aureoli. Ani błękitnej, ani żadnej innej.

Dlaczego zakonnik faszerował narkotykami siostrę Jadwigę, to akurat było jasne: też w pewnym sensie żył z jej objawień. Co jednak chciał osiągnąć, podając je wysłannikowi Officium? Zniechęcić? Przekonać o prawdziwości wizji? Czy skompromitować? A może wiedział, że ledwie posiłek dobiegnie końca, ktoś znajdzie trupa ojca Adama? Chciał, by kompletnie naćpany Gliński tłumaczył się policji, może nawet wylądował w szpitalu, badany na okoliczność alkoholu i środków odurzających? Tak mogło być, całkiem logiczne... Ale czy musiało?

Ojciec doktor spojrzał na łóżko. Prezenty imienninowe... Jego wyzwalacz rozsądku i powrotu do rzeczywistości. Niemal z czułością założył na przegub zegarek, po czym wyjął z torby czyste skarpety i świeżą bieliznę. Już ubrany, wziął do ręki różaniec, usiadł przy stole i włączył laptop. Nie czuł zmęczenia, za to przymus wypróbowania samego siebie. Utworzył kolejny plik spowiedz.odt, po czym zaczął pisać:

Nawet gdyby nie moja grzeszna skłonność do pięknych przedmiotów, tymi zegarkami musiałbym zachwycić się jako kapłan.

Ktokolwiek wpadł na pomysł wyeksponowania mechanizmu ze gara, działał pod natchnieniem Ducha Świętego: poruszające się zębátky i wahacze były jak animowana ilustracja do wiersza któ

regoś z poetów metafizycznych. „Czas ucieka, wieczność czeka”, „memento mori” - w każdym drgnieniu mechanizmu.

Największym cudem była gablota z zegarkami wyposażonymi w tourbilliony: mikrokosmosy kół obracających się w trzech wymiarach, na niemal niewidocznych

łożyskach, niczym modele przed-nowożytnego kosmosu, skończonego, ograniczonego i doskonałego. A zarazem świata uprzedmiotowionego, bo istniejącego jedynie, by służyć swemu Stwórcy - przecież celem tych arcydzieł sztuki zegarmistrzowskiej była rzecz tak drobna, jak ograniczenie wpływu grawitacji tego prawdziwego świata na dokładność czasomierza. I ten jeden szczegół podwyższał cenę zegarka do wartości nawet kilku samochodów.

Warsztat i sklep zegarmistrzowski pana Riedera polecił mi we Włoszech jeden ze współbraci. Pan Rieder był gorliwym katolikiem, w młodości służył w Gwardii Szwajcarskiej. To właśnie on wyjaśnił mi, na czym polega działanie tourbillionu, kiedy zapytałem o sens wyposażania mechanizmów w tak absurdalnie drogą część.

- Najprościej mówiąc, ojczyste, zegarek jest jak świat, a tourbillion jak Kościół. Świat kręciłby się i bez Kościoła, papieża, chrześcijaństwa, ale dokąd by zaszedł? -

Uśmiechnął się, widząc moją konsternację. - Tourbillion jest po prostu żyroskopem niewrażliwym na grawitację i przez to niepozwalającym mechanizmowi się rozregulować. Świat z Kościołem jest z pewnością więcej wart niż bez Kościoła, również taki zegarek musi swoje kosztować. Zdecydował się ojciec na któryś?

Nie zdecydowałem się. Wróciłem tam jednak następnego dnia, ale pana Riedera nie zastałem. Zastępował go w sklepie syn, młody człowiek z zupełnie niepasującym do tego miejsca irokezem na głowie.

- Nie uważa ksiądz, że za coś takiego można zabić? - zapytał mnie naraz, gdy oglądałem zegarki.

- Niestety zabrania tego piąte przykazanie - uśmiechnąłem się, on jednak odparł mi całkiem poważnie:

- A szóste mówi, żeby nie kraść, siódme nie cudzołożyć, ósme nie kłamać... A jak ksiądz myśli, kto może sobie kupić taki zegarek jeśli nie wielki złodziej, oszust albo kurwa, która z nim cudzołoży?

Odruchowo rozejrzałem się, czy nikt nas nie słyszy, ale ten młody mistrz zegarmistrzowski musiał wiedzieć lepiej ode mnie, że jesteśmy sami.

-Jak ksiądz myśli - ciągnął - ilu głodnych można byłoby nakarmić, ilu nagich przyodziać? Za cenę tego cacka afrykańskie dziecko miałyby co jeść przez tysiąc lat,

a może mi ksiądz wierzyć, one żyją znacznie krócej.

Ostatecznie wybrałem skromną festinę bez tourbillionu, ale z metafizycznie odsłoniętym mechanizmem, za trzysta pięćdziesiąt franków.

Gliński przeczytał swoją reminiscencję kilka razy i usatysfakcjonowany skasował.

Impresja przynajmniej na początku nieco rozegzaltowana, jednak w granicach znajomej normy estetycznej. W tym stylu pisał zawsze, gdy jego mózg pracował normalnie, nie był nafaszerowany żadnym narkotykiem, najwyżej odrobiną wina. Darował więc sobie pokutniczą relację z okoliczności, w jakich otrzymał różaniec nieznanego mu internowanego w stanie wojennym. Zresztą nie musiał pisać. Dotyk zimnych chlebowych paciorków zawsze wyzwał pod powiekami obraz tego jesiennego popołudnia.

O poprzednim właścicielu wiedział tylko tyle, że jemu i kolegom z jakiegoś powodu zrobiono w celi kipisz i różaniec został skonfiskowany. Sześć lat później młody podporucznik SB Marek Gliński z okazji swoich imienin postawił kolegom wódkę, a sam zajął się papierami całego ich zespołu. Około piętnastej jego bezpośredni przełożony zjawił się w pokoju operacyjnych wydziału IV i ciężko zwałił na krzesło.

- Koniaku, Kleryk, pewnie nie chcesz? - czknął.

- Dziękuję, pan wie, że nie piję, kapitanie.

- Panienci z „Victorii” też pewnie niekoniecznie?

- Niekoniecznie, kapitanie - zgodził się Gliński.

- No to masz. Z imieninowymi życzeniami satysfakcji w życiu osobistym i sukcesów w służbie, Kleryk - zarechotał, wyciągając z kieszeni zdobyczny przedmiot kultu religijnego.

Cela ojca Lemusa, godz. 4.30

Szafa otwarła się ze zgrzytem, ale wystarczyło unieść nieco w zawiasach skrzydło drzwi, by przeraźliwy dźwięk ustał. Światło latarki zaczęło się ślizgać po wieszakach, pospiesznie obmacało habit i dwie stare koszule. Zjechało w dół, gdzie stały dwie pary butów i torba turystyczna.

Zamek błyskawiczny zaszurał cicho, po chwili światło i dłoń zanurzyły się we wnętrzu. Znów nic: reszta ubrań, tani odtwarzacz MP3 i wszystkie siedem tomów

Zakonów franciszkańskich w Polsce pod redakcją profesora Kłoczowskiego. Ręka sięgnęła po piątą, traktujący o XIX wieku, po chwili zaszeleściły przewracane kartki, światło wyłowiło notatki na marginesach, o podłogę cicho stuknął jakiś kartonik. Latarka skierowała się w jego stronę, ale to była tylko pocztówka z Lourdes z ostatniej pielgrzymki Jana Pawła II. Papież unosi hostię, papież modli się u wejścia do grotty, papież błogosławi ministrantom, chory, zboleły papież patrzy w dal i zdaje się coś widzieć - wszystko naraz jak w średniowiecznym misterium. Na odwrocie jednak kartka była czysta.

Niespodziewanie zawibrowała komórka. Dłoń sięgnęła do kieszeni i na ścianę z drewnianym krzyżem padł delikatny poblask wyświetlacza telefonu. Numer nieznany. Kolejna wibracja i jeszcze jedna...

- Słucham - odezwał się głos w celi. Całkiem udatnie naśladował kogoś wyrwanego z głębokiego snu.

148

149

- Mogę wiedzieć, czego ojciec tam szuka?

Latarka wykonała pospieszny łuk i wycelowwała snop światła ku wejściu. Ktoś nacisnął klamkę, powoli uchyliły się drzwi.

Na progu stanął ojciec Jordan. Pokiwał głową i zapalił lampę.

- Może tego, ojcze doktorze? - zapytał, wyciągając rękę. Trzymał w niej kajet w twardej oprawie oklejonej niebieskim papierem, na rogach zupełnie przetartym.

Gliński wstał i wyłączył niepotrzebną już latarkę wbudowaną w brelok do kluczyków samochodowych. Bez słowa wziął od gwardiana stary zeszyt i otworzył na pierwszej stronie.

- „Własność Adrjana Gałuszkiewicza, pokornego sługi Kazimierskiej Pani” - przeczytał starannie wykaligrafowany napis. - Tak, tego. - Oddał pamiętnik gwardianowi i nachylił się nad torbą turystyczną. Rozpięty zamek błyskawiczny zbyt go denerwował. - A czy ojciec Lemus nie zostawił ponadto jakichś notatek?

- A czy ojciec nie nadużywa mojej cierpliwości? - warknął franciszkanin i wskazał krzesło. - Proszę siadać. Chyba że woli ojciec się położyć, bo wieczorem podczas

mszy nie był ojciec w formie.

Dominikanin posłusznie zajął miejsce przy biurku młodego zakonnika, tyłem do okna, blatu i szuflad, które przeszukał w pierwszej kolejności.

- Zapewne oczekuje ojciec wyjaśnień - zaczął. - I otrzyma je. Jeśli jednak nie ma ojciec nic przeciwko temu, najpierw pomódlmy się razem za duszę biednego ojca Adama.

Zanim zaskoczony gwardian zdążył cokolwiek powiedzieć, Gliński uklęknął i uczynił znak krzyża.

Dzięki ci, Boże, Ty mnie nie opuszczasz!, pomyślał. Potem mówił już na głos:

- Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista...

150

Gabinet gwardiana, godz. 5.40

Ojciec zbyt dosłownie czytał Imię róży\ - westchnął Gliński. -To, że ojciec Adam wypadł przez zamknięte okno, nie czyni z każdego dominikanina zaraz Bernarda Gui.

- Więc co ojciec inkwizytor robił w celi naszego współbrata? -burknął Jordan.

- Równie dobrze ja mogę zapytać, jak pamiętnik ojca Gałuszkiewicza znalazł się u ojca.

- Skoro bawi się ojciec w detektywa, to chyba powinno być dla niego jasne. -

Gwardian upił kawy. - Chciałem go zabezpieczyć.

- A nie zabezpieczył ojciec przypadkiem także notatek ojca Adama? - spytał kąśliwie Gliński.

-Jakich notatek? - Jordan zrobił zdziwioną minę. Całkiem przekonującą, uznał dominikanin. Chyba nawet lepszą niż święty Piotr, gdy twierdził, że nie przypomina sobie Jezusa z Nazaretu.

-Jakich?! - zaśmiał się Gliński. - Daruje ojciec, ale jestem historykiem i najlepiej wiem, jakie stosy zapisków powstają przy opracowywaniu materiału źródłowego.

Proszę zrozumieć, nie tylko ten pamiętnik, ale i badania nad nim mają ogromne znaczenie dla moich przełożonych.

- Doprawdy? - Gwardian rozparł się wygodnie. - A wczoraj ojciec chciał rozmawiać o Romanycze.

- Tak, chciałem - westchnął dominikanin. - Czy on albo któraś z sióstr interesowali się pamiętnikiem? Ktoś od betanek przychodził do ojca Adama?

Jordan wstał i otworzył okno, wpuszczając zimną jesienną wilgoć. Zapatrzył się w czerń, która nawet nie próbowała udawać świtu.

- Szybko zrobiłem z tym porządek - powiedział, nie odwracając się. - To głównie mnie... jak go ojciec wtedy nazwał?... nasz zbuntowany współbrat zawdzięcza tak szybką reakcję

151

ojca prowincjała. My nie potrzebujemy rozgłosu, a na pewno nie takiego rozgłosu. Gliński milczał dłuższą chwilę, patrząc na szerokie bary franciszkanina, niemal zasłaniające wąskie okno.

- Chronił ojciec ojca Adama czy może jednak pamiętnik? -zapytał wreszcie.

- Niech mnie ojciec spróbuje zrozumieć - westchnął gwardian. - Ojciec Adrian już za życia był legendą, niezłomnym człowiekiem, który po kasacie klasztoru został tu samotny, stary, nieledwie stojący nad grobem, jak się wydawało. Tymczasem Bóg pozwolił mu przeżyć jeszcze dwadzieścia lat. - Zamknął okno i wrócił do biurka. - Stary, schorowany człowiek spędził te dwadzieścia lat w zimnym kościele na chórze organowym, gdzie z trudem mieściło się łóżko i stołek. Schodzić mógł tylko po wąskich schodach, cud, że nie skręcił sobie karku. A on tam trwał, umacniając polskość, wiarę, kult Matki Bożej. Takim chcemy go widzieć, bo taki był, ale w tym pamiętniku, jeśli dostanie się w niepowołane ręce...

- Tak? - Dominikanin zastygł nad kubkiem. Kawa już nie parowała, choć jeszcze nie całkiem wystygła.

- Jak każdy miał chwile zwątpienia, upadku. One są w tych pamiętnikach. Ojciec bez wątpienia zrozumie je właściwie, jednak w naszych czasach, gdy media rozdmuchują wszystko, co może zaszkodzić Kościołowi...

- Rozumiem - Gliński odstawił kubek - ale co to ma wspólnego z notatkami ojca Lemusa?

- Zniszczyłem je - wzruszył ramionami Jordan.

- A pliki w komputerze? Przy biurku ojca Lemusa widziałem listwę z

bezpiecznikiem. Raczej nie do lampki nocnej, jak sędzę.

- Zabroniłem mu sporządzania notatek w plikach. I słusznie, bo komputer ojca Adama zabrała policja.

Gliński spojrział na gwardiana z niedowierzaniem. Potem przeniósł wzrok na wytartą okładzinę leżącego na biurku kajetu. Co też takiego mogło się tam kryć? Co za obrazoburcze naruszenie tego pomnika, jakim już za życia był ojciec Gałuszkiewicz? Wyznania bardziej szczere i niewygodne niż w jego plikach spowiedz.odt, które szyfrował, aby i tak skasować najdalej po kilku dniach?

-Jeśli tylko o to chodzi ojcu gwardianowi, to ten pamiętnik będzie najbezpieczniejszy w bibliotece watykańskiej - zauważył dominikanin.

- Być może, ale my staraliśmy się o beatyfikację ojca Adriana. Sądziłem, że ojciec właśnie z tego powodu interesuje się jego zapiskami.

- Nie - pokręcił głową Gliński. - I z całym szacunkiem dla pamięci ojca Gałuszkiewicza, moich przełożonych zupełnie nie interesuje, czy będzie uznany za błogosławionego, świętego, czy heretyka. Tym bardziej papieża Benedykta, który szuka dróg pojednania z Rosyjską Cerkwią Prawosławną. Ale nie okłamałem ojca, pamiętnik jest potrzebny jako źródło historyczne.

- Do jakiego rodzaju badań? I jeszcze raz zapytam: kto ojca właściwie przysłał? Bo przecież nie żadna Komisja Ducha i Prawdy.

- Dziękuję ojcu za kawę. - Gliński wstał.

- Niech ojciec zaczeka, zagrajmy w otwarte karty. Ojciec mi powie, o co tu naprawdę chodzi. A ja... - Przesunął kajet w stronę rozmówcy. - Wypożyczę to ojcu.

- Aleja zrobię kopię - zaznaczył dominikanin.

- Proszę bardzo. Bez oryginału i tak będzie niewiele warta. Nie jestem historykiem, tyle jednak sam wiem. Zatem?

Gliński spojrział na zegarek.

- Dobrze - westchnął. - Zadaliśmy sobie w Komisji pytanie, czy ojciec Ga... ojciec Adrian mógł mieć więcej powodów pozostania w klasztorze niż posługa przed cudownym obrazem.

I jesteśmy prawie pewni, że miał, w końcu cały zakon reformatów służyć z patriotyzmu i czynnej służby krajowi.

- Dziękuję ojcu za dobre słowo - zakpił Jordan. - Szkoda, że w czasie przeszłym.

- Źle mnie ojciec zrozumiał - pokręcił głową dominikanin. - Doceniam wszystko, co ojcowie robicie do dziś. Widziałem pomnik Piłsudskiego i ofiar krwawej środy, tablicę w przy wi-rydarzu i tak dalej. Nam też chodzi o pamięć. Może na przykład ojciec Adrian był strażnikiem czegoś, co ukryli powstańcy?

- Jeśli nawet, to sprawa dla komisji historycznej - zauważył gwardian.

- Sam ojciec powiedział, że w dzisiejszych czasach media tylko czyhają na najdrobniejszą skazę Kościoła. A chyba nam obu zależy, aby tajemnica ojca Adriana dobrze mu posłużyła. o ile oczywiście miał jakąś tajemnicę.

- I dlatego list polecający dla ojca wystosowała Kongregacja Nauki Wiary? - uśmiechnął się krzywo franciszkanin, biorąc do ręki pamiętnik. Zaczął go nawet wertować, jakby drażnił się z gościem.

- To akurat dość proste - westchnął Gliński. - Chciałem ominąć przełożonych ojca.

- I pomyśleć, że ojciec Adam tego nie doczekał... - Jordan usiadł za biurkiem i wbił wzrok w dominikanina. - Nie żeby był łasy na zaszczyty...

- Oczywiście. - Gliński poważnie pokiwał głową. - I mam nadzieję, że ojciec już nie wiąże mojej osoby z jego śmiercią.

Franciszkanin ściągnął brwi. Jego palce zacisnęły się na kubku.

- Ojca już akurat nie - odpowiedział po chwili.

- No właśnie, mnie akurat nie, ale zgaduję, że ktoś inny mógł źle życzyć ojcu Adamowi. - Gliński czuł, że zaraz zacznie go łupać w głowie z narastającego zmęczenia.

- Tego nie powiedziałem! - zaprotestował gwardian.

- Ależ skąd - uśmiechnął się z wysiłkiem dominikanin - ojciec tego nie powiedział.

Jednak nasza komisja, episkopat, a zwłaszcza Kuria Rzymska ma zwyczaj niepokoić się nie tylko faktami, ale nawet potencjalnościami. Sam ojciec rozumie, że w tej sytuacji znajdziemy sposób, aby ojciec udostępnił nam te zapiski, czy to się ojcu

podoba, czy nie. Osobiście bardzo bym nie chciał, aby do tego doszło. Skoro sam ojciec zaproponował, proszę mi wypożyczyć pamiętnik na tydzień, może dwa. Potem odwiozę go ojcu i wszyscy będą zadowoleni.

Gwardian odłożył wytarty kajet na blat biurka i już zdecydowanym ruchem przesunął w stronę dominikanina. -Jaką mam gwarancję, że to do mnie wróci?

- Taką samą jak ja, że nasza rozmowa zostanie tylko między nami. Dane słowo.

- Oby było od Boga - mruknął niechętnie ojciec Jordan.

Godz. 10.00

Marek Gliński od kilkunastu minut leżał w ubraniu na łóżku, próbując zapomnieć o nawracającym szumie w głowie. Zmęczyła go ostatnia noc i rozmowa z ojcem Jordanem, a musiał wziąć się w garść.

„Nie będziesz fałszywie świadczył przeciw bliźniemu”, nakazują księgi Mojżeszowe.

„Nie ukrywajcie świadectwa! Ktokolwiek je ukrywa, to zaprawdę jego serce jest grzeszne!”, przestrzega Koran. „Odrzuciwszy kłamstwo, niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego”, pisze Św. Paweł do Efezjan. Jednak Kościół powszechny za Mojżeszem ujmuje nakaz dekalogu ostrożniej i bardziej życiowo: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Tej właśnie wersji trzymał się ojciec doktor Gliński podczas rozmowy z gwardianem i wypadło nieźle - prawdy nie powiedział, ale też nikogo nie oczernił.

154

155

Myślał, że pójdzie gorzej, że Jordan będzie się czepiał każdego słowa i drażył.

Dominikanin nie powinien był jednak iść na konfrontację, to zawsze ryzykowne...

Ale najważniejsze, że pamiętnik ojca Gałuszkiewicza leżał obok teczki i o ile Gliński mógł to stwierdzić po pobieżnych oględzinach, był autentyczny. Charakter pisma zmieniał się od równych kaligraficznych liter, które znał z podpisu pod protokołem carskiej komisji, do kanciastych i poszarpanych niczym EKG zawałowca. Dotyczyło to zarówno tej części, która była typowym, niezbyt zajmującym dziennikiem starca, dźwigającego zbyt wielki ciężar, jak i ćwiczeń łacińskich, dla których ojciec Gałuszkiewicz odwracał brulion i pisał od tyłu.

W tej właśnie części Glińskiemu od razu wpadł w oko absurdalnie przekręcony cytat z Ewangelii Św. Mateusza: Margaritae vestrae sub porcos missae sunt, ut eas pedibus suis concularent. Przeczytał go aż dwa razy, niepewny, czy zmęczenie nie mąci mu oczu. Ale nie, za każdym razem nie było to ostrzeżenie, aby nie rzucać pereł przed wieprze, lecz zdanie oznajmujące w czasie przeszłym dokonanym: „Wasze perły zostały rzucone przed wieprze, aby je podeptały nogami”. Czyżby znużony umysł starca rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie łacińskie czytania? Czy o to chodziło Jordanowi, gdy mówił o treściach niewygodnych dla procesu beatyfikacyjnego?

Spojrzał na zegarek, był kwadrans po dziesiątej. Westchnął, wyjął z portfela jeden ze starterów i włożył go do nokii.

- Tu Marek. Bartolomé Carranza, Comentarios sobre el Catechismo Christiano... - zaczął niespiesznie po wystukaniu numeru, lecz był pewien, że gdy powie przełożonemu o śmierć i ojca Lemusa i jaki wieczór zafundował mu Romanyczko, tę niedzielę, choć to Dzień Pański, polska sekcja Officium spędzi nader pracowicie. Godz. 10.30

Do puszki „Ofiara za parkowanie” Gliński wrzucił dwadzieścia złotych, a po namyśle jeszcze dziesięć. Walizkę i teczkę starannie ułożył w bagażniku, sprawdził nawet opony, ale ciągle miał wrażenie, że coś mu umyka. Dlatego długo nie ruszał, tylko słuchał cichego szumu silnika pracującego na jałowym biegu. Czuł, jak udziela mu się jego moc, zmęczenie mija, niestety z głowy coś bezpowrotnie uciekło, jakby skasowane shift-delete'em.

Najchętniej wróciłby do celi i spał aż do wieczora, ale ojciec Jakub nakazał jechać prosto do Warszawy. Zatem dominikanin, przeżegnawszy się, przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód własnym ciężarem stoczył się ku ulicy Cmentarnej, dopiero tam Gliński lekko dodał gazu. Przepuścił autobus MZK, po czym skręcił za nim w lewo w Nadrzeczną.

Już pierwsza minuta jazdy wzmocniła go lepiej, niżby to zrobiła najlepsza kawa. Bmw miękko sunęło za autobusem, a ojciec doktor wyobrażał sobie ten przyjemny skok, kiedy wyprzedzi biało-czerwonego jelcza. Samochód bez wątpienia nie miał

ani skrawka duszy, w przeciwieństwie do zegarka, ale był z Bawarii, a w tej chwili Monachium budziło w Glińskim wyłącznie dobre skojarzenia.

Puławska dwunastka stanęła przy słupku, rozsunęły się drzwi. Wśród osób czekających pod drewnianym budynkiem małego dworca, ojciec doktor zauważył dziewczynę ze sportowym plecakiem, ale w płaszczyku i na szpilkach.

Gliński zahamował. Chociaż Bmw jechało nie więcej niż czterdzieści na godzinę i stanęło w miejscu niemal w jednej chwili, on miał wrażenie, że samochód zarzucił tyłem i jeszcze okręcił się dokoła. W oczach mignął mu nagły błysk, jak od flesza, jak od epilepsji, jak z relacji nieszczęśników uprowadzonych przez UFO... Zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna z plecakiem to Agnieszka Nowak i że widział ją poprzedniego wieczoru. Co

156

157

gorsza, nawet z nią rozmawiał, i to jeszcze zanim na tyle wziął się w garść, by nie wzbudzać podejrzeń swoim stanem.

Powinien wyprzedzić autobus, dodać gazu i nie zwalniać, póki nie minie mostu na Wiśle. Tego by sobie życzył ojciec Jakub.

A może to palec boży?, pomyślał. Ta dziewczyna wciąż pojawiała się w pobliżu, może nadeszła wreszcie pora, aby zrzucić z siebie choć część ciężaru? Ostatecznie nawet Chrystus pozwolił, by Szymon przez chwilę niósł jego krzyż.

Zatrábił i opuścił szybę przy oknie pasażera.

- Pani Agnieszko! Dziewczyna nie odwróciła głowy.

- Pani Agnieszko! - zawołał głośniejszym głosem Gliński. - Wraca pani do Lublina?

Teraz już go zobaczyła i podbiegła kilka kroków.

- Nie, jadę do Puław.

Ojciec doktor odczuł ulgę, że jakimś cudem domyśliła się, by podarować sobie nadmiernie zwracające uwagę „szczęść Boże”.

-Jeszcze lepiej. Zapraszam, podwiozę panią.

Jednak ledwie wsiadła, Gliński pożałował, że nie wyjechał pięć minut później. Nagle nabrał wątpliwości, czy tego dnia uniesie wyjaśnienia, jakie go czekały. Z drugiej

strony mógł po prostu podwieźć ją do tych Puław, rozmawiając po drodze o uczelnianych bzdurach.

- Czy bardzo rozczarowałem koło naukowe? - zapytał, ruszając za autobusem.

Właściwie mógł go wyprzedzić, było miejsce, ale poczuł jakąś dziwną blokadę, jakby pierwszy raz siedział za kierownicą.

- Nie wiem, chyba tak - powiedziała z pewnym roztargnieniem. - Cieszę się, że spotkałam ojca doktora. Dobrze, że dwu nastka się spóźniła.

Autobus się spóźnił? Przypadek? A może naprawdę palec boży?...

- Czy coś się stało, ojczy doktorze?

- Tak, niestety tak. - Kiwnął głową. - Muszę jeszcze dziś być w Warszawie.

- Z powodu śmierci tego zakonnika? - odgadła. - To chyba jednak nie ma związku z pracą ojca w Komisji?

Gliński ostrożnie wyprzedził autobus, ale dalej prowadził przepisowo jak na egzaminie. Bił się z myślami.

- Ojczy doktorze, chciałabym z ojcem porozmawiać.

-Ja też, pani Agnieszko. - Zerknął na nią i znów odwrócił głowę. - Ale na spokojnie.

- To proszę skrócić tu w wąwoz. O tu, drugi zjazd za hotelem.

Dominikanin w ostatniej chwili włączył kierunkowskaz i wjechał w polną drogę.

Minął go z wściekłym warkotem silnika jakiś motocyklista, a potem Gliński w lusterku zobaczył jeszcze ciemne vento. Przyhamował i przez chwilę podejrzliwie śledził je wzrokiem w lusterku, bo kierowca nagle zasłonił twarz. Ojciec doktor odetchnął jednak, widząc, że facet tylko przystawił do ucha komórkę.

Po chwili jechali między stromymi, porośniętymi lasem ścianami lessowego wąwozu.

15 minut później

Trudno mi będzie to pani powiedzieć. - Gliński, nerwowo ścierał palcem smużkę kurzu z maski samochodu. To była jedna z tych chwil, kiedy zazdrościł palaczom.

Przynajmniej mieli czym zająć ręce.

Stali na polnym trakcie pomiędzy dwiema skarpami parowu. Gdzie i po co ta droga w ogóle prowadziła? W dodatku wystarczyłyby pewnie dwa dni deszczu, a nikt by nią nie przejechał.

Droga donikąd, przemknęło mu przez głowę, szybko jednak zgasił tę myśl.

Zdecydowanie wołał, żeby to była jedna z tych

dróg, o których pisał św. Mateusz: wąska, bo prowadząca do życia, dostępna dla tych niewielu, którzy potrafią ją znaleźć.

- Mojemu ojcu też trudno jest cokolwiek powiedzieć! - mówiła tymczasem dziewczyna. - Najpierw on nic nie chciał mi powiedzieć, bo podobno byłam za mała, a potem, kiedy już nie byłam za mała, to ja dla odmiany miałam to gdzieś!...

Przepraszam, ojcie doktorze... Po prostu mnie... Ja w ogóle nie pamiętam tych wszystkich czołgów, zoma, kopalni „Wujek”, strajku w FSC i w ogóle! Co to mnie obchodzi?! Ojciec doktor coś podpisał czy jak... No to co? Arcybiskup Wielgus też podpisał, a i tak cały KUL przyjmuje go jak jakiegoś bohatera. Mnie jest naprawdę wszystko jedno, kto z was był dobry, kto zły i kto miał rację, bo teraz to już nic nie znaczy. Lepiej, żeby przestało znaczyć...

Gliński widział, że dziewczyna mówi z wielkim trudem, a jednak instynkt podpowiadał mu, że wcześniej ułożyła wszystko w głowie, może nawet przećwiczyła przed lustrem. Rozumiał to. On też dwadzieścia lat wcześniej zaplanował rozmowę z jej ojcem w kilku wariantach, by się upewnić, czy właśnie jego chce wydać.

- Pani Agnieszko - westchnął - nie chodzi mi o pani ojca, w każdym razie nie tylko o pani ojca. Teraz bardziej mnie martwi to, co pani zrobiłam.

- Mnie? - Wyglądała na autentycznie zdumioną.

- Pani tego nie może pamiętać, ale spotkaliśmy się już. Właśnie wtedy, tuż przed aresztowaniem pani ojca. Pani miała...

- To nie byłam ja, tylko jakiś zasmarkany bachor! - niemal krzyknęła.

Splotła ręce na piersi i zaczęła nerwowo chodzić w kółko przed samochodem.

Dominikanin zobaczył grudkę błota, która przylepiła się do jej lewego obcasa.

Odwrócił wzrok, ale to nic nie pomogło. Nawet kiedy przymknął oczy, widział lepka, obrzydliwą glinę, oklejającą już cały but. Gorzej, wydawało mu się, że czuje bagienny odór. Jak poprzedniego dnia, podczas mszy w intencji ojca Adama.

- Zresztą jeśli matka nie przesadza, to ojciec sam się prosił o kłopoty - powiedziała trochę spokojniej dziewczyna. - A gdyby go nie wsadzili, może by się nie rozwiedli i

dobrze, bardzo dobrze pamiętałabym tę norę, gdzie, jak ojciec mówi, się spotkaliśmy. Każdy ma na swój sposób przesrane, nie, ojcie doktorze?

- Tak, każdy ma swój krzyż - przytaknął pospiesznie.

- Nie, ojcie doktorze! - Agnieszka stanęła naprzeciw dominikanina i spojrzała mu prosto w oczy. - Ma przesrane.

Oparła się o maskę samochodu, patrząc na Glińskiego tak, jakby czekała na jakąś dla niej zupełnie oczywistą reakcję. Której ojciec doktor nie miał w repertuarze.

Często słyszał w chwilach szczerości od innych duchownych, że gdy poświęcili się służbie Bogu, wręcz fizycznie czuli, że otrzymali coś wielkiego, jednak równocześnie coś im odebrano - i wcale nie chodziło o celibat, bo podobny wątek pojawiał się w zwierzeniach pastorów, popów, a nawet jednego mułły. Raczej o jakiś zwykły instynkt, gen świeckości. Zakonnik był przekonany, że jako podporucznik Gliński wiedziałby doskonale, co robić i mówić.

- Pani jest bardzo zdenerwowana - zrobił niezdecydowany krok w jej stronę - aleja muszę to pani wyjaśnić...

- Nic ojciec doktor nie musi. Chociaż chciałabym. - Poprawiła włosy, mimo że układały się idealnie.

Za to błoto miała już rozmazane także na prawym bucie, bo splatając nerwowo stopy, potarła nim o lewy obcas. Gliński starał się nie patrzeć na to ohydztwo, skupić się na słowach, ale stracił wątek i znów nie wiedział, od czego zacząć. Jedno go pocieszało: choć dawno nie wpatrywał się w nikogo z taką

160

161

nadzieją jak teraz w Agnieszkę Nowak, święty Augustyn nie miałby do niego pretensji. Nie kobieta, ale skrzywdzone dziecko, poza tym córka Gutenberga... To powinno wszystko ułatwić, a jednak coraz bardziej niepokoiło dominikanina.

Może nie powinien był zaczynać tej rozmowy dzisiaj, będąc w kiepskiej formie. Tak ciężkiej spowiedzi sobie nie przypominał, no bo przecież ta, gdy zdecydował się wydać Janczarskiego, jedynie udawała wyznanie win.

Ale jeśli nie teraz, drugiej okazji może nie być.

- Pani Agnieszko - westchnął - nie chcę się usprawiedliwiać, po prostu kogoś musiałem wydać, żeby esbecy sami nie zaczęli szukać głębiej. Znałem pani ojca, wiedziałem, że to odważny człowiek i zdeterminowany. - Zupełnie co innego chciał powiedzieć. Przecież to zabrzmiało, jakby zdradził Janczarskiego na torturach! A najbardziej go przerażało, że mijając się z prawdą, mimo wszystko nie kłamał. - Uznałem, że on nikogo nie wsypie i stosunkowo dobrze zniesie więzienie. Ale nie pomyślałem o pani ani o pani matce. I to był największy błąd, bo was obie przede wszystkim powinienem był wziąć pod uwagę. Tego, że pani ojciec zmieni się w więzieniu, nabierze tyle nienawiści, nie mogłem przewidzieć, jednak to też moja wina.

- Dopiero w więzieniu? To chyba go ojciec nie zna! - krzyknęła. - Moja matka to powinna dać na mszę, że go wsadzili! - Agnieszka Nowak ukryła twarz w dłoniach. Teraz Gliński zupełnie zgłupiał. Przyjechał tu z tą dziewczyną, żeby ją przeprosić, jeśli w ogóle można przeprosić za zmar nowane dzieciństwo, a ona była mu za to niemal wdzięczna?! Mefisto Goethego, zła pragnąc, dobro czynił, ale oni rozmawiali o życiu, nie o poezji romantycznej.

- Pani Agnieszko...

Dziewczyna odwróciła głowę, zapewne po to, by nie widział rozmazanego makijażu.

162

- Pani Agnieszko... - dotknął jej ramienia.

Wtuliła się w niego zupełnie jak dziecko. Była teraz tak blisko, że wreszcie nie widział jej ubłoconych butów..

- Ojciec nic nie rozumie... - wyrzucała z siebie słowa, wczepiona palcami w płaszcz Glińskiego. - Miałam ze dwa latka, kiedy ojciec zabrał mnie do piaskownicy, gdzieś koło domu. Ja tego w ogóle nie powinnam pamiętać, ale pamiętam, nie wiem czemu. Siedział na ławce, ja robiłam te cholerne babki i wie ojciec co? Przyszedł jakiś kolega mojego ojca i poszli. Po prostu poszli!

Cholerne babki... Gliński nawet nie przymknął oczu, tylko mrugnął, a i tak zobaczył pod powiekami nieforemne górkę wilgotnego piasku, do którego sikają psy, dzieci, wieczorami pijani mężczyźni. Wzdrygnął się, wtedy dziewczyna jeszcze silniej

zaczęła palce na szwach jego płaszcza.

- Mówił, że tylko na chwilę - ciągnęła Agnieszka - no to zostałam, zresztą tam były inne dzieci, ich matki czy babki. I wie oj-Ciec co, ta chwila trwała kilka godzin. Jak sąsiadka odprowadziła mnie do domu, było już ciemno. Bo trzeba było szybko ukryć maszynę, wydrukować zajebiście ważną ulotkę, rzucić bombę w komitet partii, nie wiem! Ta kobieta wzięła mnie na ręce, ja ryczałam, a ona zaczepiała wszystkich na ulicy i pytała, spod którego jestem numeru. Niby znała z widzenia rodziców, ale nie wiedziała dokładnie, gdzie mieszkamy. To moje pierwsze, najwcześniejsze wspomnienie, wyobraża sobie ojciec?!

Zdziwiłaby się, ile potrafił sobie wyobrazić! Oboje stali w głębokiej jak basen piaskownicy, a brud z butów dziewczyny właśnie ożywał i pełznął w górę, na nogawki jej spodni.

- Pani Agnieszko... - znów zaczął dominikanin, głaszcząc ją po głowie, ale rozplakała się jeszcze bardziej.

- Dopiero jak poszedł siedzieć, matce wrócił rozum. Wcześniej tylko się z nim kłóciła, darli się na siebie i nic. Kiedy

163

zostałyśmy same, któregoś dnia zabrała mnie i zamieszkałyśmy u babci. Nie wiem, kiedy się rozwiedli, chyba jak był w wiezie niu. A jak wyszedł... Tak, ma ojciec rację, zmienił się, zestarzał oklapł... I dotarło do niego, że jest coś jeszcze poza nim samym i tą cholerną konspirą! Gliński zmarł.

Właściwie powinien dziękować Bogu, ale coś mu tu nie pasowało. Co dźwigał przez te lata? Krzyż ze styropianu?! Dlaczego w takim razie tak mu ciążył? I czy ona przypadkiem nie próbowała go uwodzić? Miał o tym pojęcie raczej teoretyczne, jednak znowu czuł, że dziewczyna mówi wyuczony monolog.

- Ojcie doktorze, nie mówmy już o mnie - poprosiła cicho. Co się wtedy naprawdę stało? I dlaczego ojciec wrócił?

Odetchnął głęboko.

- Właśnie o tym trudno mi będzie pani powiedzieć. Proszę mi wierzyć, chciałbym, ale

nie o wszystkim mogę mówić. Na wet dziś.

- Ojciec też? - Otarła oczy. - Ojciec też wierzy w ponadczarna sowa macki esbeków? No to niewiele się różnicie.

- Kto? - nie rozumiał w pierwszej chwili. - Ja i pani ojciec? Przeciwnie, różnimy się bardziej, niż pani sądzi. Pani Agnieszko... - urwał.

- Tak? - spojrzała mu w oczy z wyczekiwaniem.

- Pobrudziła się pani - nie wytrzymał.

- Słucham? - Zagryzła wargi.

- Buty...

Odskoczyła gwałtownie, jakby wcale nie chodziło mu o błoto ale o pełzającego u jej stóp węża. Wściekła przebiła wysokim obcasem poślizgnięty liść grabu.

- Ojcu doktorowi potrzebne moje przebaczenie? - Zadarła nagle głowę, drobiaz w miejscu nogami, rozmazując brud. Cholera, też bym chciała mieć tylko takie potrzeby!

Znowu nie rozumiał, chociaż ten nowy wybuch płaczu dziewczyny wydał mu się znacznie bardziej szczery.

- Pani Agnieszko... - Zrobił krok w jej stronę.

- Nie! - Zaciśnęła pięści. - Ja się nie dam na to złapać!

Aż się cofnął. Twarz z rozmazanym makijażem wyglądała niczym maska z greckiego teatru: oczy zapadnięte w czerń i ślady łez niczym kleksy czarnego atramentu.

Wyjęła chusteczkę, ale nie po to, by oczyścić zatkaany nos. Pośliniła ją końcem języka, spokojnie wytarła powieki i policzki, potem przeczesła palcami włosy.

-Ja nie wiem, co to jest przebaczenie - powiedziała twardo - za to wiem dobrze, co to dług. Wie ojciec doktor, jak działa karta kredytowa?

Omam nie wybuchnął śmiechem. Już rozumiał i monolog, i płacz, i dlaczego kazała mu tu skręcić. Dług! Ależ była podobna do ojca, jedyne, co ich różniło, to generacja!

On w ramach regulowania długów najchętniej powywieszałby na latarniach wszystkich komunistów od sekretarza zakładowego w górę, i szeregowych członków partii publicznie wychłostał. Ona miała do tego, jak to się mówiło już w PRL-u,

bardziej życiowy stosunek.

- Sam ojciec powiedział, że to przez ojca miałam w życiu pod górkę. - Dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie. Ta mina zdecydowanie bardziej jej pasowała niż ta poprzednia, tragiczna. - Trochę o ojcu wiem, a mogę dowiedzieć się więcej. No co się ojciec tak dziwi?

- Nie dziwię się, pani Agnieszko. - Poprawił płaszcz, popatrzył na swoje buty, ale były czyste. - Ja po prostu dobrze wiem, jak działa moja karta kredytowa. Kiedy czegoś potrzebuję, to jej używam, a płaci mój zakon. Boja nie mam nic własnego. - Niby od niechcenia pogłaskał maskę Bmw. - O ile pamiętam, chciała pani jechać do Puław.

- Niech ojciec nie myśli, że to się tak skończy! - Znów zaci snęła pięści. - Mogłam nagrać naszą rozmowę.

-Ja też mogłem - odparł spokojnie. - Kiedy pani wróci do domu, proszę dokładnie odsłuchać to swoje nagranie. Jeśli powiedziałem coś, czego pani i tak nie wiedziała wcześniej od swojego ojca, proszę wrócić i szantażować mnie dalej. Jeśli nie, niech się pani lepiej przyłoży do studiów. Zechce pani doprowadzić buty do porządku i zapraszam. - Otworzył jej drzwi samochodu.

Gdy wściekła wsiadła do auta, ruszył ostro na wstecznym i przejechał tak jakieś pięćdziesiąt metrów. Zwolnił, żeby nie wpaść na oparty o stok wawozu motocykl, którego wcześniej bez wątpienia tu nie było.

- Szkoda, że nie w poprzek - burknął ze złością i znów przy spieszył.

Agnieszka rozejrzała się niespokojnie, ale nic nie powie działa.

Godz. 11.40

Dziewczyna wysiadła na rogu Czartoryskich i Piłsudskiego. Kiedy Gliński ruszył, widział w lusterku, że obejrzała się za nim, ale tylko przyspieszył.

Ochroniarza w Carrefourze przy Lubelskiej trochę zdziwił widok księdza, który robi zakupy w niedzielę. Chwilę później automatyczne drzwi wypuściły dominikanina z lodówką turystyczną, litrową butelką naleczowianki i puszką red bulla, którą już płacąc, wyjął z lodówki przy kasie.

Energetyzujący napój smakował obrzydliwie, ale rzeczywiście Gliński poczuł się po

nim żywszy. Zamieszał puszką, niepewny, czy pić resztę. Obok, na siedzeniu pasażera, mruzczała lodówka, podłączona do gniazda samochodowej zapalniczki.

Tego nie

166

przewidział: uporczywego, monotonnego szumu, który będzie go usypiał.

Zaczął szukać jakiejś żywej, jednak jak najmniej denerwującej stacji radiowej i wtedy zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Sięgnął po mineralną, by rozcieńczyć dopalacza, i omal nie zalał sobie koszuli, bo zadzwoniła nokia.

- Bartolome Carranza, słucham.

- Pagina 378? - zapytał ojciec Jakub.

- Duos grados de oracion - potwierdził Gliński, wyłączając radio. - Zatrzymałem się na chwilę, ale jestem już w drodze.

- Czyli możesz prowadzić... To dobrze. Komisja zbierze się jutro w południe.

Jesteśmy bardzo zaniepokojeni śmiercią ojca Lemusa. Tak staraliśmy się, aby nie zwracać niepotrzebnej uwagi na klasztor... Może przypomniało ci się coś jeszcze z wczorajszego wieczoru?

- Nie, nie sędzę. Wybacz, ojcze, że tak niewiele...

- Nie, nie, to ty wybacz, że musiałem o to zapytać! - przerwał mu ojciec Jakub.

Gliński dawno nie słyszał tyle troski w jego głosie. - Masz pamiętnik, to najważniejsze. Zrobiłeś, co mogłeś. W biurze czekają na ciebie, dostaniesz do dyspozycji apartament. Lekarz też będzie czekał. Z mojej strony to tyle, Marku.

- Skoro ojciec dzwoni - dominikanin przełożył telefon do drugiej ręki - jest coś jeszcze. Widziałem się z Agnieszką Nowak.

W zapadłej nagle ciszy wentylator lodówki zabrzmiał niczym silnik helikoptera.

- Kto ojcu na to pozwolił? - wykrztusił przełożony.

- Nikt, dlatego przyznaję się do błędu, ale dzięki niemu jestem nieco mądrzejszy.

- Doprawdy? - zakpił stary dominikanin. - Skąd takie wnioski, Marku?

- Po pierwsze, miał ojciec rację. Jak zwykle - dodał Gliński. - Zapewne obawiał się ojciec, czy ktoś jej nie podstawił, żeby

167

patrzyła mi na ręce. Skrzywdzona córka, która ma do mnie żal, bo prześladowałem jej ojca. Idealna kandydatka dla kogoś, kto nie jest mi życzliwy. Nie myślę się, prawda?

- Nie myli się ojciec. Słucham dalej.

- Tu mogę ojca uspokoić, jestem pewien, że nikt jej nie podstawił. Działała sama.

- Działała?! - zaskrzeczało z nokii. Głośnik wyraźnie szwankował przy wyższych tonach. - Co ojciec chce przez to powiedzieć?

- Jej próba szantażu była bardzo nieudolna. Choć przyznaję, zraniła mnie, bo naprawdę potrzebowałem jej przebaczenia.

- Przebaczenia? Czy ty zwariowałeś?! - jęknął ojciec Jakub.

- Być może - odparł z opanowaniem Gliński - ale musiałem spróbować. Ojciec wie to lepiej niż ktokolwiek. Więcej grzechów nie pamiętam, przynajmniej z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

- Co ojciec chce dać mi do zrozumienia? - Głos po drugiej stronie ochłódł jeszcze bardziej.

- Że mam dziennik Gałuszkiewicza, nie dałem się wczoraj do końca otruć i Komisja nie poniosła niepowetowanej straty. Wypełniłem wszystkie polecenia ojca w takim stopniu, na jaki pozwalała sytuacja. I przede wszystkim, że to ja prowadzę akcję i ja podejmuję decyzje taktyczne. Po prostu takie są zasady, proszę uwierzyć esbekowi, bo najwyraźniej sam ojciec o tym zapomniał.

- Skończyłeś, Marku? - westchnął cicho stary zakonnik.

- Tak. Jeśli uraziłem ojca...

- Nie, to ty wybacz - wszedł mu w zdanie przełożony. - Uważaj na siebie, a ja będę z tobą w modlitwie.

- Bóg zapłać, ojciec.

Gliński odłożył telefon i przez chwilę siedział, bezmyślnie słuchając upiornego szumu lodówki. W środku chłodził się słoik od siostry Karoliny.

- Za wiele na jeden dzień - mruknął pod nosem i wyszarpnął wtyczkę z gniazda.

Lodówka ucichła, a ojciec doktor zakręcił ogrzewanie i włączył nawiew. Do Warszawy nie było daleko, więc miał nadzieję, że nie zdąży się przeziębnić.

ROZDZIAŁ VIII

Kazimierz Dolny, niedziela, 7 października 2007 roku

„Dom Dziennikarza”, ulica Małachowskiego, godz. 4.45 Tomasz Stawek obudził się, na długo zanim zadzwoniła nastawiona na szóstą komórka. Śnieżący hotelowy telewizor pokazywał powtórkę Szklą kontaktowego w TVN24. Stawek namacał pilota na podłodze, obok butów, ale duszenie czerwonego przycisku nie pomogło, chyba siadły baterie. Spojrzał na przeciwległą ścianę, na której dziewczynka z reprodukcji Wyspiańskiego bezmyślnie wodziła paluchem po dzbanku z kwiatami. Za oknem wydarła się wrona. Dziennikarz wstał, wyłączył telewizor i otworzył klapę laptopa. Ptaki poleciały wrzeszczeć po drugiej stronie budynku, za to wściekł się internet. Serwisy ładowały tylko ramki, a potem sieć całkiem odmówiła współ pracy. Prawie jak wczoraj Bozia...

Najpierw próbowali wyciągnąć coś jeszcze z tej Nowak i całkiem nieźle szło.

Powiedziała, że Gliński nie dotarł na panel dyskusyjny i że zamiast do pensjonatu KUL-u szedł w stronę Rynku. Potem jednak wyraźnie zaczęła coś kombinować i na wet Bozia nie potrafiła nic z niej wydusić. Drugie piwo całkiem przymuliło dziewczynę - jakby nie zjadła obiadu albo miała jakiegoś robaka do zalania. A może to był tylko efekt picia przez słomkę.

170

Wyszła kilka minut po dziewiątej, a Bozia i Stawek zostali jeszcze „U Radka”.

Stawek wreszcie zamówił sobie duże z beczki i do tego frytki, ale Bozia poprzestała na soku.

- No to już otwartym tekstem, Tomek, co masz i co mi proponujesz? - zapytała.

Poszło łatwiej, niż sądził. Kiedy jej powiedział o zajściu na KUL-u między Glińskim a Janczarskim, zgodziła się wypytać znajomych z uczelni. Nawet nie protestowała, aby to tekst Stawka ukazał się pierwszy, za to zaklepała sobie wyłączność na wątki inne niż polityczne i esbeckie.

- A są takie? - zapytał.

- Będą, zawsze są. - Wstała od stolika. - No to dzwoniemy się w poniedziałek.

- W jaki poniedziałek? - o mało nie oblał się piwem. - Zostajesz tu ze mną.
- Tomek, upiłeś się? Już pierwszym piwem? - Potrząsnęła burzą włosów, ale usiadła z powrotem. - Ja z tobą? Romantyczny motel? Nie masz szans. I fatalnie się do tego zabierasz.
- Bardzo zabawne, bardzo. - Stawek nabił frytkę na widelec. -Zrobimy tak: ja jutro spróbuję pogadać z tym naszym ojcem doktorem, a ty niby to przypadkiem spotkasz się z Agnieszką Nowak.
- Bez sensu, Tomek. Strata czasu. Ta mała nic nie wie, zresztą sam chyba już zauważyłeś, że jest nieszczególnie rozgarnięta. A Gliński nie będzie chciał z tobą gadać. Wracam i spróbuję jeszcze w niedzielę ściągnąć rzeczownika komendy wojewódzkiej. Zobaczmy, co powie. Ewentualnie pojutrze z rana podjadę do Puław.
- To zawsze zdążysz, a ja się nie rozerwę. Mówię ci, Magda, tu rano może się coś zdarzyć.
- Tomek, od kiedy ty masz intuicję?

Nie dała się przekonać, zresztą może miała rację, bo intuicji faktycznie nigdy u siebie nie stwierdził. Jednak skoro był

171

tu Gliński, on też nie powinien wyjeżdżać. Ten dominikanin wykazywał nadzwyczajny dar przyciągania interesujących zdarzeń...

Stawek potoczył znudzonym wzrokiem po ścianach pokoju hotelowego, potem podniósł do oczu zegarek. Czwarta pięćdziesiąt osiem. Internet wciąż się mulił, za oknem było ciemno. Dziennikarz sięgnął po szklanke, nalał sobie mineralnej i zapalił przedostatniego papierosa. Już dawno nie oszukiwał w ten sposób głodu, ale do śniadania została ponad godzina.

Dom aspiranta Kowalika, ulica Szkolna, godz. 5.05 Komisarz Jacek Lesik cicho zamknął drzwi łazienki i zapalił światło nad lustrem. Zobaczył w nim mocno wczorajszą gębę, co do której każdy patrol drogówki zaraz nabrałby podejrzeń. Tymczasem wypił tylko dwa kieliszki do kolacji. I chociaż znał z jak najlepszej strony talent kulinarny żony aspiranta, to tym razem nie czuł smaku ani wódki, ani kotleta.

Grzesiek Kowalik był z nowego rozdania, zaczął służbę jakoś w połowie lat dziewięćdziesiątych. W nic nieumoczony, ale rozumiejący. Teraz jednak, co Lesikowi bardzo pasowało, wiązał podkurwienie komisarza ze śmiercią zakonnika.

-I niech tak zostanie - mruknął Lesik, pocierając szeleszczący zarost na policzku.

O tym, że ojciec doktor Gliński kogoś bardzo komisarzowi przypominał, aspirant Kowalik nie musiał wiedzieć. W tym przedmiocie wkurzenie Lesika było zupełnie prywatne. Jeszcze jeden esbek, który ominął weryfikację, podczas gdy za nim do dziś ciągnęła się jak smród po gaciach! A kiedy komisarz zobaczył, jakim wozemjeździ jego były kolega, omal go szlag nie trafił. Nowa, fabryczna beemwica. I jak umocowany! Na samej górze, w komisji episkopatu. Dla Lesika, któremu co miesiąc pół pensji przepadało na alimenty, któremu od lat blokowali awans, chociaż miał kwalifikacje na podinspektora, to było jak fanga prosto w pysk.

- Przypomnij sobie, kurwa, a może to nie on? - nakazał swojemu odbiciu.

Zmarnowany facet po drugiej stronie lustra przeczesał palcami krótkie, szpakowate włosy, ilu może być gości o takiej samej gębie, o tym samym imieniu i nazwisku?! Co prawda zetknęli się tylko na szkoleniu, nigdy razem nie pracowali, ale nie zapomina się takich niby to kumpli, którzy zawsze odstają od reszty. Lesikowi zamazywały się twarze wszystkich tych sierżantów i podporuczników z lubelskiego WUSW, przysłanych do Legionowa, ale przypominał sobie dokładnie, jak obrabiali Glińskiemu dupę przy wódce, na ostro i bez żenady. A niby psy z jednego podwórka nawet jak się między sobą gryzą, to za płotem trzymają się razem. Wyraźnie Gliński, dla przyjaciół i wrogów Kleryk, nie był swój. Jedni mówili, że za pedalstwo wyrzucono go z seminarium i dlatego teraz mści się na czarnej mafii, inni odwrotnie, że to religijny psychol walczący z Kościołem, bo jest bardziej papieski od papieża. Jeszcze inni, że nie pije i nie pieprzy kurew, bo po prostu ma jakiś defekt. Defekt! Jaki, kurwa, defekt, skoro facet jeździ bryką wartą z piętnaście przechodzonych volkswagenów Lesika?! To raczej on ma jakiś defekt na mózgu, inaczej nie siedziałby w komendzie powiatowej i nie musiałby drzeć przy każdej politycznej zmianie na górze!

Ubrał się i cicho wyszedł na ulicę, zatrzaskując drzwi.

Miasteczko jeszcze spało. W oknach pensjonatu ze stylizowanym na przedwojnie szyldem m. kowalikowa. obiady domowe, kwatery też nie paliło się ani jedno światło.

-Już ja cię zweryfikuję, Kleryk... - Komisarz sięgnął po papierosa. - Aż się, kurwa, nie pozbierasz!

172

173

Zapiął szczelnie kurtkę i paląc, ruszył pustą ulicą. Było zimno, z każdym wydechem wypuszczał z ust więcej pary niż dymu, w nosie niemal czuł lodowe igiełki, ale dobrze, bardzo dobrze -wkurwienie powoli z niego schodziło.

Nawet nie wiedział, kiedy dotarł na Rynek. Był sam, nie licząc małego psa z podkulonym ogonem, który zbliżył się do studni i uniósł nogę przy jednym z drewnianych filarów. Sikając, zerkał spode łba na Lesika, a kiedy skończył, zaszczeakał krótko, piskliwie i umknął w stronę Klasztornej.

Komisarz spojrział za nim. Na uliczce paliły się tylko dwa światła: w piekarni i przed wejściem do sanktuarium. Pokręcił głową. Ale się porobiło! Dwadzieścia lat temu każdy z tych zakonników miałby założoną teczkę operacyjną, po prostu dla zasady. Wystarczyłoby do nich sięgnąć, a potem bić w najslabsze punkty. Lesik miałby przynajmniej poszlaki, komu przeszkadzał ten żaloszny ojciec Lemus. A tak był w dupie. Znaczy się - w IV Rzeczpospolitej.

Swoją drogą, pomyślał, co ten Jordan ma do Glińskiego? Gwardian o swoim gościu gadał tak, jakby bardzo mu zależało, aby to właśnie jego policja wzięła na celownik. Gliński szukał Lemusa, Gliński - o którym nikt nie słyszał - zjawiał się z watykańskimi listami polecającymi, Gliński zasiadał w komisji, która niby coś miała wyjaśnić, tylko nie wiadomo co...

Ale Gliński był jedynym człowiekiem w klasztorze z murowanym alibi: w chwili zdarzenia przebywał gdzie indziej i miał na to kilkudziesięciu świadków.

Tylko że z kolei ci świadkowie byli chwilowo nie do ruszenia. Nie przed operacją eksmisji betanek.

Lesik ruszył za psem. Może policyjna skłonność? Kundel obejrzał się kilka razy, ale

najwyraźniej ocenił dystans jako zupełnie bezpieczny. Przystanął na skrzyżowaniu i chociaż nic nie

jechało, zerknął w lewo, w prawo, jeszcze raz w lewo. Potem wyrwał biegiem, by zniknąć przy jakimś płocie.

No i zgubił ogon, uśmiechnął się krzywo komisarz.

Minął zamknięte wejście do sanktuarium maryjnego i po chwili był na Cmentarnej.

Gliński... A jeśli to w ogóle nie ten Gliński? Może krewny, może przypadkowa zbieżność nazwisk? Przyjechał do klasztoru na jakąś inspekcję, coś tam wykrył, więc i szef tutejszej czarnej mafii chce go osrać rzadkim gównem.

- Ale po cholere Lemus otwierał tę okiennicę? - mruknął pod nosem Lesik.

Teraz była zamknięta. Jak po zdarzeniu... W ogóle nikt nie widział jej otwartej poza tą Skoliszewską. Zresztą czy ona rzeczywiście widziała otwartą okiennicę? Jej się tylko coś nie zgadzało w układzie cieni. Poza tym ile tu mogło być, trzy metry z hakiem? Nie tak prosto zostać trupem na miejscu, tak mówił Bogusz. Chociaż jak ktoś ma pecha... A okiennica? Jeśli wypadł, musiała być otwarta. Jeśli ktoś ją zamknął, to albo jest sprawcą, albo bardzo nie chce zostać świadkiem. Kochanka? Ta Skoliszewska?... Bez sensu, za stara... raczej! No i jak mogła zamknąć okno, skoro była na dole?

Lesik już chciał rozruszać myśli kolejnym papierosem, ale zastygł z niezapalonym elemem w ustach. Sekundę później jednym skokiem dopadł najbliższej z kamiennych przypór i przyłgął plecami do lodowatego muru.

Wyrzał ostrożnie. Cmentarną szedł powoli facet w motocyklowej kurtce, z aparatem fotograficznym na szyi, i tak jak przed chwilą komisarz, wlepił wzrok w zabudowania klasztoru.

Hiena to czy skowronek?, Lesik znowu uśmiechnął się krzywo, rozpoznając dziennikarza, którego dziesięć godzin wcześniej niemal siłą musiał cofnąć za taśmę. Czyli za sznurek.

174

175

Włożył rękę do prawej kieszeni, w której zwykle nosił legitymację. Tym razem

jednak była w lewej, a w tej oprócz paczki papierosów i zapalniczki namacał jedynie wąski kartonik.

No tak... Po tej zdawkowej rozmowie z Glińskim, który nic nie wiedział, nic nie widział i w ogóle go tu nie było, wymienili się wizytówkami, na wypadek gdyby ojciec doktor coś sobie przypomniął. U Lesika był numer do komendy, u zakonnika komórka. Tylko komórka - bez adresu czy mejla.

„Dom Dziennikarza”, godz. 10.00

Stawek pozwolił silnikowi rozgrzać się trochę na jałowym biegu, dopiero potem wycofał motocykl i przyspieszył obroty. Zwykle robił to delikatnie, zdrowo dla maszyny, poza tym lubił, kiedy aprilla ruszała, burcząc jak obrażona. Ale tego dnia od rana go nosiło, więc wystartował, prawie stając dęba.

Po piątej był już na nogach. Chciał po prostu się przejść -na Rynek, nad Wisłę, obojętnie gdzie, bo siedzenie w pokoju i czekanie, aż otworzą restaurację, wkurzało go stanowczo za bardzo. Aparat wziął ze sobą tylko z przyzwyczajenia, bo na fotografowanie malowniczych wschodów słońca zdecydowanie nie miał ochoty.

Jeszcze odbijał mu się czkawką mdły film, na który z rok temu wyciągnęła go żona, gdzie w finale Darcy, czy jak mu tam, przez „łąkę zasłaną mgłą” posuwał do swojej Eli, Musiał się pilnować, żeby nie parsknąć śmiechem i nie zburzyć romantycznego przytulanka parom na sali. Całe szczęście, przy najmniej na Keirę Knightley można było popatrzeć.

Doszedł Nadrzeczną na Małego Rynku i wtedy coś go tknęło: a jeśli Glińskiego nie było już w Kazimierzu? Na przykład wy trzeźwiał nadludzkim wysiłkiem i wyjechał w nocy cholera wie dokąd?

- Weź se zapal! - warknął na siebie.

Ostatni camel wcale go jednak nie uspokoił. Dziennikarz dokładnie pamiętał trzy samochody na dziedzińcu klasztornym - tylko jeden pasował do ojca doktora, a zwłaszcza do jego idealnych marynarek. Wystarczy zerknąć, czy bmw stoi. Zero zachodu, a Stawek będzie mógł bez nerwów zjeść śniadanie. Bardzo porządne śniadanie, bo hotelowe. W domu nigdy nie miał czasu na jedną kanapkę z tym, drugą z tamtym, trzecią ze sram-tym. Dlatego w hotelach żarł na zapas, w końcu za coś

zapłacił.

Zmiał pustą paczkę po papierosach i wrzucił przez murek do Grodarza. Papier, szeleszcząc, potoczył się po betonie i zatrzymał na skraju wąskiego strumyka. Drugi szmer Stawek usłyszał za plecami. Był to jednak tylko mały kundel z ogonem śmiesznie wciśniętym między tylne łapy. Pies przystanął na skraju ulicy, potem przebiegł na drugą stronę. Z tej bezpiecznej odległości spojrzął jeszcze raz na dziennikarza i niespodziewanie zaczął go wściekle obszczekiwać. Świdrujący uszy jazgot urwał się w jednej chwili, gdy Stawek zrobił krok w kierunku zwierzęcia.

Kundel umknął za most i zniknął na Małym Rynku.

Dziennikarz ruszył w przeciwną stronę, na Plebankę, tam gdzie walił się na ulicę zabytkowy mur. Pisały o tym i „Kurier”, i „Dziennik”, i lubelska „Wyborcza”, ale spokojnie, bez wyścigów. Mur był historyczny, więc zapadał się powoli, bez sensacji, tak żeby każdy w wolnej chwili mógł zrobić mu zdjęcie i też mieć newsa.

Nad wąwozem górował główny budynek klasztoru z wychodzącymi na uliczkę oknami pokoi zakonników. W jednym z nich paliło się już światło.

Stawek wycelował w nie aparat i wyregulował obiektyw. Okno zbliżyło się, było niemal na wyciągnięcie ręki, ale niewiele mu to dało: widział jedynie cienie dwóch postaci - któraś mogła być Glińskim albo i nie; mogły równie dobrze modlić się za duszę nieżyjącego zakonnika, jak pić wódkę albo grać w karty.

176

177

A jeśli wyjechał w nocy?, znów wróciła obsesyjna myśl.

Jeśli wyjechał, to po aferze z wypadkiem, a może zabójstwem tego franciszkanina gotów wsiąknąć na dobre. A więc Stawek zupełnie bez sensu wydał forszę na hotel. To, że w „Domu Dziennikarza” miał zniżkę jakoś go nie pocieszało. I zupełnie niepotrzebnie wieczorem o mało nie pokłócił się przez telefon z żoną - a zniżki w żadnej kwiaciarni mu nie przysługiwały. Do tego naczelna zeżre go przy najbliższej okazji, i to bez po-pitki.

Czepiając się rękami kolczastych badyli, Stawek wszedł kawałek po zboczach. Zajrzał za mur, jednak widok na parking przesłaniały mu drzewa. Chyba dostrzegł między

nimi kształt dostawczego berlingo, ale czy obok stała beemwica Glińskiego, nie miał pojęcia. Wspiął się wyżej i przeszedł kilka kroków, aż pod butem chrupnęła mu gałąź i noga wpadła po kolano w jakąś dziurę. Na sąsiedniej posesji zaczął szczekać pies i sądząc po głosie, nie była to mała, głupia pokraka jak ten wrywny kundel-znad Grodarza. Znów czepiając się drapiącego zielska, dziennikarz wrócił na uliczkę. Spróbuje zajrzeć z drugiej strony, od Cmentarnej...

Teraz, gdy Stawek dojechał do skrzyżowania z Nadrzeczną, ta główna ulica przelotowa miasteczka już żyła. Dzień robił się umiarkowanie słoneczny, w sam raz do fotografowania. A samochód Glińskiego - dziennikarz sprawdził to na wszelki wypadek jeszcze raz przed półgodziną, gdy do sanktuarium można było wejść normalnie, przez bramę - stał na tym samym miejscu co wieczorem.

Jeśli Agnieszka Nowak miała dobre informacje, dominikanin wkrótce będzie wyjeżdżał. Powiedział, że rano, no to jest rano! Chociaż jak dla kogo... Stawek zatrzymał motor przed Galerią Letnią. Tu nie będzie się rzucał w oczy, a na pewno Glińskiego nie przegapi.

I wyczuł go świetnie! Ledwie zdążył zrobić kilka fotek idącej w stronę fary grupce Azjatek obładowanych sztalugami i napocząć nową paczkę cameli, kiedy szare bmw wyjechało zza zakrętu. Stawek przekręcił kluczyk i delikatnie dodał gazu. Aprilla ruszyła cicho i spokojnie, jak oboje lubili.

Posterunek policji, ulica Nadrzeczna, godz. 10.15

Chyba w ogóle nie spałeś? - zapytał aspirant z niepokojem.

Lesik wstał z krzesła, okrążył biurko Kowalika i otworzył okno. Niedziela zapowiadała się na słoneczną, dokładnie tak jak powinna wyglądać niedziela w Kazimierzu. Od strony Nałęczowa ciągnęły wprawdzie chmury, ale nie tak gęste jak poprzedniego dnia.

- Spokojnie - uśmiechnął się komisarz. - Na razie zrobiliśmy wszystko, co było można. Świadkowie rozpytani, ślady w miarę możliwości zabezpieczone. Byliśmy na miejscu od razu po zawiadomieniu. Nikt się do ciebie nie przyczepi. A że czeka cię sporo wrażeń, to inna sprawa.

- Masz na myśli betanki? - Kowalik przetarł oczy.

- No - pokiwał głową Lesik. - Kryminalno i klerykalno.

- Cholera wie, co o tym myśleć, ale jakoś nie pasuje mi ten ojciec Gliński... - Aspirant obrócił na stole notes.

- Mnie też nie. - Lesik nagle stracił zainteresowanie pejzażem i wrócił do krzesła naprzeciw biurka. Jednak nie usiadł, tylko położył ciężko dłonie na oparciu. - Mnie też nie, ale to nie dotyczy tej sprawy.

Kowalik westchnął, również wstał i wrzucił swój notes do sejfu. Przekręcił klucz dwa razy, nerwowo, nawet z agresją. Widać było po nim, że chodzi mu po głowie wiele rzeczy, które bardzo by chciał zamknąć równie łatwo, jednym ruchem.

Pierwszy etap, Grzesiu, pomyślał Lesik: kto się ciebie czepi i za co. Jutro przyjdzie wściekłość na tego Lemusa, że nie

178

179

wyjechał umrzeć gdzie indziej, choćby do mnie do Puław. Sam byś go za to zabił, gdybyś mógł. Dopiero pojutrze będziesz w stanie wziąć się normalnie do roboty. Wtedy albo zaczniesz węszyć, kto zabił, albo rozglądać się, kto cię przy tej okazji może wykopać z fotela. Będziesz psem, Grzesiu, albo świnią. W sumie nie moja sprawa, ale miło wiedzieć, z kim się pije wódkę.

- Dzięki za nocleg. I ucałuj żonę za kolację - powiedział już na głos. - Jade pomieszkać parę godzin w domu.

Tym razem nie zastanawiał się nad muzyką na drogę. Wybrał pierwszą lepszą stację i ruszył. Po chwili jednak zdjął nogę z gazu, bo w zakręt na Tyszkiewicza wchodził właśnie autobus MZK. Nie było sensu przyspieszać, i tak będzie musiał kolebać się za nim aż do przystanku.

I wtedy zobaczył szare bmw Glińskiego, które właśnie wyjechało z Klasztornej. Zaświeciły się światła stopu, potem miękko przygasły. Lesik instynktownie dał po hamulcach, choć w sumie co mu zależało, że dominikanin go zobaczy. Mniej ostrożny był motocyklista, który w jednej sekundzie ruszył za beemwicą. Komisarz poznał go po kurtce: to był ten sam dziennikarz, który nad ranem omal nie rozbił sobie łba, tak bardzo mu zależało, aby zajrzeć za mur klasztoru.

Ulica Tyszkiewicza, godz. 10.30

Przy knajpie „U Fryzjera” Stawek lekko dodał gazu, ale ledwie minął pocztę, wdepnął tylny hamulec. Spodziewał się wściekłego klaksonu jadącego za nim vento, jednak kierowca najwyraźniej przy niedzieli był w dobrym humorze, bo spokojnie zwolnił.

Tymczasem kilkanaście metrów przed aprillą do samochodu dominikanina wsiadała Agnieszka Nowak.

180

Umówili się? Aparat!, przemknęło dziennikarzowi przez głowę. Nie mógł przecież na drodze grzebać w torbie, więc tylko sięgnął po komórkę i tocząc się z lewą ręką na sprzęgle, prawą zrobił trzy zdjęcia. Miał nadzieję, że chociaż jedno wyjdzie nierozmyte.

Gliński wyprzedził autobus dopiero za Podzamczem. Stawek przemknął obok jelicza zaraz po nim, widząc w lusterku, że ten wyluzowany facet w wenciaku też wrzuca kierunkowskaz, bmw zakonnika przyspieszyło, ale tylko do miejskiej pięćdziesiątki na godzinę.

- Co jest? Takim wozem? - mruknął dziennikarz. Z przeciwka jechało w stronę Kazimierza kilka samochodów

i bus, jednak w kierunku na Puławę droga była pusta. Normalnie przeskoczyłby obok Glińskiego, nie żałując mu jazgotu wysokich obrotów. Cholera, wyglądał jak debil na skuterze! Każdy musiał widzieć, że śledzi beemwicę. Jeśli dominikanin zamierza tak się turlać, trzeba będzie go wyprzedzić, inaczej nabierze podejrzeń po kilku kilometrach. Może już zauważył, że ma ogon, i sobie pogrywa?

Minęli dom betanek i pensjonat KUL-u. Zbliżali się do zakrętu przed Bochoćnicą. Nie, to trzeba rozegrać inaczej, uznał Stawek. Sprawdzi tylko, czy jadą w stronę Puław i Warszawy, czy Nałęczowa i Lublina. Potem wyprzedzi, da po garach i poczeka na jakiejś stacji benzynowej czy przy motelu.

- A ten następny swobodny George... - mruknął, widząc w lusterku czarne vento, wciąż trzymające przepisową prędkość. -Kurwa! - rzucił głośniej.

Dziesięć metrów przed nim Gliński w ostatniej chwili zamigał kierunkowskazem i

bmw skrzyło w boczną drogę biegnącą dnem wąwozu. Stawek minął zjazd, po chwili zrobiło to także vento. Dziennikarz włączył lewy kierunkowskaz i podniósł

181
dwa palce w górę. Facet za nim pewnie się zdziwił na widok motocyklisty, który nie dość że sam nie wie, czego chce, to jeszcze za to przeprasza, ale zjechał bardziej na prawo i mignął światłami. Stawek zawrócił.

Minutę później

Motocykl dziennikarza zniknął w bocznej drodze. Lesik uśmiechnął się do lusterka i kończąc z podejrzaną przepisową jazdą, zawrócił z piskiem opon. Minął parów, skręcił dopiero w następny, ze stojącym na jego skraju hotelem „Piaś”. Prawie nie zwalniając, wjechał za bramę i zahamował tuż przed grabiącym liście pracownikiem.

- Policja - pokazał legitymację. - Jest stąd wyjście na drugi wąwóz? Ten w stronę Bochoćnicy.

- Zasadniczo nie ma. - Facet rozłożył ręce i osowiale rozejrzał się wokoło.

- A mniej zasadniczo?

- Można przejść nad siatką.

Komisarz kiwnął głową i ruszył truchtem świeżo wygrabioną ścieżką, prowadzącą na tyły pensjonatu.

Między Kazimierzem a Bochoćnicą, godz. 10.55 Wąwóz zwęził się już po kilkunastu metrach i Stawek, że ani nie da rady niezauważony podjechać bliżej, ani nie znajdzie dobrego miejsca na zaparkowanie motoru. Zbocza schodziły ciasno, nie pozostawiając żadnych luk, zatoczek czy innych, cholera, miejsc parkingowych.

Utwardzona kamieniem droga przeszła w zasypane szeleszczącymi liśćmi dno skręcającego coraz bardziej w lewo parowu. Nisko zawieszona beemwica musiała stanąć niewiele dalej, jeśli Gliński zamierzał nią stąd wyjechać.

Dziennikarz oparł aprillę o prawy stok i chwytając korzenie, butami wywołując niemal błotną lawinę, zaczął się wdrapywać po skarpie. Klął na siebie, że nie zdjął kasku, bo nieostroźnie trącona szybka sama opadła i zaczęła zaparowywać. Na górę dotarł prawie po omacku.

Ściągnął pospiesznie kask, boleśnie ocierając sobie ucho. Zapiął go na przedramieniu

i schylony przebiegł kilkadziesiąt metrów pomiędzy drzewami do kępy gęstych krzaków. Przez nie wołał już się nie przedzierać, żeby nie zdradziły go trzeszczące gałęzie. Przykucnął i wyjrzał poza krawędź zbrocza.

Agnieszka Nowak i Gliński stali jakieś dwadzieścia metrów od niego, jednak rozmawiali za cicho, słyszał tylko pojedyncze słowa. Stawek powoli rozpiął zamek błyskawiczny i wyciągnął z plecaka torbę z aparatem. Na szczęście rzepy przeszły już swoje i nie trzeszczały tak głośno przy otwieraniu. Dziennikarz przyłożył aparat do oka, sięgnął jeszcze po telekonwerter...

Dziewczyna, wyraźnie zdenerwowana, chodziła w kółko przed maską samochodu, potem przytuliła się do zakonnika, a ten pogłaskał ją po głowie. Gra wstępna? W takim razie na konkretniejsze foty przyjdzie poczekać co najmniej z pół godziny, mimo to Stawek zrobił kolejną serię. W trybie dyskretnym aparat pracował niemal bez szmeru, ale tych dwoje i tak było zbyt zajętych sobą, by zwrócić na niego uwagę. Nagle Agnieszka odskoczyła jak oparzona. Chyba się kłócili, bo do dziennikarza dochodziły strzępy wykrzykiwanych przez nią zdań: „ojcu... cholera... potrzeby... nie... złapać”. W końcu Gliński otworzył jej drzwi od strony pasażera, dziewczyna odburknęła coś niezadowolona, wytarła chusteczką buty - buty? teraz? po cholere?! - i wsiadła.

182

183

Numerek w samochodzie? Stawek uśmiechnął się, dostrajając obiektyw. Całe szczęście, szyba wozu zakonnika nie bli-kowała.

Zdażył zrobić może dziesięć zdjęć, kiedy Gliński wychylił głowę do tyłu i bmw ostro ruszyło na wstecznym.

Motor, kurwa, rozwali!, przemknęło dziennikarzowi przez głowę. Nie, dominikanin przyhamował, ale jeśli się domyślił, że był śledzony...

- No i jak? Wszystko pan sfotografował? - usłyszał nagle Stawek tuż za plecami.

A więc nie tylko zakonnik, zajęty oblaskawianiem studentki, nie zwracał uwagi na otoczenie. Zaabsorbowany zabawą w pa-parazziego, dziennikarz też stracił czujność. Odwrócił się gwałtownie, lewą ręką zasłonięty od ewentualnego ciosu, a prawą

chroniąc aparat. Przed nim, niedbale oparty o drzewo, stał ten sam glina, który poprzedniego wieczoru kazał mu spierdalać od denata.

- Policja - powiedział, wyjmując legitymację. - Komisarz Lesik, komenda powiatowa w Puławach. Dokumenty poproszę.

- A co? - Stawek sięgnął do kieszeni. - Nieprawidłowo zaparkowałem motor?

- Nie zwróciłem uwagi, ale miło, że pan przypomniał. A co pan tak zacięcie fotografował? Złotą polską jesień? „Kurier Lubelski”, pan redaktor Stawek! -

Pokiwał głową, obracając w palcach jego prasówkę. - Skąd pan zna księdza Glińskiego?

- Ojca Glińskiego - poprawił go dziennikarz. - Nie znamy się.

- Rozumiem - policjant podniósł legitymację bliżej oczu, jakby chciał sprawdzić datę ważności - dopiero zamierzał pan bliżej go poznać. A może zna pan tę dziewczynę?

- O co panu w ogóle chodzi? - Stawek przewiesił olympusa przez ramię.

- Myślę, że o to samo, co panu, panie Tomaszu. - Lesik stracił zainteresowanie legitymacją Stawka i ta na chwilę zawisła między nimi, trzymana za róg w dwóch palcach komisarza. - Pan na pewno nie będzie utrudniać śledztwa.

- A co ja mam do pańskiego śledztwa? - Dziennikarz schował swoją prasówkę do portfela. - Spieszę się.

- Niech pan poczeka. - Policjant zastąpił mu drogę. - I tak pan nie wie, czy pojechali na Puławy, czy na Wąwolnicę. Zawsze zazdrościłem dziennikarzom, że codziennie poznają nowych, ciekawych ludzi. Myślę, że ja też mogę być dla pana ciekawym człowiekiem.

Nałęczów, godz. 15.05

Lesik zaparkował przed wysokim parkanem z żeliwnych prętów, przypominających powyginane włócznie. Na Armatniej Górze było cicho i słonecznie, a jednak miał wrażenie, że na szczytach strzegących posesji ostrzy tkwią nabite łby pokonanych wrogów: przeciwników ustroju, nazbyt ambitnych współpracowników, wreszcie zbyt chciwych kochanek czy konkurentów biznesowych. Gdyby tak zebrać próbki DNA...

- Kto tam? - zapytała przez domofon starsza kobieta.

- Tu Lesik, pani Tereso. Ja do pana Stefana.

Zabzyczał elektryczny zamek i policjant pchnął furtkę. Brukowana czerwoną kostką alejka prowadziła wprost do dwupiętrowego domu, za którym na zwróconej ku głównej ulicy części posesji stała drewniana willa z początku zeszłego wieku. Gdy komisarz wyszedł zza równego rzędu świerków, rzucił się ku niemu, zaciekle ujadając, maleńki york z kretyńską wstążką między uszami. Lesik miał chęć odegnać go kopniakiem, jednak pohamował się, zresztą szczekacz i tak był zbyt sprytny, żeby skoczyć mu do nogawek. Nawet gdy pojawiło się wsparcie

184

185

w postaci na oko sześciolatniej dziewczynki w jaskrawożółtym, wręcz świecącym w promieniach słońca, nieprzemakalnym płaszczyku. Dopiero po chwili w stronę gościa ruszył facet, który spokojnie mógłby być dziadkiem małej, a podobno był ojcem - emerytowany pułkownik SB Gawiński.

-Jacek? No, szybki jesteś. Siadaj. - Wskazał ogrodowy stolik obok oczka wodnego i wyłączonej fontanny. - Kielicha wypijesz?

- Dziękuję, panie Stefanie. Wozem jestem. - Lesik machnął ręką w stronę ogrodzenia.

- To co? Koguta wsadzisz na dach i kto się czepi? Chyba że was już całkiem demokracja pojebała. - Gawiński uśmiechnął się tak, jakby powiedział właśnie komplement. Na wszelki wypadek poszukał wzrokiem dziewczynki, ale ta, zajęta gonieniem psa, nie mogła nic usłyszeć.

- Pojebała - przyznał komisarz. - Mam wielką prośbę, panie Stefanie.

- No to dawaj, Jacek. Wiesz, że ja zawsze... Należę ci, a ty wypijesz albo nie. Żeby nikt nie powiedział, że stary Gawiński źle glinę traktuje.

Usiedli na drewnopodobnych krzesłach, pułkownik sięgnął do stojącej obok konewki i wyjął mokrą butelkę smirnoffa. Pani Teresy nie musiał wołać, chodziła jak w zegarku i właśnie niosła niewielki półmisek z chlebem i wędliną.

-I kawy proszę mu zrobić, kolega na służbie - polecił pułkownik gospodyni. - No mów, o co chodzi - zażądał, kiedy kobieta zniknęła we wnętrzu domu.

- Przypomina pan sobie tego człowieka? - Komisarz wyjął komórkę i podał ją Gawińskiemu.

Ten chwilę patrzył na wyświetlacz. Potem zaśmiał się krótko i oddał aparat Lesikowi.

- Gdyby nie ta koloratka, powiedziałbym, że to nasz Kleryk. Ale to niemożliwe, jeszcze przed weryfikacją wsiąkł gdzieś, podobno wyjechał na Zachód.

-I mnie się zdaje, że to kolega z resortu. I też, że sprzed weryfikacji.

Pułkownik ponownie wyciągnął rękę po komórkę. Tym razem przyglądał się zdjęciu dłużej, nawet kliknął dwa razy, powiększając twarz.

- Czyli że co, Jacek? - Wypił lufę i wepchnął sobie do ust kawałek szynki. - Skosztuj, z dzika, nie żadne chuj wi co, jak w sklepie. Czyli że niby odszedł ze służby i się wyświęcił? Morda znajoma... No a skoro byłeś metr od niego, to chyba lepiej wiesz, on czy nie on.

- Nie jestem pewien, stawiam, że on, ale Kleryk był pod panem, panie Stefanie. Ja zetknąłem się z nim tylko w Legionowie, na szkoleniu.

- A tak właściwie to co masz do niego? - Gawiński odłożył komórkę i spojrzał przenikliwie na komisarza.

- Właściwie to nie powinienem mówić... - Lesik zawiesił głos, po czym sam ubrał gębę w esbecki uśmiech. - No ale panu, panie Stefanie... Na mój nos współudział w zabójstwie najbidniej.

- O, lepsze niż ta cała pedofilia! - ucieszył się pułkownik i nalał sobie kolejny kieliszek. - Dobrze, bardzo dobrze. Utop bydlę, tylko uważaj! Teraz wszyscy tak się pieprzą z tą czarną mafią...

Urwali, bo pani Teresa przyniosła kawę, a z własnej inicjatywy ciasto. Zniknęła tak taktownie, jak się pojawiła.

- Przeczyta pan jutro w gazecie. Albo włączy pan, panie Stefanie, Radio Lublin. Nasz gość przyjeżdża sobie do Kazimierza i do klasztoru... tego tam... gdzie za okupacji było gestapo. I ni stąd, ni zowąd inny zakonnik spada ze skarpy i skręca sobie kark. A skąd właściwie wzięła się ta ksywka: Kleryk?

186

187

- To miał być jego kryptonim, pomysł młodego Gozgawy. Raz Gozgawa... a to rozumiesz, Jacek, ambitne bydlę, w końcu syn komendanta... przychodzi do mnie i

mówi, że Kleryk godzi się na współpracę, ale na własnych warunkach. Nie chce być żadnym TW, marzy mu się kariera w resorcie. Że, kurwa, „inaczej możecie mnie posadzić, a nic się nie dowiecie”, tak stawia sprawę. Co szkodziło? Nikt się nie szczypał z etatami jak dzisiaj. Rozpracował nam kilku drukarzy, co tam jeszcze?... - Gawiński poskrobał się po przerzedzonych siwych włosach. - Był w zespole od „Bizancjum”... W sumie dobry bezpieczniak i nazwisko odpowiednie, policyjne. Gliński. Marek Gliński, tak... Potem nie interesowałem się, no bo wiesz, ewakuacja na emeryturę. Czekał, a może go faktycznie wzięła na stan konkurencja?

- UOP? - Lesik udał zdziwienie, choć już rozumiał, do czego zmierza stary esbek.

- A tam, UOP! - Pułkownik machnął ręką. - Watykan. Słuchaj, Jacek - nachylił się ku komisarzowi - można by tę sprawę dobrze wykorzystać, już moja w tym głowa. Jakby ci się udało wziąć go w obroty, to wiesz, parę osób jeszcze pamięta, że gdyby nie ja...

Zamilkł, bo otworzyła się brama i na podjeździe zaparkowała biała toyota z napędem na cztery koła.

-Ja też pamiętam, ile pan dla mnie zrobił, panie Stefanie. -Lesik wstał.

Z terenówki wysiadła czterdziestokilkuletnia blondyna, utrzymana jeszcze lepiej niż samochód. Ją komisarz także pamiętał - trudno byłoby zapomnieć pierestrojkową sekretarkę szefa, którą sprowadził sobie tuż przed emeryturą, a potem zabrał razem z dyplomami uznania i pucharami na różne iluś-tamlecia służb MSW. Lesik uśmiechnął się z przekąsem, widząc, że najpierw wyściskała yorka, dopiero potem córkę.

- Olu, przypominasz sobie Jacka Lesika? Komisarza Jacka Lesika - dodał Gawiński. Przerzuciła kluczyki do lewej dłoni. Zanim podała rękę gościowi, przyjrzała się swoim czerwonym tipsom.

- Tak, chyba sobie przypominam, dzień dobry - powiedziała, taksując komisarza wzrokiem. - Wie pan, tylu ludzi przychodzi do Stefana jak do pośredniaka... -

Zaśmiała się. - A nie widać, że mąż jest na emeryturze?

Gawiński tylko zacisnął zęby, więc komisarz pospiesznie uścisnął mu dłoń.

- Lece, panie Stefanie. Do widzenia.

Zadowolił się niejasnym burknięciem starego esbeka i ruszył pospiesznie w stronę furtki. Gawińscy wymienili ze sobą kilka słów, ale Lesik wolał ich nie słyszeć.

- Panie Jacku! - Już był prawie przy samochodzie, kiedy dogonił go głos Gawińskiej. Wysokie obcasy zaczęły wystukiwać pospieszny rytm.

Odwrócił się z przylepionym do pyska uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie jest pan przewrażliwiony jak... Nieważne. - Odgarnęła włosy.

W drugiej ręce cały czas ścisnęła kluczyki do toyoty, jakby w obawie, że je ktoś ukradnie. -Pan nie gniewa. Bo mąż... A tak w ogóle to się panu opłaca ta policja?

Komisarz na wyczucie wcisnął zero na trzymanej w kieszeni komórce i rozległ się kawałek z Beethovena.

- Przepraszam, pani Olu. Tak... tak... jasne, jadę - rzucił służbowym głosem do milczącej słuchawki. - Do widzenia.

W drodze wyładowywał złość na zakrętach.

- Opłaca?! - warknął wreszcie pod nosem. - Przynajmniej nie mam w domu kurwy...

Jak sądził, w tej chwili Gawińscy albo na siebie wrzeszczeli, albo każde zajmowało się swoimi pierdołami, wrogo milcząc.

188

189

Po części miał rację, niegdysiejsza sekretarka najważniejszego esbeka w lubelskim WUSW trzasnęła drzwiami biura swojego pensjonatu. Jednak pan Stefan wciąż korzystał z uroków jesieni. Wystawił twarz do słońca i sięgnął po komórkę.

- No witam pana przewodniczącego, Gawiński z tej strony... Prosił pan, żeby dać znać, jakby co... Słucham? No to miło... -Były esbek pokiwał głową. - Taaa, krótka sprawa, ten Gliński... O nie, nie, nie, na dzień dzisiejszy to on jest ojciec Gliński...

CZEŚĆ TRZECIA

Niech sprawi Pan, byście przestrzegali tego wszystkiego, kochając duchowe piękno i dobrym postępowaniem rozsiewając doskonałą woń Chrystusową; nie jak niewolnicy poddani prawu, lecz jak ludzie wolni, poddający się łasce. Abyście zaś w tej

książeczce mogli przeglądać się jak w zwierciadle i niczego nie zaniedbywać na skutek zapomnienia, niech się wam odczytuje ją raz w tygodniu. Jeśli się przekonacie, że wypełniacie, co w niej napisano, dziękujcie Panu, dawcy wszelkiego dobra. Jeżeliby jednak ktoś spostrzegł, że czegoś zaniedbał, niech żałuje za przeszłość, niech się strzeże na przyszłość, modląc się, by odpuszczono mu winę i nie wszedł w pokuszenie.

z Reguły św. Augustyna, biskupa

Panie, wytrzymam cierpienie przez Ciebie i dla Ciebie, ale daj mi jeszcze siły, bo nieszczęśliwy będzie ten brat, który tu po mnie przyjdzie Ci służyć. Zażywam na kaszel miodu lipcowego: tegorocznego przyniesiono pół garnca; zeszłoroczny jakby lepszy, zostało pięć kwaterek.

z zapisków o. Adriana Gałuszkiewicza OFMSO

ROZDZIAŁ IX

Niedziela, 7 października 2007 roku

Warszawa, Instytut Psychiatrii i Neurologii, ulica Sobieskiego, godz. 16.20 Ojciec doktor Gliński po raz kolejny przejechał dłonią po włosach, ale osiągnął tylko tyle, że drażniący zapach eteru znów otoczył mu głowę niewidzialnym kokonem.

Nieprzyjemne wrażenie wysychania skóry nie znikło, wciąż czuł oblepiające czaszkę elektrody, choć był od nich wolny od kilkunastu minut.

- Denerwuje się ojciec?

Na końcu języka miał już bardzo złośliwą odpowiedź, ale powstrzymał się i przełknął ślinę. Jak tu się nie denerwować, skoro na lekarzy reagował alergicznie? „To rutynowe badanie... Musimy tylko wykluczyć... Relaxen Sie, bitte... Unikać stresu...”

A teraz w dodatku uciekał mu czas! Jednak ta dojrzała, wciąż piękna kobieta w lekarskim kitlu, narzuconym na elegancką sukienkę, przyjechała do instytutu specjalnie dla niego. I sprawiała wrażenie nie tak stanowczej jak Molier.

- Trochę, pani profesor. Przeze mnie jest pani w pracy, zamiast dzień święty święcić.

- Gliński uśmiechnął się bez przekonania.

- Powinien ojciec pomyśleć o sobie - powiedziała jakże przewidywalnie. - Ogólny

stan dobry, ale niepokoją mnie fale beta. Mogę mówić otwarcie?

195

- Oczywiście.

- Świetnie. - Jeszcze raz spojrzała na wykres. - Proszę zdradzić, czym się ojciec naćpał.

- Ha, żeby to ja wiedział! - Teraz uśmiech wyszedł mu znacznie bardziej szczerze. - Laboratorium nad tym pracuje. Mogę tylko panią zapewnić, że nie ćpałem. Mnie ćpano.

- Nie jestem ojca spowiednikiem. - Zdjęła okulary i położyła na wykresie. Amplituda fal beta wyraźnie się powiększyła, kiedy dominikanin zerknął na nie przez odwrócone szkła lekarki. - To jednak nie wygląda dobrze. Najchętniej przepisałabym ojcu jakiś benzodiazepin, ale skoro nie wiadomo, co ojciec zażył.. Wystąpiły kłopoty ze snem? Czy zdarza się, że kiedy ojciec mówi, to słyszy się jakby przez głośnik?

Odetchnął z ulgą, że nie zapytała o halucynacje. W żadnym razie nie zamierzał jej ani w ogóle nikomu mówić o swoich objawieniach maryjnych z zeszłego wieczoru.

Wiedział, że o nich nie zapomni, że długo ten ekstatyczny rodzaj pobożności, jakiego doświadczył, będzie dochodził w nim do głosu, kiedy na chwilę zaśnie rozum...

Nie!, skarcił się za swoją nieprawomyślność. El sueño de la razón produce monstruos

- ten obraz Goya wymierzył wprost w inkwizycję, daleką poprzedniczkę Officium Secretum. To ona miała być jego demonem, korzystającym z braku rozumu. Mimo wszystko Maryja, która przemawiała do Glińskiego w kazimierskim sanktuarium, też nie była tą Matką Zbawiciela, w którą wierzył...

- Ojczy doktorze... - przywołała go do rzeczywistości le karka.

- Przepraszam, pani profesor, to zmęczenie - uśmiechnął się zakonnik. - W nocy spałem najwyżej trzy godziny. Przez głośnik?... Tak, dziś przed południem, ale już mi przeszło. Nie zgadzam się na benzodiazepiny, przydałaby mi się raczej ad renalina forte w tabletkach.

- Bardzo śmieszne, bardzo. - Pokręciła głową. Jej kolczyki z cyrkoniami rzucały chłodne błyski na smukłą szyję.. - Ojciec kilkanaście lat temu leczył się psychiatrycznie, jest w grupie podwyższonego ryzyka. Naprawdę, wyciszenie, jakiś

urlop, wędkowanie, grzyby, spacery po lesie, alkohol mikroskopijnie, a najlepiej wcale...

- Pani profesor chce mnie wykończyć! - zaprotestował teatralnie, lecz po chwili spoważniał. - Ja rozumiem, naprawdę rozumiem, że chce pani jak najlepiej. I jestem wdzięczny, będę się modlił w intencji pani profesor. Tyle że to, co mam do zrobienia, jest, jak by to ująć... ważniejsze ode mnie. Proszę mnie zrozumieć. Co się zaś tyczy narkotyku, to może obróci mi się nawet na dobre. Szamani brali grzybki, żeby nabrać mądrości, asasyni palili haszysz, żeby być skuteczni. A ja muszę szybko myśleć, jeszcze przez kilka dni. Potem może być spacer po lesie, panią profesor również zapraszam.

To ją nawet rozbawiło i przez chwilę patrzyła na ojca doktora całkiem po ludzku, bez lekarskiego dystansu. Ale tylko przez chwilę.

- Skoro lekceważy ojciec swoje zdrowie, to czego właściwie oczekuje ode mnie? - zapytała.

- Moi przełożeni potrzebują zaświadczenia, że pożyję bodaj tydzień i nie zwariuję jeszcze bardziej - powiedział z ulgą. Zapach eteru był coraz słabszy, zaczął nawet czuć perfumy lekarki: z nieco przyciężką nutą opium, która może i pasowała do jej wieku, choć nie do tak jasnej cery i delikatnych rysów.

- Dobrze, ale wpisuję ojca do terminarza. Poniedziałek piętnastego o jedenastej?

- Z przyjemnością, pani profesor.

196

197

Puławy, ulica Staszica, mieszkanie pośła Bęciała, godz. 16.25 Agnieszka Nowak siedziała na kanapie i co chwilę kręcąc głową, patrzyła na lekko rozmazane postacie na ekranie plazmowego telewizora. Kilku regionalnych bossów Brony, przesłoniętych dymem papierosowym, obrabiało dupę nieobecnemu przewodniczącemu. Przypominaliby może postaci z pierwszego Ojca chrzestnego, gdyby nie żabia perspektywa podglądającej ich kamery i amatorska jakość, gorsza niż taśm Renaty Gerber.

- I co to ma być, Andrzej? - zapytała.

- Dowód, że cię nie wkrecam. Teraz patrz.

No, witamy profesora! - dobiegło spoza kadru. Kamera poruszyła się, obiektyw na sekundę przysłoniła czyjaś ręka. Gdy obraz odzyskał jako taką ostrość, Agnieszka zobaczyła znajomą twarz z KUL-u. Zapomniała nazwiska, ale to był ten adiunkt z psychologii społecznej, który przy ostatnich wyborach doradzał Solidnej Polsce. Tak jak było umówione? - zapytał, siadając.

Dii chyba konkretny i pan nie narzeka? - Agnieszka rozpoznała głos Bęciała, ale jego samego nie było widać. Za to pozostałych tak. „Jak zakładka Wisły wstążka, no a Polska jest jak książka...”, zamajaczyła jej w głowie piosenka z przedszkola. Tutaj też ta zakładka zadziałała konkretnie: suwalskie, lubelskie, białostockie, podkarpackie... Przedstawiciele rodzin z Zachodniego Wybrzeża wyraźnie brakowało.

Nie, nie narzekam - profesor rozparł się wygodnie - ale to, co mam do powiedzenia, kurewsko się panom nie spodoba.

- On nigdy nie klnie - powiedziała zdziwiona dziewczyna. -Zawsze spokojny i sztywny, jakby mu ktoś kij w dupę wsadził.

- Tylko świnia się nie zmienia - zarechotał Bęciał. - A może mówił tak, żeby chamstwo zrozumiało.

Ale dobra, odruchy u panów w normie. Kiedy dają, to się pchaj, kiedy biją, uciekaj. -

Wyjął z teczki zbindowany plik kartek. -

Przygotowałem dla was te analizy i parę symulacji, ale uogólniając, wszystko sprowadza się do tego, że mamy w Polsce społeczeństwo postchłopskie.

No to chyba git, nie? - Capo z rzeszowskiego poskrobał się po wąsach.

Nie, bo to krótka piłka - uśmiechnął się psycholog - a wyście już ją zagrali.

Socjetyzm postchłopskie ma to do siebie, że obciach być i wsiakiem, i wykształciuchem. Przypomnijcie sobie zresztą, co głosił wasz niedawny koalicjant. Mówiąc krótko, panowie, leżycie, kwiczycie i zdychacie.

Bo? - spytało białostockie.

Bo tylko wam się wydaje, że ktoś na was głosuje. Brak naturalnego zaplecza politycznego. Taki przykład: któryś z panów zna Witkacego? Napisał sztukę o waszym przewodniczącym.

No teraz to pan pojechał, profesorze! - zaśmiał się zza kamery Bęciał.

Ja? - Konsultant wydał usta i sięgnął do notatek. - No to przeczytam. „Jestem jak jeden wielki narywający wrzód. Będę się obchodził ze wszystkimi umyślnie jak najordynarniej” ... „Dziś można być tylko potworem albo automatem. Ja potworem nie będę, bo mam tę obrzydliwą chamską moralność” ... Nikogo to wam nie przypomina? Zaraz, moment! Witkacy pisał to o Witosie, nie o Repelu, ale Witos też był Repel, zanim się ucywilizował. Tylko jeden drobiazg, teraz jest podobno Czwarta RP, a nie Druga. Wtedy społeczeństwo było zdecydowanie chłopskie i Witos, demonstracyjnie zasiadający w sejmie bez krawata, to był gest jak ta cała Matka Boska u Wałęsy. Wasze trój kolorowe krawaty niestety za cholerę nie podchodzą. Może za bardzo przypominają chusty pionierskie? W każdym razie płyniecie, panowie. Po wyborach znikacie na cztery lata, zostajecie bez dotacji, czyli jak ktoś jeszcze nie ma, radzę zrobić kurs na spawacza.

A powie nam pan coś, czego sami nie wiemy? - Podkarpackie poruszyło się nerwowo, aż zaskrzypiało krzesło.

198

199

Dwie sprawy. Po pierwsze, nałóżcie sobie mapę waszego poparcia na mapę byłych pegeerów! Wasz elektorat to parobki, małorolni i zawodowy lumpenproletariat, bo nawet prawdziwy rolnik, taki od pięciu hektarów wzwyż, głosuje na Bezstronnicwo Ludowe. O, choćby tu macie dane z powiatu bialskiego!

No ale co z tego? Nie pasuje panu nasz elektorat?

Co do elektoratu, to powiem słowami z Witkacego: mnie on obchodzi jako mięcho. Ale bywam w supermarkecie i widzę, że nawet kielbasę zwyczajną ktoś kupuje. Wy, panowie, jesteście właśnie kielbasa zwyczajna, dlatego macie dwa wyjścia: dotrzeć precyzyjniej do tych, którzy potrafią żreć takie gównno, albo dodać saletry z vegetą. A pan jak to widzi? - znów zapytał Bęciał.

No cóż - psycholog podrapał się po wygolonej głowie - produkcji kielbasy zwyczajnej gotowe zabronić normy unijne i zniknie wam naturalna baza. Dlatego właśnie mówię, że hibernacja przez cztery lata to równia pochyła. Możecie się

obudzić w obcym kraju i ani be, ani me. Druga opcja to też śmierć dla partii. Ale chuj z partią, liczy się człowiek! Nie tak nauczał Ojciec Święty? Jeśli wy się wyczołgacie z gówna, to co was reszta obchodzi?

Chuj z partią - kiwnął głową capo kielecki. - Każę córce, żeby u pana pisała magisterkę. A konkretnie jak radzi pan nam przeżyć?

Już radziła wam Solidna Polska, tylko że teraz oferta nieaktualna. Pani Gerberowa zagrała za ostro. Trzeba było przejść do nich i brać urzędy, jak dawali. Teraz w mainstreamie wolnych etatów brak, ale oszołomstwo neokatolickie i postubeckie to przecież prawie wasz dotychczasowy elektorat! Nie poczuje różnicy i dopasujecie się łatwo. Tak naprawdę jedyny kłopot to zmontować z tego syfu dużą formację, inaczej głupiego robota, bo was zjedzą. Ale rzecz do zrobienia, bierzcie przykład z premiera. Jeśli taki wariant trafia panom do przekonania, przejdźmy do szczegółów...

Teraz Agnieszka musiała się dobrze wsłuchiwać, bo psycholog społeczny często sięgał do swoich wydruków, szeleścił kart-

200

kami, prezentował kolorowe słupki, zasłaniając przy tym twarz, by wszyscy mogli jednocześnie śledzić przebieg wykresów. Mikrofon chwilami go gubił. Wywód jednak był dość jasny: profesor porównywał nagły wzrost poparcia dla Solidnej Polski i Platformy Liberalnej, kiedy blatowały się przed wyborami, z równie nagłym spadkiem sympatii wszystkich do wszystkich, kiedy Solidna Polska wiązała się z Broną i Prawą Rodziną.

My Słowianie, my lubim sielanki! - zaśmiał się psycholog. - Jak przy telenoweli, widzowie sikają z radości, kiedy w dramatycznej chwili liderzy zaczynają lizać się po jajach. Tylko podstawowa kwestia: liże się tego, kogo i wyborca by polizał bez rzucenia pawia.

I tak to szło jeszcze przez ponad pół godziny. W miarę jak profesor dochodził do symulacji, nakręcał się coraz bardziej, podobnie bossowie, którzy zaczęli coraz częściej zadawać mu pytania. Agnieszkę zaciekało jednak najbardziej to zadane chrapliwym szeptem spoza kadru:

Ile wziął, jebany?

Niestety w tym momencie obraz zaśmieżył i nagranie się skończyło.

Warszawa, Wola, godz. 17.30

Gliński spojrział w dół na skwer Prymasa Tysiąclecia i na biura episkopatu naprzeciwko.

Tam za kilkanaście godzin Komisja Ducha i Prawdy będzie radziła między innymi o ostatecznym rozwiązaniu kwestii betańskiej - zapisał przed półgodziną w kolejnym pliku spowiedz.odt. - Doskonałe miejsce na ostateczne rozwiązania! To, co ludzie na ulicy biorą za skwer Wyszyńskiego, jest przecież w istocie polskim Wzgórzem Hisarlik, tyle że nieporośniętym makią. Zaś prawdziwe miasto, nasza Schliemannowska Troja II z ulicą Wronią zamiast skweru i niedaleką Zegarmistrzowską w miejscu dzisiejszej Wolności, leży gdzieś, Bóg wie

201

gdzie, poniżej. A ja piszę te słowa o jedną przecznicę od zachodniego skraju dawnego getta...

Gdy mówił pani profesor o szamanach i asasynach, ona wzięła to pewnie za dowcip, tymczasem on naprawdę myślał, że odmienny stan świadomości może mu pomóc w czytaniu między wersami pamiętnika Gałuszkiewicza. Pomysł rodem z sentymentalnej młodości, gdy do dobrego tonu należało eksperymentowanie z trawką, noszenie długich włosów i Cortazar w chlebaku? Tylko skoro świat był grą w klasy, to czym się tak przejmował?! No bo chyba nie tymi coraz rzadszymi przywidzeniami, które pojawiały mu się jeszcze jak błyski flesza. W tej chwili widział bowiem tylko to, co widzialne.

Komisja wynajęła mi prawie stumetrowy apartament i przydzieliła asystenta, podobno dyspozycyjnego całą dobę. Nie wygląda mi jednak na Adsa z Melku. Wprawdzie rzucił się, by zanieść moją torbę, ale zanim to zrobił, zlustrował logo włoskiego producenta. Ja w jego wieku... Ja w jego wieku byłem podporucznikiem Glińskim, a on nie chce być gorszy od kolegów z ogólniaka, robiących pewnie korporacyjne kariery. Wybrał wymagającą firmę, za to zjakimi tradycjami - niczym Moryc Welt rozprawiający o wyższości katolicyzmu nad protestantyzmem! Nie wątpię, że mój famulus miał pod sutanną starannie wyprasowaną koszulę, pasującą

do spodni na kant i butów z lekko spi czastymi noskami. Jego bródka była równo przycięta, a oprawki okularów świetnie dobrane, umyślnie nieco za szerokie, by wyglądały klasyczniej. Właściwie powinien mi się spodobać, trudno jednak polubić swoje młodsze, szczęśliwsze i zadowolone z siebie alter ego. Podając mu rękę, nie wątpiłem, że za jakieś dwadzieścia lat to ksiądz Robert będzie patrzył na mnie z wyższością, może nawet podetknie pierścień do ucałowania.

Kazałem mu czekać na telefon, a sam pojechałem do instytutu na Sobieskiego.

Ledwie zaś wróciłem...

W tym miejscu tekst się urywał. Teraz Gliński już sam nie wiedział, co zamierzał napisać, bo cokolwiek to było, jego skupienie przerwał dzwonek nokii. Ojciec Jakub telefonował niby zapytać o wynik badań, a tak naprawdę, by po raz kolejny wyrazić swą dezaprobatę. Jasne, Gliński nie powinien był rozmawiać z Agnieszką Nowak, jeśli nie miał pewności, że kontroluje sytuację. Tak, zmarnował godzinę, podczas której z pewnością odkryłby klucz do kodu Gałuszkiewicza i z satysfakcją złożyłby raport na poniedziałkowym posiedzeniu Komisji. No i opuścił niedzielną mszę. Ten ostatni, niemal dziecinny zarzut zabolął najbardziej. Ojciec Jakub zdawał się zapominać, że to właśnie on był cieniem na całej formacji duchowej Glińskiego. To on uczynił podwójnego agenta z człowieka pragnącego z całego serca i duszy służyć Kościołowi, to on traktował konfesjonał jako skrzynkę kontaktową. Opuszczona niedzielna msza?! Chciałby mieć jedynie takie grzechy!

Miał dosyć. Mimo to ojcu Jakubowi odpowiedział dużo spokojniej, niż zamierzał:

- Przyjmuję z pokorą napomnienia ojca, ale proszę mi wierzyć, znacznie bardziej dręczy mnie własne sumienie.

To jednak tylko dołało oliwy do ognia.

- Marku, jako kapłan wiesz równie dobrze jak ja, że popełniasz ciężki grzech tym międleniem w kółko swoich wyrzutów sumienia - powiedział surowo stary zakonnik.

- Czyżbyś wiedział lepiej od Boga, które grzechy zostały ci odpuszczone, a które nie?

Oznajmiam ci, jak to się teraz mówi, otwartym tekstem: albo weźmiesz się w garść, albo będę musiał rozważyć, czy dobrze rozpoznaliśmy twoje powołanie. Bo twoja pycha zaczyna przypominać jakąś manię. Może profesor Molier zbyt optymistycznie

ocenił twój stan?

- Bóg zapłać ojcu za tyle troski.

202

203

- Jak mam to rozumieć? - spytał przełożony z wyraźną złością.

Gliński poczuł drobną satysfakcję, ale po chwili zgał się za tę małostkowość.

Ojciec Jakub nie dzwoniłby bez przyczyny. Zapewne i na niego wywierano naciski, skoro temu zawsze opanowanemu starymu krętaczowi też puszczały nerwy.

- Ojcie Jakubie, zna mnie ojciec dobrze, mój pracoholizm także, więc domyśla się pewnie, że i teraz nie odpoczywam. - Spojrzał na kanciastą butelkę. Wędrowiec na etykiecie groził laseczką. Lekarka kazała uważać na alkohol, więc uważał: nie wziął z półki byle czego. - A ojca telefony raczej przeszkadzają, niż pomagają się skupić. Im będzie ich więcej, tym później skończę. Wyników na razie brak, ale w garść się wzięłem. Mocniej, niż ojciec sądzi.

- Dobrze, dobrze, nie jestem pamiętliwy i wierzę... w ojca. - W głosie starego zakonnika zadźwięczała jakaś inna nuta. Musiał wierzyć w tę ostatnią deskę ratunku, bo nowej nawet on nie dałby rady szybko ściągnąć, a czas uciekał. A może jednak był w tym jakiś rodzaj miłości mistrza do swojego krnąbrnego, nie do końca udanego, ale mimo wszystko najlepszego ucznia. - Odwołałem twoje zajęcia na uczelni w przyszłym tygodniu.

- Dziękuję - powiedział Gliński. Znów mniej oschle, niż zamierzał.

- Będę się modlił za ciebie, Marku. - Przełożony rozłączył się.

Dominikanin odłożył nokię i wyszedł na balkon odetchnąć całkiem świeżym, jak na Warszawę, powietrzem.

- Mam nadzieję, że się teraz modlisz, ojcie - szepnął dom i nikanin, ogrzewając w dłoni szklaneczkę brązowego płynu. Błękitny Jaś pachniał ulgą i spokojem.

Puławy, ulica Staszica, mieszkanie pośła Bęciała, godz. 17.35 Fak!

Agnieszka Nowak spojrzała na okruchy szklanki. Grube denko toczyło się jeszcze po podłodze, znacząc drogę kroplami whisky, wreszcie zniknęło pod biblioteczką.

- Fak! Aga, i dopiero teraz mi to mówisz?! - Bęciał przeczesał włosy. - Siedzisz

sobie, oglądamy filmiki, relaks, i ty mi dopiero mówisz, że gówno z niego wyciągnęłaś?!

Miał rację i to złościło dziewczynę najbardziej. Ale co, miała się tym chwalić na dzień dobry? Kiedy otworzył jej drzwi, zapytał tylko, czy okej, a ona powiedziała, że może być. Potem jak copywriter, który pierwszy raz robi reklamę dla telewizji, pokazywał w kółko nagranie z regionalnymi szefami Brony.

- Przyznał się, że przez niego siedział mój ojciec. To mało?! - wrzasnęła, czując, że łzy mimowolnie napływają jej do oczu. - Przyznał się, że donosił, nie wystarczy? Chciałeś haka, to masz haka.

- Haka? To ma być hak?! - Zrobił dwa kroki w jej stronę. Przyłgnęła do oparcia sofy i skuliła się, pewna, że zaraz ją uderzy. - A gdzie dowody? Nagrania? Na razie to jest materiał na jakieś żalosne pomówienie! Musimy mieć coś, czego czarni nie zamiotą pod dywan!

- Chyba... - nabrała powietrza - ...można to jakoś... sprawdzić. Deklaracje współpracy czy coś...

Spojrzał na nią jak na żalną idiotkę, podniesiona ręka zastygła w powietrzu półzwinięta w pięść.

- W co ty, kurwa, grasz? - prychnął w końcu i sięgnął po papierosy. - Był dii czy nie był?

Co miała powiedzieć? Dii był, w końcu od niego się zaczęło. I jak na Glińskiego jako ich wspólne wkupne do nowej partii, większej, lepszej i bla, bla, bla. Chociaż swoją drogą co ona, kobieta afrykańska?! Niech się sam, kurwa, wciąga i wkupuje!

204

205

- Aga, mnie chyba pojebało, że z tobą gadam! - Zaciągnął się zachłannie i zaczął chodzić po pokoju. - Miałś taką szansę, żeby przeskoczyć kilka szczebli, skończyć studia i niemal zaraz dostać dobry etat. Nikt inny, bo tylko ty miałaś takie dojście do tego całego Glińskiego! Inna by mu laskę zrobiła jeszcze tego samego dnia, a ty się zastanawiasz, czaisz, żeby na koniec i tak wszystko spieprzyć.

Dziewczyna odruchowo podciągnęła nogi. Jej szpilki i czarna skóra sofy, sadomaso

po prostu, ten klimat! Wtopiła, cholernie wtopiła!

- Widziałaś? - jęknął z wyrzutem, pokazując czarny uśpiony ekran na pół ściany. - Widziałaś? A ja ci już robiłem miejsce w nowym układzie! Takie poparcie, wszystkie wschodnie regiony! Rok hibernacji, żeby wyczekać, aż liberały spierdolą, co naobiecowali, i uderzenie! - Wziął kilka machów jeden po drugim.

- Powiedziałaś mu, że tak łatwo to się nie skończy - skłamała. No, może nie całkiem, przecież powiedziała coś w tym rodzaju.

- I?! - Bęciał zmasakrował papierosa w ciężkiej szklanej popielniczce. - Bardzo się przestraszył?

Milczała. Znów miał rację. Nawet empetrójka z opcją nagrywania, którą przez całą tę durną studencką konferencję nosiła na szyi, wtedy leżała gdzieś na dnie plecaka. Zero dowodów, że w ogóle rozmawiała z Glińskim.

- No dobra, dałam ciała - przyznała niechętnie.

Poseł chwilę chodził wściekły po pokoju. Zastygała, kiedy zbliżał się do tej wielkiej szklanej popielniczki. To właśnie takimi przedmiotami pary rozwalają sobie głowy, a potem gazety piszą o Andrzeju B. albo Agnieszce N. Wreszcie zatrzymał się i spojrzał na nią przenikliwie.

- No dobra, z każdego bagna jest jakieś wyjście. Podszedł do niej, postał chwilę, jakby ważąc coś w myśli.

W końcu opadł obok na kanapę i położył dziewczynie rękę na udzie. Zesztywniała. Jeszcze przed chwilą czuć było od niego zapach czterech stów wydanych na Hugo Bossa, a teraz papierosy i przepoconą koszulę.

- Tylko już nie ściemniaj. Czy ktoś was widział? - Spojrzał jej w oczy.

Agnieszka wbiła paznokcie w twardą skórę kanapy. Ależ była głupia! Jak mogła sądzić, że nie zapyta także o to?!

- To... - zająknęła się. - To możliwe.

- Dzizas, Aga, kto?!!! - wrzasnął Bęciał, łapiąc ją za łokieć.

- Stawek, dziennikarz z „Kuriera”. Chyba widziałam jego motor. Zostaw mnie, boli! Bęciał spojrzał na swoje ręce, jakby zupełnie zapomniał, że miażdży nimi staw dziewczyny. Natychmiast ją puścił.

- Tylko „Kurier”? - zaśmiał się. - Do załatwienia. Jeśli nawet zrobił jakieś zdjęcia, to już ich nie ma. Ale poza nim nikt nie wie, czy nasz zakonnik na przykład cię nie przeleciał? - Zmierzył Agnieszkę wzrokiem. - Ja bym przeleciał.

- To pewnie miał być komplement? - prychnęła. Andrzej objął ją i przyciągnął do siebie.

- Aga, znamy się nie od wczoraj. No to jak?

- Wspak! - Poderwała się z kanapy i też wzięła sobie papierosa. - Ty byś przeleciał, a on nie. Co ci na to poradzę? - Zaciągnęła się. - Nikt nie widział, ale takie rzeczy przecież można sprawdzić. Badania, DNA, takie tam...

- Można. - Cmoknął przez zęby. - Nie, nie! - Wyrwał jej szklanę, zanim zdążyła sięgnąć po whisky. - Dopiero po.

- Po czym? Andrzej, co ja jeszcze mogę zrobić?

Była na siebie wściekła, że tu przyjechała. Normalnie dziecko we mgle!

-Jest opcja. Poczekaj. - Zrobił sobie solidnego drinka i wypił jednym haustem. Potem zbiegł po schodach na niższy poziom.

206

207

Agnieszka znowu usiadła na tej potwornie zimnej sofie. Nie wytrzymała długo, wstała, przeszła się po pokoju. I nagle zatrzymała wzrok na komórce Bęciała. Mówił, że wystarczy kilka telefonów, by uciszyć Stawka. Sam dziennikarz jej równo zwisał, ale te telefony... Doskoczyła i zaczęła lecieć po nazwiskach wbitych do książki. Te na początku listy nic jej nie mówiły. Potem był Laski (kurwa, ktoś się tak naprawdę nazywał czy to tylko numer do agencji?), Laskowski, Lemus, Lenartowicz... Lemus?! Ten franciszkanin z Kazimierza?... Radzikowski, Re-mińska, Repel...

- No i jest! - dobiegło ze schodów.

Dziewczyna odłożyła telefon. Zdażyła w ostatniej chwili!

- Bez obawy, to nie ten od posła Palikota! - W ręku trzymał sztucznego penisa w przezroczystym plastikowym opakowaniu. - Zgwałcił cię tym, tak zeznasz.

- Andrzej, ty chyba ocipiałeś! - Znowu się cofnęła, tym razem pod okno. Nad dachami widziała Wisłę i martwy, przeżarty rdzą port remontowy. Biało-niebieski

statek wycieczkowy, częściowo zatopiony stał, między dwiema przysadzistymi barkami, a żółty żuraw dźwigu zaglądał mu w bebechy.

- Nie, to przejdzie - pokiwał z przekonaniem głową Bęciał. - Jeszcze dziś zrobisz obdukcję. Jest niedziela, to trafimy na lekarza z łapanki, napisze to, co sama mu podsuniesz.

- I co? - Splotła ręce na piersiach. - Pokażę mu tego członka?

- Nie, członek popłynie. Z Wisłą do Gdańska. Ty tylko go sobie wsadzisz, bo jakieś ślady być muszą.

Położył jej rękę na ramieniu. Choć miała na sobie bluzkę i sweter, i tak poczuła bijący od niej chłód.

- Andrzej, ty chyba ocipiałeś - powtórzyła, znów czując pod powiekami łzy.

- Zrobisz, co zechcesz, mnie tam rybka. - Wzruszył ramionami. - To nie są żarty. Ja sobie poradzę, ale ty jak byłaś w dupie, tak będziesz.

Poniedziałek, 8 października 2007 roku

Warszawa, Wola, apartament przy skwerze Stefana Kardynała Wyszyńskiego, godz. 1.35

Czytając zapiski ojca Gałuszkiewicza, Gliński szukał jakiegokolwiek punktu zaczepienia, najmniejszego śladu, drgnienia fałszu, które historykowi pozwala przypuszczać, że ma do czynienia z autocenzurą albo przekazem świadomie przekłamanym. Zbytnej zgodności wszystkiego ze wszystkim albo zbyt wielkich rozbieżności. Tymczasem były to tylko zapiski rachmistrza, liczącego pielgrzymów przybywających do sanktuarium, skrupulatnego zarządcy oceniającego stan cudownego obrazu, kościoła, klasztoru, kapłana mimo zmęczenia sprawującego swą posługę...

...Wreszcie samotnego człowieka, który jak ja szukał nadziei w Bogu i niezdarnych aktach strzelistych. Nic, co nie pasowałoby do reszty. Nic! Żadnych „Et in Arcadia ego” jak na tym obrazie Nicolasa Poussina, gdzie wśród sielskiego krajobrazu pasterze odnajdują znak śmierci - zanotował dominikanin w kolejnym nowo utworzonym pliku, tym razem galuszkiewicz.odt.

Zresztą akurat ojca Adriana znak śmierci nie opuszczał. Złote wota, ofiarowywane

Matce Bożej przez wdzięcznych pielgrzymów, franciszkanie podczas każdego powstania oddawali na ratowanie ojczyzny, podczas styczniowego ponadto ukrywali rannych, pielęgowali ich, jako kapelani towarzyszyli leśnym partiom.

Gałuszkiewicz nie pisał o tym szczegółowo i nie wy-

208

209

dawało się, żeby pamiętnik przeznaczony był dla potomnych, zresztą po pióro sięgał nieregularnie: czasem co kilka dni, innym razem odkładał kajet na całe miesiące.

Świadczyły o tym zarówno daty, jak i kolor atramentu oraz z coraz większym trudem kaligrafowane litery. Dwadzieścia lat, a zapisków ledwie na godzinę szybkiego czytania - jakby to, co najważniejsze, działo się gdzieś daleko lub głęboko poza tekstem.

Po odwróceniu i czytaniu go od tyłu dziennik stawał się zwykłym kajetem do ćwiczeń z łaciny, którą sędziwy zakonnik najwyraźniej powoli zapominał.

Świadczyły o tym nie tylko błędy gramatyczne, ale zupełnie poprzekręcane fragmenty Pisma.

Gliński nagle zatęsknił za oryginałem zapisków. Kiedy on poddawał się badaniu elektroencefalografem - a potem myślał intensywnie, czy wziąć wypróbowany blend Jasia Wędrowniczka Blue Label, czy spróbować niemieszanej odmiany Cardhu, podobno wyjątkowo łagodnej, a za niecałe trzysta złotych -pracownicy episkopatu mimo niedzieli zeskanowali mu papiery ojca Gałuszkiewicza, zaś sam dziennik oddali ściągniętym w pośpiechu rzeczoznawcom od papieru, atramentu, intrologistorstwa. Pliki, które miał teraz w komputerze, i powiększone odbitki pozwalały przyjrzeć się każdej literze osobno, jednak to nie było to samo.

Gałuszkiewicz ukrył się jeszcze głębiej w gęstwinie łacińskich końcówek.

Dominikanin czuł, że zaczyna go poznawać, a nawet nie tyle poznawać, co rozumieć.

Że gdyby tamten miał laptop, po przeczytaniu też kasowałby każdy zapis,

upewniwszy się, że wciąż potrafi składać zdania. Może tym właśnie były te jego

wprawki łacińskie? Ale co mógł zrobić, skoro dysponował tylko piórem i papierem,

bez funkcji shift-delete?

Ojciec doktor spojrział na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Z tym większą satysfakcją sięgnął po komórkę.

- Księżę Robercie - zaczął łagodnym tonem cierpliwego mentora, słysząc po głosie asystenta, że właśnie wybudził go z pierwszego snu - proszę jeszcze raz sprawdzić, czy z zeszytu nie wrywano kartek. Słucham? Tak, wiem, że jest późno, i wiem, że treść nigdzie się nie urywa, mimo wszystko proszę sprawdzić.

Nie sądził, aby ksiądz Robert dokonał jakiegoś odkrycia, skoro nie dokonali go eksperci. Zresztą sam też policzył wszystkie składki starego kajetu i w żadnej nie brakowało kartek. Chciał jednak mieć pewność. Jeśli rzeczywiście rozumiał Gałuszkiewicza, był przekonany, że stary, samotny i ewangelicznie ubogi franciszkanin nie marnowałby papieru. Jeśli chciał coś ukryć, zakamuflował to w inny sposób.

No i chciał przeczłgać tego młodego inkwizytorka. Pomóc mu pokonać słabość i ćwiczyć cnotę pokory. Skoro większych wyrzeczeń od niego nie żądano... Każdy powinien mieć swojego ojca Jakuba.

Gliński nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky, ale tym razem nawet nie zamoczył ust. Tylko powąchał. A potem zaczął wypisywać z pamiętnika wszystkie skreślenia. Lublin, Czechów, mieszkanie Agnieszki Nowak, godz. 1.40 Agnieszka nie mogła zasnąć.

Za jedną ścianą wierciła się w łóżku matka; znowu miała złe sny, jak zwykle po niedzieli, którą spędziła samotnie w czterech ścianach, czekając, aż przyjdzie wreszcie ten cholerny poniedziałek. Całe szczęście, przestało już trzeszczeć łóżko za drugą ścianą, u sąsiadów, pijacka impreza pod blokiem też powoli dogorywała.

Wszystko poszło sprawnie: i obdukcja, i wizyta na komendzie. Co prawda oficer dyżurny wyraźnie kombinował, jak podrzucić ją komuś, kto będzie miał służbę w poniedziałek, ale pomogła

obecność posła. Jakiś młody sierżant w cywilu zaraz spisał jej zeznania.

Jedyne, co nie dawało jej spokoju, to ten sztuczny członek. Ze trzy razy kupowała podobny gadżet w sex shopie, jeszcze w liceum, kiedy przyszła seria osiemnastek koleżanek. Potem na imprezie, pijane, bawiły się prezentem, rzucając go sobie,

pozując z nim do zdjęć, raz Marta - teraz na SGH - włożyła go sobie do ust i mało się nie porzygała, bo za głęboko. Ale użyć takiego sprzętu na serio? To Agnieszce nigdy nie przyszło do głowy.

W mieszkaniu Bęciała siedziała zapatrzona w stojący na stole członek, jakby to była figurka jakiegoś bożka. I właściwie tak było, w końcu fetysz wymagał tylko drobnego rytuału, a w zamian miała wejść do nowego świata, gdzie ludzie nie muszą zasypiać, słuchając pierdnieć i westchnień sąsiadów, ale mają trzy poziomowe apartamenty z widokiem na Wisłę, jak Bęciał. Z przyszłościowym widokiem, gdy w miejscu portu powstanie baza hotelarska i ceny nieruchomości poszybują w górę.

- Aga, już? - Poseł niecierpliwie pukał do drzwi.

A co? Chcesz sobie popatrzeć?, miała na końcu języka.

Zsunęła spodnie i stringi i wycisnęła na dłoń trochę lubry-kantu. Według instrukcji miał nawilżać i intensyfikować doznania. Jej niczego nie zintensyfikował, ani wte, ani wewte, po prostu po kilku minutach Agnieszkę rozboleł nadgarstek.

- Aga, może ci pomóc?

- Bardzo śmiesznie. Zaraz!

No ale obdukcja wyszła jak trzeba. Tylko po tym wszystkim, cholera, nie mogła zasnąć! Wstała i skradając się cicho, żeby nie obudzić matki, podeszła do barku. Stało w nim słodkie wino i niepełna butelka adwokata. Nie cierpiała i jednego, i drugiego, ale potrzebowała czegokolwiek, co zawierało alkohol.

Warszawa, Wola, apartament przy skwerze Stefana Kardynała Wyszyńskiego, godz. 4.20

Analiza skreśleń zaprowadziła Glińskiego donikąd, dlatego przerzucił się na wszelkie wieloznaczności. Było ich trochę, choćby takie zdania jak „w obliczu Kazimierskiej Pani przemogła swój grzech i ofiarowała klasztorowi serce" albo „trzykrotnie już przychodziła z nogą", lecz nie wyczytał w tym nic prócz cokolwiek patetycznej buchalterii darów wotywnych.

Ojciec doktor rozparł się wygodniej na krześle i spojrzął na zegarek. Nawet nie sądził, że zrobiło się tak późno. Nastawił wodę na kawę i nalał sobie odrobinę whisky, dosłownie by zmoczyć dno szklanki. Na balkonie oblepiła go wilgotna, lepka

noc, jednak z początku zimna wcale nie czuł. Wniknęło w niego, dopiero gdy wrócił do pokoju.

Z parującą kawą, okryty kocem, zabrał się za łacińską część brulionu. Rozpoznawał klasyczne frazy z Wergiliusza i mniej eleganckie - podobno - ze Św. Augustyna i Wulgaty. Już wcześniej te łacińskie wprawki samotnego franciszkanina nazwał w myślach rozpaczliwymi, teraz spróbował sobie wyobrazić zziębniętego starego człowieka na kościelnym chórze, człowieka, który tak jak on siedzi otulony pledem i pogodzony z tym, że ciało odmawia mu posłuszeństwa, usiłuje ratować umysł, zmusić go do wysiłku pamiętania i odtwarzania.

Z braku lepszego pomysłu zaczął poprawiać mu błędy, a przynajmniej to, co za błędy uważał, bo z niektórych zarzutów musiał się wycofać, gdy skonfrontował je z komputerowym słownikiem łaciny liturgicznej. Ręka sędziwego ojca coraz gorzej prowadziła pióro. Dobór cytatów również stawał się coraz mniej wymyślny i grawitował ku zrytualizowanym frazom z modlitw i liturgii.

Gliński doszedł właśnie do zauważonego już wcześniej zdania ze św. Mateusza o perłach rzucanych przed wieprze. Dominikanin przerzucił stronę i nagle przypomniał sobie swoją babkę.

212

213

Umarła dziesięć lat po Soborze Watykańskim II, a jednak lepiej pamiętała porządek mszy łacińskiej niż polskiej, choć nie rozumiała z niej ani słowa. W ostatnich miesiącach życia modliła się dziwnym narzeczem, niczym ów nieszczęsny Salwator z Umberto Eco, który nie było homo literatus i grzeszył w dobrej wierze. A skoro babka Glińska, prosta kobieta, pamiętała... Tym bardziej ojciec Adrian nie mógł tak po prostu zapomnieć słów, które wbito mu do głowy na samym początku formacji!

„Wasze perły zostały rzucone przed wieprze, aby je podeptały nogami"... Lecz to nie było wszystko! Zaraz niżej ojciec doktor napotkał przekreślone zdanie: Quod ore sumpsimus, Domine, pura mente capiamus, a poniżej: Quod oculis videmus, Domine, pura mente abhorremus: ne adhaereat visceribus nostris; et praesta, ut in nobis non

remaneat scelerum macula. W odróżnieniu od swojej świętej pamięci babki Gliński nie znał na pamięć mszału rzymskiego, jednak „Co spożyliśmy ustami, Panie, duszą czystą przyjmujemy” musiało być dziękczynieniem po komunii, a drugie zdanie jakąś dziwną negacją. „Co widzimy oczami, Panie, duszą czystą odrzucamy i niech nie przyłgnie do naszego wnętrza; i spraw, aby nie pozostała w nas zmaza grzechu”... Przecież w liturgii oczy zupełnie się nie liczą! Nawet podniesienie oznajmia dzwonek ministranta, by i ślepiec mógł wejść do królestwa...

- Panie, bądź ze mną jeszcze chwilę! - wykrzyknął Gliński, czując, że zbliża się do czegoś, czego wciąż własnym umysłem nie obejmuje.

Wklepał do wyszukiwarki missa romana, a potem poprawił na „msza łacińska”.

Cokolwiek by mówić o konserwatyzmie zwolenników liturgii trydenckiej, lefebrystach i piusowcach, doceniali internet jako medium i narzędzie ewangelizacji.

Gliński bez kłopotu znalazł mszał starego rytu i odszukał formuły dziękczynienia.

Już rozumiał - ojciec Gałuszkiewicz dokonał kontaminacji dwu wersji tej samej modlitwy: „Co spożyliśmy

ustami, Panie, duszą czystą przyjmujemy” i „Ciało Twoje, Panie, które spożyłem, i Krew, którą przyjąłem, niech przyłgnie do mego wnętrza...”. Stary franciszkanin nie mógł się pomylić!

- I nie mógł bluźnić - dopowiedział na głos Gliński. - Nie mógł. I musiał wiedzieć, czego nie rzucać świniom...

Dominikanin ponownie sięgnął po telefon.

- Księżę Robercie, mam nadzieję, że nie obudziłem? - zapytał z takim współczuciem, że nieomal sam sobie uwierzył. - Potrzebuję natychmiast dziewiętnastowiecznych planów klasztoru Reformatów w Kazimierzu... Nie, dobrze ksiądz usłyszał, nie na Kazimierzu w Krakowie, ale w Kazimierzu Dolnym... Tak, miasteczko nad Wisłą... Owszem, jest dosyć wcześnie, lecz ksiądz z niewielką bożą pomocą na pewno da sobie radę. Czekam.

Sekretariat Konferencji Episkopatu Polski, godz. 10.00

...I prosimy cię, Panie, uwolnij nas od złych pokus, a Duch Święty niech nas obdarzy łaską sprawiedliwości i mądrości.

- Amen - odpowiedział wraz z innymi Gliński. Dziesięciu mężczyzn zebranych w mieszczącej co najmniej setkę ludzi sali plenarnej wyglądało, jego zdaniem, surrealistycznie. Wiedział, że to był przypadek, że małą salę wynajęto akurat na jakieś szkolenie, niemniej ojciec Jakub osiągnął lepszy efekt, niż zamierzał. Jak u Orwella patrzył z ekranu, istny Wielki Brat, podczas gdy siedmiu duchownych i trzech świeckich ekspertów niepewnie podnosiło wzrok znad stołu i znowu go opuszczało na rozłożone notatki.

- Nie jestem członkiem Komisji Ducha i Prawdy - zaczął stary zakonnik. Mimo szybkiego łącza głos i tak wyprzedzał nieco obraz, co było zdecydowanie deprymujące. - Dlatego oficjalnie proszę o przegłosowanie dopuszczenia mnie do udziału w posiedzeniu.

214

215

- Czy to jest naprawdę konieczne, ojcze? - skrzywił się wysoki ksiądz w sutannie z purpurowymi guzikami kanonika, siedzący na lewo od dominikanina.

- Nie - uśmiechnęła się postać na ekranie - ale będzie nam wszystkim przyjemniej. To była jawna demonstracja władzy, nikt jednak nic więcej nie powiedział, tylko wszyscy unieśli ręce. Nikt nie był przeciw, nikt się nie wstrzymał, nawet siwowłosego jezuita o fryzurze Einsteina, który odkąd wszedł, podejrzliwie popatrywał to na ekran, to na Glińskiego. Cóż, Towarzystwo Jezusowe i Zakon Braci Kaznodziejów nigdy za sobą nie przepadały.

Stary dominikanin zaczął od naszkicowania zadania, jakie zlecił ojcu doktorowi. On sam wiedział, że za chwilę będzie musiał przejąć pałeczkę, ale tymczasem przyglądał się zebrany. Znał ich wszystkich z kryptonimów: sami „heretycy”, czyli wyposażeni w hasła z katechizmu oskarżonego o herezję inkwizytora, arcybiskupa de Carranzy; sam szczyt polskiej komórki Officium, a ludzie tak niepozorni. Zwłaszcza „pagina 226” - ksiądz profesor, którego ojciec doktor minął parę razy na korytarzu KUL-u: niski, gruby i z wyglądu roztrzepana łajza, a jednak wybitny ekspert od mowy ciała.

- ...Zdjęcia i materiały wideo ojca Glińskiego pozwoliły ustalić tożsamość części

sióstr z Kazimierza. Wśród nowicjuszek i postulantek są Białorusinki i Rosjanki, w trzech przypadkach zupełnie nieznanymi proboszczom ich rzekomo macierzystych parafii, którzy rzekomo zaopatrzyli je w listy polecające i wydali świadectwa sakramentów. Mam też przed sobą analizę posiłku, który podano ojcu Glińskiemu w domu betanek. Badania wykazały obecność psylocybiny. Wszystko wskazuje na to, że narkotyki podał przełożonej i naszemu wysłannikowi Romanyczko, wcześniej szeregowy agent pracujący dla Officium z hasłem wywoławczym z Młota na czarownicy.

- Ale kim dla nas jest ten Romanyczko? - Ksiądz profesor ściągnął krzaczaste brwi. - I dlaczego ojciec mówi nam o nim dopiero teraz?

- Przecież tłumaczę, że to „młot”, nie „heretyk”. Do tej pory sam go prowadziłem.

- I nie chciał nam ojciec zaufać? - spytał z wyrzutem jezuita.

- Nie, chciałem jedynie uniknąć tej prowadzącej donikąd wymiany zdań - uciał ojciec Jakub. - Bardzo proszę, ojcie Marku.

- Pozwoli ojciec, że zanim przejdę do raportu... - Gliński zacisnął pięść pod stołem. Gdzie były te plany, gdzie ksiądz Robert?! - ...zacznę od tego, że moim zdaniem Romanyczko...

- Przepraszam - wtrącił się jezuita - ale sądzę, że cała Komisja chciałaby wiedzieć, jak ojciec Marek ocenia pozyskanie tego franciszkanina jako „młota”. Abyśmy uczyli się na błędach - dodał, patrząc w kamerę.

Glińskiemu nie umknęło nerwowe drgnienie lewej powieki ojca Jakuba. Założyłby się też, że obraz zadygotał nie z powodu chwilowego zapchania łączy, lecz że stary zakonnik potrącił swoją kamerę, zbyt energicznie zakładając nogę na nogę.

- Cóż, ryzyko zawsze istnieje przy werbunku prowoka... - zaczął ojciec doktor, z rozmysłem przeciągając sylaby.

- „Młota”, ojciec, nie prowoka! - przerwał mu ostro przełożony. Tym razem zadrzała mu już nie powieka, ale szczeka.

- Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. - Gliński ze śmiertelną powagą spojrział w oko kamery.

Ksiądz profesor poczerwieniał, ale zdusił w sobie śmiech. Kanonik nie dał rady, udał

tylko, że to atak astmatycznego kaszlu.

- Uwzględniając to ryzyko - ciągnął dominikanin - ojciec Jakub zrobił wszystko, co było w danej chwili możliwe. - Spojrzał przenikliwie przełożonemu w oczy i zaraz przeniósł wzrok

216

217

nizej, na kamerę. To było nawet zabawne: jeśli chciał osiągnąć efekt, musiał pochyłać głowę, jak przystało pokornemu zakonnikowi. - Ojciec Jakub nigdy wcześniej nie popełnił błędu, również teraz nie.

- A jakie ojciec ma kompetencje, aby to stwierdzić? - syknął jezuita.

- Przed chwilą ojciec sam mnie w nie wyposażył - dominikanin zmierzył go lodowatym wzrokiem - pytając o moją ocenę.

Twarz starca na ekranie nie zmieniła wyrazu, ale lekkie uniesienie brwi było dla Glińskiego wystarczającym wyrazem aprobaty. Ksiądz profesor od mowy ciała gryzł końcówkę długopisu jak znudzony pierwszoklasista, choć ojciec doktor nie wątpił, że przynajmniej on jeden świetnie rozumiał, w co się tu gra. Jezuita nie - był nazbyt pochłonięty własną porażką.

- Moim zdaniem Romanyczko nie jest dla nas stracony - wrócił do tematu Gliński. - To my zleciliśmy mu doprowadzenie sytuacji w domu sióstr do przesilenia. I doprowadził. No a separując klasztor od świata, oddał nam największą przysługę, bo jeśli moje podejrzenia co do rzeczywistego powołania niektórych sióstr są słuszne, tym samym spacyfikował je za nas.

- Jakie znowu siostry ma ojciec na myśli? - znów zaatakował jezuita. Jednak niecelnie, zbyt nerwowo.

-Jak to jakie? - uśmiechnął się Gliński. - Ze zgromadzenia KGB-istek, oczywiście. Komunistów Grodu Bożego - dodał, z trudem się powstrzymując, by nie mrugnąć porozumiewawczo do rozbawionego kanonika. - Po eksmisji zajmie się nimi ABW, które z pewnością skrzętnie wykorzysta sygnały, jakie im podrzucimy. Natomiast powtórzę: w mojej ocenie Roma nyczko nie miał nic wspólnego z żadną obcą agenturą, bo to nie było w jego interesie. Rozmawiałem z nim, widziałem, jak

funkcjonuje u betanek. Możliwe, że gdy ochłonie, niczego bardziej nie zapragnie niż powrotu na łono Kościoła. Jak sądzę, ksiądz profesor się ze mną zgodzi? - Dominikanin ryzykował, ale musiał przeciągnąć tę rozmowę jeszcze o kwadrans, no choćby dziesięć minut!

Psycholog wyjął długopis z ust i rozejrzał się, jakby nie był pewien, czy to o niego chodzi. Ojciec doktor uśmiechnął się w duchu na ten popis gry aktorskiej.

- Tak, tak, bez wątpienia - pokiwał głową ksiądz profesor. -To narkoman, ojciec Jakubie, uzależniony od władzy. Dla mnie znamienne jest zwłaszcza to, że niewątpliwie dopuszczając się czynów nierządnych z zakonnkami, nie posunął się do gwałtu. Tutaj nasuwa się pewna antyczna analogia. Gdy grecka armia pokonała przeciwnika, ocalałych wrogów upokarzano przez coitus per anum, następnie puszczano wolno, a zwycięzcy wracali do domu. Natomiast ojciec Romanyczko nie chciał wrócić z wojny do starego świata, on chciał zbudować swój własny, potrzebował zatem posłusznych niewolnic, zdeorientowanych i zdanych jedynie na jego ocenę sytuacji. Nie chciał czynić z nich upokorzonych przeciwników. Jeśli jednak mam rację, ojciec Marku, to będzie za wszelką cenę bronił swojego świata. To jego Królestwo Boże.

- Mimo to podjąłbym ryzyko. - Gliński położył pióro idealnie równolegle do krawędzi leżących przed nim notatek. - Nie odwołujmy akcji „Eksmisja”, a ja postaram się dostać Romanyczkę choćby na kilka minut. Zadbamy o to, żeby procesy przeciw niemu ciągnęły się tak długo, jak to tylko możliwe. Co się da: naruszenie miru domowego, obraza funkcjonariuszy, groźby karalne... Z drugiej strony damy mu odczuć naszą dyskretną opiekę. Niech wie, że kiedy złożymy parasol, będzie skończony. I jeszcze jedno, dostanie smycz. o taką. - Ojciec doktor wyjął z kieszeni starą nokię. - Powiemy mu chociażby, że w środku jest lokalizator. Jak w tych obrożach dla więźniów.

218

219

- I sądzi ojciec, że uwierzy? - wzruszył ramionami jezuita.

- Kiedy byłem dzieckiem, katecheci twierdzili z całą powagą, że jeśli ktoś się

onanizuje, wyrosną mu włosy między palcami. I nieraz cała klasa zaczynała oglądać sobie ręce.

Ksiądz kanonik już nie powstrzymywał śmiechu, ale jezuita spurpurowiał.

- Ojciec ma zbyt dużą skłonność do hazardu. To może narazić Komisję i całe Officium Secretum. Składam oficjalny protest.

- To bezcelowe - odezwał się głos znad ekranu. - Takie rzeczy mieszczą się w moich kompetencjach. Jednak protest ojca oczywiście zapamiętam. Ojcie Marku, proszę przejść do szczegółów.

- Cała sprawa betanek służyła odwróceniu uwagi od istotnych celów obiektowych w Kazimierzu, służyła w pewnym sensie zarówno nam, jak i prawdopodobnie naszym domniemanym przeciwnikom. Nie muszę tłumaczyć...

- Istotnie, nie musi ojciec - przerwał z satysfakcją jezuita. - Ad meñtum, jeśli wolno.

- Przejrzałem pamiętnik ojca Gałuszkiewicza, który według mnie...

- Proponuję zrobić krótką przerwę - dobiegło z głośnika. Najwyraźniej ojciec Jakub zauważył, że jego protegowany chce zyskać na czasie.

- Nie, ojciec, nalegam, abysmy... - Jezuita urwał, widząc otwie- | rające się drzwi za stołem prezydialnym.

Stanął w nich ksiądz Robert z dużą tekturową teczką pod pachą. Kiedy cicho podszedł, Gliński zauważył, że choć oczy miał czerwone z niewyspania, to zdążył się ogolić i natrzeć policzki wodą kolońską.

- Plany, o które ojciec prosił. Niestety tylko odbitka.

- Wystarczy, ale dlaczego tak późno? - zmarszczył brwi Gliński.

- Były w Krakowie.

Dominikan pospiesznie otworzył teczkę i wyjął złożoną we czworo płachtę papieru.

Harae porcorum, czyli świńskie zagrody, przed likwidacją klasztoru były w tym samym budynku, z którego wypadł ojciec Lemus. Zaraz, o świniach mówiła też Kazimierska Pani, przypomniał sobie ojciec doktor. Widocznie halucynacja nie wodziła na pokuszenie.

- Dziękuję. - Podniósł wzrok na młodego duchownego. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu czegoś krzepiącego, ale szybko odrzucił tę myśl. Przed

rozpoczęciem posiedzenia modlił się o łaskę sprawiedliwości, o nic więcej. - Jest ksiądz wolny, dopóki nie zadzwonię - rzucił więc, patrząc już tylko na przyniesione materiały. - Ojciec Jakubie, ja też proszę, abyśmy kontynuowali.

220

ROZDZIAŁ X

Wtorek, 9 października 2007 roku Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 8.10

Spóźniłeś się. - Naczelną spojrzano na Stawka znad makiety czwartkowego numeru.

Na środku pierwszej strony wielka biała plama czekała na zdjęcie dnia z eksmisji kazimierskich betanek, najlepiej z płomieniami w tle. Monika specjalnie przyjechała z Warszawy, żeby tego dopilnować.

- Dziesięć minut. - Spojrzał na zegarek. - Za to wczoraj pracowałem godzinę dłużej. Zerknęła spode łba, ale nic nie powiedziała. Albo tak się wkręciła w betanki, że zapomniała o przyrodzonej upierdliwości, albo szykowała jakiś grubszy numer. Kiedy dziennikarz usiadł przy końcu stołu i zobaczył miny pozostałych, domyślił się, że chodziło o to drugie.

- Jak już mówiłam, główny problem to nasza nieefektywność. Na to właśnie zwrócili uwagę w zarządzie spółki. Stosunek liczby tekstów zakwalifikowanych do gazety - matki do liczby etatów wciąż mamy najgorszy z całej grupy. „Dziennik Za chodni” 10,1 procent, „Łódzki” 9,8, „Gazeta Krakowska” 8,9, „Głos Wielkopolski”... bla, bla, bla... my na ostatnim siódmym miejscu, z wynikiem 5,3.1 nie chcę słyszeć żadnych komentarzy, bo mierniki są proste jak budowa cepa.

- No, inaczej bym pewnie nie zrozumiał - mruknął pod nosem Stawek.

- Mówiłeś coś? - spytała jadownicę naczelną.

- Tak. - Odwiesił plecak na oparcie krzesła. - O gazecie matce, której na razie nie ma. Pierwszy numer wyjdzie dopiero za tydzień. Jasne, trzeba robić jakieś przymiarki, ale chyba za wcześnie na takie rozliczanie zespołu. Może na dokładkę opieprzysz korektorów, że w tej nieistniejącej gazecie puścili wirtualne błędy?

- Skończyłeś? - Szefowa zacisnęła palce na długopisie.

- Nie - uśmiechnął się Stawek. - Jeszcze jedno: w tych wyliczeniach twoich prezesów

nie uwzględniono współczynnika zainteresowania Lubelszczyzną ze stołecznej perspektywy. To od niepamiętnych czasów wielkość stała, Monika, i wynosi minus jeden.

- Daj spokój! - szepnęła mu Teresa z działu kulturalnego. Pozostali odwracali wzrok, co jeszcze bardziej go wkurzyło.

- A poza tym jakie są kryteria kwalifikowania tekstów oprócz widzimisię kogoś, kto być może po prostu cię nie lubi? Ja rozumiem, że nie jest ci miło wysłuchiwać takich rzeczy od szefów, ale powtarzasz nam to takim tonem, jakbyś naprawdę w to wierzyła. No i po czwarte, w najbliższych tygodniach wskaźnik podskoczy, sama wiesz.

- Do okrągłej liczby 5,5! - nie wytrzymał sekretarz redakcji. -Dobra, będziemy do każdej foty dodawać krew w Photoshopie. A Stawek nawet trupie czaszki. Koniec tematu, Tomek.

W zasadzie naczelna powinna być mu wdzięczna za rozładowanie sytuacji, ale prawie zabiła go wzrokiem. Podłość, śmiał pomyśleć, że sama nie da sobie rady?!

-Ja też ponoszę za to odpowiedzialność - powiedziała ku kompletnemu zaskoczeniu Stawka. - Pozwalam, żebyście chodzili, gdzie chcecie, i pisali, co chcecie. Koniec, teraz zadbam o linię...

- Ty akurat nie musisz! - zaśmiał się rubasznie Wolik. Facet dobiegał emerytury, a kiedy usiadł wygodnie, zajmował prawie dwa krzesła.

- Zadbam o linię pisma - dokończyła przez zaciśnięte zęby. - Od dzisiaj dostajecie dokładne listy zadań na każdy dzień. To twoja, Andrzej. - Podała Wolikowi gęsto zadrukowaną kartkę. Stawek zauważył, że końce siwych wąsów wyraźnie zjechały redakcyjnemu weteranowi w dół, tworząc podkówkę jak smutna buzia na dziecięcym rysunku. - Kiedy mnie nie ma, rozlicza was i koryguje listy sekretarz redakcji. Nikt nie wychodzi z pracy, dopóki nie zrealizuje zadań. Inaczej proszę spodziewać się zwolnień. Państwu dziękuję, ty, Tomek, zostajesz.

To już stawało się tradycją, niemal dwuznaczną. Postanowił, że następnym razem, kiedy będzie ostatni wychodził od naczelnej, uda na korytarzu, że dopina rozprek. Założył ręce na piersi i czekał, co Monika powie mu tym razem. Zza drzwi dobiegł

go jeszcze podniesiony głos Wolika i szelest papieru zgniatanego w jego wielkich łapach.

Naczelna otworzyła okno. Plamy słońca na stole zmieniły konfigurację, do gabinetu wdarł się warkot piły mechanicznej, i sapanie autobusu, z trudem wspinającego się stromą 3 Maja.

- Tomek, toleruję to tylko ze względu na naszą umowę, ale zaczynam mieć dosyć.

Przypominam, że ci zaufałam. Nie pytałam, co to za bomba. Cierpliwie czekałam na efekty. A teraz słucham cię. Co masz?

- Spokojnie, daj mi jeszcze kilka dni. - Poprawił się na krześle. - Nie wszystko idzie zgodnie z planem.

- Z planem? Tak wygląda plan! - Pacnęła otwartą dłoń w listę zadań Stawka. -

Zadania do wykonania i zadania zrezygnowane. A ty, jak widzę, nie masz żadnego planu!

No bo nie miał. Nie po tym, jak zgubił Glińskiego w tym cholernym wąwozie!

- Jest taki dominikanin - wydusił z niechęcią - wcześniej esbek. Już to wystarczy, ale ja chcę dotrzeć do informacji, co dokładnie robił w latach osiemdziesiątych.

- I jeszcze nie dotarłeś? - Spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem.

- Ludzie, którzy coś o nim wiedzą, są zastraszeni, nie chcą mówić. - Nabrał powietrza. Bozia go zabije, niech tam! - Przedwczoraj trochę za nim pojeździłem.

Mam zdjęcia, na których jest on i jego studentka na romantycznym spacerze. Niestety bardzo soft, ale smrodek zrobią.

- Pokaż aparat. - Monika wskazała jego torbę.

- Nie mam ich w aparacie. - Odetchnął z ulgą, bo rzeczywiście poprzedniego dnia zwolnił pamięć na karcie. - Są w laptopie u mnie w pokoju. Obrobię i podeślę.

- Dobra, ale dziś! - Naczelna zebrała w pedantyczny stosik swoje papiery, pewnie rozpiskę planów na każdy dzień ich dożywocia w „Kurierze”, i wywaliła do kosza nieaktualną już, zmiętą makietę. - Jest jeszcze jedna sprawa. Rozumiem, że ludzie nie chcą mówić, jednak musisz być delikatniejszy. Są skargi, że ich nękaasz.

- Kurwa, Monika, co to znaczy „nękaasz”?! Ja kogoś nękam? - Rozłożył ręce. - Niby kogo ostatnio nękałem oprócz mojej stażystki?

- To nie twoja stażystka, tylko redakcyjna. A kogo nękałeś, to sam najlepiej wiesz. To nieprofesjonalne.

Już miał powiedzieć: „Chcesz mieć w gazecie bombę, ale boisz się, że wybuchnie?”, kiedy zadzwoniła jego komórka. Stawek spojrział na wyświetlacz: Bozia.

- Przepraszam, to w tej sprawie. - Wcisnął zieloną słuchawkę. - Tomasz Stawek, szczęść Boże, siostró.

- Szczęść Boże, księżo proboszczu - zaśmiała się Magda. - Byłam w Puławach i jest niezły numer, na razie nikt jeszcze nie wie. Agnieszka Nowak oskarża Glińskiego o gwałt. Podobno

gdzieś w wąwozie pod Kazimierzem. Musimy zaczynać, bo ktoś nas wyprzedzi.

- Proszę siostry, potrzebuję dnia, może dwóch.

- Jakich dwóch? Może miesiąca?! Pogadamy jutro. Widzimy się na betankach?

- Tak, oczywiście. - Na użytek naczelnej zrobił zafrasowaną minę. - Do zobaczenia.

- Możesz iść, ale pamiętaj o zdjęciach - przypomniała Monika. - I o liście zadań! Nikt nie wychodzi z pracy, dopóki jej nie zrealizuje. Dla ciebie nie zrobię wyjątku! - krzyknęła za nim na korytarz.

Komenda Powiatowa Policji w Puławach, ulica Wojska Polskiego, godz. 8.20

...Po zatrzymaniu samochodu w wąwozie między miejscowościami Kazimierz Dolny i Bochothnica o. dr Marek Gliński powiedział, że oczekuje ode mnie wdzięczności za udzieloną mi pomoc podczas dokonanego na mojej osobie rozboju, który miał miejsce w Lublinie w dniu 2 października br. Gliński miał zadawniony zatarg z moim ojcem, dlatego uznałam, iż oczekuje ode mnie, abym pomogła mu rozwiązać ten spór, i zgodziłam się, pytając, co mam zrobić. Wtedy Gliński położył mi rękę na kolanie i przez spodnie zaczął dotykać uda oraz narządów płciowych. Stanowczo zaprotestowałam, ale on zagroził mi tym, iż spowoduje zwolnienie z pracy na KUL-u mojego ojca. Następnie zapytał również: „A tobie nie szkoda wylecieć ze studiów?”. Przestraszyłam się i powiedziałam, żeby przestał. Broniałam się jednak tylko słownie, ponieważ byliśmy sami, a Gliński miał nade mną przewagę fizyczną. Poleciał mi zsunąć spodnie i bieliznę, celem obnażenia dolnych partii ciała. Kiedy to zrobiłam, wyjął ze schowka w samochodzie sztuczny penis oraz żel nawilżający, a w

konsekwencji zmusił mnie do poddania się innej czynności seksualnej, polegającej na masturbacji ciałem obcym w postaci ww. sztucznego penisa. Sam nie masturbowałem się ani już mnie nie dotykał...

Lesik odłożył protokół przesłuchania. Starszy sierżant Marcin Maziarz spojrział zdziwiony na zastępcę szefa.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał.

- Przeciwnie, jest aż za dobrze. Jak zachowywała się poszkodowana?

- Spokojnie. Wygląda na silną dziewczynę.

Komisarz sięgnął po wyniki obdukcji. Dyżurny ginekolog ze szpitala na Bema stwierdził nieznaczne otarcia ściany pochwy, świadczące o mającej miejsce w ostatnich godzinach przed badaniem penetracji, oraz brak śladów spermy.

- Pouczona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań?

- Oczywiście! - Maziarz prawie się obraził. - Zresztą dlaczego miałyby kłamać?

- Dlaczego miałyby kłamać? - Komisarz powtórzył pytanie. Chciał sam sobie dać czas do namysłu, ale ten numer zwykle działał też na podwładnych. Od razu zaczęli myśleć.

Jednak starszy sierżant jak zwykle okazał się odporny. Siedział i czekał. Cholerny Maziarz, kolejny młody wilczek z nowej kadry, bez gwiazdek wyłącznie z braku etatów oficerskich. Od dwóch lat przebierał nogami, by zająć biurko Lesika, bo stanowiska drugiego zastępcy naczelnika wydziału kryminalnego w Puławach nie przewidziano. Wyedukowany jak skurwysyn: dwa magistry, jeden doktor, certyfikatów od cholery, a do tego wrażliwość społeczna potwierdzona kilogramami listów od różnych fundacji. Lesik, który kończył studia, już służąc w milicji, znał za to różne mody operacyjne, ot, choćby namiętne przyszywanie obrotu walutą, najlepiej fałszywą, do spraw politycznych. No, ale molestowanie w ogóle nie było wtedy na topie, nie przypominał też sobie żadnych rzekomych ani domniemyanych zgwałceń; każda taka sprawa miała mocne podstawy, a poszkodowana co najmniej siniaki.

- Na pański nos nic tu nie śmierdzi? - zapytał w końcu Lesik

- No, ja rozumiem, studentka i wykładowca, w dodatku du chowny...

- Nie, nie! - wszedł mu w zdanie komisarz. Dobre sobie, duchowny! Oglądał wiele teczek na czarnych

i cokolwiek powiedziec o twórczości własnej funkcjonariuszy święty zdarzał się rzadko - i dzięki temu Wydział IV mógł nicować, łamać, szantażować, montować prowokacje. Jednak coś tak wąskiego nigdy by nie przeszło, nie tylko dlatego, że w skle pach WPHW, resortowych konsumach ani nawet w peweksach nie sprzedawano zabawek erotycznych. Co to w ogóle był za hak? Każda może się zabawić sztucznym członkiem, a potem przyjść na komisariat i obciążyć każdego.

- Nie - powtórzył Lesik. - Pytam, czy w zeznaniach tej... spojrzął na okładkę teczki - ...Agnieszki Nowak wszystko się panu zgadza.

- Do posterunku w Kazimierzu wysłałem już polecenie, aby sprawdzili, czy ktoś nie widział młodej dziewczyny wsiadającej do stalowego bmw, ale to potrwa. Nie oczekuje pan chyba pi-ę ciu świadków, którzy spacerowali w pustym wąwozie! - nada się Maziarz.

- Nie oczekuję pięciu, wystarczy jeden. - Komisarz w zamy śleniu złożył teczkę z aktami. - Powiedzmy dwóch. A poza ty ni

- Poza tym jest tylko jeden problem, ale drobny. Dzwoniłem do komendy miejskiej w Lublinie i nie mają informacji o takim rozboju. Chociaż mógł być niezgłoszony. Z przesłuchaniem sprawcy wstrzymam się jeszcze, aż będę miał konkrety.

Spod zeznań Agnieszki Nowak wysunął się znacznie bardziej irytujący kwit.

Prokurator, choć w Kazimierzu pojawił się do-

piero po kilku godzinach, wystawiając cierpliwość Lesika na ostateczną próbę, oczywiście teraz chciał rozbabrać śledztwo w sprawie śmierci zakonnika i ciągnąć je miesiącami - głównie rękami Grzeška, ale pod nadzorem komisarza. Łatwo zgadnąć, kto będzie winien, jeśli materiał dowodowy nie podpasuje tej albo kolejnej ekipie. W końcu wybory na dniach.

- Dobrze, dziękuję. - Lesik przesunął teczkę w stronę Maziarza. -I jeśli w jakichkolwiek okolicznościach wypłynie nam jakiś ksiądz czy inny zakonnik, proszę mnie informować.

- Dlaczego akurat pana komisarza? - zapytał z bezczelną miną młody sierżant.

Lesik dobrze rozumiał, do czego zmierza ten gówniarz - es-becka przeszłość zastępcy naczelnika wydziału nie była dla nikogo tajemnicą. A przy obecnej ekipie to już w ogóle strach, gdy dawny bezpieczniak czymś zanadto się interesuje. Jeśli duchownymi, taki Maziarz gotów snuć domysły o nieustającym przywiązaniu komisarza do IV Wydziału.

Domysły domysłami, ale dwadzieścia pięć lat temu nikt nie zadałby takiego pytania, przynajmniej na trzeźwo.

- Dlaczego mnie? - Komisarz uśmiechnął się ironicznie. - Bo ja mam na ramieniu trzy gwiazdki, a pan póki co wciąż tylko dwa złamane kutasy.

Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 9.00

Gliński patrzył z góry na dziewczynę. Ta, oparta o maskę samochodu, coś mówiła, unosząc rękę. Stawek powiększył zdjęcie na monitorze, żeby przyjrzeć się jej twarzy, ale nie było szans: pikseloza. Na co w ogóle liczył? Że wyczyta coś z układu ust?

Równie bez sensu było pojawienie się tego policjanta, Lesika. Stawkowi początkowo przemknęło przez myśl, że komisarz mógł dostać polecenie, żeby ochraniać

Glińskiego. To by nie

228

229

było nawet takie nieprawdopodobne - przecież zaledwie kilka dni temu sprawa napadu na Agnieszkę Nowak skończyła się, zanim naprawdę się zaczęła. Co prawda dziennikarz nie dałby sobie tak po prostu zabrać aparatu, jednak spluwy nie miał...

Ale tamten wyraźnie też próbował ugrać coś dla siebie. Zaraz, jaki on tekst rzucił?

- Nie pytaj, co policja może zrobić dla ciebie, tylko co ty dla policji, jak powiedział prezydent Kennedy. - Lesik zapalił elema i podał ogień Stawkowi. - Potrzebne mi pańskie zdjęcia. Bez obawy, zadowolę się kopiami. Przecież nie zamierzam ich publikować.

- Jeśli to na potrzeby śledztwa, może się pan zwrócić oficjalnie do gazety. -

Dziennikarz wzruszył ramionami. - Przecież nie oddam panu karty z aparatu.

- Nie mam czasu na oficjałki, spieszę się. - Komisarz podszedł bliżej. - I po co karta?

Pan ma w plecaku laptop, a ja mam pen-drive'a. Panie Tomaszu, niech pan nie

utrudnia. Pan coś mają coś wiem. Zagramy w złotą rybkę?

Nieźle to było, zabrzmiało bardzo esbecko. Facet miał czterdzieści parę, może pięćdziesiąt lat. Mógł zaczynać karierę za komuny. To było pierwsze, co przeszło Stawkowi przez głowę. Ale dlaczego nie na emeryturze? Powinien już ochraniać jakiś supermarket!

- Zadaje pan trzy pytania, a ja odpowiadam „tak” lub „nie” -mówił dalej policjant. - Nie kręcę, nie kłamię, jestem anonimowe, dobrze poinformowane źródło. Tak na zachętę: ja znam tego pańskiego Glińskiego.

- Ze studiów? - wyrwało się dziennikarzowi.

- Nie - pokręcił głową Lesik. - Zmarnował pan pierwsze pytanie.

- On pracował dla bezpieczeństwa? -Tak.

-Jest podejrzany o zabójstwo tego zakonnika w klasztorze?

- Mógłbym powiedzieć po prostu „nie”, ale zbyt lubię pańskie artykuły. Jest w kręgu podejrzeń, chociaż ma alibi. Teraz proszę o zdjęcia. Aha, i gdyby chciał pan jeszcze kiedyś zagrać, to jest moja wizytówka.

W tym momencie Stawek już nie miał wątpliwości, że gada z byłym bezpieczniakiem - to było widać, słysząc i czuć. Rozegrał dii całkiem zgrabnie, ale zdecydowanie uczył się tej roboty długo przed weryfikacją, kiedy takim jak on wszystko było wolno. Nie przywykł do potęgi czwartej władzy.

- Dobrze, panie komisarzu - uśmiechnął się dziennikarz. -Wybierze pan sobie trzy ulubione foty. A jak będzie pan chciał zagrać o inne... - sięgnął po swoją wizytówkę - to czekam na telefon.

Tak to było, dwa dni temu. Teraz Stawek przeglądał te same foty, bo czymś musiał nakarmić naczelną. Ale ledwie skończył, a na wyświetlaczu pojawiło się „Lesik”. Telepatia, do cholery?!

- Tomasz Stawek, proszę.

- Mam dla pana informację, ale potrzebuję więcej zdjęć - powiedział komisarz. W tle słysząc było szum spadającej wody. Pojechał, cholera, do Wodogrzmotów Mickiewicza czy dzwonił z kibla?!

- Jaką informację?

- Ta mała była u nas przedwczoraj wieczorem. Oskarża ka-tabasa o zgwałcenie.

Ciekawostka, nie?

- Tak, ciekawe. - Cyniczny uśmiech Stawka odbił się na zapać-kanym, mimo to wciąż błyszczącym ekranie laptopa. - Tylko że ja to już wiem. Zgwałcił ją w wąwozie. Dziś nie pohandlujemy, panie komisarzu.

- A wie pan, jakim narzędziem to zrobił?

- No jak to jakim? - Dziennikarz pokiwał głową z politowaniem. - A czym się gwałci?

- No więc nie wie pan wszystkiego. Ja potrzebuję tych zdjęć, to dowód w sprawie.

- Może się pan zwrócić drogą oficjalną.

Lesik nie odpowiedział. Stawek usłyszał trzask zapalniczki, potem długi wdech. Co za kretyn powiedział, że nałogowe palenie zmniejsza pojemność płuc?

- Redaktorze, a gdybym pana przedstawił ojcu doktorowi Glińskiemu?

- Słucham?!

- Niech pan nie słucha, tylko notuje. Wyśle mi pan zdjęcia mejlem, a potem umówimy szczegóły.

- Sekundkę - ostudził go Stawek - a co mnie obchodzi pański dowód w sprawie?

Zgwałcił, nie zgwałcił, mam go na widelcu. Jak opublikuję te zdjęcia, sam się będzie prosił, żebym z nim chciał gadać.

- Trochę gospodarskiego myślenia, redaktorze - zaśmiał się policjant. - Ta kura może jeszcze nam obu znieść trochę jajek, a pan ją chce tak po chamsku zarznąć na rosół?

Hipermarket Carrefour, Puławy, ulica Gościńczyk, godz. 11.05 W venciaku komisarza już wieczorem zapaliła się kontrolka paliwa. Miał zatankować rano, ale na Orlenie przy Lubelskiej jak na złość była kolejka.

Teraz na stacji przy markecie stał tylko jeden samochód, zielone berlingo, i Lesik wjechał na podjazd z prawdziwą ulgą. Czekańia tego dnia miał dosyć, a mejle od Stawka po prostu go dobiły. W sumie czternaście wiadomości, każda z kilkoma załącznikami. Ściągały się, wydłużając minuty do niemożliwości: pięć procent, siedem, osiem, ciągle osiem... Komisarz starał się nie patrzeć na

pasek postępu, bo wtedy serwer wyraźnie zmniejszał przepustowość. Zupełnie jakby

chciał dać Lesikowi czas do namysłu...

No bo w końcu po co to robił? Po co zbierał dowody na niewinność Glińskiego? Po co się szarpał z Maziarzem, który zgodnie z najnowszymi trendami podchodził do molestowania, jakby to był co najmniej rozbój kwalifikowany? Równie dobrze mógł zostawić wszystko tak, jak samo szło - nie jego brocha. Gliński byłby ugotowany, a za kilka dni musiałyby udowodniać, że nie jest wielbłądem.

Nigdy nie byli kumplami, w bezpieczeństwie nikt nigdy nie wymagał, żeby jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... Wszyscy na jednego, to prędzej. Mimo to Lesik wciąż obracał w palcach wizytówkę dominikanina i wzrok uciekał mu w stronę ekranu. Osiemnaście procent, dziewiętnaście, dwadzieścia jeden... A później zgrał wszystko na płytę i pojechał zrobić zakupy relaksacyjne w męskiej wersji light: benzyna i papierosy.

Kiedy zatrzymał samochód przy dystrybutorze, zobaczył przez szybę, że przy kasie grzebie w portfelu ojciec Jordan, szef tych franciszkanów z Kazimierza. Przeor... nie, gwardian! Wózek zostawił otwarty, tyle że zabrał kluczyki. Przy kole stały dwa kanistry.

- Pan komisarz? - Franciszkanin zatrzymał się zaskoczony. Wyglądał łajzowato z zadartym habitem, kiedy wsadzał portfel do kieszeni spodni. - Szczęść Boże. Ufam, że wkrótce będziemy mogli pochować biednego ojca Adama?

- Dzień dobry ojcu. To zależy od prokuratora. Proszę zamykać samochód, strasznie kradną. A ojciec może tu do nas z jakąś sprawą?

- Nie, po benzynę. Zawsze tu tankuję. I biorę zapas. - Jordan wstawił kanistry do tylnego przedziału minivana.

- Tutaj? - zdziwił się policjant. - Przecież ma ojciec Orlena niecały kilometr od klasztoru.

232

233

- Klasztory muszą oszczędzać, panie komisarzu - poważnie pokiwał głową gwardian.

- Tu ma pan 4,15 za litr, prawie piętnaście groszy taniej.

Lesik nacisnął spust nalewaka i zapatrzył się na licznik przy dystrybutorze. Może i

faktycznie katabas przyszczędził kilka groszy, nawet uwzględniając benzynę, którą spalił między Kazimierzem a Puławami. Ciekawe, czy wkalkulował w to zużycie oleju, opon i czas. Tak czy owak, komisarzowi by się to nie opłacało. Zresztą swojego wycofanego z policji venciaka kupi) za takie śmieszne pieniądze, że mógł sobie pozwolić na tanko wanie gdziekolwiek, choćby i na Orlenie.

Zakonnik wsiadł do samochodu, przeżegnał się i uruchomił silnik.

- Szczęść Boże - skłonił się przez okno komisarzowi. Lesik zatankował do pełna.

Licznik wskazał ponad dwie stówy,

choć jeśli księżulo miał rację, wybierając Carrefoura, komisarz zaoszczędził całe siedem pięćdziesiąt. Trzy piwa. Idąc do kasy, wyjął z lodówki cztery.

- Sympatyczny franciszkanin - wskazał brodą za okno. Często tu tankuje?

- Pierwszy raz go widziałem - wzruszył ramionami kasjer. Ale pracuję dopiero od miesiąca. Polecam panu jeszcze płyn do szyb, mamy promocję. Koncentrat, półlitrowy, używany w salonach Renault...

- Ale ja mam volkswagena. - Lesik wyciągnął dwie zmięte stówy i zaczął odliczać drobne. Sam nie wiedział dlaczego, jednak wkurwił go ten sprzedawca. Że promocja, sam widział, trudno przeoczyć banner rozmiarów lodówki!

Zapalił silnik i zjechał na parking. Wyjął z portfela wizytówkę Glińskiego, jeszcze raz obrócił ją w palcach, choć tyle razy na nią patrzył, że chcąc nie chcąc, numeru komórki nauczył się na pamięć.

Trzy sygnały, postanowił. Nie odbierze, sam będzie sobie winien.

- Gliński, słucham - usłyszał zmęczony głos już po pierwszym pipnięciu telefonu.

- Komisarz Jacek Lesik. Przyjeżdżaj, musimy pogadać.

- Proszę pana, nie przypominam sobie, żebyśmy...

- Żebyśmy razem gąski pasali? A przypominasz sobie majora Gozgawę albo pułkownika Gawińskiego? Bo oni ciebie doskonale pamiętają.

- Czego pan chce?

Lesik wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Słuszne pytanie.

- Jeszcze nie wiem, ale za chwilę to ty będziesz czegoś ode mnie chciał. Jest tak: mam tu na biurku zeznania pewnej dziewczyny, według której nieźle się z nią

zabawiałeś.

- Rozłączam się! - zapowiedział ojciec doktor.

- A tylko, kurwa, spróbuj! - wrzasnął do słuchawki komisarz. - Bo do tego nieoficjalnie mam na ekranie zdjęcia pewnego wścibskiego dziennikarza, który pojechał za wami do wąwozu. I jeszcze coś ci powiem: też tam byłem. Jesteś czysty. Ogromnie żałuję, szlag mnie trafia, ale jesteś czysty i taka jest prawda. Jesteś tam?

- Jestem - powiedział Gliński zmienionym głosem. - Co mam robić?

- Na początek przestań udawać. Naprawdę mnie nie pamiętasz?

- Pamiętam... Jacek - wycedził ojciec doktor. - Dlaczego to dla mnie robisz?

- Jeszcze nie wiem - powtórzył policjant - ale nie daruję sobie, jeśli nie wymyślę jakiegoś rozsądnego powodu. Bierz beem-wicę i jedź, spotkamy się w wąwozie, dobrze wiesz, w którym. Jak będziesz dojeżdżał, zadzwoń. Cześć. - Lesik rzucił komórkę na siedzenie pasażera i ruszył z piskiem opon.

Między Bochoćnicą a Kazimierzem Dolnym, godz. 13.40 Gliński skręcił do wąwozu.

Tylne koła zabuksowały w koleinach, wyrzucając w górę tuman zeschłych liści.

Czarne vento stało dokładnie w tym miejscu, w którym przedwczoraj rozmawiał z Agnieszką. Policjant czekał oparty o maskę. Ojciec doktor znał te sztuczki: grę dowodami, niemal poetyckie nadawanie im symboliki, tak by w umyśle

rozpracowywanego stały się niemal znakami od Boga. Szkoła majora Gozgawy, dająca sporo pola do popisu bardziej twórczym funkcjonariuszom, a prawdziwa męka dla mniej lotnych. Zresztą stosowana wąsko: sprawdzała się w wydziale IV i VI, ale poza klerem i wsią dobra tylko jako ogłupiacz.

Ojciec doktor zatrzymał wóz dwa metry od venta. Całą drogę bezskutecznie próbował zgadnąć, w którym pionie pracował Lesik, teraz przynajmniej wiedział, z jakim typem człowieka ma do czynienia.

- Dzień dobry - powiedział, wysiadając z samochodu.

- Cześć, Kleryk. - Lesik podał mu rękę. - Kopę lat. Być może dla niego. Gliński nieraz sobie wyobrażał, co

w związku z weryfikacją musieli przeżywać jego byli koledzy z SB, których zdradzał i dla których zdradzał. Zazdrościł im tej chwili, gdy znów usiedli naprzeciw dawnych

przesłuchiwanych i rozpracowywanych. Skorzystali z tego lub nie, ale przynajmniej mieli szansę poprosić o przebaczenie, a potem rozpuścili swoje poczucie winy w rutynie podobnej pracy, tylko pod inną firmą. On, gdy wbrew poleceniom przełożonego spróbował rozliczyć się z przeszłością, trafił na Agnieszkę Nowak...

- Dziękuję, że zależy ci na... - Ściskając dłoń komisarza, przez chwilę szukał odpowiedniego słowa, jakby rozmawiał w obcym języku. - ...Na prawdzie po prostu. Tam w klasztorze...

- No, zaparłeś się mnie, święty Marku. - Lesik zarechotał. Widzę, że nieźle ci się powodzi. Piękna bryka! - Podszedł do bmw i niemal pieszczotliwie pogładził maskę. Bryka! Gliński już nie wątpił, w jaką stronę będzie zmierzać ta rozmowa. W pewnych okolicznościach prawda może mieć wymierną i bardzo konkretną cenę. Teraz tylko było ważne, aby to nie on wymienił ją pierwszy.

- Tam w klasztorze mówiłem prawdę. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią ojca Lemusa.

- A co mnie teraz obchodzi ojciec Lemus? - Komisarz wzruszył ramionami. - Jestem po służbie. A swoją drogą franciszkanie jakoś cię nie lubią. Ten ich gwardian chętnie by ci przyszył i Lemusa, i gradobicie, i kradzież relikwii, jakby mógł. Jesteś jakimś inspektorem nadzoru, kontrolerem czyżak to się u was nazywa?

- Coś w tym rodzaju. Ale jak widzisz, to nie ojciec Jordan próbuje mnie w coś wrobić.

- Widzę. - Lesik wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki kopertę z fotolabu. Wyjął jedno zdjęcie, pokazał Glińskiemu i uśmiechnął się nieznacznie. - Panienska oskarża cię, że kazałeś jej zdjąć majtki i przeleciałeś sztucznym penisem, takim jak Palikot pokazywał w telewizji. Kanał, powiedzą nie tylko „zbocheniec”, ale i „impotent”. Kiedyś facet po czterdziestce miał z górki, nie musiał się starać, żeby była ładna, wystarczyło, że dwa razy młodsza. Ilu wykładowców dzięki temu trzymaliśmy w bezpieczeństwie za jaja! A teraz molestowanie, mobbing, człowiek się boi własnego cienia. No powiedz, ona chce cię skubnąć na kasę czy zrobiłeś jej jakieś świństwo? Ojciec doktor policzył w myśli do dziesięciu i z powrotem.

- Co jest na tych zdjęciach? - zapytał spokojnie.

- Dowód, że nie jesteś wielbłądem.

- Tyje zrobiłeś?

- Niejeden pismak. Ale czy to ważne? Kim jest dla ciebie ta dziewczyna?

- Moją studentką, od niecałych dwóch tygodni. Pomogłem jej, kiedy została napadnięta...

236

237

- Taaa, to by się zgadzało - mruknął Lesik.

- ...a potem wyszło, że to córka drukarza z opozycji, którego wystawiłem w osiemdziesiątym siódmym.

Nie musiał tego mówić, ale esbecka przeszłość to było jedyne, co łączyło go z tym człowiekiem. A Gliński potrzebował teraz być jego bliźnim, tak bardzo jak tylko się da. Podziałało, komisarz spojrzął na niego przychylniej.

- Mogę obejrzyć? - spytał dominikanin.

- A ja mogę? - Policjant wskazał samochód.

Wsiadli razem, ojciec doktor od strony pasażera, Lesik za kierownicę. Z westchnieniem oparł kark na zagłówek i zaczął bawić się radiem.

Jest już ciemno, ale wszystko jedno. Pytam siebie... Do wygrania płyta... Get up, get up, get up, get up everybody, let's get to the disco... -skakał po kanałach, podczas gdy Gliński przeglądał fotografie. Było tu niemal wszystko, aż do momentu gdy wsiadli do samochodu i odjechali. - Powinniśmy odejść z Iraku w porządku, w ramach planu politycznego... Wiele się mówi o księżach agentach, mówi się oczywiście na zamówienie wiadomych sił politycznych, spadkobierców NKWD i bezpieczeństwa...

- O, to jest dobre! - Komisarz pogłodził Radio Maryja. Gliński spojrzął na niego zdziwiony. Nie, to nie nie należało

do planu, policjant nieudolnie maskował zaskoczenie, choć to, co mówił w toruńskiej rozgłośni profesor Weder, było wodą na jego młyn. Kolejny znak, że cały świat sprzysiągł się przeciw rozpracowywanemu.

Ale na początku rozmowy powiedział pan profesor, że agentura wciąż działa w Kościele - przypomniał jękliwym tonem prowadzący. Słuchanie go było dla

Glińskiego dodatkową torturą. Niemal widział gębę typowego parafialnego klechy z przylepionym do niej wyrazem uduchowienia, śpiewającego „Panie, zmiłuj się nad nami” głosem tak anielskim, jakby go właśnie ubecja sadzała na odwróconym stołku.

Ojciec redaktorze - zaczął profesor, dla odmiany mówił twardo i z pewnością siebie stalinowskiego prokuratora - Kościół jest otwarty, a więc narażony na ciosy, zwłaszcza w plecy. Naiwnością byłoby sądzić, że skoro byli funkcjonariusze komunistycznego reżimu weszli do wojska, policji, sądownictwa, polityki, mediów, biznesu, nauki, to wolny jest od nich Kościół. Ci ludzie tworzą część laikatu, ale niektórzy po 1989 roku zostali duchownymi.

W tym miejscu może oddajmy na chwilę głos naszemu drugiemu gościowi, działaczowi opozycyjnemu, członkowi Solidarności 80, Ryszardowi Janczarskiemu - wtrącił się prowadzący. - Pan w latach osiemdziesiątych prowadził podziemną drukarnię i został wydany SB przez przyjaciela...

Gliński sięgnął do radia i podkreślił dźwięk. Przecież ojciec Jakub osobiście ukreślił łeb tej sprawie! Chimera?

Nie, ojciec redaktorze - Gliński usłyszał głos Gutenberga - nie przez przyjaciela, ale przez agenta bezpieczeństwa, który go udawał. Tydzień temu spotkałem go znowu. Na korytarzu KUL-u, tym razem jako dominikanina.

Oczywiście nie możemy wymienić na antenie jego nazwiska - zaznaczył Weder. - Jeszcze nie możemy. Mogę jednak powiedzieć, że to agent ulokowany w kręgu episkopatu, w jednej z nowo powołanych komisji, która jak na ironię powstała w imię uzdrowienia Kościoła w duchu prawdy. Pan Janczarski był zastraszany, odbierał głuche telefony, ale po długiej rozmowie zdecydowaliśmy, że nie można o tym milczeć. W sytuacji, gdy wiadome siły fabrykują fałszywe dowody i oskarżają o współpracę z komunistycznymi służbami bezpieczeństwa księży o pięknej, heroicznej karcie, jak arcybiskup Wielgus, ulokowana w hierarchii kościelnej agentura ma za zadanie zdyskredytować...

Ojciec doktor wyłączył radio.

- Robisz się coraz bardziej sławny, Kleryk. - Lesik sięgnął po papierosa. -

Przejdziemy do mojego wozu? Bo u ciebie pewnie zakaz palenia.

Droga wojewódzka Bochońnica-Lublin, godz. 14.30 A więc wystawiła cię politycznie. Widzisz, podobno jest IV RP, a jak za komuny wszystko polityczne. - Lesik zignorował kolejne ograniczenie prędkości.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się równie wygrany. W takich chwilach był nawet gotów uwierzyć w boską sprawiedliwość. Bóg nie walił gromami gdzie popadło, ale precyzyjnie, choć z opóźnieniem. Stąd nie tylko komisarz miał przesrane; jak się bliżej przyjrzeć, to wszyscy mieli, Gliński też. I wyłącznie jeden człowiek mógł mu w tej chwili pomóc; on, Lesik wszechmogący!

Kiedy patrzył na tego faceta w koloratce, który cierpliwie wysłuchiwał jego gadania, stopniowo przechodziła mu złość. Gliński nie wyglądał już wcale na właściciela wypasionej be-emwicy, tylko na takie samo nieszkodliwe popychadło, jakim był w WUSW na Narutowicza. Znów był Klerykiem, gostkiem, z którego można się było pośmiać przy piwie między rozmową o ostatnim meczu a wyrwaniem jakiejś dupy! Agent wywiadu watykańskiego? Jeśli takich tam brali na etat, to współczuć papieżowi.

- Nie jest jak za komuny. Rozumiem cię, ale przesadzasz - odezwał się wreszcie dominikanin.

Sięgając po papierosa, komisarz przyjrzał się Glińskiemu. Różną głupa? Nie, zresztą jaki miałby w tym interes?

- Kurwa, na jakim ty świecie żyjesz! - pokręcił głową Lesik. Nawet nie chciało mu się gadać o podsłuchach, przeciekach ani ministrach, którzy odchodzili, zanim zdążyli napierdzieć w fotel. Ani o komendantach głównych, tylko w tym roku zmienianych dwa razy. Pierwszy przytomnie sam podał się do dymisji, drugiego zgarnęło ABW. - Ty masz pojęcie, co się dzieje w firmie? Nawet przed weryfikacją w 1990 nikt tak nie srał w gacie.

- Bo to była kpina, nie weryfikacja - mruknął Gliński. Już po chwili pożałował, że się w ogóle odezwał.

- I kto to mówi? - wzruszył ramionami komisarz. - Święty Marku, módl się za nami, tak?! Jesteś taki sam pierdolony esbek jak ja, albo i gorszy. I co? Mnie nie stać na taką beemwicę ani nawet na taką komórkę. Teraz możesz powiedzieć. Nie bój się, nie nagrywam. Jak to zrobiłeś, że tak wszedłeś na falę? Poradz jak bezpieczniak bezpieczniakowi, Kleryk! Bo ja, jak widzisz, z szamba w drugie gówno.

-Ja, jak widzisz, też - zaśmiał się wisielczo ojciec doktor, jednak zaraz spowaźniał. - Słuchaj, dziękuję ci, że mnie ostrzegłeś, ale jeśli masz żal, nie musisz mi pomagać. I tak doceniam, co zrobiłeś. I zrewanżuję się... jak bliźni bliźniemu.

- Może bliźniak bliźniakowi? - Lesik zarechotał.- Daj spokój! Wiem, że się zrewanżujesz. Raczej nie masz innej opcji.

Już od rana próbował wymyślić, czego zażądać w zamian. Forsy? To byłoby niezłe, ale za proste, jednorazowe. Kanonicznego unieważnienia małżeństwa z pierwszą żoną? Nie miał żadnej wierzącej kandydatki na czwartą. Zrobić wtykę z kata-basa? Niezłe, tyle że jemu, jako kryminalnemu, to po nic. Kiedy tak próbował sam siebie rozpracować, dochodził do wniosku, że powoduje nim wyłącznie nawyk bezpieczniaka, żeby kontrolować sytuację, cokolwiek by się działo. Puścił kierownicę i zaczął grzebać po kieszeniach.

- Jacek, co ty robisz?! - Gliński chwycił kółko, widząc, że wóz zjeżdża z pasa.

- Dzwonię.

240

241

- Daj! Gdzie się u ciebie włącza głośnomówiący? Lesik odepchnął jego dłoń i wybrał numer.

- Legalista z ciebie - mruknął. - Maziarz, jest pan jeszcze? -zapytał do słuchawki. - Potrzebny mi adres pani Nowak... Tak, tej od innej czynności ciałem obcym... Nie, nie mogę przyjechać do firmy, bo prowadzę dochodzenie w terenie... Nie mam czym pisać, ale zapamiętam... Dzięki, udaję się, cześć.

Redakcja „Kuriera Lubelskiego”, godz. 15.15 Od kilku godzin Stawek wisiał na telefonie, a lista zadań od naczelnej wciąż miała więcej punktów do zrealizowania niż odfajkowanych. Powinien ją pieprznąć do kosza, ale sytuacja i bez tego była dość

napięta. Jedno musiał Monice przyznać, zarządzanie czasem opanowała do perfekcji. Po zebraniu miał nadzieję załatwić wszystko do czternastej, góra piętnastej i za jąć się prawdziwą robotą. Teraz już widział, że nie ma szans wyrobić się przed osiemnastą.

Skończył kroić swój tekst o schronisku dla psów, kiedy po raz kolejny zadzwoniła komórka. Tym razem był to sekretarz redakcji i.

- No co jest? - burknął Stawek. - Nie chce ci się dupy ruszyć, że dzwonisz?
- Nie chce. Wyłącz kompa.
- Ukrytą kamerę sobie robisz czy jak?! - Dziennikarz wybuchnął śmiechem.
- Wyłącz, mamy wirusa w sieci. Przyjdzie informatyk i ci zajrzy.
- W dupę niech mi zajrzy! - Stawek nie wytrzymał. - Taki z niego informatyk, jak i ze mnie.

- No to rób, co chcesz. Ja ci powiedziałem. Dziennikarz wykreślił jeszcze jeden akapit - teraz liczba

znaków zgadzała się dokładnie. Ledwie zdążył zasejwować, antywirus rzeczywiście zaczął wyć. Stawek skreślił z listy Moniki punkt o psach, potem uruchomił gruntowne skanowanie dysków.

- Anka, mamy wirusa w sieci. - Odwrócił się do stażystki. - Wyłącz kompa. Wygląda na to, że na Kośminek pojedziemy z notesami. Słyszałaś o takiej oldschoolowej metodzie pracy dziennikarskiej?

- No! - Uśmiechnęła się. - Coś o tym było u Tyrmanda.

Lublin, Czechów, godz. 15.20

Szepecząc cicho pod nosem, Gliński przeszukał skrytkę w ven-ciaku Lesika, ale nie znalazł tam nic oprócz starego atlasu samochodowego, pary rękawic i papierosów. Zajrzał też pod fotele: szmata i skrobaczka do szyb. Żadnych dyktafonów, no bo o ukryty mikrofon komisarza nie posądzał. Fakt, zabawka łatwo dostępna, jednak to nie ten typ człowieka, jako esbek zatrzymał się dwadzieścia lat temu.

- ...I dziękuję Ci, Panie, za Jacka - powiedział nieco głośniejszym głosem ojciec doktor - bo choć o tym nie wie, jest dobrym człowiekiem i narzędziem Twojej sprawiedliwości. Amen.

Komisarz zostawił mu kluczyki do wozu i kazał czekać na telefon. Sam od piętnastu

minut był u Agnieszki. Wzrok Glińskiego powoli przesunął się po piętrach wieżowca. Dominikanin przypominał sobie te klitki z gipsowymi ścianami, w których słycać niemal każdy ruch sąsiada. Też kiedyś w takiej mieszkał. Tylko pięter było cztery, nie dziesięć, i zieleni pod oknami więcej...

Sięgnął do teczki i wyjął różaniec, ten polski, z ugniecionego chleba. Przesunął palce po koralikach, potem zebrał je w dłoń i wsunął swoją pokutę do bocznej kieszeni marynarki.

Lesik zadzwonił chwilę później.

242

243

Mieszkanie Agnieszki Nowak, godz. 15.30

Siedzieli naprzeciwko siebie jak agent ubezpieczeniowy i klientka: Gliński z teczką na kolanach, ona wyraźnie zdeorientowana, jakby nie nadażała za szczegółami oferty. Tyle że to nie ojciec doktor ją przedstawiał, ale spacerujący po pokoju Lesik.

- Kiedy pani Nowak zobaczyła zdjęcia, przyznała, że złożyła fałszywe zeznania.

Jedyny kłopot jest taki, że wycofanie wniosku o ściganie sprawcy jest prawnie niemożliwe, choć wykonalne. No i my dwaj musimy mieć zabezpieczenie. Pani oświadczy na piśmie, że...

- To nie będzie konieczne - przerwał mu dominikanin.

Policjant zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju między telewizorem a biurkiem, na którym świecił wygaszaczem ekranu otwarty laptop.

- To nie będzie konieczne - powtórzył Gliński. - Pani nie zrobiła tego sama. Ktoś panią nakłonił. Mam rację?

Kiwnęła głową i sięgnęła po papierosa. Milczeli, czekając, aż zapali.

- Andrzej Bęciał, mój szef regionalny z Brony.

- W jakim celu?

Zdusiła papierosa w popielniczce, choć nawet nie zdążyła się dobrze zaciągnąć.

- Chciał mieć po prostu haka na ojca. Przepraszam pana - Agnieszka spojrzała na komisarza niemal błagalnie - chciałabym zostać sama z ojcem doktorem.

- Co? - Policjant wyduł wargi.

- W porządku, Jacek - odwrócił głowę Gliński. - Poczekaj w samochodzie, zaraz dołączę.

- Okej - zgodził się komisarz, ale w przedpokoju coś mu się jeszcze przypomniało. Zupełnie jakby sprawił to widok jego własnej gęby w prostokątnym lustrze na ścianie. - Odbitki dla pani - rzucił, nie odwracając głowy. - Na pamiątkę. Gliński odprowadził go wzrokiem.

- Proszę mówić, pani Agnieszko - zachęcił.

-Ja miałam za to... - Sięgnęła po kolejnego papierosa. - Miałam dostać stanowisko w partii, a po wyborach... Co będę ojca przepraszać, to bez sensu! Kiedy mam zabrać papiery z uczelni?

- Papiery? Z uczelni? - Dominikanin uśmiechnął się nieznacznie. - Czy ja jestem dziekanem? Jeśli o mnie chodzi, to wyznała pani winy. Co mam powiedzieć? Chyba tylko „idź i nie grzesz więcej”.

-Jest coś jeszcze, ojcie doktorze. - Zaciągnęła się. - Dzwoniłam do Bęciała tego dnia, kiedy zginął ten zakonnik z Kazimierza. Około osiemnastej. Nie odbierał.

Gliński spodziewał się przeprosin, płaczu, zapewnień. Plastra na sumienie.

Dziewczyna kompletnie go zaskoczyła. Może znowu grała? Zmarszczył brwi i przyjrzał jej się badawczo, podczas gdy jego umysł testował kolejną kombinację: z posłem Bęcia-łem w roli jego konkurenta do pamiętnika ojca Gałuszkiewicza.

- Myśli pani, że miał z tym coś wspólnego?

- Ma w komórce wbity jego numer - powiedziała z przekonaniem Agnieszka. - Lemus to przecież rzadkie nazwisko.

- Dobrze, dziękuję. - Ojciec doktor wyciągnął rękę, jakby chciał pogładzić dziewczynę po głowie, ale zawahał się i włożył dłoń do kieszeni. - Jako pokutę weź ten różaniec.

Spojrzała zdziwiona na to, co wyjął z kieszeni marynarki. Zapomniany papieros kopcił w popielniczce. Ten różaniec... zupełnie nie pasował do ojca doktora z tym jego aż wkurzającym wymuskaniem i drogimi gadżetami. Na pewno był ręcznej roboty, ale jakiś taki... wsiowy. Jak różne szpargały po babci, które tak ją pociągały, kiedy była mała i matka nie pozwalała ruszać, a potem, gdy w końcu pozwoliła, to

Agnieszka wręcz brzydziła się ich dotykać. Czuć je było starością i brudem.

- Co to jest? - Cofnęła się na krzesło.

244

245

- Wyrzut sumienia. - Spojrzał jej prosto w oczy, aż odwróciła głowę. - Tyle że już nie mój.

- To należało do... - przełknęła ślinę - mojego ojca?

- Nie, do jakiegoś więźnia czy internowanego, którego nawet nie znam. - Nie mogąc już wytrzymać smrodu, zgasił papierosa Agnieszki. - Skonfiskowany podczas kipsiszu w celi.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie. Wkręcał ją w coś, na pewno. No bo mimo wszystko, chociaż wtopiła, nie da się wziąć na poczucie winy.

- Chce mi ojciec coś udowodnić?! - Potrząsnęła głową. - Że wyście Bóg, honor, ojczyzna i tak dalej? Nie, mnie takie rzeczy nie biorą! - Poderwała się z krzesła.

- Spokojnie, pani Agnieszko. - Gliński z uśmiechem oparł jej ręce na ramionach.

Usiadła. - Mnie już też nie, w każdym razie nie tak jak wtedy. Ten różaniec zrobił z chleba jakiś pełen dobrych chęci idiota, któremu się wydawało, że od tego upadnie komuna. A trafił do mnie tylko dlatego, że pewien esbek uznał, że to będzie zabawne.

I powiem pani, to naprawdę było zabawne! Jeśli coś różni panią od ojca, to chyba właśnie to, że cokolwiek by o nim myśleć, jednak o coś mu chodziło. Dlatego za pokutę od czasu do czasu wyciągnie pani ten różaniec i sobie popatrzy. Nie musi się pani modlić, jeśli nie ma ochoty.

- Wyrzucę go, gdy tylko ojciec stąd wyjdzie - zapowiedziała zdecydowanie.

Nachylił się i ponownie zajrzał jej w oczy. Miał zmęczoną twarz, nie był tak świeży i wymuskany jak podczas zajęć na uniwersytecie, ale wciąż pachniał dobrą wodą kolońską. Przyłapała się na tym, że znów widzi w nim przede wszystkim przystojnego, dobrze ustawionego faceta, nie duchownego. Stanowczo za głośno przełknęła ślinę.

- Nie wyrzuci pani. - Głos miał łagodny, mimo to stanowczy. - Założymy się?

Lublin, rondo Honorowych Krwiodawców, godz. 16.10 Dałeś jej różaniec? - Lesik

wrzucił kierunkowskaz i wcisnął pól wozu na lewy pas. Gliński widział w lusterku, że młoda dziewczyna w śmiesznym małym smarcie za nimi bezgłośnie układa usta w kolejne wyzwiska. Komisarz, nie zwracając na nią uwagi, wyrównał samochód na pasie. - Różaniec. Jakie to słodkie! I wierzysz, że poskutkuje. Hokus-pokus?

- Poskutkuje. Wcześniej nie myślałem tak o tym, ale chyba ją oszukałem.

Lesik spojrział na niego jak na wariata, jednak nic nie powiedział. Ojciec doktor też nie chciał nic tłumaczyć, zwłaszcza że nie do końca było to zgodne z nauką Kościoła dotyczącą kultu przedmiotów, raczej z cyniczną teologią intencji. Złych intencji. Nie miał wątpliwości, że anonimowemu twórcy różańca nie chodziło o modlitwę, ale o własną pychę. Ten człowiek pewnie czuł się jak pierwszy chrześcijanin prowadzony esbeckim lwom na pożarcie. Klawisz, który znalazł ten nieszczęsny różaniec podczas kipiszu, nawet się nie domyślał, że rekwirując go, doprowadza internowanego niemal do ekstazy. Trzymał w ręku przedmiot wykonany nie z miłości, ale z pogardy - zresztą z podobną intencją trafił w końcu do Glińskiego. Nigdy wcześniej w ten sposób o tym nie myślał, ale ulga, jaką czuł od dziesięciu minut, odkąd pozbył się różańca, zaczęła go przerażać.

- Chcesz teraz zamienić się rolami? - zaśmiał się komisarz.

- Ja mam być złym gliną?

- No, pozwalam ci nawet na groźby karalne. Dominikanin uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie jakiś dowcip. Chwilę patrzył zamyślony na drogę.

-Nie, Bęcia!jest posłem. Jeszcze - dodał z naciskiem. -Potem... Potem sam zobaczysz.

- Dobra, twoja sprawa - wzruszył ramionami Lesik. - Ale co do tej dziwki, lepiej na nią uważać.

246

247

- „Po odebraniu przysięgi i po akcie wyrzeczenia się herezji należy uwolnić od ekskomuniki tych, którzy w nią popadli, odmawiając przy tym psalm pokutny Miserere mei, Deus lub Deus misereatur nostri, uderzając przy tym różgą tych, którzy mają dostąpić uwolnienia od ekskomuniki, oraz wzywając ich do pokuty”.

- Co to, kurwa, jest?! - prychnął Lesik. - Kodeks karny prawa kanonicznego?
- Practica Inquisitionis Haereticae Pravitatis Bernarda Gui, inkwizytora Tuluzy -
odparł spokojnie Gliński. - Słuchaj, ty dobrze znasz Kazimierz. Jest tam jakiś cichy
pensjonat?

Lublin, dzielnica Kośminek, godz. 16.30

Zdewastowana kamienica przy Wspólnej nie zmieniła się od poprzedniego dnia,
kiedy pisała o niej w „Kurierze” AMA, czyli stażystka Anka Małek. Ceglany mur, tu i
ówdzie połatany szarymi pustakami, wciąż groził zawaleniem, wciąż podpierało go
drewniane rusztowanie, na pierwszym piętrze wciąż straszło obnażone zbrojenie
balkonu, a przechodnie omijali to wszystko szerokim łukiem.

- I gdzie jest, kurwa, ten właściciel?! - Stawek oparł but na żelaznej klamrze,
kotwiczącej w ziemi jeden z bali rusztowania. - Anka, o co tu chodzi?

- Mówiłam ci, napisałam, że właściciel jest za granicą, a że mi to ucięli w składzie, to
nie moja wina. Monika o tym wie.

- No to po cholere kazala nam tu jechać? - Podszedł do pijaczka, który od dłuższej
chwili przyglądał im się z sąsiedniej bramy. - Dzień dobry, pan tu mieszka? Jesteśmy
z „Kuriera”.

- Mnie to wali. - Facet wzruszył ramionami. - O, ta ładna pani -wskazał Ankę - była
tująz wczoraj, narobiła szumu i co? Przyszła jakaś komisja? Jak chodziłem srać na
podwórko, tak chodzę.

- Gdzie znajdę właściciela?

- Mówiłem wczoraj tej ładnej pani jak komu mądrymu: w Izraelu.

- Jak to w Izraelu? - zdziwił się dziennikarz. - Przecież dzwonił do nas...

- Panie, jak gówno pan możesz, to pisz pan o dupie Maryni. -Menel charknął mu pod
nogi. - I koniec gadki, bo we łbie mi jebie.

- Mnie też zaczyna - mruknął Stawek, wsiadając na motor. -Anka, wracamy!

Po chwili skręcił w Pawią i otworzył szerzej przepustnicę. Aprilla warknęła groźniej i
wyprzedziła dostawczego busa. Stawek, nie zwracając uwagi na przestraszoną
dziewczynę, która przywarła do jego pleców, przyspieszył. Cały dzień stracił na
bzdury. Najpierw łapał po mieście byłą przewodniczącą Kruk, choć i tak było

wiadome, że zanim coś powie, będzie czekać na zarzuty posłów Platformy. Potem musiał szukać w dyrekcji lasów kogoś od odszkodowań, bo wczorajszą notkę Stawka o karambolu w Janowie z udziałem dzików naczelna uznała za niewystarczającą. O tym, że prędzej coś ustali regionalny korespondent z Chełma, nawet nie chciała słyszeć. Od rana wykonywał głupiego robotę i negocjował z Moniką zmiany w liście zadań, tymczasem sprawa Glińskiego leżała.

Kiedy wreszcie zajęli pod redakcję i Anka zdjęła kask, była cała zielona na twarzy, normalnie gotowa się porzygać.

- Zwariowałeś?! - jęknęła. - Mogłeś nas zabić.

- Trzeba było mówić. - Wzruszył ramionami i pognął na górę. Miał nadzieję, że laptop zdążył się odwirusować.

Został czarny ekran, nie świeciła się też żadna kontrolka, nawet ta od ładowania. Stawek spojrzał pod biurko. No tak, ktoś wyłączył listwę. Postukał palcem w touchpada, potem kilka razy uderzył w klawisz spacji, ale komputer wciąż był martwy.

248

249

Dziennikarz kopnął listwę - czerwony przełącznik zaświecił wampirycznie, jednak laptopowi to w niczym nie pomogło. Zdechł, całkiem zdechł!

- Anka! - krzyknął, odchylając się w stronę drzwi. Dziewczyna już była w korytarzu, ale czemu szła tak wolno?! - Anka, no zobacz, co się dzieje! Kto mi to, kurwa, ruszał?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć?! - wrzasnęła. Była tak wściekła, że nawet nie czuła łez płynących jej po twarzy. - Przecież bujaliśmy się razem na Kośminku.

- No tak... - mruknął Stawek. - A ty się dobrze czujesz?

- Zajebicie, po prostu zajebicie! - Walnęła pięścią we framugę. - Jak na babę w ciąży cholernie zajebicie!

- W ciąży? - Dziennikarz niepewnie wstał. - Nic nie mówiłaś.

- A po co się miałam chwalić? - Wzruszyła ramionami. - Żebyś się pytał z kim? A może żeby mnie Monika wypieprzyła ze stażu?

- Nie, no sorry, Aniu...

- Sorry, Batory! - prychnęła mu w twarz. - A pocałujcie mnie w dupę!

Najpierw ona trzasnęła drzwiami. Potem Stawek trzasnął w klawiaturę. I zamarł przerażony! Mniejsza o to, że odskoczył już wcześniej nadłamani klawisz J - laptop niespodziewanie ożył. Jednak po to tylko, by po kilku mignięciach pokazać niebieski ekran śmierci, a problem has been detected and windows has been shut down... oxc0000005, 0x81c908a2, 0x9c9f3a68, 0x9c9f3764... error, error, error...

ROZDZIAŁ XI

Środa, 10 października 2007 roku Kazimierz Dolny, ulica Puławska, godz. 6.50

Lesik wolno przejechał wzdłuż otoczonego biało-czerwoną taśmą parkingu. W gęstej mgłę nie był w stanie przyjrzeć się twarzom rozstawionych w szpaler policjantów, ale jeśli wszystkich wzięto z puławskiej prewencji, to wołał nie myśleć o stanie patroli w mieście. Przy zjeździe mignął światłami i posterunkowy w patrolowej bejsbolówce uniósł taśmę. Tego akurat widział pierwszy raz.

- Komisarz Lesik, dochodzeniówka. - Komisarz opuścił szybę i wystawił za okno legitymację. - Szukam aspiranta Kowalika.

-Jajestem z Opola, panie komisarzu. Może pan spyta szefa. Tam. - Policjant wskazał radiowóz stojący za drzewami, bliżej domu zakonnego.

Wolno podjechał do niebieskiego volkswagena. Grzesiek już tam był. Siedział w przednim przedziale na miejscu pasażera i pisał coś w notesie. Naprzeciw furtki dopalało się ze trzydzieści zniczy, a na gałęziach krzaków rosnących przed wejściem wisały karteczki. Lesik wysiadł i z ciekawości zerwał dwie. „Teraz nadeszła dla was godzina powstania ze snu”, przeczytał pierwszą. „Nie czyńcie gwałtu, krew niewinną rozlewając”, wypisano na drugiej.

251

Kowalik podniósł głowę i pomachał do Lesika.

- Cholerna mgła - powiedział, podchodząc.

- No, przyjedzie rzecznik i jak będzie wyglądał w telewizji taki niewyraźny? -

Komisarz podał mu rękę. - Słuchaj, jest jedna sprawa, ale trzeba to będzie zrobić dyskretnie...

Plan był prosty, dlatego musiał się udać. Kiedy poprzedniego dnia Gliński wyłożył go komisarzowi podczas obiadu w „Murce”, ten tylko uśmiechnął się z uznaniem - stanowczo] nie doceniał Kleryka.

-Jeszcze dwie wódki - skinął na kelnera, po czym nachylił się nad stolikiem. - Po prostu mam go przywieźć i zostawić cię z nim na piętnaście minut?

-Jeśli byłbyś tak uprzejmy, Jacek. - Ojciec doktor skończył jeść i napił się wody. - I tak będziecie musieli go zatrzymać.] Ojciec Romanyczko będzie agresywny, może nawet niebezpieczny.

- A jak nie będzie? Jak nie da nam powodu?

Gliński nie odpowiedział, bo właśnie podszedł kelner z dwiema pięćdziesiątkami wódki i sięgnął po talerz dominikanina. Lesik zauważył, że drobne kości perliczki utworzyły niewielki kur-hanik, plama sosu nie była rozciapana po całej powierzchni, a sztucce zdawały się ułożone no po prostu rytualnie. W dwadzieścia po czwartej.

-Ja też już skończyłem. - Odsunął swój talerz, który wyglądał jak pole niedawnej bitwy człowieka z przyrodą. - Twoje zdrowie, Marek. Więc co, jeśli nie da nam powodu?

Ojciec doktor sięgnął do teczki. Wyjął pióro i notatnik, zaczął pisać.

- Powiesz mu to - wyrwał kartkę - i sam zobaczysz, co się stanie. Mogę na ciebie liczyć?

Godz. 8.55

Komornik nie był zbyt fotogeniczny, nie miał nawet wrednej miny jak Lucjan Bohme z filmu Falka. W skórzanej kurtce i mokasynach przypominał wytwórcę trumien albo innego lokalnego przedsiębiorcę. Jednak Stawek uchwycił go ze ślusarzem, który z przydługimi siwymi włosami, w artystycznym berecie i kraciastej kurtce z grubej flaneli tworzył z komornikiem świetny kontrast. Potem obfotografował wóz pancerny - ten miał staranować bramę, jeżeli ślusarz by sobie nie poradził.

Odszedł kilka kroków po nadrzecznym wale i wyjął spod polaru telefon. Numer Lesika był w ostatnich wybieranych połączeniach.

- Dzień dobry, Tomasz Stawek. Panie komisarzu, nagrywam się już trzeci raz. Szlag mi trafił wszystkie zdjęcia, musi mi pan zrobić kopię z tych, które wysłałem. To naprawdę ważne, proszę o telefon.

-Jakie zdjęcia, Tomek? - usłyszał nagle.

Aż się wzdrygnął. Tuż za nim stała Bozia. Wyraźnie zła, ściągnęła usta i odgarnęła z twarzy swoje czarne włosy. Jak mógł nie zauważyć, że przyjechała? W krótkim jasnym płaszczu i butach na obcasie wyróżniała się wśród reszty dziennikarzy w polarach i pikowanych kurtkach.

- Ale mnie przestraszyłaś! Czego się tak skradasz?

- Bo mnie kołujesz. Była umowa, a ty i przedwczoraj, i wczoraj omijałeś mnie jak zarzę. Bez jaj, trafiłeś na coś i tak ci podpasowało, że mnie olałeś.

- Ładnie wyglądasz, mogłabyś pogodę zapowiadać.

- Mgła, ciśnienie rośnie, a za chwilę będzie gradobicie, Stawek - syknęła. - Szlag ci trafił zdjęcia? Kara boska. A co na nich było?

- Nic, co by podchodziło pod nasz dii, Boziu. Nie wierzysz, to ci pokażę, jak je odzyskam.

252

253

Tak, pokaże, bez wątpienia, chyba gołą dupę zza krzaka! Wcale nie zamierzał jej kołować, ale gdyby powiedział prawdę, wyszedłby na idiotę. Obiecał sobie, że odtąd dopóki nie zrobi kopii na płycie, nie będzie niczego kasował z aparatu, choćby miał co drugi dzień kupować kolejną kartę SD.

A poza tym co, miał powiedzieć, że własna naczelna zrobiła mu z kompa jesień średniowiecza? Sam by taki tekst wyśmiał, czysta paranoja! Ale co innego miał myśleć? Gdyby naprawdę Monice chodziło o zdjęcia, nie odpuściłaby, póki nie zamknęłaby ich w pancерnej szafie. Przecież tylko zapuściła haczyk z przynętą, żeby się dowiedzieć, gdzie są. Potem wymyśliła ten pieprzony plan, aby nie miał kiedy zająć się Glińskim, wreszcie, by wyszedł z redakcji, zostawiając komputer. Logiczne, zbyt logiczne, żeby Bozia mu uwierzyła.

- Kręcisz, Tomek.

-Ja? Nigdy w życiu. Jak Bozię Kocham! - Zamierzał zaśmiać się cwaniacko, wyszło jednak żałośnie.

No i pozostawał jeszcze Lesik. Wczoraj to on musiał prosić, dziś mógł stawiać warunki. Nie odbierał telefonu. Chciał zmiękczyć dziennikarza? A może już było po ptokach? „Jakie zdjęcia? Pojechało pana, redaktorze?”

Komornik kiwnął na swojego aplikanta i Stawek znów podniósł aparat. Niezła scena: japiszon w gajerku przystawia drabinę do bramy, podczas gdy dwaj dużo gorzej ubrani faceci patrzą na niego z wyższością. Ślusarz podniósł torbę z narzędziami i dostojnie wszedł na pierwszy stopień. Dziennikarz sądził, że przelezie na drugą stronę, ale nie, puścił przed sobą policjanta. Po chwili przez otwartą bramę przeszło kilkudziesięciu mundurowych z tarczami. W gęstej mgle wyglądało to po prostu cudnie i Stawek pstrykał fotę za fotą.

- A co to za komisarz, któremu się nagrywałeś? - przypomniała o sobie Bozia.

Godz. 10.30

Lesik narzucił na kurtkę odblaskową policyjną kamizelkę i wszedł do budynku. Klatka schodowa była wąska i ciemna, dokładnie taka, jak ją opisał Gliński, „idziesz w górę, z ciemnej doliny do nieba, przez ucho igielne - powiedział. - Nie musisz wierzyć, aby to odczuć”. Komisarz wziął go za fantastę, schi-zującego po dwóch kieliszkach - bo więcej pić nie chciał - ale teraz rozumiał, o co chodziło Klerykowi. Policjantka w cywilnym ubraniu, którą minął na schodach, też miała dziwną minę. Lesikowi rzuciło się w oczy, że identyfikator z napisem NEGOCJATOR przypięła blisko szyi jak jakiś, kurwa, szkaplerz!

Komisarz przywarł do ściany, żeby zrobić miejsce. Za negocja-torką stopień po stopniu ostrożnie schodziła lekarka pogotowia z małym, chyba kilkumiesięcznym dzieckiem. Kolejna funkcjonariuszka i pielęgniarzka trzymały pod ramiona wyraźnie skołowaną dwudziestoparoletnią dziewczynę w powyciera-nym polarze i z tłustymi włosami. Kiedy minęły Lesika, wbiegł szybko na samą górę.

Ucho igielne, przypomniał sobie.

W łukowatym wejściu do kaplicy na poddaszu tłoczyło się kilka młodych policjantek w mundurach. Komisarz rozejrzał się, czy nie ma gdzieś tu dowodzącego operacją

podinspektora Nowińskiego, i podszedł do dziewczyn.

- Przepraszam.

Rozstąpiły się pospiesznie, chyba nawet z ulgą. Rozumiał je, bo coś wisiało w powietrzu. Podczas odprawy przygotowano wszystkich na najgorsze warianty, tymczasem panował irytujący spokój. No i jeszcze jedno - komendant wojewódzki, choć nie wyraził tego wprost, oczekiwał wzorowej operacji, która złotymi zgłoskami i tak dalej. Czego jednak konkretnie się spodziewać, nie miał pojęcia, stąd ten wóz pancerny, a nawet policyjni saperzy, którzy przyjechali tuż przed

254

255

dziewiątą. Tymczasem według Lesika należało raczej sprowadzić psychiatrów. Przyglądał się zdziwiony tej pustej, jakby niedawno wykończonej kaplicy. Zamiast obrazów na ścianach widział napisy ; flamastrem, wszystkie o Jezusie i miłości, za to zero Matki Boskiej. Kiedyś na jej punkcie wszyscy mieli paranoję, pamiętał to dobrze z czasów, gdy w esbecji rozpracowywali księży. A może, cholera, rzeczywiście coś się w Kościele zmieniło przez te dwadzieścia lat?

Betanki siedziały w kręgu na podłodze, ignorując policjantów. Trzymały się za ręce, tylko jedna nie połączyła łańcucha, by móc rytmicznie uderzać tamburynem o udo.

A-a-a-alleluja! On jest światłem,

Prawdą, życiem, Jezus Panem jest!

Prosta pieśń, powtarzana w kółko i w kółko, drażniła Lesika coraz bardziej. Zrobił jeszcze kilka kroków wzdłuż ściany. Na stopniu prowizorycznego ołtarza, oddzielony kręgiem zakonnic od intruzów, z dłonią na monstrancji, stał niewysoki mężczyzna w brązowym habicie.

- Błędzicie, szatany! - wysyczał.

- I co ja mam z tym zrobić? - spytał cicho ktoś za plecami komisarza.

Policjant odwrócił się i zobaczył komornika. Też bezradnie przyglądał się kręgowi zakonnic.

- Spróbujemy wyjmować je pojedynczo - powiedziała cicho negocjatorka. Jej chwila zwątpienia minęła, wróciła na górę i ubrała twarz w wyraz akceptującego spokoju.

Kolejna moda - na psychologię, jak uznał Lesik. On by się z tym nie pieprzył.

Oparty o ścianę w kącie niedaleko wejścia, starał się nie rzucać w oczy ani Romanyczce, ani innym policjantom. W ogóle nie powinien wchodzić do środka, ale liczył na to, że poza dowodzącym nikt o tym nie wie.

Tymczasem zaczęły się czary. Negocjatorki podeszły do zakonnicy i pytały, zagadywały, nie przejmując się ich odwracaniem wzroku i upartym śpiewem. Krąg zaczął pękać. Najpierw zupełnie bez powodu - przynajmniej dla Lesika - wyłamała się młoda siostra w lekko przekrzywionym welonie, jakby nasuniętym na jedno ucho. - Siostrzo Karolino! - Inna złapała ją za rękaw, ale zakonnica wyrwała się i niemal wybiegła z kaplicy. Kiedy mijala komisarza, dostrzegł jej duże, brązowe oczy i wyraz ulgi na twarzy.

- Nie bójcie się, nadejdzie wiosna Kościoła! - dobiegło spod okna. - Wyjdzie z Betanii, bo to ona jest główną podporą Kościoła! Ufajcie Jezusowi!

Pół godziny później

Krąg betanek już nie chronił swego kapłana. Choć siostry starannie unikały kontaktu wzrokowego, a na pytania policjantek odpowiadały wyuczonymi tekstami, negocjatorki sprawnie wyłowiły najsłabsze ogniwa. Z pozoru wszystkie zakonnice były równie radosne, z równą siłą śpiewały i krzyczały: „Diabły! Szatany!”, ale człowiek jest słaby, grzeszny i wątpiący... Kiedyś Lesik sam tym grał, więc wiedział, do kogo w następnej kolejności powinna podejść któraś z policyjnych psycholożek. I tak się działo.

Romanyczko podniósł monstrancję i ruszył z nią w stronę funkcjonariuszek.

Komisarz widział, że patrząc im w oczy niczym seryjny morderca z amerykańskiego filmu, pospiesznym szeptem rzuca klątwy i stara się zewrzeć krąg na nowo.

256

257

Lesik odkleił się od ściany i podszedł do franciszkanina. Ten ukrył twarz za monstrancją.

- Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio; contra nequ-itam et insidias diaboli esto praesidium... - zaczął, ale policjant zniemacka chwycił go pod ramię.

- Trzy są sposoby przedniejsze, które szatani ludzi niewinnych i nieostrożnych podchodzą, z których ustawicznie bezbożność i odstępstwo czarownicze mnoży się. Jakież jest ten trzeci, franciszkaninie? - wyszeptał Romanycze do ucha.

Zakonnik mocniej zacisnął dłoń na monstrancji, uniósł ją wyżej, jakby chciał uderzyć komisarza. Nie, wzdrygnął się i cofnął. Gliński miał rację, te słowa, cokolwiek oznaczały, podziałały na gościa jak jakieś cholerne zaklęcie. A może po prostu nie śmiał profanować monstrancji, zwłaszcza przy tylu świadkach.

- Ty jesteś z tych, co żyją w przepychu i za nic mają Kościół - jęknął. - To wy zatruwacie dusze. Przebudźcie się!

- Tak mówią świadkowie Jehowy. - Lesik jedną ręką chwycił monstrancję, drugą zacisnął na nadgarstku Romanyczki. Kurwa, dwadzieścia lat temu już dawno by go skuł i wrzucił do suki, a teraz musi czekać na pretekst! - Spokojnie, proszę ze mną. Ojciec Gliński czeka.

Może nie powinien był tego mówić, w końcu nie tak to ustalili z Klerykiem. Ale podziałało - Romanyczko wyrwał się, pozostawiając monstrancję w ręku Lesika. Dostoczył do ołtarza i oparty o niego potoczył wzrokiem po kaplicy.

- Ojczy niebieski, kochamy cię! - krzyknęła któraś zakonnica. Do kaplicy wchodzili kolejni policjanci. Te siostry, których dotąd nie wyprowadziły negocjatorki, znów zbiły się w krąg i wzięły za ręce. Pan kiedyś stanął nad brzegiem...

- Dwóch do mnie! - zawołał Lesik. Co prawda był po cywilu i nie miał wyrysowanych na czole oficerskich gwiazdek, ale pod pewnymi względami służby mundurowe nie ewoluują. Kiedy ktoś rozkazuje, to pierwsza myśl jest taka, że pewnie ma prawo.

Nie pomylił się. Wprawdzie przyskoczył tylko jeden młody chłopak w czarnym mundurze, ale odpowiednio zbudowany.

- Bierzemy go. Proszę ojca o spokój. Zejdziemy razem na dół... ojczy niebieski...

- Nie!!! - Romanyczko skoczył na Lesika z pięściami, a gdy ten unieruchomił mu rękę, zaczął kopać. I o to chodziło!

- Stawia opór. Kuj go i do samochodu - polecił komisarz. Szczęk kajdanek zabrzmiał

mu w uszach znajomo i bezpiecznie.

Dziś wypłyniemy już razem... - śpiewały siostry.

Posterunek policji, ulica Nadrzeczna, godz. 11.50 Masz góra piętnaście minut - przypomniał Lesik.

Gliński kiwnął głową i pchnął drzwi. Niewielki pokój kierownika posterunku z trudem mieścił dwa biurka, a klaustrofobiczny wygląd pogłębiały regały z zakurzonymi segregatorami. Policjant, który pilnował zakonnika, na widok wchodzącego kiwnął głową i opuścił gabinet bez słowa.

- Szczęść Boże, ojciec niebieski - mruknął dominikanin.

Romanyczko zmierzył go niechętnym spojrzeniem, jego oczy były zgaszone, jakby całą swoją moc wypędzania demonów wyczerpał w kaplicy.

Gliński w zamyśleniu przejechał palcami po biurku i z wahaniem usiadł na miejscu przesłuchującego. Na sekundę zapomniał o Officium i jego zbuntowanym agencie, powróciły stare sprawy, inne myśli - bo gdy oparł łokcie na porysowanym blacie mebla z nabazgranym flamastrem numerem ewidencji środków trwałych, poczuł się bardzo na swoim miejscu.

258

259

- Nie mam wiele czasu, więc niech ojciec słucha uważnie. Upoważniono mnie do przekazania ojcu surowego napomnienia w imieniu Kongregacji. To, co będzie dalej, zależy od tego, jak ojciec na nie zareaguje.

- A jak ty chciałbyś, żeby zareagował? - spytał ochryple franciszkanin.

Gliński wytrzymał spojrzenie jego ciemnych oczu - tak spokojne, że wręcz prowokujące.

- Czytuje ojciec „Wprost”? - zapytał i sięgnął do teczki. Położył na blacie biurka numer tygodnika z wielkim tytułem

Betanki w sekcje księdza na okładce i modelką w prowokująco wystylizowanym habicie. Pogardliwa mina Romanyczki stężała, gdy dominikanin wyjął zwykłą papierową teczkę z wytłoczonymi kluczami św. Piotra i napisem Congregatio pro Doctrina Fidei.

- Nawet jeśli ojciec nie czytuje, ten artykuł powinien znać. I to nie dlatego, że został jego bohaterem, ale dlatego, że dostarczono go ojcu pocztą tytułem ostrzeżenia. Czy mam pokazać kopię pokwitowania?

- Chcę wiedzieć, kto ojca przysłał - zażądał franciszkanin.

- A ja nazywam pana ojcem tylko dlatego, że chcę być miły - odparował Gliński. - Wcale jednak nie muszę. Przypomina sobie pan Gogolin, swoje miejsce zesłania? Sławna miejscowość, w końcu tam poszła Karolinka. I całkiem przyjemna, o ile nie ma się większych ambicji, prawda? A przypomina sobie ojciec niezapowiedzianą wizytę pewnego duchownego, który dał panu ostatnią szansę wyplątania się z konfliktu ze swoimi przełożonymi? Nie ma czasu, więc tak lub nie! - Głos Glińskiego brzmiał twardo i zdecydowanie.

- Przypominam sobie Gogolin i tamtego dominikanina - kiwnął głową Romanyczko.

- Polecono mi jednak zachować tę rozmowę w sekrecie.

- Dałby Bóg, aby zawsze pan tak dotrzymywał obietnic. - Gliński założył okulary i sięgnął po teczkę z herbem Kongregacji. - No dobrze, ojciec Kazimierzu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych za zgodą swego zgromadzenia przyjeżdża ojciec do Lublina i zaczyna studia doktoranckie. I tu mamy ciekawy epizod! Zakonnik poznaje starszą od siebie zakonnice... Bez podtekstów! Na razie łączy ich jedynie grzech pychy: ona chciałaby przemienić swoje służebne powołanie we wzniosłą kontemplację, a on coraz boleśniej odczuwa głupotę swoich przełożonych. Co to za interes być bożym prostaczkiem, skoro człowiek się czuje niemal Doktorem Kościoła, prawda? I co za sens zmywać gary u głupiego proboszcza, jeśli się jest oblubienicą Chrystusa, świętą Katarzyną ze Sieny, albo i lepiej! Zaczynają się wspólne ekstatyczne modlitwy, widzenie światła i obcowanie w Duchu Świętym. I wtedy właśnie czuje ojciec - Gliński pochylił się nieznacznie ku franciszkaninowi - co to znaczy mieć władzę. Dziesiątki kobiet zapatrzone w niego jak w obraz, spijające z ust każde słowo. Proszę być spokojnym - dominikanin znów oparł się wygodnie - wbrew temu, co piszą w gazetach, nie uważam ojca za rozpustnika, jedynie za grzesznika uzależnionego od władzy. Czy mam rację, ojciec niebieski?

- Ja też czytałem ten artykuł, jeśli o to ojcu chodzi. - Romanyczko poprawił się na

krześle.

- Przełożeni ojca zareagowali prawidłowo, zabraniając ojcu wszelkich kontaktów z kobietami poza konfesjonalem. Zresztą i podczas tej posługi był ojciec dyskretnie obserwowany. Jest ojciec inteligentnym człowiekiem, więc musiał podejrzewać, że niektóre z penitentek miały za zadanie badać ojca reakcje. Okropne miejsce taki Gogolin, człowiek zgrzeszy na przedmieściu, a już na rynku wszyscy wiedzą. Wtedy pojawia się wysłannik z propozycją nie do odrzucenia... „Trzy są sposoby przedniejsze, którymi szatani ludzi niewinnych i nieostrożnych

260

261

podchodzą, z których ustawicznie bezbożność i odstępstwo czarownicze mnoży się". Czy przypomniałeś sobie, jakież jest trzeci sposób, ojczy Kazimierzu?

- Przez frasunek, który na mężczyznę przypada z pragnienia próżnej chwały - odparł z rezygnacją franciszkanin. - Rozdział pierwszy... - zawiesił głos.

- ...Młota na czarownice w przekładzie Stanisława Żabkowica -dokończył Gliński. -

Widzi ojciec, cóż to za niebezpieczna księga? Hasło miało być także dla ojca przestroga, tymczasem stało się pokusą. Chyba nie muszę już odpowiadać, kto mnie przysłał. - Dominikanin spojrział na zegarek. „Masz góra piętnaście minut".

Zmarnował tylko cztery. - Officium chce wiedzieć, dlaczego odstąpił ojciec od swojej misji. Zapytał ojciec, jak ja chciałbym, aby ojciec zareagował. Otóż osobiście życzyłbym sobie, aby się ojciec pograżył jeszcze bardziej. - Romanyczko lekko drgnął. - Akt sprawiedliwości i odstraszący przykład dla niegodnych sług Kościoła. Zostałem jednak upoważniony, by dać ojcu ostatnią szansę. Zatem jak na spowiedzi - Gliński uśmiechnął się ironicznie - kiedy, dlaczego, czy maczał w tym palce tylko szatan, czy może któraś z jego służebnic? - Ojciec doktor wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki komórkę. Nastawił funkcję dyktafonu i przesunął aparat w stronę Roma-nyczki. - Masz dziesięć minut. Wyznaj grzechy.

Ulica Nadrzeczna, godz. 12.10

Wycisnąłeś, co chciałeś? - Lesik zaciągnął się papierosem i rozparł wygodniej za kierownicą.

Gliński chciał opuścić szybę, ale ktoś mógłby ich podsłuchać. Dzień, mimo że wciąż chłodny, zrobił się słoneczny, w sam raz na leniwy wypad do Kazimierza. Nieliczni w środku tygodnia turyści, snujący się między sklepikami na Rynku, być może na-

262
wet nie wiedzieli o betankach, operacji policyjnej i o wypadku sprzed kilku dni.

- Niestety nie miał nic wspólnego ze śmiercią ojca Lemusa -powiedział dominikanin, krzywiąc się, gdy smużka dymu zawisła przed jego twarzą. - To wbrew pozorom płotka. I gnida.

- Tak mówi gość od nadstawiania drugiego policzka? -uśmiechnął się Lesik.

- Policzek mogę nadstawić, ale wiem swoje. - Gliński przewinął początek przesłuchania Romanyczki i ustawił komórkę na tryb głośnomówiący.

Dlaczego raporty ojca urwały się przed rokiem? - Komisarz rozpoznał głos ojca doktora.

Na miłość Boską, wszystko już powiedziałem! - jęknął franciszkanin. - Dlaczego mnie ojciec męczy? Urwały się, kiedy matkaJadwicka zobaczyła ziejące ogniem smoki, a Chrystus wezwał ją, boje zwalczyła. Ja chciałem się nią zająć. Po prostu zająć, rozumie ojciec?!

Zajmował się jednak ojciec nie tylko siostrą Jadwicką...

Tak, zgrzeszyłem. - Romanyczko urwał na dłuższą chwilę. -Niech ojciec zrozumie, te dziewczyny... One nie potrafiłyby żyć w tym świecie za bramą, nawet jako zakonnice posługujące w parafiach albo przy chorych. One same otrzymały za mało miłości ija...

I ty dawałeś im miłość! - przerwał mu ostro dominikanin. -Byłeś... no dobrze, jeszcze jesteś kapłanem, więc nie zmuszaj mnie do tych trywialnych pytań: z którą, gdzie i ile razy!

To nie tak! Nigdy żadnej nie tknąłem... - Spowiadający się, a raczej przesłuchiwany przelknął ślinę. - Dobrze, niech mnie ojciec nie łapie za słowa! Z żadną nie miałem stosunku. Nie wszystko potrafiłem przekazać słowem, modlitwą, to przekazywałem ciałem...

- Że co?! - wykrzyknął zaskoczony Lesik. - Tak ci się sam podłożył?

- A co miał zrobić? - Ojciec doktor wcisnął pauzę i wzruszył ramionami. - To jednak nie tak, jak myślisz. On jest przeko-

263

nany, że spłynęła na niego szczególna łaska Ducha Świętego. To pokrętne i niezgodne z fundamentalną nauką Kościoła, ale naprawdę wierzy, że widzi kolory duchowej aury, stąd „ojciec niebieski”, że może leczyć dotykiem...

- Taki Harris albo inny Kaszpirowski? - zaśmiał się komisarz. - Co zrobicie z tym czubem?

- Mamy swoje sposoby - wykręcił się Gliński. - Chcesz słuchać dalej?

- Dawaj!

...I nie każdej! Tylko gdy miałem poczucie, że wątpię, że oddalają się ode mnie.

Ojciec musi zrozumieć, że gdyby nie ja, ten świat by je zmarnował.

Wróćmy do siostry Jadwickiej. Ile razy podawał jej ojciec narkotyk?

Nie wiem, prawie codziennie. - Franciszkanin głośno przełknął ślinę. - Ajak inaczej miałem sprawić, aby te dziewczyny wciąż czuły się wybrane? Zresztą wy sami...

Dość! - Gliński walnął w stół. Wcześniej Lesikowi nie wyglądał na takiego ostrego. Chcę tylko wytłumaczyć...

Więc proszę tłumaczyć swoje postępowanie, nie zasłaniać się innymi - uciął ojciec doktor. Co ze mną będzie?! - krzyknął Romanyczko. Nie podjęto jeszcze ostatecznej decyzji. Wszystko powiedziałem! I twoja skrucza nie zostanie zapomniana...

- Zaraz, zaraz! - nie wytrzymał komisarz. - On u tych zakonnic znalazł się za waszą wiedzą? Może na dodatek sami go tam przysłaliście?

- Nie mogę ci powiedzieć, przepraszam. I nie mogę ci więcej puścić. - Gliński zatrzymał odtwarzanie.

- Czekaj, tam są rzeczy, których nie mogę tak zostawić. - Lesik złapał ojca doktora za ramię. - Pieprzyć molestowanie, ale posiadanie narkotyków, wielokrotne doprowadzanie do stanu niepoczytalności... On się sam przyznał.

- Nie tobie, ty nic nie wiesz. - Gliński pokręcił głową i schował komórkę. - Ale dostaniesz swoje, Jacek, tak jak ci obiecałem. - Sięgnął do teczki. - Tu masz nazwiska

nowicjuszek zza wschodniej granicy, które w opinii tamtejszych księży nawet nie były katoliczkami. Jakkolwiek Pismo Święte notuje przypadki cudownych nawróceń, to my zachowamy sceptycyzm, prawda? Miałem to puścić prosto do ABW, wolę jednak dać tobie. Oczywiście w razie gdybym coś wiedział o śmierci Le-musa, to też możesz na mnie liczyć. Zresztą, mam nadzieję, zostaniemy w kontakcie. No to co? - Wyciągnął rękę. - Dziękuję i z Panem Bogiem.

- Czekaj, Marek - Lesik przytrzymał dłoń Glińskiego. - Tak na koniec, kim ty tak naprawdę jesteś?

- Zakonnikiem, kapłanem, historykiem...

- Proszę cię, nie pierdol! - Komisarz skrzywił się z niesmakiem. - Nie mnie.

Przyznaję, na początku cię nie doceniłem, ale teraz wiem: jesteś wciąż taki sam esbek, tylko zmieniłeś firmę.

Dominikanin spodziewał się, że te słowa prędzej czy później muszą paść, mimo to spojrzał na niego z wyrzutem. Ledwie kilka dni temu mówił przełożonemu, że wolałby jechać na parafię do Londynu, chociaż kto wie, czy i tam nie przyszyłoby mu tłumaczyć rzeczy oczywistych jak aksjomat, świat jest mały. Ojciec Jakub niewątpliwie potrafiłby w tej chwili spojrzeć na komisarza tak, że w jego oczach odbiłyby się dwa tysiące lat tradycji i tysiąc lat doświadczenia tajnych służb papieżstwa. Może odbiłyby się także obraz Palazzo del SanfUffizio - o całe wieki starszego niż Pałac Mostowskich, starszego nawet niż Łubianka. Jean Raspail, ledwie by w nie spojrzał, zaraz napisałby kolejną część Pierścienia rybaka.

264

265

- Nie taki sam, Jacek. - Gliński jeszcze raz uścisnął mu dłoń, tym razem mocniej. - Ja wierzę w to, co robię.

- No to gratuluję - uśmiechnął się krzywo Lesik. - Tylko ja wolę nagrodę na tym świecie, a komendant przypilnuje, żeby w ABW nie zapomnieli, kto im podsunął te ruskie pod nos...

Ulica Puławska, godz. 12.30

Po mgle nie było już śladu. Słońce świeciło doskonale, a rzecznik Sokołowski w

czarnym mundurze na tle wozu strażackiego aż się prosił o sfotografowanie. Co prawda pierwsze dopadły go dziennikarki z „Wyborczej”, jednak Stawek i Bozia także przeszli nad nisko wiszącą taśmą.

- Mężczyzna ten, przebywający wewnątrz zabudowań klasztornych - mówił policjant - zachowywał się bardzo agresywnie, bardzo wulgarnie i wobec komornika, i osób przybranych przez komornika, i wobec funkcjonariuszy policji, dlatego też zaistniała potrzeba założenia mu na ręce kajdanek. Został wyprowadzony z budynku klasztornego i przewieziony... w tej chwili jest przewożony - poprawił się rzecznik - do jednostki policji do dyspozycji prokuratora. To prokurator będzie decydować, czy i co dalej w tej sytuacji zrobić.

- Był w habicie? - zapytała któraś z dziennikarek.

- Trudno mi powiedzieć, czy wychodząc, był jeszcze w ubraniu liturgicznym- stropił się nieco policjant. - Na samym początku, kiedy komornik wszedł do tego pomieszczenia, był w brązowej, długiej szacie.

Stawek opuścił aparat i odwrócił się, słysząc tupot butów Bozi. Ta pierwsza straciła zainteresowanie najbardziej medialnym inspektorem, jakiego miała komenda główna, i ruszyła za młodym, wysokim mężczyzną w okularach.

- Proszę księdza!

Odwrócił się i dopiero teraz Stawek zobaczył koloratkę pod jego szyją. Właśnie otworzył drzwi pasażera w kawowym bmw i delikatnie postawił na siedzeniu czarną skórzaną torbę.

- Ksiądz jest przedstawicielem księdza arcybiskupa? - Bozia podetknęła mu dyktafon. Duchowny, widząc podnoszącego aparat Stawka, poprawił lamskie okulary.

- Nie, Komisji Ducha i Prawdy.

- Czy franciszkanin Kazimierz Romanyczko zostanie ekskomunikowany za odprawianie mszy w domu zakonnym zbuntowanych betanek?

- Nie Komisja o tym zdecyduje, ale raczej nie ma powodu. Tabernakulum w kaplicy było puste, nie zawierało Najświętszego Sakramentu.

- A co ksiądz ma w torbie? - wyrwał się Stawek. Duchowny z rozmachem zamknął drzwi samochodu. Bozia

zmierzyła dziennikarza ostrym wzrokiem i wściekle zacisnęła usta. Kiedy jednak odwróciła się do księdza, znów była przyjaźnie uśmiechnięta.

- Czy na miejscu znajduje się również ojciec Gliński?

Tę zaimprovizowaną konferencję prasową przerwał im na-pakowany facet w przymałej marynarce, na którą narzucił policyjną kamizelkę.

- Co państwo tu robią? Proszę się cofnąć.

- „Wyborcza” też wyszła za taśmę! - pokazał mu Stawek.

- Dziękuję za współpracę. - Policjant uśmiechnął się półgębkiem. - I „Wyborczą” cofnę, bez obawy.

Ulica Nadrzeczna, godz. 12.30

Gliński nie od razu udał się do klasztoru. Zrobił sobie krótki spacer pod Kuncewiczówkę, potem na Mały Rynek. Myślał

266

267

głównie o tym, czego nie powiedział Lesikowi. Może powinien? Tak po ludzku, w końcu gdyby nie dawny kolega, miałby teraz na głowie prokuraturę i dziennikarzy. Tym razem wpływy ojca Jakuba mogłyby nie wystarczyć.

Dominikanin minął postój dorożek i przystanął. Przełożył na drugie ramię ciężką torbę turystyczną, w której coś nieprzyjemnie zazgrzytało. Przez chwilę miał wrażenie, że nie jest sam, ale rozejrzawszy się, nikogo nie zauważył. Wąską ulicą Podgórną doszedł do klasztoru. Przystępując próg kościoła, przypomniał sobie to, co zaledwie tydzień wcześniej powiedział tej namolnej, nawiedzanej studentce: „Świat naprawdę nie jest aż tak tajemniczy, a w każdym razie nie w tym aspekcie”.

I nie był. Romanyczki nie skaptował żaden obcy wywiad ani agentury rodzimych partii politycznych. Stało się dokładnie to, co przewidział Gliński i o czym wiele wieków wcześniej pobożni ojcowie inkwizytorzy z Zakonu Kaznodziejskiego, Ja-cob Sprenger i Heinrich Kramer, napisali w swoim Młocie na czarownice: owładnięty pychą specjalny wysłannik Officium zapomniał o swoich powinnościach. Zapewne umieszczone w domu zakonnym agentki zaniepokoił jego przyjazd, ponad wszelką wątpliwość wiedziały, że podaje narkotyki przełożonej i podgrzewa konflikt z

władzami kościelnymi. Jednak „jam jest tej siły cząstką drobną, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro”... Pycha zbuntowanego kapłana zamknęła je w klasztorze niczym kordon sanitarny.

O tak, Goethe i Mefisto mieli rację!, uśmiechnął się w duchu Gliński.

- ...Od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać... -szeptał dominikanin. -
...Nie wódź nas na pokuszenie...

Właśnie, pokusa... Człowieka, który nadużył swej funkcji kapłańskiej, widząc w niej władzę, nie służbę, Officium świadomie wystawiło na próbę. Kazało zanurzyć się w grzech jak kiedyś

ojciec Jakub Glińskiemu. Mniejsze zło? Heretycki krzyż? Test? Tylko czyj test: boski czy szatański?

- Z głębokości wołam do Ciebie, Panie... - prosił dominikanin słowami psalmisty.

Pamiętał samego siebie w skórze funkcjonariusza bezpieczeństwa; ile razy kusił go droga na skróty?! Czyż w końcu nie wybrał na ofiarę właśnie Gutenberga jedynie dlatego, że wyjątkowo go nie lubił? - ...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Nim jednak ta gorąca prośba zmieniła się w postanowienie, w kieszeni ojca doktora zawibrowała komórka nastawiona na wpół do drugiej. Policyjna operacja powinna już zbliżać się do końca, a chmary dziennikarzy gotowe szukać świeżego żeru. Sam nie wiedział, jak to możliwe, ale odkąd wszedł do kościoła, minęło aż pół godziny. „Trzy są sposoby do czarów przywodzące. Pierwszy jest ckliwość” - pisali ojcowie Jacob i Heinrich.

ROZDZIAŁ XII

Środa, 10 października 2007 roku

Kazimierz Dolny, klasztor Reformatów, godz. 13.35 Kłódka nie stawiała długo oporu, zwłaszcza że nie miała nawet zamka typu yale, ale na zwykły klucz z pustym trzpieniem i piórem. Gliński otworzył ją zagiętym drutem i stanął na wprost wejścia do drewnianej szopy.

Co mogły tu deptać świnię?, pomyślał.

Postawił nogę na wysokim progu i spojrzął w głąb pomieszczenia. Całe podłóżo było klepiskiem ubitym dosłownie na beton. W kącie zakonnicy oparli o ścianę kilka narzędzi ogrodniczych, przez szparę między zamkniętymi okiennicami wpadał i kładł się na ziemi promień słońca, fragment wapiennego muru kontrastował bielą z poczerniałymi deskami. Po dawnym chlewie nie było śladu poza kamiennym poidłem w głębi, zdawałoby się, wrośniętym w podłóżo. A ponieważ w klasztorze od dawna nie było już zwierząt, naczynie wypełniały antonówki.

Gliński wziął jeden owoc i zważył w dłoni, ale nie ugryzł. Jabłko było przykurzone, a pod czarnymi skazami mogły się czaić robaki. Jego wiara w uprawy ekologiczne przegrywała z estetycznymi fobiami, i dawał zarobić holenderskim sadownikom. Położył antonówkę na krawędzi poidła i zbliżył się do muru.

Na wapiennych blokach nie dostrzegł nic prócz pajęczyn: żadnych zdobień, których wciśnięcie mogłoby uruchamiać ukryte dźwignie. Nic, co mogłoby natchnąć Umberta Eco lub kontynuatorów Zbigniewa Nienackiego.

Świnie... Wrócił do kamiennego koryta. To była jedyna rzecz, która zdawała się pasować do szyfru ojca Gałuszkiewicza, ale i za bardzo rzucająca się w oczy. Gliński doskonale wiedział, jak musieli myśleć carscy żandarmi, gestapowcy, którzy podczas okupacji zajęli klasztor i urządzili tu swoją siedzibę, czy enkawudziści, którzy przyszli tu po nich. Może niczego nie szukali, może nie wiedzieli, gdzie i czy w ogóle warto tu czegoś szukać. Jeśli jednak, to na kamienne naczynie zwróciliby uwagę w pierwszej kolejności, już postawiwszy stopę na progu. I w odróżnieniu od dominikanina nie byli sami, mogliby podważyć poidło i zajrzeć pod spód.

Ojciec doktor wrócił do drzwi. Wchodząc, przymknął je, by nie zwróciły niczyjej uwagi, i teraz także wołał nie otwierać. Stał na progu i kolebiąc się lekko na obcasach, jeszcze raz powiódł wzrokiem po wnętrzu szopy. Całe było zasnutę nieprzyjemnym cieniem, rozdieranym przez pojedyncze promienie słońca po to tylko, by światło wychwyciło nieskoordynowane, jakby owadzie ruchy fruujących wszędzie drobinek kurzu.

Świnia to zwierzę ziemi, uosobienie profanum, myślał gorączkowo Gliński. Żarłoczna, chciwa, nieuważna. I płodna... Nie, to nie ma nic do rzeczy. Świnia

domowa albo dzika, dzik... Zwierzę nieczyste, co wchodzi do winnicy... Wchodzi?! Spojrzał pod nogi. Każdy, kto wchodziłby do szopy, musiał albo przestąpić wysoki próg, albo się o niego potknąć. Gliński przykucnął i zaczął pospiesznie obmacywać kamienną podwalinę. Nie myśląc o obrzydzeniu, zagłębił dłoń w pyle i jego palce natrafiły na otwór. Ojciec doktor włożył palec wskazujący, potem środkowy. To nie mogło być pęknięcie, wgłębienie

270

271

umyślnie wykuto w jednej czwartej długości progu. Wyciągnął lewą rękę, szukając podobnego otworu po drugiej stronie. I znalazł, dokładnie na rozstaw ramion mężczyzny pchającego taczkę. Wciąż przykucnięty, zaparł się i szarpnął. Podwalina, jeszcze przed chwilą wrosnięta w fundamenty budynku, uniosła się kilka centymetrów. Ojciec Gliński syknął i cofnął ręce. Otarte palce zapiekły, a kamienny próg opadł, wzbijając tuman kurzu.

Dominikanin zdjął płaszcz i rozejrzał się za jakimś hakiem, na którym mógłby go powiesić. A może położyć na antonówkach? Nie, już wyobrażał sobie te smugi kurzu, wnikające głęboko w wełnę. W końcu znalazł gwóźdź wbity w drewnianą ścianę szopy. Wrócił do swojej torby i wyjął z niej parciane rękawice oraz krótki łom.

Niestety miał tylko jeden, ale w drugą ze szpar włożył przecinak znaleziony w pełnej kurzu skrzyni z narzędziami. Trzymał się nieco luźno, jednak po okręceniu chusteczką pozwalał na jako taki chwyt, byle uważać na nogi.

Teraz próg dał się już łatwo wyjąć i Gliński zaciągnął go pod ścianę. Przeznaczenie ukrytych w otworze dwu stalowych ogniów było oczywiste. Ojciec doktor zaczepił koniec łomu o jedno metalowe kółko i pociągnął. Ubita ziemia tuż obok niego zadrżała, ale nic ponadto. Zaparty nogą o framugę dominikanin czuł, jak jego koszula nasiąka potem.

Puścił i opadł na kolana, ciężko dysząc. Łom był za krótki, a ziemia pokrywała ukrytą w niej klapę na grubość dwudziestu, może trzydziestu centymetrów. Sądząc po wysokości progu, kiedyś mogło jej być jeszcze więcej - i to miało sens, wchodzący nie mógł przecież usłyszeć głuchego echa swoich kroków, pomyślano też pewnie o

ponadpółmetrowych carskich bagnetach, którymi żandarmi mogliby badać grunt, gdyby powzięli jakieś podejrzenia.

Jak otworzył to Lemus? Dominikanin nie miał wątpliwości, że młody zakonnik jakoś poruszył tę klapę. Być może pomógł

mu gwardian... Tak, we dwóch z łatwością daliby sobie radę, ale czy ojciec Adam nie chciałby najpierw zajrzeć sam? Choćby po to, by nie fatygować przełożonego na darmo? Był młodszy, jednak przy Glińskim wyglądał na cherlaka, więc na pewno nie zrobił tego gołymi rękami...

Ojciec doktor wyprostował się, otarł chusteczką twarz. Zadarł głowę, by odpiąć cisnący go guzik koszuli, i zobaczył zwisający z belki stropowej kawałek łańcucha, na którym kiedyś pewnie był mocowany blok, zwykła rzecz w budynkach gospodarczych - a prawdopodobnie służąca też tym, którzy znali tajemnicę ojca Gałuszkiewicza.

Obszedł szopę, sprawdzając, czy nie ma gdzieś liny. Przerzucona przez belkę pozwoliłaby dość łatwo otworzyć klapę. Znow zaczął grzebać w skrzyni w kącie, odnalazł jednak tylko stary łańcuch. I zardzewiały łom, znacznie dłuższy od swojego. Wyciągnął własny zbyt krótki pręt, a tamten przełożył przez oba ogniwa w otworze. Obok nogi położył sobie deskę, aby wepchnąć ją w szczelinę, jeśli zdoła podnieść wieko.

Spróbował znowu i teraz poszło łatwiej. Co prawda czuł pot spływający mu po plecach, ale ziemia, twarda tylko z wierzchu, zaczęła się zsuwać kawałami z drewnianej klapy. Pchnął nogą deskę, omal nie tracąc przy tym równowagi. Kopnął ją mocniej, zdzierając płat skóry z jeszcze godzinę temu nieskazitelnego, pedantycznie wypastowanego buta.

Jednak najgorzej było zacząć. Starał się oddychać miarowo, napinając mięśnie, i z minuty na minutę klapa unosiła się coraz wyżej, wreszcie mógł ją złapać rękami i odepchnąć. Ponownie opadł na kolana, tym razem zapatrzony w ciemną czeluść, w którą schodziły strome kamienne schody.

Zerknął na drzwi szopy. Ktokolwiek by je otworzył i zrobił bodaj pół kroku, zleciałby na głowę, jak świętej pamięci ojciec Lemus, w dodatku z większej wysokości.

Gliński podszedł do

272

273

narzędzi ogrodniczych i wybrał grabie o możliwie grubym trzonku. Umieścił je na żelaznych hakach wbitych na wysokości pasa. Gdy jeszcze zakonnicy trzymali tu krowy, pewnie w podobny sposób zagradzali im wyjście.

Wyjął latarkę, przewiesił przez ramię torbę i zaczął schodzić po schodach. Stopnie, początkowo prowadzące prosto w dół, po kilku metrach zakręciły w prawo, w stronę kościoła, później znów w prawo, ku klasztorowi. Gliński zatrzymał się na chwilę, aby zerknąć na oba telefony. Ten z palmtopem już był poza zasięgiem, stara nokia migła jedną kreską, ale po kolejnych dwóch krokach również ona zamarła. Nie był tym jednak zdziwiony, skoro według ojca Gałuszkiewicza schodził do piekła, gdzie nawet słowa Wulgaty i Mszału Rzymskiego będą przeczyć same sobie. Wzdrygnął się, choć - Boże, odpuść - piekło odwiedzał nie pierwszy raz...

Piątek, 25 listopada 2005 roku Rzym, godz. 11.15

Plac św. Piotra spływał deszczem - ale przynajmniej ojciec Marek Gliński nie musiał słuchać wszystkich tych wielojęzycznych głosów dochodzących z ruin wieży Babel, w szczególności Arki. Chociaż jako duchowny starał się to w sobie zwalczyć, jego uszy ledwie mogły znieść owe akty oazowej pobożności. Dla niego wielkie, poruszające dzieło nie mogło być church top hitem, gładkim kato-polo, na które - ku satysfakcji Glińskiego - utyskiwała „Więź”. Jednak zawsze głęboko poruszające ojca doktora improperium Ludu, mój ludu śpiewało się wyłącznie w Wielkim Poście, poza tym niektórym pobrzmiwało antysemitcko. Jak słusznie zauważył kiedyś ojciec Jakub, gust Glińskiego był znacznie bardziej lefebrystyczny niż posoborowy.

Włosi przemykali się opatuleni w płaszcze, nieliczni turyści chodzili osłonięci parasolami, ale w porozpinanych kurtkach.

- Wiesz, że on jest z tych Ottavianich? - Ojciec Jakub skręcił w lewo ku portykowi.

- Czyli z których? - nie zrozumiał Gliński.

- Z tych od kardynała Ottavianiego, ostatniego sekretarza Świętego Oficjum. Nie tylko ty masz swój własny dług wobec Kościoła.

- Ottaviani i dług? Chyba raczej wendeta z prawdziwymi i wyimaginowanymi wrogami wiary - wzruszył ramionami ojciec doktor.

- Chodź, dość już zmokłem.

Gliński wymienił jeszcze spojrzenia z posągiem św. Jacka Odrowąza, dominikanina i jedyne Polaka wśród tutejszych świętych, po czym osłonięci kolumnadą podeszli do Bramy św. Piotra. Podając dokumenty gwardziście, ojciec doktor spostrzegł zdziwiony, jak bardzo mokra od deszczu czerwona fasada lewego skrzydła gmachu przypominała prezydium czy dyrekcję policji, które widywał w Niemczech - oczywiście te stare, surowe, pamiętające i Kaisera, i Republikę Weimarską, i III Rzeszę, i Adenauera. Wszystkie one, krępe i przysadziste, wydawały się nadzwyczaj pojemnymi budynkami, zdolnymi pomieścić niezliczone tomy akt, gabinety i armię urzędników. Być może właśnie ten, jak na watykańskie standardy brzydki pałac, odgrywał rolę architektonicznej sztancy.

- Chcesz się wycofać? - spytał naraz ojciec Jakub. Gliński kiwnął głową.

- Wiem. - Stary zakonnik ścisnął go za ramię. - Chęć zawsze jest. I myślę, że to nawet nie szatan, to coś znacznie gorszego: słabość, strach, głupota. A ciebie posądzałbym o złamanie wszystkich ślubów: posłuszeństwa, czystości, ubóstwa - zwłaszcza ubóstwa! - ale nie o to jedno.

Ojciec doktor znów potaknął.

274

275

- Pamiętasz - ciągnął przełożony - pamiętasz, kiedy pierwszy raz do mnie przyszedłeś? „Mam powołanie, proszę ojca”, tak powiedziałeś.

- Zapytał ojciec, czy do wojska - przypomniał mu Gliński.

- Naprawdę? Tego nie pamiętam. Za to przypominam sobie dobrze, jak bardzo modliłem się o kogoś takiego jak ty. o ciebie, Marku. Niełatwo jest włożyć habit, a jeszcze trudniej z niego zrezygnować. Dla Kościoła. Ty w imię tej wierności zostałeś esbekiem, ludzie na ciebie pluli, ale Kościół wiedział, co zamierzają jego wrogowie. Wiele wycierpiałeś i wiele zniosłeś, Marku. Byłeś wierny Kościołowi jak nikt.

Do czego on zmierza?, zastanawiał się ojciec doktor. Sam czuł, że ma dług wobec

zakonu. Podwójnym agentem był przecież ledwie kilka lat, praktycznie bez potrzeby. Komunizm sam się wywrócił. Czy misja Glińskiego przyspieszyła to choćby o jeden dzień? Bardzo wątpił. Jednak gdy załamał się w osiemdziesiątym dziewiątym, zakon otoczył go troskliwą opieką. Więc on miałby odwrócić się teraz?

Nie, najgorsza wcale nie byłaby niewdzięczność, ale przyznanie, że całe jego dotychczasowe życie nie miało sensu. Owszem, wielu świętych dochodziło do takich wniosków, tyle że zwykle w chwili duchowej przemiany byli grubo przed trzydziestką.

- Ojciec bardzo dziś dla mnie łaskaw - wymamrotał Gliński.

- Obiecuję poprawę - zaśmiał się tamten. - Od jutra znów będę zrzedliwy, ale dziś pozwól staremu trochę się rozrzewnić. Nawet nie sądziłem, że z bożą pomocą wszystko tak szczęśliwie się ułoży. Domyślasz się chyba, że świętej pamięci Jan Paweł II chciał całkiem zlikwidować tajne komórki i zrobiłby to, gdyby nie kwestia rosyjska i... i nie kardynał Ratzinger, oczywiście. Teraz resztki pojezuickich wywiadów i kontrwywiadów zjadają się nawzajem, odkąd arcybiskup Quintana został nuncjuszem w Indiach i Nepalu. A myśmy się doczekali. Chodź, chodź! Ojciec Francesco Ottaviani, wikariusz generała Zakonu Kaznodziejskiego, przyjął ich w niewielkim gabinecie na ostatnim piętrze, z jednym oknem wychodzącym na dziedziniec. Stosy papierów piętrzyły się na biurku, wsparte o ekran komputera, a sponad nich spojrzwały na wchodzących przekrwione, podpuchnięte oczy niemłodego już zakonnika. Przy jego imponującej posturze i szerokiej, stworzonej do uśmiechu twarzy takie oczy powinny świadczyć o wesoło spędzonym wieczorze. Tymczasem koc złożony na wąskiej sofie i przybory do golenia na półce potwierdzały to, co powiedziano obu dominikanom w kurii generalnej zakonu na Awentynie: od kilku dni wikariusz niezmordowanie pracował i nie wracał do klasztoru nawet na noc.

- Wiem, że niełatwo ci to przyjąć, Marku - przeszedł od razu do rzeczy, nie tracąc czasu na formalne powitania. - Dla nas wszystkich jest to trudne. Nasz umiłowany Ojciec Święty Jan Paweł II miał wizję, być może wizję wyprzedzającą o dziesiątki, jeśli nie setki lat realia, w jakich przyszło nam żyć. Chciał pojednania, a rozdarł Kościół, obkładając ekskomuniką Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X, ojca

arcybiskupa Lefebvre'a i jemu wiernych. Theoria a praxis, ojcie Marku! W imię zbliżenia z Kościołami Wschodu i Zachodu, żydami i mahometanami kozłem ofiarnym stał się kościec naszej tradycji.

Pochylony nad biurkiem wikariusz złożył palce w piramidkę i na moment przykrył nimi twarz. Wyglądało to tak, jakby zamierzał się teatralnie rozpłakać, ale Gliński wiedział, że ojciec Ottaviani ma prawo być nieludzko zmęczony, skoro w kilka miesięcy od rozpoczęcia nowego pontyfikatu stworzył struktury tajnego Officium. W dodatku jeśli od zawsze wyznawał takie poglądy, ojciec doktor jak nikt rozumiał jego krzyż. Sam też ledwie uniósł ciężar udawania kogoś, kim nigdy nie był.

- Dobrze, Marku - podjął wikariusz - powiesz może, że szło o surową tradycję, masonofobiczną i nierozumiejącą współczes-

276

277

nego świata w swoim zapatrzeniu w nauki Ojców i Doktorów Kościoła. Masz rację, ale to jest nasza tradycja, nasz kręgosłup, bez którego bylibyśmy dziś niczym, jakimś New Age'em, gdzie Jesus Christ Superstar udaje Zbawiciela, a kremówki zastępują encykliki. Sancto subito rodak twój, Ioannes Paulus Secundus, on widział drogę, jakkolwiek nie chciał dostrzec kamieni, które my musimy albo ominąć, albo usunąć, inaczej staniemy, Marku. Oto jest misja Benedykta XVI, który wiedząc już, gdzie płynąć ma łódź Piotrowa, chce nas pouczyć, jak ominąć rafy.

Ojciec Jakub milcząco pokiwał głową, choć czy faktycznie pokładał aż taką ufność w nowym papieżu, w to Gliński szczerze wątpił. Nie minął miesiąc, odkąd wierni na placu św. Piotra usłyszeli Habemus Papom, gdy Benedykt XVI publicznie oświadczył, że skończy z „inflacją świętych”, tak charakterystyczną dla pontyfikatu poprzednika. Świat tę wiadomość jednym uchem wpuścił, drugim wypuścił, ale dla każdego, kto rozumiał oszczędną grę słów i gestów Stolicy Apostolskiej, była przecież aż nazbyt oczywista - niczym gruba linia, którą w 1989 roku oddzielił przeszłość premier Mazowiecki. Wiedziony tym skojarzeniem ojciec doktor zdziwił się, że żaden z polskich dziennikarzy nie wpadł na to, by z powodu owego planu antyinflacyjnego nazwać niemieckiego papieża „Balcerowiczem Watykanu”. Czyjego

wzorem w ciągu półtora roku zdoła dziesięciokrotnie zmniejszyć podaż świętych i błogosławionych, tego Gliński nie mógł jeszcze wiedzieć. Niemniej - Boże, odpuść! - „Benedictus musi odejść” brzmiało równie dobrze jak słynne hasło o ministrze finansów. Przynajmniej po polsku.

- Jego wielki poprzednik jak Chrystus przyniósł miecz w dobrej wierze - mówił z koncyliacyjnym bólem ojciec Ottaviani. -Bo nie jest tożsama droga Kościoła w krajach postsowieckich i w Ameryce Łacińskiej z drogą tegoż Kościoła, który dzięki opiece bożej trwa od wieków na ziemiach swych odwiecznych.

Sam przerażony był tym rozdarciem, o czym wiesz, Marku, bo jak możesz nie wiedzieć? My musimy dokończyć dzieła, przywrócić Kościołowi jedność, zewrzeć go nawet kosztem antymodernistycznych ustępstw, za które będą nas potępiać. Ale pora wreszcie, by Kościół na powrót przestał być polskim, niemieckim, argentyńskim czy włoskim, jeden ma być Kościół Święty i Matka Nasza, jeden! Zatem Benedykt XVI przywrócił opokę naszą, Święte Oficjum, choć z racji czasów w formie secretum, które pomoże nam znów roztoczyć opiekę nad chrześcijańskim światem.

Dopomożesz, Marku?

Nawet nie był świadom - bo skąd miał wiedzieć - że takimi samymi słowami w 1956 roku Wiesław Gomułka po raz kolejny oszukał Polaków, aczkolwiek przynajmniej na pozór mówił z pasją i wiarą. Niewiele gorzej niż ojciec Ottaviani.

Gliński przeniósł wzrok na ścianę, gdzie wisiał wizerunek nowego Ojca Świętego, zwieńczony jego herbem. Zastąpienia papieskiej tiary mitrą biskupią prawie nikt w Polsce nie zauważył, ale wśród zachodniej hierarchii musiało to pobudzić apetyty. Zwłaszcza że koronowana głowa Maura i juczny niedźwiedź św. Korbiniana jednoznacznie mówiły o przywiązaniu do rodzinnej Bawarii, a pielgrzymia muszla św. Jakuba też bynajmniej nie wskazywała na Jasną Górę. W takiej konstelacji dewiza Coopera-tores Veñtatis nie pozostawiała wątpliwości, skąd owi „współpracownicy prawdy” winni się wywodzić. Zastanawiające tylko, czy współpracownikami zostali już wcześniej, lecz „z racji czasów w formie secretum”, czy sprawił to wybór prefekta niegdysiejszego Świętego Oficjum na sternika łodzi Piotrowej. On sam, choć obstawiany jako pewny kandydat, wcale się nie palił, by

przewodząc Kościołowi, przynajmniej oficjalnie...

Ojciec Jakub cicho chrząknął.

- Dopomogę. - Gliński kiwnął głową.

278

279

Środa, 10 października 2007 roku

Kazimierz Dolny, klasztor Reformatów, godz. 13.55 Światło latarki, dotąd ślizgające się po ceglach i wapieniu, teraz natrafiło na drzwi z surowych, poczerniałych desek.

Nie miały klamki, tylko żeliwny, skorodowany uchwyt, przybity czterema gwoździami. Jednak ich łebki nie nosiły nawet śladów rdzy.

Pchnął drzwi. Otworzyły się tak cicho, że dominikanin z niedowierzaniem oświetlił zawiasy. Przy trzpieniu były tłuste od smaru, a do wypływającej mazi nie zdążyło przylgnąć wiele kurzu.

Pomieszczenie miało jakieś dziesięć na pięć metrów. Stojąc w drzwiach, tuż przy rogu podziemnej sali, ujrzał wielki stół na środku, a wokół niego regały zastawione tekturowymi teczkami. Najstarsze, wzmocnione na krawędziach kiedyś może kolorową, teraz zupełnie czarną lamówką, musiały mieć ponad sto lat, ale Gliński widział też nowsze teckki z najtańszej, brązowej tektury. Dobrze pamiętał je ze studiów, gdy grzebał w lubelskim Archiwum Państwowym; taką teczkę wystarczyło kilka razy wyjąć i włożyć na miejsce, a powierzchnia robiła się włochata i jakby brudna w dotyku. Nienawidził tego i nie mógł się opędzić od myśli, że podczas gdy on, pozostali studenci oraz pracownicy za dnia szukali w archiwaliach kolejnych punktów do swoich kwerend, w nocy biegały po nich stare, liniejące szczury, zostawiając kłaki sierści i plamy moczu. Odruchowo skierował latarkę w kąt pomieszczenia, ale nic się tam nie poruszyło, tylko kurz tańczył w świetle.

Ojciec doktor wszedł do środka. Regały zastawiały wszystkie ściany, a przy stole umieszczono dostawkę z katalogami. Te musiały być niezbędne, bo teckki miały jedynie sygnatury, na nowszych wykalfigrafowane wprost na tekturze, na starszych na doklejonym pasku papieru. Podszedł do tych ostatnich i wyjął pierwszą, z nic niemówiącym opisem katalogowym III O./II e./1°/9/1826 i z.

Rozwiązał tasiemkę i otworzył teczkę, trafiając akurat na raport spisany pełną zawiąsów, ozdobną cyrylicą, zapewne trudną do odczytania nawet dla dzisiejszego Rosjanina. Przebiegł więc tekst wzrokiem, szukając słów kluczowych. I znalazł: Tadeusz Kościuszko pojawił się trzy razy na jednej stronie.

Zajrzał na początek i ku swojemu zdumieniu znalazł tam sporządzony po polsku, pismem maszynowym, przegląd akt, znacznie bardziej dokładny, niż to robiono za jego czasów w SB:

III O./II e./1^o/9/1826 i z.

w sprawie przedmiotowej „KOŚCIUSZKO”

Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko, h. Skała Łamana, 4. syn Ludwika Tadeusza i Tekli de domo Ratomskiej, 1746-1817; wykształcenie: Kolegium w Lubieszowie, Szkoła Rycerska w Warszawie, gen. brygady /St. Zj. Am. Pn./, gen. lejtnant /Król. Pol./; inżynier fortyfikacji, naczelnik rewolucji 1794

1/ kwestjonariusz osob. T. Kościuszko /j.w./

2/ raport radcy tytularnego N. Sowiesiłowa z 7/18 XI

1766 r. - próba pozyskania jako agenta T. Kościuszki niepowiodła się z uwagi na żądania niemożliwe do spełnienia

3/ raport asesora kolejalnego N. Sowiesiłowa z 18/29 V 1774 r. - kandydatura T. Kościuszko do stanowiska oficerskiego zablokowana, T. Kościuszko oczerniony w oczach hetmana J. Sosnowskiego

280

281

4/ raport asesora kolejalnego N. Sowiesiłowa z 14/25 VIII 1775 r. - pozyskanie T.

Kościuszko jako płatnego agenta /20.000 zł/, polecenia przez P. de Beaumarchais

5/ kopia kwestjonariusza osob. Pierre Augustin de Beaumarchais - 1732-1799, zegarmistrz, pisarz, karany; w tajnej służbie Ludwika XV, od 1775 r. w wydz.

amerykańskim; pozyskany 1776 w sprawie „Zachód” 6/ raport T. Kościuszki z 1 V 1777 r. - agent donosi

o udanym zamachu bombowym w 1776 na statek francuski

1 brak strat własnych siatki; w załączeniu „Nowiny” z 16 IV 1777 /N. Sowiesiłow/
7/ raport T. Kościuszki z 5 X 1777 r. - jako oficer inżynierski...

Nie doczytawszy do końca, Gliński przewrócił kartkę.

15/ raport radcy nadwornego N. Sowiesiłowa z 15/26 IV 1792 r. - utrata agenta T.
Kościuszki: zwerbowany przez Francję

16/ raport P. de Beaumarchais z 26 VIII 1792 r. - o przyznaniu T. Kościuszcze
obywatelstwa francuskiego . . .

Cokolwiek Gliński myślał o tej prowokacji, przygotowano ją solidnie. Pomyślano
nawet o N. Sowiesiłowie, który wraz z rozwojem sprawy najpierw awansował na
kolejne rangi, a gdy powinęła mu się noga, zniknął. Po nim przez kilka miesięcy
Kościuszkę prowadził Pierre de Beaumarchais, a następnie tajny radca
Griebiecznikow. Z akt wynikało, że insurekcję i ślepo wpatrzonych w naczelnika
kosynierów Polska zawdzięczała wyłącznie hojności tajnych służb rewolucyjnej
Francji, która liczyła na eksport szafotów nad Wisłę, by jej własne nad Se-
kwaną nie kłuły tak bardzo w oczy Habsburgów i Romanowów. Zgodnie z tym, co
Gliński wiedział z oficjalnych źródeł historycznych, Kościuszko złożył przysięgę
wiernopoddańczą carowi Pawłowi I, jednak kolejny raport Griebiecznikowa dodawał,
że poprzedziła ją rozmowa z samym imperatorem, w której wyniku były naczelnik
powstania udał się do Francji - znów jako agent rosyjski. Jego zadaniem było
utrudnianie współpracy między generałami legionów a sztabem Napoleona.
Liczący pięćdziesiąt trzy pozycje spis kończyła odręczna notatka sporządzona
kopiowym ołówkiem:

Wykorzystano:

1) w przedm. „Mesjasz” III O./II e./10/23/1840 i k.

2) w osob. „Traugutt” III O./I e./3°/547/1862 i z.

Snop światła latarki Glińskiego omiótł półki. Akta były ułożone w idealnym
porządku według sygnatur, których znaczenia dominikanin już zaczął się domyślać.
„III O.” bez wątpienia oznaczało III oddział carskiej kancelarii, poprzednika Ochrony,
a dokładniej jego warszawską delegaturę. Kolejna seria wskazywała na konkretną
ekspozyturę, czy dokładniej ekspedycję, jak wówczas je nazywano.

Teczka z kryptonimem „Mesjasz”, opracowana identycznie i sądząc po ortografii, również przed siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu laty, zaczynała się od raportów paryskiej siatki Andrzeja Towiańskiego, który pod przykrywką Koła Sprawy Bożej miał inwigilować polską emigrację i posługując się frazeologią chrześcijańską, łagodzić nastroje antyrosyjskie. Na dołączonych odbitkach fotograficznych, zrobionych przez wysłanego razem z nim agenta Michała Szweycera, był i Mickiewicz, i Norwid, i nawet Hoene-Wroński. I oczywiście sam Towiański, który ze swą łusą czaszką oraz drucianymi okula-

282

283

rami na lisich oczach wyglądał jak modelowy funkcjonariusz francuskiej Surete. O ile z posądzeniami tego ostatniego o szpiegostwo na rzecz Rosji Gliński spotkał się już nieraz w literaturze, o tyle nieszczęśliwy poeta był dla niego niespodzianką. A skoro Norwid dostawał złote ruble, dlaczego zmarł w przytułku dla nędzarzy? Dominikanin przewrócił stronę maszynopisu.

Przeгляд akt wskazywał na uśpienie sprawy w połowie wieku, ale po 1860 roku wyraźnie nabrała przyspieszenia - może przejął ją bardziej operatywny oficer. I tu właśnie sprawa przedmiotowa „Mesjasz” płynnie przechodziła w osobową „Traugutt”. W 1860 roku Romuald Ludwikowicz Traugutt po spotkaniu z oficerem kontrwywiadu decyduje się, wykorzystując jako dogodną legendę przeżytą właśnie tragedię rodzinną, symulować załamanie nerwowe i dwa lata później w stopniu podpułkownika oficjalnie odchodzi ze służby w armii rosyjskiej. W tym czasie żeni się z agentką III Oddziału, Antoniną Kościuszkówną, i jako „špioch” czeka na dalsze rozkazy, podczas gdy oficerowie prowadzący pracują nad scenariuszem kolejnego aktu mesja-nistycznej tragedii.

Dalszy ciąg przypominał Glińskiemu i powieści Dumasa, i dużo późniejszy film o Karmazynowym Piracie. Traugutt jako dyktator powstania styczniowego wcale nie doprowadza do jego upadku, przeciwnie: pozornie robi co może w imię przegranej sprawy. Sam, niczym Chrystus wydany przez bliskiego współpracownika, podczas sfingowanych tortur na Pawiaku odmawia zeznań, po czym zostaje powieszony na

stokach Cytadeli, czego świadkiem jest trzydziestotysięczny tłum - rzecz jasna obserwujący egzekucję spoza kordonu, odsuniętego na tyle daleko, że każdy chuderlawy mężczyzna z wąsem może uchodzić za Traugutta. Na dublera do tej sceny agenci III Oddziału wybrali skazanego za rozbój i profanację skruszonego grzesznika Albina

Gryczana - nic więc dziwnego, że nie wykrzyknął do tłumu „Niech żyje Polska!”, tylko pokornie ucałował krucyfiks.

- Święty Boże! - jęknął Gliński.

To było jak Protokoły Mędrców Syjonu - tak nieprawdopodobne, że przywykły do drobnych, banalnych kłamstw człowiek o nieskomplikowanym umyśle odruchowo zacząłby w to wierzyć. A przy tym tak literackie, że z miejsca wzbudziłoby oddźwięk. Bomba, przerażająca bomba, której eksplozji nie sposób zagłuszyć rozsądną argumentacją.

Ostatnim dokumentem w aktach „Mesjasza” było zalecenie pozyskania duchownego katolickiego do rozpoczęcia starań o beatyfikację Romualda Traugutta, męczennika, następnie w razie powodzenia spowodowanie przecieku do prasy polskojęzycznej.

- Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko... -szeptał ojciec doktor.

Przecież dobrze wiedział o takim duchownym, księdzu Jarzębowski, autorze biografii Traugutta. Co prawda nie mógł zostać pozyskany przez III Oddział ani nawet Ochronę, bo urodził się dopiero na przełomie wieków, ale na początku lat czterdziestych NKWD pozwoliło mu wyjechać ze Związku Sowieckiego do Ameryki, choć poza świętym obrazkiem miał w portfelu tylko nieaktualną wizę. Nie trzeba byłoby wiele, aby jakiś domorosły historyk, wierzący święcie w teorie spiskowe, skojarzył te fakty i już wyjazd księdza Jarzębowskiego przestałby być cudownym ocaleniem, dziełem Miłosierdzia Bożego, a stałby się kolejną odsłoną operacji „Mesjasz”...

Jednak czy to spowodowała modlitwa, czy po prostu przerażonemu Glińskiemu wróciła zawodowa nieufność historyka -o ile teczka na Kościuszkę rzeczywiście mogła być dziełem III Oddziału, o tyle w „Mesjaszu” sprawy wyglądały inaczej. No bo skoro ojciec Gałuszkiewicz pozostał samotnie w klasztorze na straży tych

dokumentów, musiały zostać zdeponowane,

284

285

jeszcze gdy powstanie trwało. Dobrze, dogorywało, ale nie zostało całkiem spacyfikowane. To był ostatni moment - jakiś oddział mógł przejąć przewożone w tajemnicy, pod nielicznym konwojem dokumenty i nie poznawszy się, że to prowokacja, ukryć je w klasztorze. Wiosną 1864 na Lubelszczyźnie działała wciąż partia Wróblewskiego, no ale przecież Traugutta powieszono na początku sierpnia! Teoretycznie mógł je tu dostarczyć wysłannik partii księdza Brzóska, który bił się na Podlasiu do wiosny 1865. Kazimierski klasztor został skonfiskowany w lutym... Ojciec doktor kolejny raz omiół światłem półki. Tego było stanowczo za dużo, aby przemycić w wozie z sianem. Gliński zajrzał do katalogu osobowego i znowu zmartwiał. Ledwie przerzucił kilka fiszek, a już wiedział, że to ukryte archiwum zawierało także dokumenty sporządzone dużo później, w latach dwudziestych, nawet trzydziestych XX wieku. Inaczej co by tu robiły takie pozycje jak Beck, Józef - prowadząca do spraw „Bombardier” ND/A/1 1/1918 i „Josef 0. II W/A/23/1930, albo Piłsudski, Józef - z odnośnikami do „Luter” Ochr./W/3°/387/1899, „Ziuk” Ochr./w/r/23/1905, „Komendant” IV-D/R. 1/2/1921 i kilkunastu innych?! Oczywiście były tu postaci nie tylko z samej góry. Gliński odnalazł wiele nazwisk posłów czy senatorów II Rzeczypospolitej, które mówiły mu cokolwiek wyłącznie ze względu na historyczne wykształcenie, niektóre kojarzył bardzo mgliście. Nie miał jednak wątpliwości, że w to bagno unurzano wszystkich, którzy od przełomu XVIII i XIX wieku aż do września 1939 cokolwiek znaczyli. Sądząc po skrótach w sygnaturach, zgromadzono tu razem paszkwile socjalistów na endeków i endeków na socjalistów, materiały informacyjne kontrwywiadu wojskowego i policji politycznej - a wszystko wzorowo opracowane: plotki, donosy, zeznania wymuszone w twierdzy brzeskiej i w Berezie Kartuskiej. Gliński nie musiał

286

sięgać do teczek, by domyślić się ich zawartości - Piłsudski szpiegiem niemieckim i japońskim, Beck hitlerowskim, pewnie był jeszcze Dmowski jako agent Rosji, a

wszystko to podane jak aksjomaty, z którymi nie sposób dyskutować. Można tylko przyjąć lub odrzucić, a odrzucić bez czytania taką sumę oszczerczą? Żal, przecież w tym może być ziarno prawdy - i już diabeł historii odniósł pierwsze zwycięstwo! - ...Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać... - Gliński odsunął kasetkę z fiskkami, cofnął się i przysiadł na stole, z którego wciąż spoglądał ku ojcu doktorowi mistrz Towiański uwieczniony na starej fotografii.

Quod oculis videmus, Domine, pura mente abhorremus: ne adha-ereat visceribus nostris; et praesta, ut in nobis non remaneat scelerum macula - pisał ojciec Gałuszkiewicz, trawestując słowa dziękczynienia z mszału łacińskiego. Teraz Gliński dokładnie wiedział, co miał na myśli ten pobożny franciszkanin. „Co widzimy oczami, Panie, duszą czystą odrzucamy: niech nie przylgnie do naszego wnętrza i spraw, aby nie pozostała w nas zmaza grzechu...” Ojciec Gałuszkiewicz nie wadził się z Bogiem, on po prostu zawarł w swym pamiętniku nie tylko wskazówkę, lecz także przestrozę.

I to ma teraz trafić do biblioteki Watykanu, jak życzyło sobie Officium... Tak, Gliński nie wątpił, że tam teczki będą bezpieczniejsze i bardziej niedostępne niż w jakimkolwiek innym archiwum. Jednak bomb przecież nie zamyka się w sejfach, tylko sieje rozbraja! Mimo to polecenia, które otrzymał, były jasne: przejąć...

Dominikanin bezsilnie opuścił latarkę i snop światła spoczął na posadzce. Wtedy zobaczył odcisnięte w kurzu ślady butów -ale nie tylko własnych! Był tu całkiem niedawno ktoś, kto nosił o numer większe i o zdecydowanie bardziej sfatygowanej podeszwie.

287

Gliński omiótł światłem latarki podziemne archiwum, jednak żadnych innych drzwi prócz tych, którymi wszedł, nie zauważył. Jeszcze raz spojrzął na ślady butów i w tej samej chwili gdzieś zza ściany usłyszał przytłumiony odgłos kroków. Tak, to było do przewidzenia: musiano w miękkim lessie wzgórza wydrążyć inny korytarz, prowadzący do podziemi pod budynkiem klasztornym.

Za ostatnim regałem coś zachrząściło i mebel ze zgrzytem odchylił się od ściany, pchnięty czyjąś ręką.

Nie mając w zanadru żadnego asa, Gliński postanowił ble-fować.

- Szczęść Boże, ojczy gwardianie - powiedział głośno.

Klasztor Reformatów, godz. 14.30

Zerkając, czy nikt go nie obserwuje, Stawek szarpnął drzwi szopy, a gdy te ustąpiły, zrobił krok do środka.

- O kur... - jęknął, potykając się o wysoki próg, ale nie upadł, bo wpadł na jakiś drąg blokujący wejście. Drewno zatrzeszczało ostrzegawczo, jednak wytrzymało ciężar.

Dziennikarz zaczął kląć na idiotę, który zastawił tę bezsensowną pułapkę, ale kolejny rzut oka do wnętrza szopy uświadomił mu, że ten idiota uratował mu życie. Zaraz za progiem ziała w ziemi jama, a kamienne schody bez żadnych poręczy prowadziły stromo w dół.

Jeszcze rano Stawek nawet nie zamierzał szukać Glińskiego. Po prostu jak inni dziennikarze stał przed domem betanek, choć bardziej niż na wyprowadzenie zakonnicy czekał na telefon od Lesika. W końcu znowu zaczął sam dzwonić, a gdy raz po raz odpowiadała mu automatyczna sekretarka, nie miał już wątpliwości: plany się zmieniły, tylko jego, cholera, nikt nie uprzedził. A on jak idiota przesłał wszystkie zdjęcia gliniarzowi!

Komisarz odebrał dopiero za piątym razem.

- Jestem zajęty przy betankach. Pan wy... - zaczął, ale Stawek nie dał mu dokończyć.

- Przy jakich betankach?! To ja cały czas jestem na Puławskiej, a pana nie widzę. Inaczej się umawialiśmy.

- Pamiętam, pamiętam. Zadzwoń, jak będę mógł.

- Kiedy? Może pan za godzinę? - cisnął dziennikarz.

- Może pan się odpięprzyć? - Lesik przerwał połączenie.

Z drzwi domu zakonnego wyjrzała głowa jakiejś kobiety. Reporterzy rzucili się ku ogrodzeniu, ale po chwili opuścili aparaty i kamery, bo była to jedna z policjantek. Tylko Bozia zachowała spokój: na chwilę odwróciła głowę, a potem wróciła do pisania SMS-a.

Cholera, dlaczego nie powiedział jej wcześniej o tych zdjęciach?! Bozia okazała się bardziej lojalna niż Lesik, ale przepadło - wściekłyby się, że milczał tyle czasu.

Rzucić przeciek z policji o doniesieniu Agnieszki Nowak, na kilka dni wpuścić w ten kanał konkurencję, a gdy „Wyborcza” z wielkim samozadowoleniem wysmażyłaby większy materiał, wszystko zdementować, opublikować zdjęcia i wziąć zakonnika w obronę - to by się jej podobało. A teraz... Teraz, gdyby wiedziała, miałby już całkiem przechłapano.

Z nadzieją, że w ciągu najbliższej godziny nie wydarzy się nic szczególnego, poszedł w stronę Rynku.

Gliński - jeśli był w Kazimierzu, a w to dziennikarz nie wątpił -nie mógłby się ukryć w tak małym miasteczku. Nawet gdyby nie wychodził z samochodu. I rzeczywiście, dziennikarz zauważył dominikanina przy Nadrzecznej, obok posterunku policji.

Poszedł za nim pod klasztor, ale tam niepotrzebnie się zawahał i został przy wejściu, podczas gdy zakonnik zniknął we wnętrzu kościoła. Zniknął dosłownie, bo kiedy pół godziny i dwa papierosy później dziennikarz tam zajrzał, Glińskiego już nie było.

288

289

Musiał wyjść przez zakrystię albo chór, teraz zamknięte na głucho.

Stawek wyszedł na zewnątrz i zdenerwowany zapalił kolejnego papierosa, patrząc bezmyślnie na obrazy drogi krzyżowej i tę zabawną Matkę Boską wyciosaną z kłody przez jakiegoś ludowego artystę. Obok figury wisiała puszką i tabliczka: „Ofiara za parkowanie”. Sięgnął do kieszeni i namacał złotówkę, chociaż jego motor stał przy Puławskiej. Ale wrzucił monetę - tak po prostu, na szczęście. Miał nadzieję, że jeśli u betanek podczas jego nieobecności zdarzyło się coś istotnego, Bozia podrzuci mu info, może nawet poratuje jakąś gorszą fotką. Zresztą jakby co, miała dzwonić...

Ruszył prosto ku budynkowi klasztornemu.

To było jedno z lepszych miejsc do fotografowania, a przy tym nie tak oklepane jak tutejszy Rynek czy nawet wąwozy. Teraz jednak nie zwrócił uwagi na naturalne sepie, jakie z murów korytarza i starych obrazów wyzwoliło jesienne słońce, nie spojrzał na rozświetlony wiry darz. Zatrzymał się dopiero przy domofonie i nacisnął pierwszy lepszy przycisk.

- Szczęść Boże, jestem dziennikarzem z „Kuriera”. Byłem umówiony z ojcem

doktorem Glińskim - wyrzucił na jednym wydechu.

- Ojciec Gliński wyjechał kilka dni temu - odpowiedział zdziwiony zakonnik. - W sobotę. Nie, nie w sobotę! W niedzielę.

- Aleja...

- Proszę wybaczyć, nie mogę pana wpuścić do klauzury. - Zapiszczało, kiedy franciszkanin odłożył słuchawkę.

Teraz, gdy schodzące w dół stopnie prowadziły go ku klasztorowi, Stawek uśmiechnął się do siebie. Nos mu mówił, że jest na dobrej drodze. Musiał być, skoro inne prowadziły donikąd.

290

Podziemia klasztoru Reformatów, godz. 14.47 Ojciec Jordan wszedł zgarbiony przez niskie drzwi, a kiedy wyprostował plecy, Gliński zobaczył, że nie tylko on funkcjonował jeszcze wyłącznie dzięki kawie i modlitwie. Franciszkanin również wyglądał, jakby od ich ostatniego spotkania w ogóle nie spał. Miał sine wory pod oczami i poszarzałą twarz, niczym z papier-mache.

- Przyniósł ojciec pamiętnik? - Nie wydawał się zdziwiony widokiem Glińskiego.

- Proszę. - Dominikanin położył brulion na stole obok niedawno przeglądanych teczek.

- Jak widzę, przydał się.

- Na pewno bardziej niż nieszczęsnemu ojcu Lemusowi. Bo to ojciec Adam znalazł wejście do tej... powiedzmy, biblioteki.

- Biblioteki?! - wykrzyknął gwardian. - Nie, ojciec Adam znalazł wrota do piekła.

- I musiał umrzeć, nim całkiem straciłby wiarę?

- Bardzo się ojciec myli - pokręcił głową franciszkanin. - Albo jest tak cyniczny.

Może mi ojciec wierzyć lub nie, ale dawno powiedziałbym wszystko policji, gdyby nie moja powinność wobec tego klasztoru.

- I tych papierów. - Gliński podszedł do regału, przejechał ręką po przykurzonych grzbietach teczek. Był już o dwa metry od gwardiana, ale ten czujnie cofnął się pod drzwi, którymi wszedł. Dokąd mogły prowadzić?

- Żadnych sztuczek! - ostrzegł go ojciec Jordan. Sięgnął ręką do ciemnego kąta przy

drzwiach i podniósł niewielki, chyba pięciolitrowy kanister. Szczęknął zwolniony zacisk, w powietrzu zawisła woń benzyny. - Do tyłu. Do tyłu, powiedziałem! Gliński podniósł ręce i powoli wrócił za stół. - Jeśli chce ojciec wiedzieć - podjął Gwardian - żadna śmierć tak mnie nie bolała jak odejście ojca Adama. Kiedyś spowiadałem

291

kierowcę, który zabił w wypadku dwoje ludzi. To nie była jego wina, mimo to z rozpaczy stracił wiarę w zbawienie. Oskarżał się, że mógł wybrać inną trasę, mógł jechać wolniej, mógł zatrzymać się dłużej na stacji benzynowej i tak dalej. Nie dałem mu rozgrzeszenia, bo trwał w grzechu przeciw Duchowi Świętemu. Ja, dzięki Bogu, nie, ale lepiej rozumiem tego człowieka. Też wiele rzeczy mogłem zrobić inaczej, jednak zrobiłem, jak zrobiłem. Z wiarą i najlepszymi intencjami. Bóg tak chciał, nie ja.

- Więc to Bóg zstąpił z nieba i wypchnął ojca Lemusa za okno? - Gliński silił się na uśmiech i lekki ton, niespokojnie zerkając na boki. Nie wiedział już, czy drobinki krążące w świetle latarki to kurz, czy może w cudowny sposób widzi cząsteczki benzyny. Jej zapach był coraz silniejszy. - Nie, ojcie Grzegorz, ale rozumiem, że nie mógł ojciec pozwolić, aby ten narwaniec ujawnił to wszystko. - Powiódł latarką po półkach. - Intencje z pewnością miał szlachetne: dobro nauki, prawda historyczna...

- Wciąż nic ojciec nie rozumie. - Gwardian wreszcie zatkał kanister, choć go nie puścił. W palcach prawej dłoni obracał zapalniczkę. - Ojca Adama oszukano. Sądził, że jeśli powierzy naszą tajemnicę komuś godnemu zaufania...

- Którejś z betanek? - przerwał mu niespokojnie Gliński.

- Betanek? - zdziwił się Jordan. - Po przybyciu Romanyczki ojciec Adam nie spowiadał już sióstr, a pamiętnik odczytał później. Nie, chciał przekazać te diabelskie papiery jakiemuś godnemu zaufania politykowi, patriocie...

- Komu? - znowu przerwał mu Gliński. - Na litość boską, komu?!

- Nazywa się Andrzej Bęciał, należy do Prawej Rodziny. Ojciec Adam...

- Ojciec Adam chyba nie czytał gazet - znów wszedł mu w słowo dominikanin. -

Ojciec zresztą też. Bęciał jest w regionalnych strukturach, ale Brony.

- ...Ojciec Adam - ciągnął gwardiana, jakby nie usłyszał Glińskiego - umówił się z nim w sobotę wieczorem. Podejrzewałem, że coś jest nie tak, i zabroniłem mu opuszczania klasztoru. Dlatego mieli porozmawiać przez to okno w szopie. Jesienią mało kto chodzi Cmentarną po zmroku...

- Śledził go ojciec?

- Śledził! - parsknął Jordan. - Jakże inkwizytorskie określenie troski! Kiedy go tam - wskazał brodą sufit - zastałem, powiedział mi wszystko. Nie mogłem pozwolić... - Pokręcił głową. - Nie mogłem. Każdy ma swój krzyż.

Dominikanin spojrzał uważnie na gwardiana. Sam często myślał o sobie w ten sposób, ale skąd Jordan by o tym wiedział? Niemożliwe, po prostu używali tego samego języka, tych samych sloganów. Jednak gdy usprawiedliwiał się przed sobą i bliźnimi nałożonym przez Chrystusa brzemieniem, brzmiało to jakby bardziej wiarygodnie... Przynajmniej w jego własnych uszach.

- Mój krzyż to ja sam. - Jordan spojrzał na swoje ręce. - Nie, ojciec tego nigdy nie czuł, ojciec nie zrozumie! A ja, gdybym nie poszedł do zakonu, pewnie byłbym bandytą. Za dużo siły. Pchnąłem go, ale nie chciałem... Nie tak...

Nie tak, powtórzył w myśli Gliński. Nie rozmawiał z Jackiem o śledztwie w sprawie śmierci ojca Lemusa, nie widział nawet ciała, mimo to potrafił wyobrazić sobie, co zaszło tam, w szopie, w sobotni wieczór. A patrząc na wielkie, umięśnione ręce gwardiana, wyobrażał to sobie jeszcze lepiej. Gwałtowna kłótnia, ojciec Adam sprzeciwiający się ukrywaniu akt i Jordan coraz ostrzej przekonujący go o powinności... Szamotanina, cios... To już jednak była sprawa Lesika i sumienia ojca gwardiana, na pewno nie Glińskiego!

- A dlaczego dał mi ojciec pamiętnik? - zapytał dominikanin.

- A co bym zyskał, gdybym nie dał? Nieco czasu. Tylko na co? Ojciec Adam rozgryzł szyfr ojca Adriana kilka tygodni temu,

292

293

potem czytał, czytał... Ja także. Miałem wiele okazji, aby to wszystko spalić: gdy ojciec Adam spał, odprawiał mszę... Po jego śmierci też mogłem to zrobić setki razy.

To jedyne rozwiązanie, a jak trudno przychodzi!

Gliński nie był pewien, czy patetyczne tony ojca Jordana traktować jak wyższy stopień ironii, czy po prostu puszczały mu nerwy - z przemęczenia, z poczucia winy i odpowiedzialności.

- Wyprowadził go diabeł na górę - ciągnął tymczasem franciszkanin - pokazał mu w jednej chwili wszystkie królestwa świata i rzekł: „Tobie dam potęgę, jeśli oddasz mi pokłon”. Tu masz szatana, ojcie Marku, na tych półkach! Papierowego szatana! Tak łatwo go zniszczyć, a jednak szkoda zawartej w nim potęgi, prawda? Myślałeś, co musieli czuć powstańcy, gdy ich nadzieje dogorywały, a oni przejęli dokumenty opluwające całą ich wiarę w bohaterów? Nie wierzyli, bo jakże uwierzyć w coś takiego, mimo to tak po prostu podrzeć, spalić?! Żal! Ojciec Adrian przyrzekł strzec depozytu, zapewne zanim się dowiedział, czym on jest. I ustrzegł, przekazując tajemnicę następcy. Myślisz, że po odzyskaniu niepodległości nikt nie wpadł na to, aby to zabrać i przewieźć do państwowego archiwum? Owszem! Tylko ówczesny gwardian nie pozwolił na to, żyli jeszcze ludzie pamiętający powstanie... Tak jak ja zapowiedział, że prędzej wszystko zniszczy, niż da dzieciom granat do zabawy. Szkoda, że tego nie zrobił! A potem, we wrześniu trzydziestego dziewiątego, przybył nam większy ciężar, kiedy ewakuująca się armia przywiozła kolejne skrzynie...

- A kto to opracował? - pociągnął go za język Gliński.

- Tego nie wiem, nie dokładnie. W latach trzydziestych pracowali tu wojskowi w przebraniach zakonników. Taki inkwizytor jak ojciec też prędzej czy później musiał się tu pojawić. To było nieuniknione. Jest ojciec znakiem, że to nie może czekać. I za to jestem ojcu wdzięczny.

- Ojciec wie, że nie mogę na to pozwolić. Mam polecenia od Ojca Świętego.

- Wiedziałem, że ojciec to powie - ponuro pokiwał głową gwardian. - A pamięta jeszcze ojciec słowa papieża: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”? Właśnie tej samej, której służył ojciec Adrian i nasze zgromadzenie. Dlatego nie zabierze ojciec tych teczek. Po moim tru...

Urwał, bo w korytarzu, którym zszedł Gliński, odezwały się czyjeś kroki. Jordan jednym ruchem otworzył kanister i uniósł zapalniczkę.

Godz. 15.05

Tomasz Stawek rozejrzał się zaskoczony po podziemnym archiwum. Snop światła latarki padał na akta oprawione w grubą tekturę, dodatkowo zabezpieczoną płótnem, i na twarz nieznanego mu franciszkanina. Stał może trzy metry od dziennikarza: jego wzrostu, ale co najmniej dziesięć lat starszy, no i takich mięśni, jak te rozpychające habit zakonnika, redaktor jakoś nie zdołał się dorobić.

Trzymający latarkę oświetlił na chwilę twarz Stawka i jakby uspokojony jego widokiem, znowu skierował ją na duchownego.

- Spokojnie, to tylko prasa. - Dziennikarz poznał głos ojca doktora. Ale była w nim nowa, niepokojąca nuta: stanowczości i jakby ostrzeżenia. - Nie zrobi nic głupiego, prawda, panie redaktorze?

Dziennikarz poczuł zapach benzyny. Dostrzegł także kanister w ręku franciszkanina.

- Prawda, panie redaktorze? - powtórzył z naciskiem dominikanin.

- Tak - kiwnął głową Stawek, choć obaj duchowni i tak nie mieli szans dostrzec jego gestu. - Powie mi ojciec doktor, co tu się dzieje?

294

295

- Nic takiego, po prostu rozmawiamy. - Gliński podszedł powoli do stołu i lekko oparty o zakurzony blat, wbił spojrzenie we franciszkanina. - To ojciec Jordan, gwardian tutejszego klasztoru. A tam, za nim, widzi pan teczki lepsze od ubeckich. Kwity na Kościuszkę, Traugutta, Piłsudskiego, Becka, na kogo pan sobie życzy, od XIX wieku aż do II wojny. Cała mitologia walki o niepodległość, wszyscy patroni szkół i ulic... Wie pan, że oni co do jednego byli agentami?

- Nie, ale...

- A wierzy pan? - przerwał mu dominikanin, powoli okrążając stół.

- Nie. Proszę mi jednak...

- Później! - Gliński znów nie dał mu dokończyć. - No proszę, ojcie Grzegorzu, pan redaktor nie wierzy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy. Niepotrzebnie się ojciec upiera. Zapewniam ojca, że przy zachowaniu niezbędnych środków ostrożności... Łap go!

Stawek już zaczynał rozumieć, że mają do czynienia z jakimś szaleńcem, ale potrzebował chwili, aby dotarło do niego, w co gra dominikanin. I drugiej, aby odstawić torbę z aparatem. Rzucił się na gwardiana o ułamek sekundy za późno.

- Uważaj! - krzyknął Gliński. Brakowało mu metra, żeby zablokować uniesioną rękę franciszkanina.

Dziennikarz schylił się w ostatniej chwili. Kanister zatoczył półkole nad jego głową, uderzył w regał i dopiero potem opadł mu na kark. Zabolało, ale niegroźnie, znacznie bardziej przestraszył Stawka zimny, oleisty dotyk na karku, a potem strużka cieczy sunąca w dół po kręgosłupie. Odepchnął franciszkanina i odskoczył. W świetle latarki Glińskiego zobaczył benzynę, spływającą po tomach akt na rękaw habitu gwardiana. Ten prawą ręką trzymał się kurczowo półki, aby nie upaść. Z lewej ani na chwilę nie wypuszczał kanistra.

- Zapalniczka! Szukaj zapalniczki!

Zanim Jordan odzyskał równowagę, Stawek kopnął go w pierś. Opadł na czworaki, zaczął obmacywać posadzkę, z której były opary benzyny. Dobrze znajomy zapach, zwykle kojarzący się z garażem i dopieszczaniem aprilli, teraz dusił w gardle. Kątem oka widział, że Gliński wodzi latarką z drugiej strony, za plecami franciszkanina. Gwardian, ciągnąc za sobą chlupoczący kanister, nieporadnie podpełzł tyłem do regału. Oparty o niego plecami rozejrzał się nerwowo.

Dostrzegli ją jednocześnie, gdy tylko latarka dominikanina wyłowiała na kamiennej podłodze niebieski kawałek plastiku, ale to Jordan był najbliżej. Gliński, widząc, że nie zdąży podnieść zapalniczki, kopnął ją w stronę dziennikarza. Ten rzucił się jak bramkarz i już chwycił obły kształt, kiedy poczuł cios pięści w ucho i rzuciło go na stół.

- Precz, szatany! - zawołał gwardian.

Dziennikarz mrugnął kilkakrotnie, potrząsnął głową i zobaczył, że ojciec Jordan kręci się jak jakiś cholerny derwisz, rozlewając wokół benzynę. Chlapała na regały, posadzkę, na habit franciszkanina. Także na nogawki spodni Stawka. Począł ją panice ścierać rękami, ale osiągnął tylko tyle, że teraz niemal cały był gotów do roli żywej pochodni. Dostrzegł, jak Gliński w pośpiechu ściąga marynarkę i przekłada z

niej coś do kieszeni spodni.

Błysnął płomień.

- Panie i Boże mój! Już teraz przyjmuję z Twojej ręki, z poddaniem i ochotą, każdy rodzaj śmierci!... - wrzeszczał ojciec Jordan, a płonące rękawy jego habitu zataczały w ciemności żółtoczerwone kręgi.

Zakonnik stanął przy regale i wystawił ręce na boki, jakby chciał objąć całe archiwum. Widząc jednak, jak niewielu teczek sięgnął ogień, zaczął pospiesznie macać ich grzbiety, jakby

296

297

szukał konkretnego tomu, który ktoś odstawił nie na swoje miejsce. I coraz więcej grzbietów akt nadgryzał płomień.

- Łap go! Z lewej!

Krzyk Glińskiego otrzeźwił Stawka. W ostatniej chwili, bo nagle franciszkanin, na którym płonęło już całe ubranie, ruszył w stronę dziennikarza. Ten przetoczył się pod stół, wlokąc za sobą smugę rozlanej benzyny. Ogień sięgnął podłogi i sunął teraz za uciekającym na czworakach dziennikarzem, jak w koszmarnym śnie był tuż za nim, gonił go niczym żółto-błękitny wąż. W ostatnim wydaniu weekendowym było coś o prędkościach osiąganych przez węże... Jezuuu!

Odwrócił się, dopiero gdy dotarł do ściany i nie miał już gdzie uciekać. Zobaczył, że płomień pozostał gdzieś pod stołem, a on sam nie jest nawet osmalony.

Dominikanin miotał się przy regale, próbując gasić marynarką to akta, to gwardiana. Dziennikarz spojrział na swoje dłonie. Cholera, rękawice wraz z kaskiem zostawił na górze!

- ...Wraz ze wszystkimi lękami, karami i cierpieniami, które będą jej towarzyszyły, jako wynagrodzenie za moje grzechy... -Franciszkanin coraz ciszej powtarzał słowa modlitwy na godzinę śmierci. Z rozkrzyżowanymi ramionami rzucił się na regał. Gliński uskoczył w ostatniej chwili.

Stawka wmurowało w posadzkę. Przez kilka sekund stał, zupełnie nie wiedząc, co robić. Powinien sięgnąć po aparat, zanim ten żywy płonący krzyż załamie się, nie

wytrzymując bólu. Powinien też ratować człowieka.

Ojciec doktor dopadł go pierwszy. Osłaniając twarz marynarką, powalił zakonnika i zaczął go gasić.

Smród tłęcej się wełny otrzeźwił dziennikarza. Teraz i on doskoczył, ściągając ciasną kurtkę.

- Amen - dokończył modlitwę ojciec Jordan. Połowę jego twarzy pokrywał jeden wielki czerwony bąbel. Jak wyglądała

skóra zakonnika pod dopiero co zagaszonym ubraniem, Stawek wołał nie myśleć.

Dominikanin spojrzał w górę na regał. Wszystkie teczki płonęły.

- Kurwa, jak w Imieniu róży! - wykrzyknął dziennikarz, zanim ugryzł się w język.

Gliński rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Tak, i po Arystotelesie. Niech pan biegnie, dzwoni po straż, pogotowie... - polecił.

-Jasne!

Przy drzwiach Stawek odwrócił się jeszcze na chwilę. Dominikanin chwycił rannego pod pachy i zgarbiony ciągnął go ku wyjściu.

Godz. 15.40

Nie da rady! - pokręcił głową ratownik, gdy znowu utknęli na zakręcie schodów. -

Niech ksiądz stawia.

Przypięty pasami do noszy ojciec Jordan szeptał coś w gorączce. Gdy ratownik z dominikaninem postawili nosze pionowo, żeby wziąć go pod ramiona, na chwilę oprzytomniał i poruszył rękami pod kocem przeciwwstrząsowym.

- Wy...baczy mi ojciec? - z trudem dosłyszał Gliński. - Wysłuchaj mnie, bo zgrzeszyłem.

- Nic nie mów. Żałuj za grzechy.

Niewiele zrozumiał z przerywanego jękami bełkotu franciszkanina. Mówił chyba: „Boże, bądź miłościw”, a nie mogąc uderzać się w pierś, rytmicznie kiwał głową.

Dominikanin raz po raz czuł mocniejszy swąd spalonych włosów.

- Będzie dobrze, proszę się nie ruszać - polecił ratownik. - Niech ksiądz uspokoi rannego.

- Bóg, Ojciec miłosierdzia, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę

Kościola. I ja odpuszczam tobie grzechy

298

299

w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - jęknął z wysiłkiem Gliński, dźwigając Jordana.

- Bóg zapłać - powiedział cicho franciszkanin - zdjął ze mnie ojciec wielki ciężar.

Dominikanin miał na końcu języka: „Zdaje ci się”, ale nic nie powiedział. Całe zasoby ironii musiał mieć w pogotowiu na rozmowę z ojcem Jakubem. Officium nie będzie zadowolone ze straty archiwum. Glińskiemu pozostanie tylko jedna linia obrony: lepsze to, niż gdyby wpadło w niepowołane ręce. Jednak już teraz wydawało mu się, że słyszy głos swojego przełożonego, spokojny jak cisza przed burzą:

„Zreasumujmy, Marku. Utworzyliśmy Komisję Ducha i Prawdy, włożyliśmy wiele pracy, z bożą pomocą wydobywaliśmy cię z coraz to nowych kłopotów, a ty mi mówisz, że koniec końców wyszliśmy na zero. Jeszcze raz uporządkuj fakty i powtórzmy od początku. Przekonamy się, gdzie popełniłeś błędy. Zaczynaj, wyznaj grzechy”.

Na zewnętrznym dziedzińcu klasztoru, migając światłami, stał mały strażacki renault i karetka.

- Dla ojca Jordana... dla rannego będzie miejsce w Siemianowicach - wydyszał Gliński, zdejmując ze swojej szyi rękę zakonnika i kładąc go na noszach. - Muszę tylko zadzwonić.

- Co tam się stało? - Strażak w czerwonym hełmie i z butlą tlenową na plecach kucnął obok dominikanina.

- Wypadek - pokręcił głową dominikanin. - Wypadek podczas porządkowania archiwum klasztornego.

- Pytam o charakter pożaru.

- Papier i drewno. - Gliński zaczął kaszleć, by dać sobie nieco czasu do namysłu. - I benzyna. Do czyszczenia plam z kleju.

- Ksiądz jest tu przełożonym, tak? Co ratować? - dopytywał się strażak.

- Nie ja, on - pokręcił głową dominikanin. - Tam nie ma już nic do ratowania. Niech

się spali i miejmy to wreszcie z głowy!

Strażak popatrzył na niego zdziwiony i machnął ręką, potem kiwnął na dwóch innych czekających przy drzwiach szopy. Razem weszli do środka. Gliński spojrzął za nimi oszołomiony -jak on, ten dziennikarz i ratownik zdołali stamtąd wyjść, w dodatku wydostając Jordana? Dymu było tyle, że nie widział nawet otwartej klapy, choć klęczał ledwie o trzy metry dalej.

Rozejrzał się. Stawek siedział na ziemi, oparty o mur klasztorny, i czarnymi rękami grzebał w kieszeniach tego czegoś, co niedawno było kurtką motocyklową. Wreszcie znalazł i wyciągnął paczkę papierosów.

Nie zdążył zapalić, bo odezwała się wisząca mu u szyi komórka. Naczelna?

- No co jest, Monika? - zapytał zrelaksowanym tonem. - Jestem na betankach, ale nic ciekawego...

- Doprawdy? Od pół godziny jestem na Puławskiej, a ciebie jakoś nie widzę.

Gliński taktownie poczekał, aż dziennikarz przestanie się tłumaczyć, z westchnieniem odłożył komórkę i wreszcie sobie zapalił. Kiedy już Stawka otoczył kłąb dymu, ojciec doktor wstał z wysiłkiem. Dzielili ich tylko kilka metrów, a zakonnikowi wydawało się, że co najmniej sto.

- Zniszczy pan sobie zdrowie. - Usiadł ciężko obok. - Tam na dole miał miejsce wypadek. Gwardian czyścił benzyną...

- A ja nieostrożnie rzuciłem niedopałek? - burknął dziennikarz.

- Pan z narażeniem życia uratował ojca Jordana. To się może przydać, na wypadek gdyby szukał pan pracy.

- Wyglądam na bezrobotnego?

- Wygląda pan na kogoś, kto ma kłopoty. Zaparkowałem przy Nadrzecznej.

Chodźmy, musimy porozmawiać.

Podnosząc się, Gliński spojrzął na zegarek. Z radia karetki doleciały go pierwsze słowa serwisu informacyjnego. Wskazówka

300

301

sekundowa festyny ojca doktora dobiegła do piętnastu sekund po szesnastej,

wyglądało więc na to, że jakimś cudem zegarek przestał się spieszyć. Pokazywał dokładnie taką godzinę, jaką powinien. Świat wracał do normy? Jeśli to był znak...
...Operacja w Kazimierzu udała się jedynie w wymiarze odzyskania domu, była natomiast klęską, jeśli chodzi o odzyskanie poszkodowanych dziewcząt i troskę o ich rodziców, powiedział ojciec Tomasz Fronc, dyrektor Dominikańskiego Ośrodka Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach we Wrocławiu. Uprawdzone w połowie lipca przez afgańskich talibów niemiecki inżynier budowlany...

Gdy pożegnawszy staruszkę, opuściliśmy klasztor, sędzia rzekł, wskazując na osiwiące mury:

- Fabryka egzaltacji i fantastycznych widzeń!... Ten oto mnich, żyjący między zmarłymi, zaczytany w legendach, tak dalece zerwał z realną rzeczywistością, że bez ceremonii tworzy sobie fakty dziejowe. Szczęściem, krytyka pozytywna potrafiłaby nawet z takiej plewy oddzielić zdrowe ziarno...

- Ale czy potrafi dać nadzieję i zbawiać dusze potępione?...

Bolesław Prus, *Z żywotów świętych*

Wtorek, 4 sierpnia 2009 roku Siemiatycze, woj. podlaskie, godz. 13.20

Annę Małek-Zarańską nawet to bawiło, że listonosz w miasteczku naprawdę dzwonił dwa razy, chociaż Jacka Nicholsona kojarzył tylko z Batmanem. Tym razem jednak, zanim dobiegła do furtki, zdążył zadzwonić po raz trzeci.

- I to dzisiaj wszystko? - zdziwiła się, odbierając kilka wakacyjnych kartek od znajomych i „Panią”, którą zaprenumerowała ze względu na bonus od firmy kosmetycznej.

- A na coś pani czeka? - Listonosz zafrasował się i na wszelki wypadek zaczął przerzucać przesyłki. - Jak coś małego, może gdzieś się wsunęło...

- Nie, to raczej byłoby duże.

- No to sama pani widzi, że nie ma. - Nieco urażony zamknął torbę. - Do widzenia.

Anka wróciła do domu nawet nie tyle zmartwiona, co zła. Klapki klaskały ojej piętę głośno i drażniąc. Sięgnęła po komórkę.

- Maciej Kowal, proszę zostawić wiadomość - usłyszała nagrany głos kolegi ze studiów.

- Anka Zarańska, hm, Małek, cześć. Co jest z tym moim artykułem? Nic nie przyszło pocztą, na stronie jest nowy numer bez mojego tekstu. O co chodzi? Będzie w następnym czy

305

niepotrzebnie zawracałeś mi głowę na urlopie? Po raz trzeci proszę: oddzwonić.

Pozdrawiam.

Rozłączyła się i nastawiła wodę. Dopiero kiedy czajnik zaczął gwizdać, zauważyła, że przed nią stoi chłodny już kubek z herbatą owocową, wypitą tylko do połowy.

Kurwa, a taka była wniebowzięta! Jej kariera dziennikarki zakończyła się, nim się zaczęła, zaraz po stażu w „Kurierze” i zrobieniu magisterki. Teraz robiła nową: żony przy mężu, któremu dyplom z teologii nie przeszkadzał w prowadzeniu dobrze prosperującej firmy budowlanej. Jej to całe studium dziennikarskie w połączeniu z polonistyką przeszkadzało we wszystkim, nawet w żadnej szkole nie znalazła pracy, mimo że kiedy składała papiery, jeszcze nie była w ciąży. W tej jedynej, o której wiedział Adam... Pewnie dlatego tak ją pocieszał, że nie musi pracować. A kiedy zadzwonił Maciek, nagle poczuła, że wciąż coś może. Zupełnie bez sensu.

- Ale wyczułem! - ucieszył się, kiedy mu powiedziała, że po studiach wróciła na Podlasie. - Słuchaj, jest tekst do napisania, a nie mam nikogo. Urlopy, zresztą tu straszny rozpiardolnik, muszę zwolnić połowę redakcji.

- Redakcji czego? - nie zrozumiała.

- Aaa, nie pochwalilem się! Niby nie ma czym, ale dobra. No to wróciłem do Siedlec, jestem zastępcą naczelnego w „Katolickim Echu Podlasia”. Nie pytaj, jak to się stało, bo sam jeszcze nie ogarniam. Słuchaj, na tym waszym zadupiu jest podobno nowy ksiądz, jakiś mocarz katechetyczny. Potrzebowałbym kogoś na miejscu, żeby z nim pogadał, złapał jakiegoś dzieciaka, którego uczy... Zresztą co ci będę tłumaczył, dobrze wiesz. Sam się nie rozerwę, a ty jesteś na miejscu. No chyba że pracujesz dla kogoś i nie możesz...

- Nie, chwilowo szukam. Coś mam na oku, ale jeszcze się nie zdecydowałam - skłamała.

- No to co ci szkodzi? Zapłacę normalnie, czyli lepiej nie mówić, za to masz

dodatkowy punkt w CV. Chyba ci to pomoże, w każdym razie nie zaszkodzi. To jak? Mogę na ciebie liczyć?

- Przyślesz fotoreportera? Ja mam zwykłą małą cyfrówkę.

I wystarczy. Zrobisz mu tylko twarz jak do legitymacji. Zaraz dam namiary. Masz czym pisać?

Czym pisać to akurat zawsze miała, choć okazji do tego było coraz mniej. W organizerze nie zaznaczała już nawet dni płodnych i niepłodnych.

- Kazimierz Romanyczko, rezydent parafii - zanotowała. -Coś mi mówi to nazwisko.

- No to gratuluję, bo mnie nic. Dzięki, Anka, naprawdę wielki dzięki!

Nie musiała nawet nigdzie jeździć, kościół i plebania stały zaraz za rondem, do którego prowadziły wszystkie drogi miasteczka. Księdza Romanyczki też nie trzeba było szczególnie namawiać do rozmowy - co prawda twierdził, że nie lubi zamieszania wokół siebie, ale utrzymywał, że zna Ankę z widzenia. Fakt, przypominała sobie, to on był w kancelarii, kiedy zamawiała mszę za dziadków. Rozmawiali prawie godzinę, w końcu i tak nigdzie się nie spieszyła. Była przekonana, że ma aż za dużo materiału, jednak gdy w domu odsłuchiwała nagranie z empetrójki, stwierdziła zdziwiona, że to raczej on zrobił z nią wywiad, nie ona z nim. No, wspomniała o swoich niespełnionych planach pracy w którejś z lubelskich gazet, ale była przekonana, że mówiła o tym może minutę - by jakoś uwiarygodnić swoje przygotowanie do zawodu - a nie dziesięć, po których omal się nie poryczała. Ksiądz Romanyczko wyraźnie ochłódł, kiedy wspomniała mu, że dwa lata temu prawie pojechała do Kazimierza „na betanki”, ale jakoś wybrnęła z tego nieszczęśliwego sformułowania. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że powiedziała mu również o dziecku,

306

307

całe trzy dni wcześniej niż mężowi. Jedyne, co przemilczała, to to, że niespełna dwa lata temu poroniła. Ale o tym poza nią i lekarzem absolutnie nikt nie wiedział, nawet jej ówczesny facet. Nie! Wiedział, a w każdym razie mógł się domyślać Tomek Stawek, który prowadził jej staż w „Kurierze”. Wygadała się o ciąży, chwila słabości,

potem już nie wracali do tego tematu. Zapomniał? Ona też prawie zapomniała, wszystko zaczęło wracać dopiero teraz, kiedy modliła się, by donosić to dziecko.

- Wiesz, niektóre grupy charyzmatyczne praktykują szczególny rodzaj błogosławieństwa. - Ksiądz Romanyczko, gdy zeszło na stan Anki, zaczął jej mówić na ty. Zwykle takie poufałości bardzo ją wkurzały, ale tym razem akurat nie. - Coś jak chrzest poczętego życia przez przyłożenie dłoni i modlitwę do Ducha Świętego. Wyobraź sobie, że stajesz się w takiej chwili żywą ikoną Zwiastowania. Przeżywasz ten błogosławiony czas z myślą o Matce Bożej Brzemiennej, naśladowując, niejako się nią stajesz.

To brzmiało dziwnie, choć naprawdę Ankę poruszyło. Mówił tak energetycznie i prawdziwie, ale przestraszyła się jak ktoś, kto po ciemku idzie polną drogą i niespodziewanie trafia na błoto, które wciąga mu but. Odmówiła, mimo że właściwie nic jej przecież nie zaproponował. Bez sensu się przestraszyła, a miała teraz wyrzuty sumienia. Dlatego naprawdę ciężko popracowała nad tym artykułem i już mniej nawet chodziło o własną satysfakcję, ale żeby ksiądz Kazimierz dobrze wypadł. Nie było to zresztą trudne, bo i spośród dzieciaków, które zaczęła w miasteczku, prawie wszystkie chętnie opowiadały o swoim katechecie. Ankę zaciekał zwłaszcza jeden chłopak, szczerze przejęty tym, jak ksiądz Kazimierz porównywał naśladowanie Jezusa do gry komputerowej.

- No wie pani, chodzi o erpegi. Tam można być takim dobrym paladynem albo łotrzykiem. No i ksiądz się pyta, w kogo się... no... wcielamy. Ja mówię, że jak buduję postać, to tak, żeby miał manę... znaczy potencjał magiczny, żeby był silny i pomagał enpecom... Takim postaciom, którymi się nie steruje, tylko na przykład zlecają graczowi jakiś quest. I wie pani, wtedy ksiądz pyta, czy to się opłaca, bo może lepiej być w grze złym. Pewnie niektórzy tak grają, nie wiem, ale mnie się wydaje, że się nie opłaca, trudniej skończyć grę. No a on do mnie wtedy: „A czy w życiu dbasz o manę i pomagasz enpecom?”. Ja się zdziwiłem, że ksiądz załapał, bo on jest w porządku, ale wie pani, ksiądz i erpegi?... Nosi taką komórkę, że normalnie kicha, taka cegła! Ma też drugą, normalną, ale pewnie nie nadaża za funkcjami.

- I jak to się skończyło? - Anka przełknęła ślinę nieco zniecierpliwiona. Coraz częściej chciało jej się pić. I sikać. Albo to była tylko autosugestia, przecież za wcześnie nawet na fazę rzygania.

- Z tym, jak gram w życiu? No, teraz dbam o manę. Znaczący modłę się, jak nie zaśpię. Czasem mi się nie chce, wie pani, ale tak w ogóle to jest lepiej. No co mi szkodzi? - Zaśmiała się, chyba żeby nie wyjść na frajera.

Jak skleiała to do kupy z przewidywalną, nic tak naprawdę nie-mówiącą laurką dyrektora szkoły, wyszedł jej całkiem zgrabny tekst. Bardzo pod target i generalnie niegłupi. Dorzuciła jeszcze trochę tego, co pamiętała z wykładów z psychologii: o skutecznym komunikowaniu się z dzieckiem, posługując się jego pojęciowaniem. Na początku Maciej się niepokoił, czy wyśle na czas, potem potwierdził, że dotarło i w porządku. Na koniec zamilkł i przestał odbierać telefony. W sumie powinno jej to wisieć, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz ktoś ją wpuścił w kanał, ale jakoś nie wisiało. Może przez hormony?

Gówno, nie hormony! Po prostu kiedyś o coś jej chodziło, a teraz... „Przepraszam, robaczku, nie bierz tego do siebie...” Jest tylko inkubatorem! Dwa lata temu hormony raczej ją nakręcały.

308

309

To było niecały miesiąc po betankach, piąty, może szósty listopada. Stawek od kilku dni katował ją swoim dołem. Ktoś jej nawet radził, żeby przylepiła się do kogoś innego, bo Tomek jest do odstrzału i kiedy do tego dojdzie, lepiej nie być jego stażystką. Ale w niej się coś włączyło - właśnie przez hormony czy reakcja na rozstanie z Sebkiem - jakiś, kurwa, megainstynkt opiekuńczy! Pracowała za nich oboje, a on albo tylko szukał, do czego się przypieprzyć, albo całkiem mu wisiało. Wtedy właśnie trafiła na info z PAP-u o aresztowaniu przez CBA i ABW „byłego posła i regionalnego szefa młodzieżówki Brony Andrzeja B.”.

- No to przepisz, czym się podniecać? - Akurat tego ranka Stawkowi było wszystko jedno. - „Dziennik” już to dał, ale będziesz przed „Wyborczą”.

Postanowiła go zaskoczyć. Sama zadzwoniła do Agnieszki Nowak i namówiła ją na

rozmowę. Andrzej B. jako lider młodej kadry, jako kumpel od piwa, jako facet i takie tam. To na dzień dobry, bo wysiadając z piętnastki przy Kiepurzy, miała w głowie całą serię pytań, tak żeby Nowak sama nie zauważyła, kiedy zacznie mówić o krążących w partii plotkach. W partii niedawno rozbitej, poniżej progu wyborczego, partii w szoku, więc i z obniżonym instynktem samozachowawczym.

Nagie drzewa i sklezione ze sobą wieżowce były smutne i wstrętne. Jednak w jednym z mieszkań Anka spodziewała się zastać energiczną dziewczynę - w garsonce i kapciach. Kapcie pasowały jej do Brony, garsonka do pindzi, o której wspominał Stawek. Tymczasem Agnieszka Nowak - przynajmniej ta, która otworzyła jej drzwi - miała na sobie porozciągany czarny golf, długą szarozieloną spódnicę, cieliste rajstopy i wełniane skarpety, jakby wybierała się na pieszą pielgrzymkę do Wąwolnicy.

- Ale ja już nie mam z tym nic wspólnego - zastrzegła, przynosząc herbatę. - Pewnie zdziwisz się dlaczego.

Bo się obudziłaś z ręką w nocniku, pomyślała Anka, jednak zapytała z uprzejmym zdziwieniem: - Dlaczego?

I tu się zaczął kosmos! Agnieszka Nowak mówiła sama, nie potrzebowała żadnych pytań, wręcz zgadywała, co mogłoby zainteresować dziennikarkę. Bęciał w delegacjach partyjnych na Białorusi, zdjęcie Bęciała z Żyrinowskim, Bęciał eurosceptyk, flirt z Rodziną Polską, wreszcie Bęciał wchodzący do pokoju ze sztucznym penisem...

-Ja to już teraz rozumiem. - Dziewczyna usiadła po turecku na wersalce i rozejrzała się zupełnie jak dziecko szukające ulubionej maskotki. A może to Ance wszystko kojarzyło się teraz z dziećmi, bo Agnieszka wyjęła spod zagłówek masywny, czarny różaniec. Zacisnęła na nim dłoń, aż zbieleły jej kostki. - Tu w ogóle nie chodziło o politykę. Nawet nie o władzę. Pokażę ci coś.

Sięgnęła do stosu papierów, które Anka początkowo brała za notatki ze statystyki, tymczasem były to jakieś pokręcone wyliczenia numerologiczne. Miało z nich niezbitnie wynikać, że Bęciał ma dokładnie taką samą wibrację jak Belial, demon kłamstwa, piekielny książę północy, ten sam, który w 1968 roku opętał stygmatyczkę

Anneliese Michel. Teraz był zaś odpowiedzialny za bunt betanek i śmierć ojca Lemusa, którego numer telefonu Bęciał miał w komórce - Agnieszka sama widziała.

- I widzisz, Bęciał ma dwie szóstki w nous i tak samo jak Belial demoniczne 23 w somie. Tylko porównaj to z wibracjami Anneliese...

- Słuchaj, a może byłaś przy tym, jak on dzwonił do Lemusa? -Anka próbowała zmienić temat. Kiedy ta dziewczyna tak się rozsypała? Z tego, co mówił Tomek, jeszcze miesiąc wcześniej była to mała suka z ambicjami, a teraz no, kompletna wariatka! Choć zanim zeszła na numerologię, podrzuciła sporo cennych informacji.

310

311

- Nie. Ale dzwoniłam do niego tamtego wieczoru. Chciałam się naradzić, bo ojciec Gliński nie przyszedł na panel. I Bęciał miał wyłączoną komórkę.

Anka pokiwała głową. Tak, facet, który wieczorami wyłącza komórkę, rzeczywiście jest podejrzany. Sebek też tak robił, przez kilka ostatnich wspólnych tygodni coraz częściej. Jednak nikogo nie mordował, tylko bzykał tę nową panienkę.

Cóż, z Agnieszki wyciągnęła i tak sporo, a dalsza rozmowa traciła sens. Spojrzała na zegarek, zaczęła coś paplać o kolegium redakcyjnym i zbierać się do wyjścia.

- Zapomniałaś dyktafonu - zatrzymała ją dziewczyna. Wtopa! Naprawdę zapomniała, chociaż srebrna obudowa

i świecąca czerwona dioda były jedynymi kontrastowymi elementami w pokoju. A myślała, że zapominalstwo kobiet w ciąży to seksistowska bzdura!

- Tylko słuchaj, Aniu, nie pisz tego. - Dziewczyna dotknęła jej ramienia. - Szkoda czasu, nie puszczaj ci.

- Nie bój się, nie napiszę wszystkiego - uspokoiła ją Anka. Choćby nawet chciała, nie było takiej opcji. Może we „Wróźce” albo „Gwiazdy mówią”, ale na pewno nie w „Kurierze”. - Dzięki za rozmowę.

- To ja ci dziękuję. Chciałam się wygadać.

W piętnastce jadącej z Choin do centrum nie znalazła oczywiście wolnego miejsca. Były dzieci śmierdzące szkołą, stare baby śmierdzące starymi babami i faceci śmierdzący piwem. Wszystko ją drażniło. Przez hormony czy tę dziwną rozmowę?

Mimo to Anka już układała sobie w głowie kolejne zdania tekstu, który szybko wklepała do komputera zaraz po powrocie do redakcji. Stawek przeczytał, ale nic nie powiedział. Najwyraźniej wciąż miał wszystko w dupie.

- To co, jest w porządku? - zapytała.

- Jest bardzo w porządku. - Pokiwał głową. - Aż szkoda.

Następnego dnia na trzeciej stronie ukazała się tylko krótka notka, niewiele dłuższa niż info z PAP-u. A tydzień później Anka Małek przestała być dziennikarką - po prostu szefostwo nie przedłużyło jej stażu. Wciąż pamiętała swój ostatni news, który zresztą nie poszedł nawet w sieci: Konkurs na stanowisko eksperta ds. kontroli w chełmskiej komendzie policji wygrał komisarz Jacek Lesik, wcześniej śledczy w Puławach.

Jedyne, co podnosiło ją na duchu, to to, że tego samego dnia do odejścia został zmuszony pan Wolik. Cholera, ostatni dziennikarz z „tamtego Kuriera”, „Kuriera”, który zniknął z kiosków w ciągu kilku godzin, choć nie miał ani kolorowych zdjęć, ani nie dodawano do niego płyt! Sama nie mogła tego pamiętać, ale wykładowcy wspominali z rozrzewnieniem. A kolega ze studiów opowiadał, że jak kiedyś w podstawówce musiał napisać recenzję i nic mu nie wychodziło, jego matka po prostu podetknęła mu gazetę z jakimś tekstem Wolika i powiedziała: „O tak”.

Teraz dziewczyna siedziała przy stole kuchennym nad dwoma kubkami, tym już całkiem zimnym i drugim ciepłym. Chyba powinna przeprosić księdza Kazimierza, że nic nie będzie z artykułu.

Właśnie sięgała po telefon, kiedy sama usłyszała dzwonek -ten od furtki. Pomyślała, że może jednak na poczcie zawieruszyła się gazeta z jej artykułem i listonosz znów przyszedł. Nie, on zadzwoniłby przecież dwa razy. Gdy wyszła, zobaczyła przy płocie Stawka.

- Tomek? - zdziwiła się. - Niesamowite, myślałam dziś o tobie. Jak mnie znalazłeś? Wejdz.

- Widzisz, telepatia - powiedział, ale bez uśmiechu. - Ja tylko na chwilę, Anka. Jestem przejazdem.

Kiedy jeszcze razem pracowali, do wszystkiego podchodził raczej na luzie, najwyżej

trochę pobluzgał, ale szybko mu przechodziło. Teraz był poważny, jakby ktoś umarł. Bez komentarzy pił lurowatą kawę. Kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży, zaraz

312

313
schował niezapalonego papierosa i na tym koniec, nic, nie było tematu! W sumie dobrze, że nie zapytał, co z poprzednią ciążą i w ogóle. Gratulować nie musiał, dać się zapłodnić to nie jest coś, za co dają Nobla. No ale jedno ciepłe słowo dawnego kumpla...

- Opowiadaj, co teraz robisz - powiedziała, żeby przestać o tym myśleć.

- No wiesz, pracuję. Teraz w Katolickiej Agencji Informacyjnej. No i właśnie... Ty to napisałaś? - Wyciągnął z plecaka kopertę, mniej więcej taką, na jaką czekała, tylko chudsza.

Nie było wiele do oglądania. Dwie strony PDF-a z jej artykułem. Nawet zdjęcie z cyfrowki wyszło całkiem niezłe.

- Skąd to masz? - zapytała.

- Nieważne - machnął ręką. - Naprawdę niezły tekst. Nie na „Tygodnik Powszechny”, ale na „Echo” mistrzostwo świata. W „Kurierze” też by spokojnie poszedł. Niestety nigdzie nie pójdzie, Aniu, sorry.

- Kurwa, Tomek, ale co ty masz do tego?

- A myślisz jeszcze, żeby wrócić do dziennikarstwa? -Jakie wrócić? - Wzruszyła ramionami. - Nawet serio nie zaczęłam. A teraz to będę miała raczej inne rzeczy do roboty.

- No to w takim razie ten tekst tym bardziej ci po nic. Masz. -Położył na stole wizytówkę. - Pomogę ci coś znaleźć, jak już będziesz po macierzyńskim. Jutro, pojutrze dostaniesz też pocztą zaświadczenie o odbyciu stażu w KAI. Przyda się. Tylko tamtego tekstu nie ma, bo nie było. Dii?

- Tomek, ale przecież tam nie ma nic, żadnej bomby. Nie rozumiem.

- Pod tym względem nic się nie zmieniłaś - uśmiechnął się słabo.

- Słuchaj - przełknęła ślinę - czyja niechcący zrobiłam sobie haczyk?

-Jaki haczyk? - Stawek spojrzał na nią podejrzliwie.

- Agnieszka Nowak i twoje nauki taktyki dziennikarskiej. Że czasem warto zrobić postać z takiej Nowak, żeby sobie zrobić podejście pod kogoś innego. Tak wtedy powiedziałaś. Książd Romanyczko to też taki nikt, ale zna kogoś?

Poczuła na dłoni palce Stawka, lekko wilgotne, jakby był bardziej zdenerwowany, niż na to wyglądał. Pachniały skórą rękawic motocyklowych, które położył obok na taborecie.

- Aniu, ty byś chyba chciała wrócić do dziennikarstwa? -zapytał znacząco. -I jedna rzecz, rada starszego kolegi. W wolnej chwili wklep w Google „Romanyczko, Kazimierz, betanki”. Sama zobaczysz, że nie przygotowałaś się do rozmowy z tym twoim genialnym katechetą.

Gwałtownie cofnęła rękę.

- Ale jesteś nerwowa! - Stawek pierwszy raz się uśmiechnął i sięgnął do plecaka po swoją lustrzanekę. - Mam też dla ciebie niusa. Poznajesz?

Na wyświetlaczu aparatu Anka zobaczyła wypełniającą niemal cały kadr okrągłą twarz dwudziestokilkuletniej dziewczyny w białej chustce na głowie, bluzce z lumpeksu i w jakiejś kretyńskiej ni to chustce, ni to arafatce, luźno zawiązanej pod szyją. Dziewczyna, z policzkami mocno zaróżowionymi od słońca, a może ze zmęczenia, leżała na trawie, a w jej szeroko otwartych, dziwnie ufnych oczach odbijało się niebo. Zaś to, co Anka początkowo wzięła za wyjątkowo niegustowne korale, okazało się wielkim, pokutniczym różańcem.

Znała i tę twarz, i ten różaniec.

- Agnieszka Nowak?! - ożywiła się Anka. - Skąd to masz?

- Jak to skąd? - Stawek wzruszył ramionami. - Z KAI, z serwisu pielgrzymkowego. Świeżyzna, wczorajsza fota. Święta Agnieszko, módl się za nami, nie?

Anka zacisnęła usta. Nie! Cholernie, zajebicie nie! Gdyby ktoś jej wcześniej powiedział, że mało się nie poryczy na widok

314

315

obcej, zupełnie obojętnej jej panienki tylko z powodu całkowicie odmienionego stylu, nieźle by się uśmieła. Jednak w tej twarzy był jakiś trudno uchwytny wyraz...

cholera wie... chyba szaleństwa. Ance przypomniał się babciny przesąd o kobietach w ciąży, które z powodu zapatrzenia na żebraka czy wiejskiego głupka urodziły nienormalne dziecko.

- Możesz mi... dać kopię? - zapytała nagle.

- Chyba ocipiałaś! - Dziennikarz schował aparat. Pożegnali się chłodno. Anka sama nie wiedziała, dlaczego była zła - czy dlatego, że w ogóle poprosiła o to zdjęcie, czy dlatego, że i tak wciąż miała je przed oczami.

Cholera, coś było w tej twarzy! Obłąd, zmęczenie, tak, ale i radość, i taki spokój, jakiego dawna stażystka „Kuriera” chyba nigdy nie doświadczyła. Zazdrość? Bez sensu! Pewnie przez hormony!

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05

e-mail: wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Katarzyna Arbaczewska-Matys Korekta: Krzysztof Zadros, Małgorzata

Denys Redakcja techniczna: Anna Hegman

Projekt okładki i stron tytułowych: Szymon Wójciak Fotografie wykorzystane na I stronie okładki: © Cristian Ciobanu - Fotolia.com, © mirec - Fotolia.com Fotografia autora: Piotr Sztajdel

(z archiwum Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” w Lublinie)

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa S.A., Łódź

ISBN 978-83-7414-800-9